



ja,
urbanator

AWANTURY MUZYKA
JAZZOWEGO

Andrzej Makowiecki

ANDRZEJ MAKOWIECKI

JA, URBANATOR

Awantury muzyka jazzowego

opowiada Michał Urbaniak

WARSZAWA 2011

Spis treści

Przedmowa autora

Płonące dachy Manhattanu

Jak z Michałowskiego przemieniłem się w Urbaniaka

Uparłem się przy skrzypcach

W krótkich spodenkach

Tygrys w łapach towarzyszy

Matura, a tu same dwójce

Zaraz będę w Nowym Jorku!

Kobieta, poważne przedsięwzięcie

Nic poza Urszulą

Nie napiję się więcej

Znowu wdarłem się na szczyt

Ostatni Polak w zespole

Noc nowojorska

Tnij! Przerwij te męczarnie!

To jest amerykańskie zawodowstwo

Dziewczynki na mojej głowie

Miłosne tajemnice

Miles Davis zaprasza

Liliana znika

Misiek, chcę mieć z tobą dzieci!

Nauczyłem się kraść piwo

Wejście w rap

Zdobycie Częstochowy

Uciekinier

Raj w wytrzeźwialni

Sześć lat do edenu

Weronika

Nieznany sufit

Matador, który nie poradził sobie z bykiem

Moja piąta struna

Brodski

Rozbrykana stopa nuncjusza

Upadek

Na promie do Ystad

Woody Allen z Ciechocinka

Sympatyczny epizodzik

Amerykański odrzut
Ruletka w Doniecku
Fokstroty z kucharkami
Zakazane Miasto
Swing z posłami
Hej tam pod lasem
Na cześć Obamy
Jeszcze raz się udało
Krasnoludki w mleko szczają
Nigel Kennedy przede mną przykleka
Przyczajone Krzywe Oko
Papaya
Miles to Miles
Przyjdź, zagrasz z Urbaniakiem
Nieoczekiwana zmiana miejsc
Michał Urbaniak – dyskografia
Metryczka książki

Do dyrektora cyrku przyszedł gość i oświadczył, że umie fruwać.

Przyjdź pan jutro – powiedział dyrektor – bo muszę zwołać komisję artystyczną.

Nazajutrz, kiedy komisja zasiadła za stołem, gość zdjął marynarkę i pofrunął aż pod samą kopułę, po czym wylądował u stóp dyrektora.

Czy otrzymam angaż? – zapytał.

Przyjdź pan za godzinę – odparł dyrektor. – Komisja musi się naradzić.

Kiedy gość przyszedł za godzinę, werdykt komisji brzmiał:

Nie otrzyma pan angażu. Jest pan zwykłym naśladowcą ptaków.

Michał Urbaniak

Płonące dachy Manhattanu

Przyszedłem na ten piękny świat w Warszawie. Mój ojciec Edmund Michałowski był polskim antysemitą, moja matka była polską filosemitką, a ja urodziłem się Amerykaninem.

Przed wojną ojciec był przedstawicielem Forda w krajach Europy Środkowej i całe życie marzył, aby zobaczyć Nowy Jork. Po wyzwoleniu Polski przez hordy Armii Czerwonej zrozumiał, że marzenie jest nieaktualne, i zaczął się odgrażać, że to, co nie udało się jemu, uda się z pewnością jego synowi, czyli mnie.

I tak się stało.

Latem 1962 roku jako kilkunastoletni chłopak znalazłem się w Nowym Jorku z Wreckersami. Przedtem nigdy nie byłem za granicą, nawet w Bułgarii, więc kiedy ujrzałem płonące dachy Manhattanu, myślałem, że śnię.

W Polsce wmawiano nam przecież nie tylko, że nie ma żadnego Jezusa Chrystusa. Między wierszami z bajdurzenia zastraszonych polskich belfrów wynikało, że w gruncie rzeczy nie istnieje również żadna Kalifornia czy San Francisco, a w Nowym Jorku to jest tylko taka ściana płaczu Wall Street, gdzie bogacze wyrywają biedakom wnętrzności.

Patrzyłem więc na płonące dachy Manhattanu i myślałem, że śnię. Czulem się jak pijany, nie mówiąc o tym, że byłem pijany, bo jeszcze wtedy piłem, odziedziczywszy tę skłonność po ojcu.

Nigdy nie brałem w żyłę, nie wciągnął mnie haszysz ani heroina, a po marihuanie jeszcze bardziej chciało mi się pić. Pijałem więc od czasu do czasu, nie za mocno, częściej piwo i wino niż wódkę, i patrzyłem na te płonące dachy, myśląc sobie: Tato, ja tu jestem! Ja tu jeszcze kiedyś wrócę! Nie po to, żeby zostać jeszcze jednym bogatym polskim Amerykaninem, lecz po to, żeby grać jazz.

Bo na każdym kroku mogłeś spotkać tu tych wszystkich wspaniałych facetów walących w bębny, dmuchających w trąby

i saksofony. Raz wpadłeś na Maxa Roacha, który wypompuwał ci rękę, raz na Dizza Gillespiego, który wyklepał cię jak ojciec po plecach, a później to on przekręcał zawsze moje nazwisko.

Przy 52 Zachodniej ulicy róg Broadwayu istniał wtedy Birdland, po którym teraz nie ma nawet śladu, jakiś hotel Novotel tam jest i jakaś Art Café Restaurant. Więc wtedy, w sześćdziesiątym drugim, urządzili nam w Birdlandzie spotkanie z gigantami jazzu, bo Wreckersi byli pierwszym w historii USA zespołem zza żelaznej kurtyny i nadskakiwano nam straszliwie. Zachowała się nawet z tego spotkania fotografia: na scenie grało Kai Winding Combo, a przy stoliku siedzieli z nami Willis Conover, Ben Webster i John Coltrane.

Zbyszek Namysłowski wyglądał wtedy jak dzieciak, a ja jestem od niego jeszcze o cztery czy pięć lat młodszy, więc kiedy dziennikarze dowiedzieli się, z którego jestem rocznika, śmiali się, że to niemożliwe, bo taki rocznik w ogóle nie istnieje.

Zagraliśmy na festiwalach jazzowych w Waszyngtonie i w Newport, a potem puścili nas w trasę po Stanach Zjednoczonych. To był lipiec, sierpień, najpiękniejsze lato świata.

W Nowym Orleanie słuchałem zza takiej specjalnej szyby Louisa Armstronga. To było miejsce, gdzie można było patrzeć i słuchać za psi grosz, ale gdy chciałeś minąć szybę i wejść do głównej sali klubu, musiałeś zapłacić czterdzieści dolarów. Zapłaciłem. Nie było wolnych miejsc, więc usiadłem u samych stóp Armstronga pod estradą i patrzyłem znużonemu Popsowi w oczy. W ten sam sposób wysłuchałem koncertu mojej ukochanej śpiewaczki jazzowej Dinah Washington, z którą w przedsennych marzeniach zawsze chciałem się ożenić. Też patrzyłem spod estrady, od dołu, więc utkwiły mi w pamięci jej krótkie, beczkowate nogi i biały trójkąt jej majtek.

Ale największy szok przeżyłem w San Francisco, gdy po raz pierwszy ujrzałem na żywo Milesa Davisa. Praktycznie mogliśmy wtedy spotkać się z każdym muzykiem, ale nie z Milesem. Miles był odwrócony plecami do świata, choć skinieniem palca mógł przywołać do siebie każdego gwiazdora i każdą kobietę. Legendy krążyły o tym, jak kazał codziennie Adderleyowi robić pięćdziesiąt przysiadów, a Coltrane'owi

zabronił chodzić do dentysty, bojąc się, że kiedy genialnemu saksofoniście usuną trzonowy ząb, straci swój wspaniały ton.

O tym, że zagram kiedyś na skrzypcach z Davisem, nawet mi się nie śniło. Prawdę mówiąc, w tym czasie nie przyznawałem się w ogóle, że gram na skrzypcach; wstydziłem się tego jak cholera.

Byłem saksofonistą i koniec!

Przyjechałem z Wreckersami do San Francisco, bo mieliśmy stały kontakt z amerykańskim Departamentem Stanu i gość zajmujący się kulturą załatwił nam tygodniowy pobyt w tym mieście specjalnie po to, żebyśmy mogli posłuchać Davisa.

Miles grał ze swoim sekstetem w klubie Blackhawk, a towarzyszyli mu jak zwykle gwiazdorzy: J. J. Johnson, George Coleman, Jimmy Cobb, Wynton Kelly i Paul Chambers.

Cieszyliśmy się, o Wreckersach mówię, a Wreckersi to był pianista Andrzej Trzaskowski, szef grupy i jedyny Polak w zespole, który znał angielski, oraz doskonały naprawdę kontrabasista Roman „Gucio” Dyla, perkusista Adam Jędrzejowski, alcionista Zbigniew Namysłowski i ja, tenorzysta, a czasami chłopak na posyłki, bo taki jest los najmłodszego.

Pilnował nas niezawodny przyjaciel Willis Conover, człowiek wielkiego serca i głębokiego umysłu, ale kiedy chcieliśmy przedstawić się Davisowi, nastąpiły komplikacje.

Pamiętam, jak Conover naradzał się w Blackhawk z Ralphem Gleasonem, wielkim białym pisarzem jazzowym, osobistym przyjacielem Milesa. Wyrok był dla nas niepomyślny. Delikatność i wrażliwość nie pozwoliła Conoverowi powiedzieć nam tego wprost, ale Gleason nie owijał sprawy w bandaż.

– Don't speak to trumpet player, he's angry – oświadczył. – Nie podchodźcie, nie zaczepiajcie go, Miles jest w złym nastroju i nie rozmawia w ogóle z białymi.

Wreckersom, aspirującym do miana dobrze wychowanych i dojrzałych już młodzieńców, musiało to wystarczyć, lecz ja miałem dopiero kilkanaście lat i zacząłem na Davisa polować.

W pewnej chwili geniusz wyszedł z Blackhawk, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, i usiadł na krawężniku w ryszunku, za który można by kupić cadillaca. Sam o sobie nieraz mówił, że jest elegancki jak pies z kulawą laską. I taki był – w doskonale skrojonym alpakowym garniturze o lekko niebieskim odcieniu, w kremowej koszuli, do której krawat przymocowany był ogromną złotą spinką, w złotym, luźno zwisającym z lewej kiesi zegarku, w czarnych mokasynach i w ciemnych jedwabnych skarpetkach, które mimo podwiniętych nogawek nie odsłaniały ciała. W kieszeni na sercu miał chusteczkę w tym samym kolorze co krawat, a jak podszedłem bliżej, to zobaczyłem, że nie tylko kolor był ten sam, ale i wzór. On to musiał przywieźć z Paryża, a jak nie przywiózł, to przysłała mu Juliette Greco, z którą miał głośny romans.

Widząc moje manewry, Murzyn wykidajło nastroszył brwi i potrząsnął głową.

– Hey, man, don't speak to him – powtórzył przestrożę Gleasona.
– Leave him alone.

Angielskiego to myśmy się wtedy uczyli z tytułów jazzowych kompozycji. Nie umiałem zatem sklecić ani jednego porządnego zdania, ale mówię, celując do siebie z kciuka:

– Pollack, Warsaw, musician, saxophone.

Skinął, że docenia ten doniosły fakt, i nad wyraz wytwornym gestem dał mi znak, żebym spływał. Nie uderzył w każdym razie, co było dla mnie miłym zaskoczeniem, bo na zabawach w Polsce sumienni bramkarze bili w zęby pod byle pretekstem.

Wycofałem się do baru, wziąłem piwo i obserwowałem Davisa zza uchylonych drzwi.

Tego lata, w maju bodajże, umarł mu ojciec. Poza tym miał jakieś nieudane sesje nagraniowe z Gilem Evansem, a w zespole nie było już

ani Adderleya, ani Coltrane'a. Grywał wtedy z tenorzystą Wayne'em Shorterem, lecz jego także nie było; bez przerwy zmieniał składy, nie mógł sobie dopasować muzyków.

Chyba więc naprawdę był zły. Ale ten facet miał taką klasę, że nie mogłem od niego oderwać oczu. Żaden muzyk w historii jazzu nie miał takiej klasy. Nawet Ellingtonowi popuściły nieraz usta w uśmiechu, inni zaś podwalali się do publiczności w ten czy inny sposób. Miles natomiast był jakby wykuty z granitu. To nie był człowiek. To była rzeźba z oczami utkwionymi nieruchomo w kurzu ulicy. Splótł palce, zgięte łokcie trzymał na kolanach, i nie drgnął; grała w nim indiańska krew.

Był Murzynem. Był nawet murzyńskim rasistą, nieraz jednak przyznawał się do powinowactwa z plemieniem Cherokee (Czirokezów).

Stąd się chyba brała jego ogromna duma i wyniosłość. Wystarczy postudiować rysy Davisa – wąski nos, wydłużoną twarz, zakłęsłe policzki – aby zrozumieć, że była to krzyżówka, a krzyżówki inaczej widzą, inaczej słyszą i wybierają zawsze inne tony, jakby chciały grać równocześnie w dwóch kolorach.

Ja jednak wtedy tego nie rozumiałem, łapałem to najwyżej psim instynktem, i miałem ochotę otrzeć się jakoś o niego, niczym ten cholerny polski pisarz, co wszedł do paryskiego Luwru i widząc, że Mona Lisa pozostaje za pancernym szkłem, ślinił palce i podmacywał ukradkiem obrazy innych malarzy z nadzieją, że zarazi się ich talentem.

Tak było i ze mną. Otarłem się o największych, ale Davis otoczony był pancernym szkłem i nie podał mi ręki.

Ostatnie, co zapamiętałem, to jak wstał i skierował się ku Blackhawk, dotykając palcem górnej, porzniętej ustnikiem wargi. Odtąd, w muzyce i życiu, zawsze chciałem być taki jak on: podążać do przodu i po każdym kolejnym etapie zrzucać z pleców tornistry z tradycją. I nie na żadnym polskim zadufanym szlaku, tylko w Ameryce, którą wkrótce musiałem opuścić z bólem w sercu i z żelaznym przekonaniem, że wcześniej czy później do niej wrócę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY:

Jak z Michałowskiego przemieniłem się w Urbaniaka

Po wojnie rodzice przenieśli się z Warszawy do Piotrkowa, a zaraz potem do Łodzi i wkrótce się rozwieśli. Niewykluczone zresztą, że zrobili to wcześniej, ojciec jednakże, gazmajster i hulaka kochający na swój sposób rodzinę, przywłókł się za nami do Łodzi i popijał w Rudzie Pabianickiej.

Tu muszę powiedzieć, że jakkolwiek w życiu przeczytałem tylko trzy beletrystyczne książki, czytać umiałem już w wieku czterech lat, zapoznawszy się za pomocą latarki pod kołdrą z komiksem „Wicek i Wacek”. Ojciec wykorzystywał ten fakt z właściwym sobie wdziękiem, porywając mnie z domu i zaciągając do peryferyjnych knajp, gdzie byłem stawiany na szynkwasach w celu udokumentowania moich zdolności.

W chmurach dymu i oparach alkoholu czytałem zidiociałym pijakom różne kawałki z lokalnych dzienników. Pijacy dopatrywali się w tym oszustwa, że to niby ojciec nauczył mnie tego na pamięć w domu, i wygrzebywali wciąż nowe gazety, których nie mogłem znać. A ja wciąż czytałem.

Stawiali za to ojcu wódkę, ale dziecku również należała się nagroda. Więc pytali: – Zjesz loda, mały?

A ja na to: – Nie cię loda, cię piwko zimne jak lód.

Wywoływało to huraganowy entuzjizm. Pijacy porywali mnie w ramiona i obsypywali pocałunkami, nie zważając, czy jest to rączka, czy nóżka. I dostawałem swoje zimne piwko, więc matkę później trafił szlag, bo urodziłem się z padaczką; trzęsło mnie do trzeciego roku życia i ledwo z tego wyszedłem.

Tak czy owak, dzieciństwo na obrzeżach Łodzi wspominam radośnie.

Mieszkaliśmy przy ulicy Narewskiej 14, niedaleko kolei obwodowej. Pierwszą szkołę w wieku niespełna sześciu lat miałem

w okolicach ulicy Pabianickiej, a byłem tak zaawansowany, że po paru tygodniach przeniesiono mnie od razu do drugiej klasy.

Matka, szwaczka, z domu Irena Wysocka, była już wtedy powtórnie zamężna; wyszła za tkacza Mariana Urbaniaka.

Niech kogoś tylko nie zmylą pozory. W przeciwieństwie do ojca, utracjusza, matka szwaczka i ojczym tkacz mieli nieprawdopodobną smykałę do interesu, przy czym głową w tym tandemie była kobieta, a mężczyzna – koniem zaprzęgowym. Z miejsca zaczęli robić pieniądze, więc nigdy mi na niczym nie zbywało. Nie mogę powiedzieć, abym był kompletnym jedynakiem, bowiem ojczym Urbaniak miał syna z kobietą, która wyjechała do Australii i uznano ją za zaginioną. Ten mój niby brat, starszy o cztery lata, imponował mi swoją ogromną laską, w żaden jednak sposób nie mógł skończyć kursu pierwszej klasy szkoły podstawowej. Trzy razy próbował i trzy razy odmawiano mu promocji, sugerując, że rodzice powinni znaleźć mu szkołę o złagodzonej rygorze nauczania.

W domu mówiono do niego Dzidek i było mi go strasznie żal, bo Urbaniak, zazdrosny o moje zdolności, starał się wyzwolić z Dzidka genialność na siłę. Pytał na przykład, celując palcem w elementarz: „Jaka to litera?“, a Dzidek od razu robił się czerwony. Zaczynał się jąkać i płakać, i zaginając palce, krzyczał: „Zacekaj, zacekaj, zaraz ci policę!” I dostawał ciężkie smary, choć czołgałem się u nóg ojczyma, prosząc, żeby go nie bił. Chwytałem Urbaniaka pod kolana i moczyłem mu buty łzami, co nie odnosiło żadnego skutku, bowiem w Polsce negowana była wówczas teoria dziedziczenia i według komunistycznej doktryny w każdym człowieku drzemał materiał na noblistę.

Starałem się jakoś Dzidka podciągnąć. Uczyłem go czytać i pisać, a poza tym, jeszcze w wieku pięciu lat, chodziłem z nim do szkoły przy kolei obwodowej i kryjąc się u jego nóg pod ławką, podpowiadałem mu na różne sposoby, co kończyło się nieraz tragicznie.

Dzidek wystawiał ręce, a belfer okładał je z góry i z dołu piórnikiem – w powojennej Polsce była to metoda stosowana powszechnie w podstawowym i średnim szkolnictwie. Następnie okrutne belferzysko łapało Dzidka za włosy i rzucało go w kącie na kolana, na gołą podłogę albo na podłogę posypaną grochem, co również było

usankcjonowane przez kuratorium.

Potem przychodziła kolej na mnie. Ucapiony przez krogulcze szpony belfra za ucho wędrowałem do drzwi i otrzymywałem w progu potężnego kopniaka. Jak dowiedział się o tym mój rodzony ojciec Edmund Michałowski, szlachcic, skądinąd o szczupłej, lecz dwumetrowej bez mała sylwetce, zwabił belfra do knajpy na wódkę i zdzielił go w zęby butelką.

Potem losy Dzikka potoczyły się trochę lepiej: skończył edukację na dziewiątej klasie i odnalazła się w Australii jego własna matka, w związku z czym stanowił dobrą partię. Ożenił się, a teściowa kupiła młodej parze dom na Wybrzeżu, rachując, że niebawem wyjadą wszyscy razem na antypody. W Australii jednak zgryzoty znowu chwyciły Dzikka za gardło; podpuszczona przez teściową żona rozwiodła się z nim. Głodował, wreszcie fedrował z odnowioną gruźlicą w kopalni. Na koniec wrócił do kraju, założył nową rodzinę i mieszka sobie dostatnio w Łodzi.

Pieniędzy w naszym domu przy Narewskiej było tyle, że nie mieściły się już w szafach, więc matka szwaczka i ojczym tkacz postanowili wybudować nowy dom, który okazał się niebawem najpiękniejszą willą w mieście. Wzniesli zamczysko przy ulicy Ciasnej, gdzieś w połowie drogi między koleją obwodową a placem Niepodległości, a więc znacznie bliżej miasta. O ile przy Narewskiej mogłem grać z moim rówieśnikiem, kuzynem Zbyszkiem w ping-ponga, o tyle przy Ciasnej znalazłoby się miejsce nawet na korty tenisowe i basen. Były psy, były służące, był też zakochany w denaturacie ogrodnik Leoś, na którego matka krzyczała ze zgrozą: – Nie pij denaturatu, przecież ja ci wódkę dam!

Przed bramą matka rozstawiała czaty, dzięki czemu zmieniała wielu zabijaków w uczciwych ludzi, przyuczając ich do zawodu strażników prywatnego mienia.

Było czego pilnować, nie ma dwóch zdań. W posiadaniu rodziny pozostawał motocykl BMW z przyczepą i samochód DKW o pięknej jak na owe czasy linii. Ojczym kierował obydwoma pojazdami. Jeśli wybieraliśmy się gdzieś motorem, matka siadała za ojczymem na tylnym siodełku, a ja z Dzikkiem tłukliśmy się w przyczepie. Jeśli jednak chodzi

o auto, prawe przednie miejsce obok ojczyma przeznaczone było zwykle dla mnie, bo Urbaniak miał kiepski wzrok, a ja miałem sokole oko i mówiłem mu, gdy zbliżał się zakręt.

W niedzielę i święta jeździliśmy dekwką na mszę do kościoła Świętego Franciszka i spotykaliśmy się tam z rodziną wujka Mietka, który miał dwoje dzieci: wspomnianego już kuzyna Zbyszka i małą córeczkę Wiesię. Wujek też nie przychodził do kościoła pieszo, bo szybko dorobił się opła, więc nasze spotkania budziły zazdrość.

Mało było w tym czasie w komunistycznej Polsce rodzin, które mogły się z nami równać. Kortu nie mieliśmy, ale matka naprawdę zdecydowała się na basen. Kiedy powstał, wzbudziło to falę nieopisanego wściekłości. Sąsiedzi pieklili się i zaczęli nadawać: że jak to? Niby równość, a u Urbaniaków w dalszym ciągu kapitalizm.

Basen widać było z ulicy gołym okiem. Obrażało to godność zubożonego społeczeństwa, które pod buciorem bolszewików uczyło się z wolna hołdować ideałowi wielkich wyrzeczeń. Głowę mogłeś wówczas stracić za przestępstwo gospodarcze, co miało zresztą miejsce w tak zwanej aferze mięsnej. Sądy pracowały ostro: plutony egzekucyjne strzelały do urojonych szpiegów, a kat krążył od więzienia do więzienia, żeby pociągnąć za nóżki wrogów ustroju.

Mimo czat sąsiedzi ciskali w nasz dom kamieniami i butelkami z benzyną. W tej sytuacji matka zdecydowała się zakopać basen i urządzić w tym miejscu klomb z kwiatami. Tak czy owak niemal codziennie nękała nas milicja, więc któregoś dnia matka straciła na trzy dni przytomność.

Lekarze nie wiedzieli, co było przyczyną zapaści, więc przyszedł w końcu ksiądz z olejami i kropidłem, a my wszyscy: ojczym, Dzidek, ja i dalsza rodzina, płakaliśmy rzewnymi łzami.

Nagle matka wstaje i mówi: – Co wyście, ludzie, poszaleli?! A idźcie mi w cholere! Jazda!

Ja też odjechałem w zaświaty, ale to chyba było wcześniej. Mieliśmy gdzieś wyjść, więc poszedłem do łazienki, żeby się wykapać,

i jak tylko zanurzyłem głowę, od tej chwili nic nie pamiętam, dopadła mnie chyba padaczka. Matka znalazła mnie nieruchomego pod wodą i wrzasnęła: – Co ty, nurkujesz? Kawały mi robisz?!

Gdy odzyskałem przytomność, zobaczyłem nad sobą lekarzy, matkę oraz ogrodnika Leosia i Urbaniaka, którzy pompowali mnie dobre pół godziny.

Nie wiem, jakim cudem matka i ojczym obronili przed komunistami swój ogromny majątek. Być może sprzyjał im fakt, że matka wyrobiła sobie inwalidzkie papiery, a ojczym dla odmiany miał papiery wariackie. Było to zabiegiem często stosowanym w krajach demokracji ludowej.

Nazywało się to fachowo: palić głupa albo rznąć idiotę.

Poza tym nasz dom zbudowano według planu odznaczającego się diabelską przemyślnością. Architekt i zaufani murarze pracowali pod kierunkiem mamy, tworząc na górnych kondygnacjach rozmaite schowki. Ojczym miał duszę majsterkowicza i też się przyczynił do sprawy, układając połączone z metalowymi prętami belki w podłodze tak, że jak nacisnąłeś jedną, to schowek się otwierał, a jak nacisnąłeś inną – zamykał się niczym wrota sezamu.

Z domu było podziemne przejście do garażu, a z garażu kilka podziemnych przejść prowadziło do ogrodu, w którym porobione były furtki. Cała zgraja pracownic wchodziła tymi furtkami nocą i kierowała się do garażu, gdzie była tkalnia i dziewiarnia i gdzie zapieprzało się dwadzieścia cztery godziny na dobę. Normalnie szła fabryka, o czym nikt poza nami nie wiedział, a jak się domyślał, to dostawał po prostu w łapę. Pod każdym drzewem w ogrodzie pozakopywane były garnki ze złotymi dwudziestodolarówkami, więc przekupić można było nawet Bieruta. Sędziowie, prokuratorzy, milicja, wysokiego stopnia funkcjonariusze partyjni – wszyscy byli przekupieni, co nie znaczy, że ubowcy nie nękali nas w dalszym ciągu.

Był jednak przygotowany scenariusz awaryjny. Mieszkaliśmy dokładnie przy rogu: Ciasna 1 – Ceramiczna 12, i kiedy rozstawione wzdłuż obydwu tych ulic czujki dawały znać, że zbliża się najazd,

zakopywaliśmy błyskawicznie z Dzidkiem garniec ze złotem, którym bardzo lubiliśmy się bawić czy też grać w cymbergaja. I teraz do akcji przystępował mój ojczym wyposażony w wariackie papiery.

Otóż rozciągnięty przed bramą na leżaku Urbaniak miał u nogi owiniętą gazetami rurę, grubą i ciężką jak cholera. I kiedy pod rozkazami ubeków milicja próbowała sforsować bramę, ojczym dostawał ataku apopleksji i wrzeszcząc wniebogłosy, aby nas ostrzec, przypieprzał tą rurą tak okrutnie, że z rozbitych łbów lała się krew.

Ubecy musieli wzywać posiłki, a w tym czasie odbywała się szybka i precyzyjna ewakuacja garażu. Maszyny zapadały się pod klepisko, a towar i pracownice wędrowały podziemnym przejściem do schowków w domu, gdzie ginęły bez śladu, i jak wpadła milicja, dzieci bawiły się grzecznie piłeczką.

Wówczas nauczyłem się zawodu aktora, a Dzidek wcale nie był gorszy. Prawdziwym bohaterem był jednak Urbaniak. Boże, jak on walczył. Zamykał oczy i walił na oślep. A kiedy związali go wreszcie, nigdy nie wystawił matki. Dawał się za każdym razem aresztować, biorąc całą odpowiedzialność na siebie.

Pamiętam, jak szeptał do matki: – Ty, Irenko, tutaj działaj i opiekuj się chłopcami, a ja sobie trochę posiedzę.

I siedział tak w aresztach po dwa-trzy miesiące, nie skarżąc się nigdy podczas widzeń i przesyłając nam zza krat pełne czulego męstwa uśmiechy. Więc choć nie był moim prawdziwym ojcem, żywiłem do niego wielki szacunek i miłość, i płacząc, pocieszałem go: – Tatusz, nie bój się, niedługo wyjdiesz!

Myszę, że i on mnie kochał głęboko, choć wciąż był zazdrosny o moje zdolności i o to, że noszę inne nazwisko. Dzidek nie spełniał jego nadziei; chciał mieć takiego syna jak ja. Uprzymomniła mi to matka, zapatrzona we mnie jak w tęczę. Mówiła często: – Gdyby nie ty, synuś, miałabym z Urbaniakiem złote życie.

Więc nieco później, gdy skończyłem już dziewięć lat, zgodziłem się zmienić nazwisko, wyczuwając instynktem dziecka, że sprawię w ten

sposób radość ojczymowi i oczyszczę atmosferę w domu. No i z Michała Michałowskiego przekształciłem się w Michała Urbaniaka.

Do dziś nie wiem, czy był to właściwy krok.

Michałowski nigdy mnie nie uderzył, od ojczyma natomiast często dostawałem smary. Pod tym względem traktował mnie tak samo jak Dzikka. Bardzo się to nie podobało braciom matki – robili jej ciągle wyrzuty, że rozwiodła się z Michałowskim, który mimo notorycznego pijaństwa był facetem z klasą i umiał sobie zjednać ludzi. A poza tym wcale nie przestał nas kochać. Przychodził podglądać mnie przez płot w przedszkolu, a potem pod szkołę, lecz wkrótce nastąpił taki moment, że nie miał już odwagi wziąć mnie na ręce i przytulić, więc pytał tylko, buchając dookoła odorem alkoholu:

– Ty jesteś Michaś Michałowski?

– Tak.

– A ja jestem twój tata.

– Cześć, tata – mówiłem, a on płakał i odpływał owinięty gęstą mgłą do najbliższej knajpy.

Matka wiedziała o tym i nieraz upuściła ukradkiem łzę. Też do końca życia czuła do niego słabość. Ale nigdy nie zmieniała powziętych decyzji. Z pierwszym mężem, niejakim Pasiakiem, który pewnego dnia ją pobił, rozwiodła się, nie skończywszy jeszcze osiemnastu lat, a była wtedy ubogą łódzką szwaczką. Z Michałowskim pobrała się w Warszawie i do wybuchu wojny wiedli tam szampańskie życie, gdyż mój prawdziwy ojciec miał wtedy straszne pieniądze i wodził ją od lokalu do lokalu. Ale podczas okupacji apanaże ojca gwałtownie się urwały. Był znienawidzony przez Żydów i znienawidzony przez Niemców, i nie mógł zrobić żadnego lewego interesu, a pić musiał, więc kiedy podczas wojny przyszedłem na świat, sprzedał któregoś dnia na wódkę mój wózek.

Ja go rozumiem. Zdarza się nieraz kac przyjaciel, ale on był wtedy w szponach okropnego, destruktywnego kaca mordercy. Cały jego

organizm, każda jego żywa tkanka wyła o wódkę. Musiał się napić. Nie było alternatywy. No i sprzedał mój dziecięcy wózeczek, czego matka nigdy mu nie wybaczyła i co podobno było główną przyczyną ich rozstania.

Wystarczyło, żeby Urbaniak podniósł na mnie rękę i matkę dosłownie ogarniał szal.

– Tknij go jeszcze raz, a ci oczy wypalę! – krzyczała. – Ani mi się waży karać dzieciaka!

Teraz myślę, że może wcale nie miała racji. Męska ręka była mi z pewnością potrzebna. Nie zmienia to faktu, że matka była wspaniałą kobietą. Bardzo, bardzo ją kochałem i żałuję, że nigdy nie potrafiłam jej tego w wystarczającym stopniu okazać.

ROZDZIAŁ DRUGI:

Uparłem się przy skrzypcach

W soboty i niedziele odbywały się u nas huczne przyjęcia. Zarówno ojczym, jak i matka nie mieli żadnych złych alkoholowych nawyków, nie znaczy to jednak, że byli abstynentami. Wprost przeciwnie, lubili sobie w weekendy wypić i zahulać, uważali to za rozrywkę godną i zdrową. Pamiętam, że na te okazje matka przygotowywała różne nalewki, to na miodzie, to na czarnych porzeczkach, to na innych owocach i ziołach, a w piwnicznych, ogromnych, zimnych jak kostnice spiżarniach, które zastępowały wówczas lodówki, piętrzyły się skrzynie piwa, wina i mocnego zagranicznego alkoholu, który kupowało się albo na Chmielnej w Warszawie, albo w małych kolonialnych łódzkich sklepikach, sterczących jeszcze samotnie w wielu punktach miasta i broniących się rozpaczliwie przed atakami komuny.

Można było w nich dostać camele, chesterfieldy, lucky strike, modną w owych latach brylantynę, turecką chałwę, angielską herbatę, brazylijską kawę, gorzką amerykańską czekoladę, pastę do butów kiwi, holenderski tytoń fajkowy, kubańskie cygara, astrachański czarny i czerwony kawior, sprowadzone z tropików banany i pomarańcze, francuskie kosmetyki i fasowane ostrożnie spod lady prezerwatywy, odznaczające się podobno fantastyczną odpornością i nadzwyczajną siłą poślizgu. Było w nich także wiele luksusowych towarów pochodzenia krajowego, jak świeże węgorze i łososie, spętane sznurami połędwice, balerony i szynki, suszone grzyby, borówki, konfitury, marynowane pieczarki, gruszki w occie, śledzie w śmietanie, przygotowane domowym sposobem ogórki i korniszony, mak, drób, nieraz kuropatwy i zające, a nieraz wyklusowane gdzieś ćwiartki jelenia lub dzika.

Z tej listy wszystko albo prawie wszystko czekało na gości w naszym domu w Łodzi, matka nie żałowała pieniędzy na tak zwane przedmioty zbytku. Nawiasem mówiąc, indoktrynowana latami przez Michałowskiego, rodzime towary traktowała z lekką pogardą, uważając, że to, co dobre, musi pochodzić z Zachodu, a najlepiej z USA. – Pij, Michaś, soczek – namawiała mnie gorąco – bo on jest prosto z Ameryki.

Zbliżam się teraz do momentu, który zdecydował, że zostałem

muzykiem. To znaczy byłem nim na pewno od kołyski. W pierś matki dmuchałem podobno jak w trąbę, palując na dodatek dwiema rączkami, co mogło raczej sugerować saksofon. A w wieku dwóch lat wyśpiewywałem już wdzięczne trele. Nikt mi jednak tych skłonności nie wytłumaczył, choć trudno powiedzieć, abym nie miał muzyki w genach. Michałowski szczyił się świetnym słuchem, matka chętnie nuciła i brzdąkała na fortepianie marki Bechstein, który stał u nas w bawialni, zaś trzech mamy bracia to już regularne klezmerstwo.

Najstarszy z nich, wujek Janek, był basistą weselnym; średni, wujek Stefan, grał na saksofonie i klarncie; a najmłodszy, wujek Mietek, doskonale radził sobie z akordeonem. Mieczysław Wysocki kształcił się i został potem jednym z długoletnich dyrektorów Wólczanki, czołowej fabryki koszul w Europie.

Na przyjęcia u nas przychodziło wiele znanych i uznanych w Łodzi osób, nie tylko prawników, lekarzy, milicjantów, badylarzy i partyjniaków, lecz i artystów, którzy lubili otrzeć się o bogactwo.

Zaprzyjaźniona z naszym domem była rodzina Romana Irzykowskiego, profesora Wyższej Szkoły Muzycznej i dyrektora Filharmonii. Miał on żonę Zofię i dwie córki: Dzidę i Anię, i ta druga, uprawiająca jednocześnie krytykę, została później konsultantem muzycznym w kilkuset polskich filmach. Irzykowskich poznaliśmy dzięki doktorowi Sakowskiemu, który opiekował się zdrowiem Urbaniaków, a jego żona była rodzoną siostrą Zofii Irzykowskiej, która jako pierwsza zwróciła na mnie uwagę.

Nie rodzice więc, nie wujowie klezmerzy i nawet nie profesor Irzykowski, często grywający z Urbaniakiem w szachy, wpłynęli na bieg mojego życia. Nie ma dwóch zdań, to pani Zofia mnie odkryła, przypatrując się bacznie sześciolletniemu wówczas brzdącowi, który od trzech tygodni chodził już do drugiej klasy szkoły podstawowej przy ulicy Pabianickiej i który z entuzjazmem produkował się artystycznie na przyjęciach i piknikach.

Cały program miałem na te okazje przygotowany. Ktoś mi akompaniował, to na harmonii, to na fortepianie, a ja tańczyłem lub usiłowałem stepować i wyśpiewywałem trudne technicznie paso doble,

zasłyszane gdzieś rumbi i samby, piosenki kombatanckie w rodzaju: „Płynie, płynie Oka jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka”, oraz ulubiony szlagier Michałowskiego: „To jest Amerykaaaa! To jest to słynne USA! To jest wesoły kraj, na ziemi raj!”.

Towarzystwo zaśmiewało się do rozpuku, waliło brawo, ruszało w płąsy. Nikt nie traktował poważnie dziecięcych produkcji, ale pani Zofia Irzykowska miała na ten temat inne zdanie.

– Źle robisz, Irenko – zwróciła się kiedyś do matki z wyrzutem.

– Co niby robię źle? – oburzyła się matka.

– On ma talent muzyczny. Powinnaś natychmiast przenieść go do szkoły na Jaracza, i to na skrzypce!

Szybka w decyzjach matka nie namyślała się długo. Nie zagrzałem miejsca w podstawówce przy Pabianickiej. Ani się obejrzałem i już byłem uczniem ekskluzywnej szkoły muzycznej przy ulicy Jaracza, gdzie mieściło się też liceum muzyczne, a więc oprócz gry na instrumentach w obu szkołach wykładano także przedmioty ogólne, jak matematyka, polski i tak dalej.

Poszedłem od razu do drugiej klasy. Jako instrument podstawowy wybrałem skrzypce, bo fortepian miałem w domu od niemowlęctwa i nie stanowił dla mnie nadzwyczajnej atrakcji. Pewien kłopot polegał na tym, że skrzypkowie, jak też grające na skrzypkach dziewczęta, byli już w drugiej klasie nieźle zaawansowani, a ja zaczynałem od zera.

Poza tym klasy skrzypiec były ogromnie przepakowane; trzeba było silnych pleców, aby się do nich dostać, obowiązywało bowiem centralne planowanie muzyczne i nauczyciele mieli rozkaz werbować także na inne, mniej wytworne instrumenty. Chcieli mi z początku wtrzyąć wiolonczelę, opierałem się jednak ze wszystkich sił, gdyż pani Zofia Irzykowska rozbudziła już we mnie ambicje skrzypka solisty, a ja wierzyłem, że to wielki cymes. Uparłem się przy skrzypcach jak osioł, a że egzamin muzyczny zdałem celująco, trafiłem w końcu do klasy skrzypcowej profesora Gbiorczyka.

Wzięło mnie, cholera! Do chwili, gdy miałem dopiero poznać jazz, nie było dla mnie większej sprawy. Ćwiczyłem godzinami w szkole i w domu, gdyż od razu szedłem na mistrzostwo świata. A matka wspierała mnie w tym. Później, kiedy byłem często w dole, kiedy leżałem w rynsztoku na Manhattanie i chciałem wykonać czapę, wstawałem nagle, prostowałem się i patrzyłem w niebo, gdyż przypomiąłem sobie słowa matki: – Michaś, wyjdź i pokaż im! – co miało znaczyć: zakasuj wszystkich, opędzłuj ich dookoła. Tak właśnie mówiła matka. – Weź skrzypczki i pokaż!

Gdybyż ona mogła wiedzieć, ile razy uratowało mi to życie!

Nie tylko dla mnie, tak samo albo jeszcze bardziej dla matki skrzypce stały się najważniejszą sprawą świata. Ręce smarowała mi codziennie gliceryną, żebym miał gładkie i delikatne paluszki. Wszędzie musiałem chodzić w białych rękawiczkach, a jak poszedłem z chłopakami na Zdrowie, żeby powiosłować na łódkach, i nabawiłem się od tego odcisków, wpadła w szał, że nie będę mógł już dobrze grać.

Nic nie liczyło się poza skrzypcami. Dla mnie i dla niej. I wcale nie twierdę, jak to wygadują często wirtuozi, że zabrano mi dzieciństwo. Niczego mi nie zabrano. Byłem szczęśliwy! Wszystko miałem.

Rozpieszczany byłem bardziej niż dzieci królewskie. Służąca miała rozkaz odwieźć mnie codziennie do szkoły taksówką, a potem wrócić tramwajem, żeby jej się przypadkiem nie poprzestawiało w głowie. Po lekcjach wszystko szło w odwrotnej kolejności: najpierw tramwaj, potem taksówka. Obiad, ćwiczenie, kolacja, paciorek, spanie, pełne szczęśliwego zdziwienia przebudzenie i znowu szkoła. Sto złotych dzień w dzień dostawałem na cukierki, co było sumą znaczącą, wzięwszy pod uwagę, że za tysiąc złotych kupowałeś rower. Więc może jako sześciolatek nie od razu zrezygnowałem z cukierków, ale niebawem miało tak się stać. Tyle było wspaniałych rzeczy do kupienia. No i było piwko zimne jak lód.

Mówię o stu złotych, ale gdzieś tam po drodze była wymiana pieniędzy, wielka akcja wymyślona bodajże przez Cyrankiewicza, który postanowił ogołocić bogaczy: zasobnych chłopów zwanych wtedy kułakami, badylarzy hodujących w podmiejskich szklarniach nowalijki

i kwiaty, sklepikarzy, restauratorów, prawników, lekarzy, całą prywatną inicjatywę.

Jeśli trzymałeś pieniądze legalnie w banku, to wymieniali ci w stosunku jeden do jednego, z pomniejszeniem tysiąca do złotych. W tym wypadku była to uczciwa denominacja. Jeśli jednak dusiłeś forszę w skarpecie, mogłeś spokojnie popełnić samobójstwo, bo za tysiąc złotych dostawałeś tylko trzydzieści trzy grosze. Obowiązywało to również powszechnie przy spłacaniu przez biedotę długów bogaczom. Jedną trzecią długu musiałeś tylko zapłacić, byle było to w nowej walucie.

Pamiętam panikę, jaka ogarnęła zamożne domy, gdyż wieść o planowanej skrycie wymianie przeciekła jakoś z rządowych sfer i za pięć dwunasta obiegała cały kraj. Baby chciały kupować biżuterię i futra, ale złotnicy i kuśnierze nie byli przecież głupi, nie mówiąc o tym, że musieli coś zrobić z własnymi zasobami. Niektórzy próbowali rozpaczliwie ulokować oszczędności w banku, nikt ich jednak nie chciał przyjąć. Wszelkie interesy na jakiś czas ustały, skarb państwa obłowił się sówicie, a matka wyszła jakoś z tego obronną ręką, pewnie dlatego, że majątek trzymała w złotych dolarach, którymi graliśmy z Dzidkiem w cymbergaja, polski sport szkolny polegający na potrącaniu stalowym grzebieniem małej monety dużą monetą tak, aby ta pierwsza wpadła na pulpicie ławki w bramkę przeciwnika.

Innym dobrze zapamiętanym przeze mnie wydarzeniem tamtych lat była śmierć wujaszka Stalina, ojczulka wszystkich postępowych narodów i przywódcy całej w ogóle uciemiężonej ludzkości. Potworny ten fakt miał miejsce w marcu 1953 roku i wywołał dosłownie trzęsienie ziemi.

Muszę tu powiedzieć, że jakkolwiek Michałowski wychował mnie na Amerykanina, indoktrynacja szkolna zrobiła swoje i w wujaszku Stalinie byłem zakochany po uszy. Wierzyłem, że to taki duży Janosik z wąsami, który chce na ziemi zaprowadzić sprawiedliwość. Kiedy więc trzasnął kopytami, zamordowawszy przedtem bezkarnie dwadzieścia milionów ludzi, zapanowała w otaczającym mnie świecie żałoba, gdyż część Polaków, w tym ja, wierzyła w jego dobre intencje.

Skonał w potwornych męczarniach szatan, a nam się zdawało, że opuścił nas bóg. Uczniów i pracowników w naszej szkole, tak jak we wszystkich urzędach, instytucjach i fabrykach, ustawiono w korytarzach do uroczystego apelu. Zamiast zwyczajowej minuty ciszy pięć minut wyły syreny nad struchlałym miastem. Nie można było w tym czasie ani przełknąć śliny, ani się poruszyć, ani zaśmiać, ani wymówić słowa, bo dyrektorzy mieli rozkaz walić w ryj.

Na baczność stało wojsko, na baczność milicja, na baczność prządki i odlewnicy pomników. Ruch kołowy w mieście zamarł, jakby zabrakło benzyny i prądu. Wyrzucili z MPK motorniczego, który robił akurat kupę. Jak żałoba, to żałoba. Jedno, co można było zrobić bezkarnie, to położyć ręce na szwach, wyprężyć pierś i płakać.

I ja płakałem!

Nie na pokaz. Szczerze. Przecież wszędzie dookoła pisano, że to był nasz tata Dżugaszwili. Straszne było dla mnie zostać sierotą. Zalewałem się łzami, konwulsji prawie dostałem, a jak wróciłem do domu, to ryczałem w dalszym ciągu. I wtedy właśnie ciachnął mnie nożem w rękę Dzidek, niby głupi, a przecież znacznie mądrzejszy ode mnie.

Ojczym przyleciał, matka przyleciała, awantura była jak sto diabłów. Urbaniak chciał niby Dzidkowi przetrzepać skórę, z drugiej jednak strony nikomu się moje łzy nie podobały, tak jak wcześniej nikomu się nie podobało, że omdleвам dosłownie z zachwytu, kiedy słyszę w radiowym dzienniku wieczornym, że północni Koreańczycy dają w kość wspieranej przez imperialistów Korei Południowej.

Jednak największą trwogą napawała matkę moja rozorana ręka, więc wezwano lekarza, żeby założył mi opatrunek. Żaden nerw nie był uszkodzony i kiedy okazało się, że mogę ćwiczyć, matka dała w kościele Świętego Franciszka na mszę.

W podstawówce nie miałem żadnych kłopotów z nauką; radziłem sobie z przedmiotami ogólnymi, a ze skrzypiec wpisywano mi zawsze do dziennika czerwoną piątkę. Szybko dogoniłem – i przegoniłem – innych skrzypków w szkole, grając rzeczy dla tak małego chłopca zbyt

trudne. No i stałem się pupilkiem profesora Gbiorczyka, który przelał na mnie swoje niespełnione ambicje wirtuoza i poświęcił mi całe swoje życie. Wciąż wystawiał mnie na różne pokazy, abym oswoił się z publicznością. Umieścił mnie w kwartecie smyczkowym, zrobił koncertmistrzem orkiestry szkolnej, krótko mówiąc: zawsze i wszędzie grałem pierwsze skrzypce, co budziło oczywiście zazdrość.

Muszę wspomnieć tu o pewnym incydencie. Otóż z biegiem lat atmosfera między ojczymem i matką zmieniła się w notoryczne piekło. Nic nie pomogło, że przybrałem nazwisko Urbaniak. Codziennie wybuchwały w domu dzikie awantury, małżonkowie skakali sobie w sensie dosłownym do oczu i obrzucali się najordynarniejszymi obelgami. Coraz częściej ojczym wyładowywał swoje złe humory na moich kościach, więc chodziłem posiniaczony.

W tej sytuacji matka postanowiła wyprowadzić mnie z domu. Miałem w szkole koleżankę, która nazywała się Magdalena Golczewska i też grała na skrzypcach. Matka Magdy zaproponowała mojej matce, abym zamieszkał u Golczewskich, to dzieci będą sobie razem ćwiczyć. Wystawiła oczywiście rękę po pieniądze, a jak je dostała, ja zaś byłem już u niej w domu, zaczęła prowadzić własną politykę, stawiając sobie za punkt honoru, aby profesor Gbiorczyk miał nie tylko mnie jako pupila, lecz również jej córkę jako pupilkę.

Bezkompromisowa była, jeśli chodzi o dalszą karierę Magdy. Przykazała jednoznacznie Gbiorczykowi, że ma dziewczynę od tej pory pchać.

Nie przyniosło to jednak efektów. Magda była ambitna, pracowita i zdolna, ale nie do tego stopnia, aby profesor Zdzisław Gbiorczyk wpadł w ekstazę. Nie wystawiał jej najwyższych not, nie forował dziewczyny do zespołów szkolnych, a na publicznych koncertach i popisach nie poświęcał Magdzie wiele uwagi.

Niezadowolona z protekcji matka postanowiła go zniszczyć.

Gbiorczyk był Niemcem i lepiej niż po polsku mówił w swoim rodzimym języku. Niemców w Polsce nienawidziło się wtedy jak zarazy, bo żywe były jeszcze w pamięci ich zbrodnie. Ale on akurat był Bogu

ducha winien, a jako nauczyciel odznaczał się ogromną sumiennością, więc pani Golczewska zaczęła go atakować z innej strony. Napisała parę skarg, po czym zadenuncjowała go wprost, że podobno złapał za pupę jakąś uczennicę. No i przepędziła go z centralnej Polski. Osiadł w Gdańsku i uczył tam między innymi Konstantego Kulkę, o którym powiedział do mnie po latach: – Mam tu takiego jednego wihajstra.

Magdalena tymczasem skończyła wszelkie możliwe szkoły. Wyjechała za granicę i widuję ją nieraz w Nowym Jorku, gdzie gra nieprzerwanie na skrzypcach w Metropolitan Opera.

ROZDZIAŁ TRZECI:

W krótkich spodenkach

W szkole podstawowej bardzo lubiłem się stroić, robiąc przy tym wszystko, aby wyglądać na dorosłego. Kupowałem sobie u Olczyka na Piotrkowskiej złote spinki do mankietów, zakładałem do białych wykrochmalonych koszul krawaty, muszki i aksamitki, buty wykonywał dla mnie na zamówienie niejaki Włoch lub znakomity kaletnik Romeyko, paski i skarpetki przywoziła mi z warszawskich komisów matka, a palta szyli mi krawcy na miarę.

Najbardziej pociągały mnie wtedy długie spodnie z mankietami, ale obyczaj niestety był taki, że uczeń ze szkoły podstawowej, nawet w ostatniej, siódmej klasie, powinien nosić spodnie krótkie, a do tego długie bure pończochy, pod które na dodatek w mróz troskliwie matki wpychały kalesony, więc wyglądało to okropnie.

Uparłem się, że nie będę chodził w czymś takim, i wymogłem na matce, aby sprawiła mi kilka par długich męskich spodni. Ilekroć jednak miałem jakiś występ albo poważny koncert, w łódzkiej czy warszawskiej filharmonii, czy też z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Śląskiej w Katowicach, obowiązkowo musiałem wkładać krótkie spodni, w których czułem się jak bobo.

Kiedy więc zostałem promowany do liceum i nikt się już do mnie o długie spodnie nie przypieprzał, postanowiłem uczcić to wraz z kilkoma kolegami. Zaraz po inauguracji roku szkolnego wydałem libację w parku Sienkiewicza. O ile w krótkich spodniach nie wypadało pić nic mocniejszego niż piwo, długie domagały się szlachetniejszego alkoholu, zaopatrzyłem się więc w likier miętowy, a ponadto kupiłem śledzie, bo nasłuchiwałem się w domu, że nie ma lepszej od nich zakąski.

Koniec był tragiczny. Słodki likier i solone śledzie sprawiły, że porzygaliśmy się wszyscy w krzakach, a jeden chłopak, waltornista, stracił przytomność i w żaden sposób nie mogliśmy go ocucić. W tej sytuacji wzięliśmy taksówkę i pojechaliliśmy na Zdrowie, aby się wykapać w tamtejszych stawach. Wrzucony do wody waltornista odzyskał przytomność, mnie jednak chwyciły skurcze i znowu niewiele brakowało, abym utonął.

Zarówno w domu, jak i w szkole dziwiły opiekunów moje plebejskie upodobania. Z jednej strony całe serce wkładałem w trudny klasyczny repertuar, grając koncerty skrzypcowe Wieniawskiego i Mozarta, a z drugiej upajałem się audycjami radiowymi, w których występowały orkiestry akordeonistów Stecia i Wesołowskiego. Słuchałem także orkiestry mandolinistów Edwarda Ciukszy. Wkrótce zacząłem brzdąkać ukradkiem na gitarze, uważając, że ten romantyczny instrument pomoże mi stracić cnotę – jak nie ze służącą, to może z jakąś dziewczyną z sąsiedztwa albo koleżanką ze szkoły. Twarde struny gitarowe sprawiły, że zeszytniały mi opuszki palców, a na niektórych pojawiły się nawet pęcherze, więc mój nowy profesor od skrzypiec, pan Mieczysław Szaleski, tłukł mnie za to w łeb albo wręcz skopywał z krzesła przed pulpitem.

Nie miałem mu tego za złe. Profesor Szaleski był mi przez cały pobyt w liceum jak ojciec. Uznawano go za jeden z największych autorytetów skrzypcowych w kraju. Miał szerokie i wysokie koneksje. Uczył zarówno w Łodzi, jak i w Warszawie, trzy dni w jednym mieście, trzy dni w drugim, przy czym jego uczniowie byli nie tylko licealistami, lecz także słuchaczami wyższych szkół muzycznych.

Podobnie jak Gbiorczyk, Szaleski upatrzył sobie we mnie pupila. Często udzielał mi lekcji w konserwatorium na rogu Gdańskiej i 1 Maja albo chodziłem do niego do domu. Brał mnie na wszystkie obozy przed konkursami Wieniawskiego. Jak byłem dobrze przygotowany i zasuwałem od ucha do ucha kaprysy Paganiniego, mówił: – Michaś, ty możesz zostać światowym skrzypkiem.

Przepelniała mnie wtedy głęboka duma. To samo było z matką. Przebąkiwano w szkole, że po maturze pojedę na stypendium do Ojstracha. Profesor Szaleski działał ostro w tym kierunku. Jak byłem w ósmej, czyli pierwszej licealnej klasie, wysłano mnie na ogólnopolski konkurs mozartowski i zrobiłem na ekspertach ogromne wrażenie. Odtąd miałem sprzymierzeńców w tak wybitnych reprezentantkach sceny muzycznej jak Wiłkomirska, Umińska i Dubicka, i te panie właśnie, dotykając później odpowiednich strun w Ministerstwie Kultury, załatwiły mi stypendium w Moskwie u Ojstracha, gdzie miałem studiować po ukończeniu liceum.

Do tego czasu zdarzyło się jednak wiele rzeczy. Wprawdzie w wieku jedenastu czy dwunastu lat wciąż nie udawało mi się jeszcze stracić cnoty – co było moją obsesją – ale byłem już tylko o krok, aby stracić swoją cnotliwość klasyczną.

Bacznie nastawiałem ucha na inne, mniej poważne rodzaje muzyki, bo to i Cajmer zaczął koncertować w Polskim Radiu, a z podziemnych świetlic i klubów zaczął powoli kiełkować jazz.

Cała artystyczna Polska, w tym uczniowie szkół muzycznych, słuchała wówczas na falach krótkich emitowanej codziennie przez Głos Ameryki „Godziny jazzu” Willis Conovera.

Kiedy po raz pierwszy wysłuchałem tej audycji, przeżyłem szok. O ile pierwszą nutą, która otworzyła w dzieciństwie moją duszę, był dźwięk akordeonu (stanowiło to taką pieszczotę dla uszu, że myślałem, iż trafiłem do nieba, a to tylko jakiś palant pompował na dychawicznej harmonii), o tyle jazzowego potwora obudził we mnie Louis Armstrong, śpiewając i grając na trąbce „Mack The Knife”. Wysłuchałem oniemiały z wrażenia tej stosunkowo prostej i dość monotonnej w sumie melodii, i w tym momencie świat muzyki klasycznej wydał mi się nagle ciasny i mdły.

Satchmo był ostatni chorus na trąbce jak triumfujący Bóg w godzinie tworzenia, a przedtem śpiewał tym ochrypłym, eksplodującym ze wzruszenia głosem, i już wiedziałem, że muszę robić to samo.

Nie to, żebym znienawidził skrzypce. Wciąż je kochałem. Ale jak tu porównać drewniany patyk i dwie sklezione ze sobą deseczki z groźnym pięknem lśniących trąb i saksofonów, które na dodatek tak niemiłosiernie buzowały? Jak oprzeć się tym wszystkim pięknym skurwysynom, którzy walili w bębny, doprowadzając widownię do szału?

Słuchałem Duke’a Ellingtona, a on w tych latach był chyba najlepszy i jego szlagier „Take The A Train” otwierał i zamykał audycję Conovera. Słuchałem Counta Basiego, Benny’ego Goodmana, Dizzy’ego Gillespiego i fantastycznego, żyjącego wtedy jeszcze Charliego Parkera.

Słuchałem wszystkich tych żywiolowych orkiestr dixielandowych, które grały z takim ogniem, że człowieka zapierało.

Jazzmani spieszyli się gdzieś. Jeden gonił drugiego. Jeden bez przerwy na drugiego wpadał. Coś kotłowało się w tej muzyce, tryskało, pękało, strzelało nerwami. Więc odezwały się we mnie geny Michałowskiego. Krew zaczęła przypominać mi, że jestem Amerykaninem. Umierałem z zazdrości, słysząc, że nawet tutaj, w Łodzi, są już zespoły jazzowe: legendarni Melomani z bazą w Szkole Filmowej, septet Zygmunta Pola ćwiczący i koncertujący w jakiejś budzie przy Piotrkowskiej, kwintet Alfreda Banasiaka, kwartet Witolda Armackiego i kilkanaście innych grup, które zawiązywały się wtedy błyskawicznie.

Zachwył mój pogłębił się jeszcze, kiedy odkryłem, że masa moich kolegów licealnych też uprawia pokątnie jazz i że jest już na tym polu nieźle zaawansowana. Zarówno w szkole przy Jaracza, jak i w tak zwanym konserwatorium na 1 Maja, gdzie oprócz Wyższej Szkoły Muzycznej urzędowała także szkoła średnia (nauczająca w przeciwieństwie do liceum wyłącznie przedmiotów muzycznych), jazzował już trębacz Andrzej Rokicki, klarnciści Wojtek Demus i Grzegorz Postołow, saksofonista Adam Brzozowski, pianiści Włodek Gulgowski i Jerzy Bożyk, i długi szereg pozostałych pionierów.

Były to mniej więcej lata 1955–58, po śmierci Stalina w każdym razie. W mediach przestano już lansować głęboką myśl sowieckiego teoretyka, że jazz jest muzyką nędzy duchowej – wytworem zgniłego kapitalizmu. Pisano teraz, że wprost przeciwnie: jazz to nic innego jak łzy i pot sponiewieranych Murzynów zbierających na polach bawełnę. Młodzież polska miała wysnuć z tego prosty wniosek, że uwielbiany Armstrong nie jadł nigdy ciepłej zupy, a mięso oglądał tylko na wystawach.

Zetempowcy, żule w czerwonych krawatach szpiegujący w imię socjalizmu rodzonych ojców i braci, powtarzali te brednie na wiecach, zaniepokojeni trochę rozwojem wydarzeń, bo zgrupowane wokół jazzu towarzystwo, tańczące boogie-woogie i wyśpiewujące bluesa, przeciwstawiało ich zuniformizowanym, biało-czerwonym strojom szeroką gamę pstrokacizny: wąskie spodnie, prążkowane skarpetki, kraciaste marynarki, kolorowe krawaty, barwne, rozsunięte

na dziewczęcych piersiach bluzki i krótkie szerokie spódnice odsłaniające w tańcu czar elastycznych majtek.

Robociarze, milicjanci i partyjniacy, a także bojówkarze i działacze organizacji młodzieżowych przyglądali się temu ze zgrozą. Gdyby zależało to od nich, wszyscy uprawiający jazz muzycy poszliby z miejsca pod klucz, a ich fani tłoczący się na koncertach i zabawach zostaliby wysłani do przymusowych obozów pracy.

Ale było już na to za późno. Zalegalizowany jazz z każdą chwilą nabywał praw obywatelskich. Przyczynili się do tego nie tylko muzycy, bo przecież nie mniej zrobił od nich w tej sprawie krakowski tygodnik „Przekrój”, który jako pierwszy wyłożył istotę muzyki jazzowej, systematyzując ją i dzieląc na style. To samo można powiedzieć o Polskim Radiu, które odważyło się wprowadzić jazz do powszechnego odbioru, a czołowa polska audycja radiowa „Muzyka i aktualności” wywołała prawdziwą sensację, poświęcając w jednym z programów cały czas antenowy Melomanom. Niezależnie od tego działał w Warszawie Leopold Tyrmand, znakomity pisarz i wielki bikiniarz, którego ubiór budził nienawiść partyjnej hołoty. Autor „Złego” pisał o jazzie w swoich książkach, wydał nawet esej „U brzegów jazzu”, uczestniczył w jazzowych imprezach, często zapowiadając je i komentując, no i zorganizował dwa pierwsze jazzowe festiwale w Sopocie w 1956 i 1957 roku.

Działo się, krótko mówiąc, cholernie dużo! Komuniści nie zdawali sobie sprawy, że wpuszczając do kraju jazz, podkopują fundamenty ustroju. Socjalizm został w Polsce uduszony przez papieża, Wałęsę i Reagana, ale żeby mogło do tego dojść, wcześniej musiała zrobić swoje amerykańska kultura i subkultura. Nie bomba atomowa, lecz jazz, Myszka Miki, guma do żucia, džins, coca-cola, hollywoodzkie westerny i kryminały, amerykańska proza i poza uczyły ludzi na całym świecie, jak żyć. I powoli zarazili się tym nawet Japończycy i Rosjanie.

Pamiętam tłumy, jakie przybyły do hali sportowej na Widzewie, aby posłuchać orkiestry Glenna Millera, którą dyrygował po śmierci szefa Ray McKinley. Łódź pewnie jeszcze nie widziała Murzyna, a tu wychodzi na scenę kilkunastu tych drabów, z reguły zresztą białych, i zaczyna kosić te fantastyczne kawałki – „In The Mood”, „Chattanooga”,

„Serenadę w Dolinie Słońca”.

Dla mnie to nie byli ludzie. To byli bogowie, którzy przybyli z jakiegoś rajskiego kontynentu, żeby rzucić oniemiałe miasto na kolana.

A tu raptem, dwa dni później, dowiaduję się od pianisty Jerzego Bożyka, że ci bogowie, ci nieosiągalni nawet w snach herosi przyszli nocą na jam session do studenckiego jazz clubu i grali do rana z łódzkimi muzykami. W dodatku ten klub, na który mawiano w żargonie „Dziura” lub „Tawerna”, był przy Jaracza 7, dwa kroki od naszego liceum. Codziennie przejeżdżałem obok niego z chłopakami, zadzierając głowę, bo mieścił się na pierwszym piętrze starej czynszowej kamienicy.

Mity krążyły w mieście o tym klubie. Przychodzili tam oprócz jazzmanów różni młodzi, ale sławni już ludzie związani ze Szkołą Filmową. Roman Polański tam bywał, Jerzy Skolimowski, Andrzej Wajda, Barbara Kwiatkowska, Wojciech Frykowski, Alina Grabowska, a więc osobistości, o których miał wkrótce usłyszeć cały świat. Oprócz nich i zakochanych w jazzie studentów wdzierały się do „Tawerny” na siłę łódzkie męty z bandą Kłaka na czele. Dostał się tam również kilka razy nieletni Jerzy Bożyk; chwalił się nawet, że był na uroczystym otwarciu, które nastąpiło chyba w pięćdziesiątym piątym roku, a uczestniczyły w nim dwa łódzkie zespoły: tak zwany drugi skład Melomanów pod szyldem Hot Seven, w którym grali między innymi Andrzej „Idon” Wojciechowski, Antoni Studziński, Witold Afelt, Adam Brzozowski i Zbigniew Horyd, oraz kwartet pianisty Witolda Armackiego z Romanem Niedźwieckim na bębnach, Sławomirem Lisem na basie i z młodym, siedemnastoletnim trębaczem, który z pewnych względów występować będzie w mojej książce jako Neskim.

Tu muszę od razu powiedzieć, że dla łódzkiej młodzieży, a także dla nas, chłopaków ze szkół muzycznych, wcale nie Melomani byli najważniejsi w jazzie, tylko właśnie ten cholerny trębacz, nieznający wcale nut, a jeśli nawet jakieś znał, to chyba ze dwie. Dopiero później miał zdobyć muzyczną edukację, na razie jednak wzorował się na nowoorleańskich analfabetach. Poza tym, żeby zupełnie już wszystkich wykończyć, śpiewał skurwysyn pod Armstronga głosem na siłę ochryplym i grubym jak zelowa. Nie znał ani trochę angielskiego, ale wymyślał sobie na gorąco różne soczyste, amerykańskie słowa. Nie

pomylił się nigdy, nie zająknął, po prostu wyciągał je gotowe z głowy i wszyscy dawali się na to nabrać. Nawet amerykańskie zespoły oszukiwał w ten sposób, a przyjeżdżało ich wtedy do Polski sporo. Wychodził na scenę, wył na trąbce i śpiewał, a Murzyni ściskali go i poklepywali, próbując nawiązać z nim dialog w rodzinnym slangu, na co odpowiadał krótko, na wyczucie: „Yes!” albo „No!”.

Kiedy otwierano pierwszy łódzki Jazz Club przy Jaracza, Neskim był podobno w jedenastej, maturalnej klasie. Nie zrobił jednak od razu matury, bo po otwarciu napisano o nim we wszystkich łódzkich gazetach. Więc Neskim poszedł w glorii do szkoły, ale w połowie jakiejś lekcji nie wytrzymał, wstał i powiedział jakiemuś bolszewickiemu belfrowi: – Kurwa, ja się tu męcę, a za oknami sława!

I wymaszerował z klasy, pozostawiając w ławce rodzoną siostrę, która dosłownie omdlała z zachwytu.

No i słyszę od Bożyka, że glennmillerowcy, bogowie zza oceanu, spędzili w „Tawernie” na Jaracza całą noc, że jamował z nimi Neskim, tenorzyści Pol i Banasiak, puzonista Kaczor, kontrabasiści Horyd i Lis, pianiści Armacki i Afelt, i paru Melomanów.

Miałem wówczas dwanaście, może trzynaście lat, ale byłem już straszliwie spragniony sukcesu. Myśl, że o innych piszą w gazetach, a ja piłuję anonimowo na skrzypcach, napawała mnie rozpaczą. Więc mówię któregoś dnia do Bożyka, starszego trochę ode mnie, chyba o jakieś dwa-trzy lata: – Jurek, ja też chciałbym grać jazz.

To był cholernie poczciwy chłopak ze starej artystycznej rodziny – bestialsko zdolny, grał biegle na fortepianie we wszystkich możliwych tonacjach. Śpiewał – Frank Sinatra służył mu za wzór. Imponował mi straszliwie, bo nauczył się gdzieś angielskiego i zasuwał w nim jak oksfordczyk. Skonstruował sobie samodzielnie zegarek na rękę, z tym że cyferblat miał rozmiary budzika. Do roweru zamontował sobie silnik i jeździł po Piotrkowskiej w pilotce jak motocyklista. Największą jego pasją był jazz, a zaraz potem onanizm, który uprawiał na każdym kroku. Z czasem z moją pomocą rozsmakował się w alkoholu, lecz nigdy nie miał z tym klinicznych problemów.

Trudno powiedzieć, czy był przystojny, czy brzydki – nastroszone włosy, wągrowaty nos, okularki, nerwowy tik w oczach; „r” wymawiał jak twarde „h”.

Więc on, sam dzieciak jeszcze, mówi do mnie:

– Stahry, ty powinienes ghrać na saksofonie.

– Dlaczego?

– Bo to takie łatwe.

– Ale ja gram przecież na gitarze.

A on na to:

– My nie potrzebujemy gitarzysty, stahry. My potrzebujemy swingującego saksofonisty. Jak chcesz, to przyjdź juthro na phróbę.

Tu podał mi adres pewnego domu kultury, który mieścił się w Zakładach Włókienniczych 1 Maja na Armii Czerwonej. Pojechałem tam oczywiście. Wsiadłem z taksówki na przystanku tramwajowym, bo nie chciałem wywoływać sensacji, i wszedłem do sali prób.

Bożyk nie zawiódł, czekał tam na mnie, ale był jak gdyby trochę pomniejszony, bo fotel przy fortepianie zajmował jakiś inny muzyk, dość przystojny, strasznie pewny siebie i gburowaty. Uczestniczące w próbie dziewczyny, takie, co to biegają po papierosy i wino, patrzyły na niego rozszerzonymi z zachwyty oczami. Młóćąc na fortepianie, zaśpiewał parę modnych kawałków, które niewiele miały z jazzem wspólnego.

Nazywał się Jacek Okupski. Nie rozpieszczał mnie. Patrzył na małego Michasia jak na karalucha, którego można rozgnieść nogą, a usłyszawszy, że chcę grać na saksofonie, oświadczył, że do tego potrzebny jest talent. Zaraz potem opuścił próbę, porywając akurat tę dziewczynę, która najbardziej mi się podobała.

Załamalem się kompletnie. Ale Bożyk, który w tym czasie wybiegł kilka razy do ustępu, żeby – jak to określał – pobawić się

Chruszczowem, zaprowadził mnie do kierownika domu kultury i zostałem wciągnięty na listę członków zespołu jazzowego D. K. Pierwszy Maja's All Stars.

Ja nie żartuję. Właśnie tak nazywał się zespół, w którym przyszło mi rozpocząć karierę saksofonisty.

Wyfasowano mi do ćwiczeń nowiusieńki sopran Selmera, istne чудо, które i dzisiaj chętnie wziąłbym do ręki, ale wówczas byłem trochę rozczarowany, że jest to instrument o kształcie prostym, a nie fajkowym. Do diabła, chciałem grać na prawdziwym saksofonie, a nie na jakimś metalowym klarncie.

Bożyk jednak, erudyta jazzowy, szybko rozwiał moje wątpliwości. Zapytał:

- Stahry, a o Sidneyu Bechecie słyszałeś?
- Nie – mówię. – A kto to jest?
- Sopranista jazzowy, Stahry. Zasuwa jak cholehra!

No i przekonał mnie.

Sopran został mi wydzierżawiony, to znaczy mogłem zabierać go do domu. W szkole klarnciści pokazali mi krycia i w trzy tygodnie później zagrałem pierwszy koncert w Kutnie, gdzie zawieziono nas wojskową ciężarówką.

Wystąpiliśmy w sali jakiegoś kina. Bożyk grał na fortepianie, Richer, kumpel z liceum – na klarncie, inny licealista, którego nazwiska nie pamiętam – na puzonie, ktoś tam na perkusji, a na kornecie zasuwiał warszawiak Marek Karewicz, który miał później zostać najwybitniejszym polskim fotoreporterem jazzowym.

Niesłychanie przeżywałem swój debiut, choć graliśmy właściwie dla pustej sali. Jedenaście osób przyszło, same dziewczyny, więc chciałem się pokazać z jak najlepszej strony, bo dowiedziałem się od starszych muzyków, że cnotę najłatwiej się traci po chałturach.

A tu Bożyk woła mnie do fortepianu i mówi tak:

– Stahry, „Geohrgię” to ty musisz zaghrać solowo jak Sidney Bechet, a nie, to będzie popelina.

Więc gram solowo, rury zeszyły ze sceny, i zasuвам tym beczącym, w sumie dość ohydny tonem, wmawiając sobie, że osiągam chwilami brzmienie słowika.

I co widzę? Że te dziewczyny, usadowione jak na złość w pierwszym rzędzie, śmieją się ze mnie do rozpuku. Ja się staram, wkładam w instrument całą duszę, myśląc, że realizują się właśnie moje najskrytsze marzenia, a te młode pupska zaśmiewają się do łez, bo nie zapiąłem rozporoka.

Zszedłem ze sceny i zacząłem płakać. Rozbeczałem się jak nieboskie stworzenie, więc w przerwie Bożyk zaczął mnie pocieszać:

– Kanona, stahry! Swinżek miałeś jak cholehra!

Cnoty w Kutnie nie straciłem.

Honorarium przepiliśmy na platformie ciężarówki, która zabrała nas do Łodzi. Kierowca też pił, bo w owych latach, jeśli spowodowałeś w Polsce po pijanemu wypadek, nie liczyło się to jako okoliczność obciążająca, lecz jako okoliczność łagodząca. Po pijanemu mogłeś wtedy nawet zabić.

Uzdolniony poetycko Bożyk, uprawiający rękodzieło nawet w najtrudniejszych warunkach, stworzył podczas jazdy wdzięczny dwuwiersz: „Kto nie był w Kutnie, temu chuja utnie”. Powiedział, żebym nie przejmował się brakiem dziewczyny.

– Najlepsza baba: własna graba – powiedział i zaśpiewał jakąś taką piosenkę, że jedni mają zamki i pałace, a jemu wystarcza cichy kibel w biały dzień.

Rozpogodziłem się trochę. Lecz w duchu, nie przyznając się

do tego Bożykowi, postanowiłem rzucić sopran, bo debiut na tym instrumencie uznałem za swoją największą porażkę w życiu.

Tak czy owak czułem się już saksofonistą. Wiedziałem, że wcześniej czy później wykombinuję jakiś tenor, a na razie cały czas słuchałem jazzu, kształcąc się teoretycznie. Łódzkie chłopaki miały już wtedy różne płyty swingowe, bebopowe i dixielandowe. Ja nie miałem żadnych płyt, dysponowałem za to enerdowskim magnetofonem z przystawką, więc mogłem wszystko nagrywać.

Poza tym pociągała mnie harmonia. Szukałem na fortepianie różnych akordów. Podpatrywałem pianistów, szczególnie Włodzimierza Krześniaka, który był chyba harmonicznie najlepszy. A w soboty i niedziele, przepłacając portierów, wciskałem się do zatłoczonego Młodzieżowego Domu Kultury – niegdyś łódzkiej YMCA. Był to piękny budynek na zapleczu Grand Hotelu pomiędzy ulicą Traugutta i Moniuszki. Grał tam zespół perkusisty Andrzeja Orłowskiego z Neskimem na trąbce, najbardziej uwielbiana grupa w Łodzi. Marzyłem po nocach, aby się do nich dostać, ale były to nieosiągalne szczyty. Bogowie! Byłem głupi i wydawało mi się nieraz, że są lepsi niż Amerykanie. Miał pewnie na to wpływ perkusista Roman Niedźwiecki, który gdzie się dało rozpuszczał plotę, że Neskim jest nieślubnym synem Armstronga, czemu hołota chętnie dawała wiarę. Nie przeszkadzało nikomu, że chłopak był biały jak mąka i pochodził z jakiejś staropolskiej rodziny. Jak Armstrong, to Armstrong, i już!



Warszawa,
1942. U boku mamy mój biologiczny ojciec Edmund Michałowski. Szczupłe, wysokie, prawie dwumetrowe panisko. Wówczas byłem dopiero błyskiem w jego oku. Był wielkim smakoszem życia i marzył, aby zobaczyć Nowy Jork. Kiedy po wojnie, za rządów Czerwonych Khmerów, zrozumiał, że marzenia nie spełni, odgrażał się w podlódzkich knajpach, że to, co nie udało się jemu, uda się jego ukochanemu Michasiowi. I tak się stało.===aVhoX29Z



Tak wyglądałem, jak miałem jedenaście, może dwanaście miesięcy.



Moja mama Irena.



Jako dziewięciolatek nie na leżałem raczej do dzieci szczupłych.



Pierwsza komunia. Ten tęgi mężczyzna obok to mój ojczym Urbaniak, a ten stojący wyżej, dokładnie za moimi plecami młodzieniec to Dzidek. Wygląda tutaj na przystojnego i całkiem rozsądnego chłopca. Obok mnie Dzila Irzykowska.



Moje łódzkie zamczysko. Na odwrocie tego zdjęcia matka napisała: „Czy

przypominasz sobie swój dom? Jedno piętro jest wciąż do Twojej dyspozycji”.



Urbaniakowie w zgodzie i w komplecie w Krynicy Górskiej.



Kochany i niezapomniany profesor Gbioreczyk i ja, jego faworytny uczeń.

ROZDZIAŁ CZWARTY:

Tygrys w łapach towarzyszy Byłem w dziewiątej klasie, w liceum, kiedy dowiedziałem się od jakiegoś klezmera, że w Poznaniu sprzedają weltklangi. Weltklang to była wschodnioniemiecka fabryka instrumentów, produkująca między innymi saksofony. I ten klezmer – nie pamiętam już, jak się nazywał – powiada, że w poznańskim sklepie muzycznym nieopodal rynku można kupić za trzynaście i pół tysiąca złotych nowy saksofon tenorowy wspomnianej marki.

Za tę sumę miałeś używany samochód, opla, dkw lub forda. Średnia pensja wynosiła wtedy tysiąc pięćset złotych. Musiałem więc wziąć się do sprawy przewrotnie. Wyczekałem moment, gdy matka miała wybrać się do Poznania z towarem, i mówię: – Jadę z tobą.

Była zdziwiona.

– Co ci się nagle stało, Michaś?

– Chciałbym ci chociaż raz pomóc, mamusiu.

Dała się nabrać. Była nawet wzruszona. Jej pożycie z Urbaniakiem układało się coraz gorzej (wciąż mnie bił i wciąż okresowo musiałem mieszkać poza domem, u pani Golczewskiej), więc upatrywała we mnie jedyną podporę. Wiedziała poza tym, że lubię zatrzymywać się w poznańskim hotelu Bazar, bo okropnie mi to imponowało i dawali tam do obiadu frytki. Nie miała więc powodu podejrzewać mnie o żadne nieczne intencje.

Pojechaliśmy pociągiem. Towarzyszył nam bagaż – sześć czy siedem walizek towaru. No i w Poznaniu zaczęła się wędrówka od sklepu do sklepu. Patrząc z drżeniem serca, jak idą utargi, a one idą bardzo źle.

Matka miała niebywały rozmach w interesach, ale była strasznie roztrzepana i tego dnia wzięła jak na złość same lewe rękawiczki. Wszystkie walizki wypchane były rękawiczkami na lewą rękę, a na prawą nie było co włożyć. Sklepikarze nie chcieli płacić, lecz matka, znakomita handlarza, miała na nich rozmaite sposoby. Pamiętam, jak mówiła:

– Złociutki! – tak właśnie do nich mówiła. – Niech pan wypłaci, złociutki! Ja panu prawe dowiozę sama, a jak zrobię teraz takie piękne, komunijne, to jako pierwszy pan dostanie.

I wypłacali. Bo nigdy się na matce nie zawiedli. Wierzyli jej bezgranicznie. Śmiali się i mówili:

– Dobrze, pani Irenko. Tylko niech pani nie wywinie tego samego numeru z rękawiczkami komunijnymi.

Jak już matka zebrała trzynaście, może czternaście kawałków, wtedy mówię do niej wprost, że musi mi kupić saksofon.

Nauczyłem się tego już jako maleńkie dziecko. Gdy chciałem czegoś, a ona nie chciała mi kupić, wtedy łąpałem się za hydrant, tupałem nogami i wrzeszczałem, że dalej nie pójdę. No i stawiałem na swoim.

Teraz też tak zrobiłem. Wiem zresztą do dzisiaj, że jak człowiek bardzo czegoś pragnie, to zawsze w końcu to dostanie.

– Saksofon, albo nie wracam do Łodzi!

– Po co ci saksofon, Michaś? – pyta matka. – Przecież jesteś skrzypkiem.

Wtedy zasunąłem jej bombę, że gra na saksofonie bardzo skrzypkom pomaga.

– W czym?

– W technice. I w ogóle nie niszczy rąk.

Matka pomyślała trochę. Kiedy wiosłowałem na łódkach albo grałem na gitarze, miałem na palcach odciski, odkąd jednak zacząłem bawić się w domu sopranem, profesorowie nie zgłaszali do mnie żadnych pretensji. Szaleski w każdym razie nie wykopywał mi krzesła spod tyłka, bo nic o sopranie nie wiedział.

Idziemy więc do sklepu. Na wystawie rzeczywiście połyskuje tenorowy weltklang, ale kupić go nie można, bo jest akurat remanent.

Przekonana już do sprawy matka zaczyna pocierać wskazujący palec kciukiem, sygnalizując ekspedientowi, żeby otworzył drzwi, to dostanie w łapę. Ale on mówi, że nic nie da się zrobić, nie sprzeda saksofonu i koniec.

Ja po prostu wariuję z rozpaczy. Tłumaczę facetowi, że przyjechaliśmy specjalnie z Łodzi, więc niech na chwilę o remanencie zapomni. Matka wpycha mu pieniądze, ale on cofa ręce i zaczyna się zaklinać, że nie tylko ma remanent, lecz w dodatku siedzi mu na karku jakiś NIK czy FIK czy IKR. Potem, widząc, że uderzam w płacz i że za chwilę zaczniesz również płakać matka, powiedział, że po drugiej stronie rynku jest komis, w którym od czasu do czasu pojawiają się instrumenty.

– Idźcie tam, to przecież tylko dwa kroki. Może akurat coś znajdziecie.

Więc ciągnę matkę do komis i nagle doznaję olśnienia. Po prostu tracę z zachwytu przytomność.

Otóż na samym środku wystawy leży sobie w celofanie nowiutki, srebrny, nieprawdopodobnie piękny tenor marki Selmer. Boże, żebym dzisiaj go miał! Dzisiaj za coś takiego trzeba by zapłacić w Stanach siedem tysięcy dolarów. Nowy Selmer kosztuje tylko dwa tysiące, ale te stare muzealne klasyki były najlepsze.

No więc on tam sobie leży obok wspaniałego, wyłożonego zielonym aksamitem futerału, a kosztuje wszystko razem siedemnaście i pół tysiąca.

Matka mówi:

– Synuś, to jest samochód! To jest majątek! Ja naprawdę nie mam tyle.

– To chodź – mówię. – Przejdziemy się jeszcze raz po sklepach.

Weź zaliczki wszędzie.

I dostałem tego Selmera.

Kochana mama wyblagała zaliczki, tłumacząc, że musi kupić synkowi instrument. Tu wzięła pięćset, tam tysiąc złotych i zebraliśmy w końcu całą sumę. A potem, kiedy ściszałem już saksofon w ręce, wsiedliśmy do pociągu, i tak się kochanej mamie odwdzięczyłem, że jej uciekłem.

Przesiadłem się do innego wagonu, znalazłem pusty przedział i ćwiczyłem całą drogę.

Na dworcu w Łodzi matka nie mogła mnie początkowo znaleźć. Sama musiała dźwigać walizki na postój taksówek, bo grałem w przedziale do ostatniej chwili. Kiedy wreszcie usadowiłem się obok matki w jakiejś rozklekotanej łódzkiej gablocie, powiedziała do mnie ze łzami w oczach:

– Wiem, że w momencie kiedy kupiłam ci ten saksofon, straciłam syna.

I tak było. Świat przestał dla mnie istnieć poza tą cudowną srebrną laską. Ćwiczyłem godzinami. Chodziłem do różnych świetlic na próby zespołów, które tworzyły się i rozpadały z dnia na dzień. Grywałem na jamach, podłapywałem pierwsze chałtury. Nie skończywszy jeszcze czternastu lat, piłem i paliłem jak stary.

Pamiętam, że występowałem w Modern Combo i w Swing Combo, i że wokół dwóch tych grup przewaliło się wielu uzdolnionych muzyków, z których kilku zrobiło później kariery na Zachodzie. Myślę tu przede wszystkim o pianiście Włodku Gulgowskim, saksofonistach: Alfredzie Banasiaku, Zbigniewie „Kajtku” Wojciechowskim i Włodzimierzu Wanderze, a także o innych przebojowych jazzmanach: trębaczach jak Jerzy Książkowski i Waldemar Krześniak, perkusistach jak Jerzy Kowalski i Andrzej Nebeski, i tak dalej.

Grałem na tenorze we wszystkich możliwych stylach, od dixielandu po bebop. Wszyscy polscy muzycy stawiali sobie zresztą

wówczas za punkt honoru grać zarówno tradycyjnie, jak i nowocześnie, a pośrodku był jeszcze swing. Straszliwa uniwersalność! Cierpiałem katusze, że jako tenorzysta nie mieszczę się w klasycznym dixielandowym składzie, ale niezawodny Jerzy Bożyk i na to znalazł antidotum.

– A o stylu chicagowskim słyszałeś, stahry?

– Słyszałem – mówię – ale Tiger Rag nie gra w stylu chicagowskim.

– Więc postahraj się jakoś do nich wkhęcić.

Tiger Rag, najślawniejszy i najlepszy łódzki zespół wszech czasów, został właśnie ostatnio stworzony przez perkusistę Andrzeja Orłowskiego. Było to chyba w roku pięćdziesiątym szóstym. Obok Orłowskiego występował najczęściej w tym teamie Neskim na trąbce, Kajtek Wojciechowski na klarncie, Andrzej Szczepański lub Andrzej Dorawa na puzonie, Sacha Rezler na banjo oraz Ryszard Hunger, Michał Walicki bądź Zbigniew Horyd na basie. Nieraz Orłowski zatrudniał również pianistów – to Gulgowskiego, to Okupskiego.

Pewnego dnia w liceum muzycznym na Jaracza wybuchła sensacja. Otóż wydelegowany przez Orłowskiego Neskim wstąpił w progi naszej skromnej szkoły, żeby przesłuchać Bożyka na okoliczność jego ewentualnych występów w sławetnym Tiger Rag, przy czym w grę wchodził raczej śpiew niż fortepian.

To było coś, jak ten Neskim wkroczył! Ubrany w garnitur od najlepszego łódzkiego krawca, niejakiemu Szulca, wyglądał jak zjawa.

Krawat miał jedwabny i takie same skarpetki. Koszula oczywiście z Wólczanki, a buty o nieprawdopodobnie szpiczastych czubkach, lśniących, bez przesady, jak lustro, nabył chyba u Koniarza na Więckowskiego, kaletnika, u którego zaopatrywało się zamożne klezmerstwo. Włosy miał obcięte przy samej skórze, co stanowiło wówczas wielkie wyzwanie dla pałujących milicjantów. Bożyk uśmiechał się do niego promiennie, lecz z młodego, kilkunastoletniego oblicza Neskima wiało mrozem.

W dodatku z oczu sypały mu się gromy. Zachowywał nieprawdopodobną powagę i dostojeństwo, nawet ten żul, co przywlókł się za nim, jego ochroniarz, też był poważny.

Na zabawach muzycy cieszyli się u dziewcząt wielkim wzięciem, wygarniali je pęczkami, więc jak wychodzili po chałturze z fabryki czy świetlicy, często dobierał się do nich zawistny bandytyzm lokalny. Nieraz muzyk stracił zęby, nieraz wzięli mu pod obcasy saksofon lub trąbkę, więc nie było w tym nic dziwnego, że Neskim zatrudniał ochroniarza. Ale czemu wziął akurat tego żula do naszego spokojnego, ekskluzywnego liceum, tego już zrozumieć nie mogłem.

Nie mówiąc o tym, że żul nie miał zębów i że straszliwie seplenił. Stojąc za plecami szefa, z miejsca zaczął na Bożyka nadawać. Chciał go najwyraźniej skompromitować. Otóż żul, niby to cicho, informował Neskima, że Kajtek wypuścił Bożykowi z baku benzynę, po czym się odlał, żeby uzupełnić zapas paliwa, i kiedy Bożyk próbował zapalić swój zmotoryzowany rower, nic z tego nie wychodziło. Więc odkręcił pokrywę baku, włożył palec, sprawdził go pod światło i wrzasnął zdziwiony: – Kurwa, jest benzyna, a silnik nie chodzi!

Neskim machnął ręką, żeby zamknąć żulowi pysk, i patrząc surowo na Bożyka, rzucił przez zęby:

– Śpiewaj!

– Co?

– „Saint James Infirmary”.

– „Sentsdzemsik”! – ucieszył się Bożyk, bo lubił zdrabniać tytuł swego ukochanego utworu.

No i zaśpiewał, wkładając w nostalgiczną melodię całe serce. Chrypiał trochę, wiedząc, że Neskim uwielbia chrypiących pieśniarzy. To z kolei spowodowało inwazję zaciekawionych licealistów. Cała grupa ich weszła i stanęła nieśmiało przy drzwiach.

Żuł policzył ich oczami, jakby to była szpana gangsterów, i aby udowodnić szefowi, że jego czujność ani na chwilę nie zgasła, syknął:

– Neskim, ośmiu pszów pszyszło!

Roześmiałem się. Po prostu nie mogłem wytrzymać i parsknąłem śmiechem. I tu właśnie Neskim pokazał swoją klasę. Nie odwrócił się nawet, aby na mnie spojrzeć. Wystawił tylko za siebie rękę i machnął – tym samym szybkim, niecierpliwym gestem, który później naśladował Miles Davis, kiedy chciał nakazać swoim muzykom milczenie. Cisza i już!

Bożyk dokończył pieśń o Szpitalu Świętego Jakuba i patrząc na Neskima promiennie, zapytał:

– Jak mi poszło?

Odpowiedzi nie było. Neskim po prostu wyszedł. Ale nazajutrz Bożyk grał już koncert z zespołem Tiger Rag.

Wkrótce też zdołał przekonać Orłowskiego, że warto by pograć trochę w stylu chicagowskim. No i otrzymałem powołanie. Byłem szczęśliwy. Graliśmy całą bandą na różnych chałturach i koncertach.

Włodek Gulgowski, Jerzy Bożyk i ja byliśmy w tym zespole nie tylko najmłodszy, lecz również muzycznie najlepsi. Włodek, syn stroiciela fortepianów, miał absolutny słuch, Bożyk umiał aranżować, a ja czułem harmonię i wybierałem dużo egzotycznych nut, wybiegających daleko poza sztaampową improwizację. Ale jak przyszło co do czego i Tiger Rag wybierał się na jakiś poważny konkurs z nagrodami, Orłowski okrajał skład do sześciu podstawowych muzyków: trąbka, klarnet, puzon, kontrabas, banjo i bębny. Oni po prostu woleli grać bez pianisty. I chyba wtedy rzeczywiście najlepiej brzmieli.

Jeździli na te konkursy – to do Wrocławia, to do Poznania, to do Gdańska – i nim jeszcze wyszli na scenę, już kłócili się między sobą o podział nagród. Tak bestialsko byli pewni swego. I ta pewność nigdy ich nie zawiodła. Wygrywali magnetofony, radia oraz inne sprzęty, które natychmiast spieniężali i dzielili się w sześciu.

Bez przerwy pisano o nich w gazetach. Nagrywali dla radia i dla raczkującej w Polsce telewizji. Położył na nich łapę Związek Młodzieży Socjalistycznej – szył im garnitury, załatwiał wczasy i organizował polityczne szkolenia w „Pałacyku” przy ulicy Piotrkowskiej. Podczas tych szkoleń jakiś dziennikarz albo inny buc z komitetu prawił im bajki o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem. Kajtek Wojciechowski, Sasza Rezler, Andrzej Szczepański i Ryszard Hunger udawali, że słuchają tych bzdur, natomiast Orłowski i Neskim byli tak bezczelni, że odwracali się po prostu do mówcy plecami i toczyli między sobą dyskusje o podziale nagród.

Kiedyś, w upalne lato, ZMS zawiózł autokarem Tiger Rag na ogromny koncert plenerowy w Spale. Pojechaliśmy w rozszerzonym, najsilniejszym składzie – trębacz Neskim, klarncista Zbigniew „Kajtek” Wojciechowski, puzonista Andrzej Szczepański, perkusista Andrzej Orłowski, wokalista Jerzy Bożyk, kontrabasista Ryszard Hunger, pianista Włodzimierz Gulgowski i ja, Michaś Urbaniak, piętnastoletni saksofonista tenorowy.

Na placu w Spale pięć tysięcy ludzi czekało na występ sławnych łódzkich tygrysów. Podczas gdy cztery tygrysy – ja, Orłowski, Hunger i Szczepański – rozstawiały na estradzie sprzęt, pozostała czwórka – Neskim, Kajtek, Włodek i Bożyk – poszła odświeżyć się trochę w kawiarni Pod Siedmioma Krasnalami. Odświeżyli się tak, że wypili litr koniaku i zaczęli demolować kawiarnię. Kelnerki zadzwoniły po milicję. Chłopcy próbowali uciec w las, ale milicjanci wyłapali ich jak koty. Całą czwórkę dokładnie spałowali, wrzucili do suki i zawieźli do pobliskiego Tomaszowa.

Podczas drogi Bożyk, który był chłopcem z dobrego domu i po raz pierwszy znalazł się w tak ponurym położeniu, zaczął zalewać się łzami. Myślał po prostu, że go wiozą na szafot, a jak nie, to dostanie przynajmniej dożywocie, z tym że wcześniej wyrwą mu paznokcie. Odchodził wprost od zmysłów i raz po raz przekonywał milicjantów, że nie jest żadnym zbójem, tylko artystą. Wtedy Neskim szepnął do niego:

– Jak ty chcesz ich przekonać, że nie jesteś zbójem, tylko

artystą, to zamiast płakać, zaśpiewaj im coś pod Presleya.

I Bożyk, płacząc i wypstrykując rytm kciukiem i środkowym palcem, zaczął śpiewać „Rock Around The Clock”. Ale niewiele to dało. Chłopców jednego po drugim wrzucono do celi, w której roilo się od tomaszowskich pijaków. Milicjant wytknął palcem jakiegoś małego suchego pijusa i zwrócił się do zapłakanego Bożyka, którego przedtem kopnął w dzwony:

– Nie myśl sobie, że tylko ty masz wykształcenie. To jest nauczyciel.

Bożyka to załamało. Włożył rękę w kieszeń i od razu przystąpił do onanizmu.

My tymczasem, czwórka niezaaresztowanych tygrysów, stanęliśmy w obliczu linczu. Tłum wrzeszczał, domagając się muzyki.

Towarzysze z ZMS-u, poinformowani już o haniebnym wykroczeniu swoich szkolonych ideologicznie gwiazdorów, wpadli w szal. Jeden zgłupiał i krzyczał, że trzeba chłopakom odebrać legitymacje partyjne. Ale oni nie mieli żadnych legitymacji – ani partyjnych, ani zetemesowskich. Jeśli ktoś mógł ich ukarać, to na pewno nie ZMS, lecz Andrzej Orłowski, kierownik Tiger Rag.

Początkowo rzeczywiście groził, że ich powyrzuca z zespołu. Na razie jednak ludzie czekali na koncert. Buc z ZMS-u, zdenerwowany straszliwie, pyta Orłowskiego:

– Zagrać w czwórkę?

– Zagramy, towarzyszu. Oczywiście!

– Kiedy?

– Niedługo.

– Jak?

– Dobrze.

– I dacie sobie radę?

Orłowskiego trafił szlag, bo pytań było trochę za dużo, i wrzasnął na buca:

– Co ty mi tu, chuju, zgaduj-zgadulę urządzasz!? Spieprzaj ze sceny!

No i zagraliśmy ten koncert – Orłowski na bębnach, Hunger na basie, puzonista Szczepański na fortepianie, a ja na tenorze. Czasami, dla przyjemnej odmiany, ja szedłem do fortepianu, a Szczepański łapał się za rurę. Kiedy uderzałem jakiś trochę bardziej skomplikowany akord, Orłowski spoglądał na mnie surowo i posykiwał:

– Nie pajacuj, malutki! Graj prosto i przystępnie.

Bałem się go. Miał jakieś dwadzieścia jeden lat, więc w moich oczach uchodził za starca. Był niebywale twardy. Po koncercie, mimo konwulsyjnych sprzeciwów ZMS-u, wydusił od organizatorów całe honorarium. Wróciliśmy autokarem do Łodzi i dopiero na drugi dzień dowiedzieliśmy się o dalszych losach naszych zaaresztowanych przyjaciół.

Otóż wredna tomaszowska milicja wypuściła przed zmierzchem wszystkich lokalnych pijaków, a tygrysów przytrzymała aż do chwili, kiedy odszedł ostatni łódzki pociąg. O pół do dwunastej w nocy dopiero ich uwolniono. Ciemno jak cholera, bo Tomaszów w tamtych latach to była po prostu wiocha. Nie było żadnego postoju taksówek, a za chłopakami wlokła się prowokacyjnie milicyjna suka, żeby ich zaaresztować za włóczęgostwo. Więc oni wpadli na jakieś wiejskie podwórko, obudzili właściciela, a on poinformował ich, że jest jeden taksówkarz na końcu ulicy.

No i wrócili do Łodzi z fasonem, taryfą, za którą zapłacili 298 złotych. Krzepiące jest to, że w drodze powrotnej Bożyk uprawiał radośnie onanizm, nie przejmując się pełnymi zgrozy spojrzzeniami kierowcy, który śledził go w lusterku wstecznym.

ROZDZIAŁ PIĄTY:

Matura, a tu same dwóje Nasyciłem się jazzem tradycyjnym i zacząłem powoli od niego odchodzić. Grałem w różnych zespołach swing, a słuchałem głównie bebopu. Zachwyciłem się improwizacjami Charliego Parkera i Johna Coltrane'a; nagrywałem je na magnetofon, a potem spisywałem nuta po nucie i uczyłem się ich na pamięć. Te ćwiczenia dużo mi dały. Obcowałem dzięki nim z myślą muzyczną tych genialnych facetów, i to nie powierzchownie, przez samo tylko wsłuchiwanie się we frazy, lecz od środka, laboratoryjnie, tak jakbym dobierał się do ich mózgów.

Miałem dopiero piętnaście lat, ale mój stosunek do jazzu był już ściśle profesjonalny. Czuję, że robię postępy, że z każdym dniem jestem biegleszy technicznie i że wzbogacam swój harmoniczny słuch. Gdzieś wewnątrz rodziło się we mnie przekonanie, że mogę iść dalej. Nie brakowało w Łodzi zdolnych muzyków, wiedziałem jednak, że zostawiam ich powoli w tyle.

Długi czas, prawie do ukończenia liceum, grałem z Neskimem, którego postanowiłem wyciągnąć z dixielandu i skierować ku bardziej poważnej muzyce. Neskim był zdolny; połknął w dwa lata jakąś szkołę muzyczną, a potem zaczął chodzić do drugiej. Graliśmy w składzie trąba, tenor i sekcja rytmiczna z Witoldem Armackim na fortepianie.

Mieliśmy w tym zestawieniu wiele doskonałych występów, ale Neskima zawsze bardziej pociągał dixieland niż unowocześniony swing, więc wystarczyło, aby Orłowski czy też doskonały puzonista Andrzej Dorawa skinął na niego palcem i Neskim wracał do Tiger Rag.

Kiedyś zagrałem z Neskimem i Armackim koncert w telewizji lokalnej. Był to program wyreżyserowany przez Janusza Rzeszewskiego, prominentnego faceta, który później reżyserował sopockie festiwale piosenki, a także nakręcił jakieś muzyczne komedie. Ten koncert to była typowa dla owych czasów składanka – trochę śpiewu, trochę jazzu, a na zakończenie akcent polityczny: działacz ZSP – Związku Studentów Polskich – miał prawić o socjalistycznej kulturze, krzewionej podobno w pijackim klubie studentów Pod Siódemkami.

W trakcie prób do tej dwudziestominutowej audycji wszystko się zgadzało, ale graliśmy na żywo i kiedy weszliśmy na antenę, wybuchł skandal. Tuż przed planowanym wystąpieniem działacza nasz zespół wykonywał jakiś swingowy kawałek Ellingtona. Wszedłem pierwszy na improwizację i tak się rozgrzałem, że zapędziłem się w drugi chorus. Neskim nie chciał być gorszy i też zagrał dwa chorusy. Potem jeszcze musieliśmy zakończyć utwór odegranym wspólnie tematem. Już miała zapanować błoga cisza, lecz perkusista wpadł nieoczekiwanie w szal i pozwolił sobie na długą, radosną solówkę, która do końca wyczerpała czas antenowy. Na tle szalejącego pałkera ukazały się napisy końcowe, Łódź oddała głos Warszawie i działacz ZSP nie zdołał wygłosić swojej płomiennej mowy.

Płakał z oburzenia, bo nawet jeśli nie dokonał jeszcze niczego dla socjalistycznej kultury, miał szczerą ambicję dokonania czegoś dla siebie.

Awantura była jak cholera. Potrzebny był kozioł ofiarny. Został nim Neskim, bo on właśnie cieszył się opinią największego rozrabiaki. Na wniosek szefów ZSP Armacki, kierownik studenckiego Jazz Clubu „Pod Siódemkami”, odebrał mu legitymację członka.

Neskim był załamany. Próbowałem dźwignąć go na duchu. Grałem z nim dalej, już bez Armackiego, w różnych innych klubach, najczęściej w zetemesowskim „Pałacyku” przy Piotrkowskiej 262.

Pewnego lata, kiedy byłem chyba w ostatniej klasie liceum, Neskim wyjechał z Kajtkiem Wojciechowskim do Międzyzdrojów. Był tam z nimi Włodzimierz Gulgowski, jakiś cwaniak perkusista, Gdowski bodajże, i Janusz „Plastuś” Pietrzak, basista bez basu, ale za to z piękną narzeczoną Barbarą Słowianek. Nawiasem mówiąc, to z Plastusiem właśnie słuchałem codziennie „Godziny jazzu” Willisa Conovera.

Chłopcy szukali w Międzyzdrojach grania. Gdowski zapewniał ich, że znajdzie bez trudu stałą chałturę w tej czy innej restauracji. Ale nie było to łatwe i wkrótce członkowie kwintetu się rozpierzchli. Gdowski wziął Wojciechowskiego do Świnoujścia i grali tam razem do kotleta z miejscową orkiestrą. Plastuś przeniósł się z Basią Słowianek do jakiejś wypoczynkowej miejscowości za Wiselką, a Neskim i Gulgowski pozostali w Międzyzdrojach, do których zjechali się owego

sezonu wszyscy najwybitniejsi muzycy jazzowi.

Neskim był zaprzyjaźniony z zespołem Zygmunta Wicharego, w którym grali znakomici muzycy, a wśród nich puzonista Bruno Buczek, perkusista Jerzy Kowalski i trębacz Piotr Kot, bestialsko zdolny jak na polskie, a może nawet europejskie warunki. Gwizdał na srebrnym pękacie kornecie niczym Cat Anderson z big-bandu Duke'a Ellingtona.

Któregoś dnia Kot powiedział do Neskima:

– Idziemy na dworzec autokarowy.

– Po co?

– Przywitać Zbyszka Namysłowskiego.

Pod Neskimem ugięły się z wrażenia nogi, bo Namysłower był dla młodych muzyków bogiem.

Poszedł z Kotem na dworzec, patrzy, a tu wysiada z autobusu chłopczyna z niewielką torbą w jednej ręce i ze starym, poklejonym plastrami kornetem w drugiej. Zbyszek przywitał się serdecznie z Kotem i wcale nie ugryzł Neskima, przeciwnie, zapalali do siebie sympatią.

Namysłowski zamieszkał z Adamem Skorupką w domu, który sąsiadował z kwaterą Neskima. Zagrali parę chałtur, jedną gdzieś tam za Wisiełką, w Dziwnowie, w składzie: Namysłowski – kornet, Neskim – trąbka, i walący pałami w krzesło Plastik w charakterze perkusisty.

Byłem chory z żalu, że nie mogłem tam z nimi być, bo legendy krążyły o tym lecie w Międzyzdrojach. We wszystkich lokalach grali jazz: w Europie, w Piekielku, w Bałtyku, w Srebrnej Fali. Wicharowcy koncertowali codziennie w Non Stopie, a nocami odbywały się jamy, przez które oprócz wybitnych muzyków przewalały się setki dziewcząt. Gdybym tam był, na pewno straciłbym wreszcie cnotę.

Kiedy lato dobiegło końca, Neskim namówił Namysłowskiego, aby przed powrotem do Warszawy wpadł na kilka dni do Łodzi. No i pewnego dnia zjawili się obaj w klubie Pod Siódemkami.

Z nabożnym podziwem słuchałem, jak Namysłower kosi na tym swoim pogiętym i połatany kordecie. Miał niebywałą biegłość techniczną, a w jego improwizacjach buzowało od pomysłów. Lepiej grał chyba tylko na puzonie. Dzisiaj myślę, że był najlepszym puzonistą świata. Aż kipiało, aż perliło się od takich różnych, pryskających jak banieczki nut, kiedy chwycił za puzon. Z kornetem było podobnie. Na obydwu tych instrumentach miał czad, który stracił gdzieś, grając na saksofonach. Jest wspaniałym alceistą, ale trzeba było posłuchać, jak przykłada na kordecie. Stawał mi od razu przed oczami Lee Morgan.

Wizyta Namysłowskiego była dla mnie momentem przełomowym. Produkowali się przed nim wszyscy liczący się w Łodzi jazzmani, więc zagrałem i ja, z Włodkiem Gulgowskim na fortepianie. Pamiętam, że z początku miałem straszną treść. Byłem miękkki w kolanach, zaschło mi w ustach. Wybierałem nuty obok, starając się rozszerzać sztabowe akordy. Cieniowałem, dostrajałem ustami i trzymałem palce na uwięzi, aby nie grać zbyt gęsto. Żadna sztuka popisywać się techniką, dużo bardziej liczy się swing, muzyczna myśl i czad, jak to się teraz mawia.

Namysłowski wziął mnie w przerwie na bok i powiedział:

– Wiesz, tak fajnie swingujesz, że mógłbyś ze mną grać w Hybrydach.

Patrzy na mnie z tym swoim śladowym uśmiechem i dziwi się chyba, bo ja mam oczy pełne łez. Zawsze byłem uczuciowy i wrażliwy. Zbyszek był dużo zimniejszy i nie mógł chyba zrozumieć mojej reakcji. Nie wiedział chyba, co działo się w moim sercu.

Opanowałem się wreszcie i zacząłem mu tłumaczyć, że jestem skrzypkiem, że kończę liceum i być może wyjadę za rok na stypendium do Ojstracha. Czułem się fatalnie, jak zdrajca, ale powiedziałem mu to prosto z mostu.

Zrozumiał i nie nalegał.

Od tej pory często bywał w Łodzi. Grywał czasami gościnnie koncerty na puzonie z Tiger Rag. Jednocześnie tworzył jakąś grupę jazzu

tradycyjnego w Warszawie, z Wiesławem Ejssymontem na trąbce, a na klarnet wziął młodziutkiego łódzkiego muzyka Zbyszka „Kajtka” Wojciechowskiego.

W trakcie kolejnej wizyty Pod Siódemkami dał mi taśmę z nagraniami Johna Coltrane’a. Powiedział, że koniecznie mam tego posłuchać. A potem dodał z zakłopotaniem, że on osobiście nie ma czasu, warto by jednak spisać całą improwizację Coltrane’a, nuta po nucie.

Wziąłem to sobie do serca. Zbyszek był ode mnie, jak już wspomniałem, o cztery czy pięć lat starszy i okropnie mi imponowało, że tak dojrzały i sławny muzyk zwraca się do mnie z podobną prośbą. Spisałem mu wszystkie solówki Coltrane’a i schowałem je do szuflady, bo nie miałem okazji czy szczęścia spotkać się ponownie z Namysłowerem.

Zbliżała się matura, a tu same dwóje. Zresztą od początku mego pobytu w liceum roiło się wokół mnie od dwój. Nieraz miałem ich na okres dziesięć czy jedenaście, a więc komplet, i dawno powinni wyrzucić mnie ze szkoły, ale stawała temu na przeszkodzie wpisana czerwonym atramentem do dziennika piątka ze skrzypiec. Jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mi, aby nie zaniedbywać tego instrumentu. Wstydzilem się go, wypierałem przed klezmerami, ale gdzieś w głębi duszy kochałem to maleńkie drewniane pudełko i tak jakby przez sen, od niechcienia, ćwicząc i czytając jednocześnie „Winnetou”, czyniłem postępy.

Jeszcze raz muszę powiedzieć, że miałem genialną matkę. Kiedy chodziła na wywiadówki i dowiadywała się o dwójach, machała ręką. Machała też ręką i uśmiechała się wyrozumiale, kiedy nauczyciele informowali ją ze zgrozą o moich pijackich wyczynach, że to nie ma dnia, abym nie przyszedł na lekcje z butelką, że rozpijam klasę i tak dalej. Celowała wówczas paznokciem w dziennik, w tę zaplątaną między dwójami czerwoną piątkę ze skrzypiec, i mówiła słodko:

– Przecież on fizykiem jądrowym i tak nie zostanie, kochani. A z pozostałych przedmiotów to ja mu zaraz załatwię korepetycje.

Korepetycji udzielali mi oczywiście ci sami profesorowie, którzy

nauczali w liceum, więc czyniłem w ocenach znakomite postępy. Matka, jak to się mówi, dbała, żeby korepetytorowi nie schudła żona.

A co do picia, to matka wszystko składała na karb Michałowskiego, na jego rozrywkowy charakter i pijane geny.

Ja się nie śmieję. Nie chwalebę się też. O moich alkoholowych skłonnościach wspominam celowo, aby później pokazać, jak tragicznie zaciążyły na moim życiu. Myślę, że w tym akurat wypadku moja ukochana mama nie wykazała się odpowiednią czujnością.

Kto pamięta te czasy, ten wie, że w szkołach i uczelniach muzycznych jazz był wtedy tępiony. Władze, aczkolwiek niechętnie, cofnęły embargo na jazz wcześniej niż konserwatoria. Obraz jazzmana kojarzony był odruchowo z wizerunkiem pijanego klezmerzyny rzępolącego w zadymionej budzie. Jedną z naszych czołowych pianistek, bodajże Halina Czerny-Stefańska, oświadczyła, że jak słyszy Armstronga, to widzi od razu zalanego w sztok bandytę znęcającego się nad żoną i dziećmi.

Nie brakowało rzecz jasna klasyków, którzy interesowali się jazzem, byli to jednak ci najwybitniejsi, kierujący się nie obiegowymi opiniami, lecz własną, ogromną zazwyczaj inteligencją i instynktem muzycznym, tacy choćby jak Wojciech Kilar, Zbigniew Drzewiecki, jazzujący w młodości Henryk Czyż, Stefan Kisielewski, Witold Rowicki czy Krzysztof Penderecki, który w przyszłości znajdzie okienka w swoich awangardowych utworach zarówno dla mnie, jak i dla trębacza Tomasza Stańki.

Pomijając już artystyczne wartości jazzu i jego ogromny wpływ na całą muzykę dwudziestowieczną, tylko kretyn mógł nie zauważyć, co uczynili tacy jazzmani, jak na przykład puzonista J. J. Johnson czy trębacz samouk Dizzy Gillespie, dla rozwoju techniki w grze na instrumentach dętych blaszanych. Martwy puzon zaczął ruszać się jak trąbka, a niemrawa dotąd trąbka nabrała biegłości klarnetu. Wszystkie najtrudniejsze klasyczne utwory trąbkowe Dizzy mógł zagrać lewą ręką, i to przez sen, jego improwizacje natomiast były często nie do powtórzenia nawet dla szybkich pianistów.

Ale w szkołach nie mówiło się o tym. Myślę, że było to częściowo podyktowane zazdrością. Symfonicy nie mogli wybaczyć jazzmanom ich ogromnej popularności – ubiorów, obyczajów, powodzenia u kobiet i tak dalej. Poza tym w klasyce obowiązywała hierarchia: najwyżej stali kompozytorzy i dyrygenci, tuż za nimi plasowali się soliści grający na fortepianach i skrzypcach, potem jeszcze, ewentualnie, chłopak czy dziewczyna z dobrego domu mogli wziąć do rąk wiolonczelę, altówkę, harfę lub flet, ale reszta instrumentalistów – dęciarze, kontrabasiści, kotlarze – to była po prostu klasa niższa, nie mówię: bydło, ale unurzani w nutach robole.

Tymczasem pochodzący z demokratycznego kraju jazz zaprowadził w rodzinie instrumentalistów demokrację: każdy mógł zostać bogiem, każdy był kompozytorem, nawet grając z talentem na organkach czy pile, miałeś szansę zdobyć sobie uznanie milionów.

Tak czy owak, oprócz dwój i pijaństwa ciążyła na mnie dodatkowo w liceum opinia jazzisty.

W szkołach muzycznych odbywały się zabawy taneczne, na których zgodnie z wymogami mody produkowały się zespoły jazzowe. Kiedyś, kryjąc się za plecami Kajtka Wojciechowskiego i Neskima, zadąłem więc w saksofon we własnej budzie. I nagle podchodzi do mnie Zenon Płoszaj.

Struchlałem ze strachu, bo Płoszaj był studentem ostatniego roku Wyższej Szkoły Muzycznej. Uczył go, tak jak i mnie, profesor Mieczysław Szaleski, który miał z końcem roku szkolnego na dobre odejść do Warszawy. Mówił mi, że jak odejdzie, to akurat Płoszaj ukończy studia, a ja na nie zdam. Załatwi się Płoszajowi profesurę, bo z niego jest niezły wihajster, i on mnie będzie dalej prowadził jako jedyne go swego studenta.

Krótko mówiąc, przyłapał mnie z saksofonem w zębach mój przyszły profesor. Zaczerwieniłem się, nie wiedziałem w ogóle, co powiedzieć, aż raptem Płoszaj szepnął mi do ucha:

– Fajnie zasuwasz.

Więc ja zbaraniałem. W chwilę później moje osłupienie pogłębiło się jeszcze, bo Płoszaj, też jakby z lekka zawstydzony, wyznał mi cicho:

– Wiesz, ja też trochę zasuwam. Chcesz posłuchać?

Wyczarował skądś skrzypce, poszedł ze mną na zaplecze i zaczął improwizować „Royal Garden Blues” czy coś takiego. Niby śmieszne to było, ale miało jakiś urok. Naprawdę, niezły był z niego wihajster. No i dał mi do myślenia, nie ma dwóch zdań.

Dał mi wtedy na temat skrzypiec do myślenia!

ROZDZIAŁ SZÓSTY:

Zaraz będę w Nowym Jorku!

Płoszaj został moim profesorem szybciej, niż to zakładał Mieczysław Szaleski, bowiem mój ukochany nauczyciel zmarł. Gdyby profesor Szaleski żył, nie wiem, czyby dopuścił, żebym został jazzmanem. Sądzę, że nie – miał na mnie ogromny wpływ, był mi w pewnym sensie ojcem, a ja byłem jego faworytnym, jedynym zresztą synem, który miał podbić świat. Na moje saksofonowe granie patrzył Szaleski jak na trądzik młodzieńczy, który wcześniej czy później uschnie i który w gruncie rzeczy niczemu nie przeszkadza. Bo gdybym grał jednocześnie na skrzypcach klasykę i jazz, to co innego, mógłbym się jakoś tam zmanierować. Ale skrzypce przeznaczone były wyłącznie dla Paganiniego. Nie skalałem ich żadną synkopą, nie wziąłem ich na żadną chałturę, więc wszystko było w porządku.

– Zdasz maturę, a ja wtedy załatwię w ministerstwie formalności i pojedziesz do Ojstracha – powtarzał mi co najmniej raz w tygodniu. – Jeśli zmarnujesz swój talent, będę cię po śmierci straszyl.

No i straszyl mnie. Pojawiał się w snach nad ranem, wygrażał mi zaciśniętą pięścią i szeptał: – Pilnuj skrzypiec, Michale. Bez skrzypiec nie dasz sobie rady w życiu. Pilnuj skrzypiec!

Więc pilnowałem ich, tym bardziej że to samo mówiła mi matka. Ona też nie przejmowała się saksofonem, słysząc od mojego nowego profesora Płoszaja, że jako skrzypek robię ogromne postępy. Zapewniał matkę, że jestem najlepszym skrzypkiem w Łodzi i że wkrótce będę najlepszym skrzypkiem w kraju.

Obydwoje błogosławili po cichu mój saksofon, który skupiał wszystkie moje uboczne pasje na muzyce, a nie na przykład na chodzeniu bez przerwy do kina albo nałogowym czytaniu kryminałów, albo uprawianiu jakiegoś głupiego sportu, który, jak zakazany mi surowo rower, zdeformowałby moje ręce, albo przesadnemu ślęczeniu nad matematyką czy chemią. Fizykiem jądrowym, jak mawiała matka, i tak nie zostanę, a saksofon, jeśli nawet był schorzeniem, to muzycznym, a nie wenerycznym.

Nawiasem mówiąc, w tym czasie w jakimś obskurnym domu przy kolei obwodowej pewna czternastoletnia, urodziwa panna zdecydowała się rozłożyć przede mną nogi. Obydwoje byliśmy strasznie stremowani, gdyż ona również miała zrobić to pierwszy raz. Moje tłumione latami pożądanie ulotniło się gdzieś, a ona drżała i popłakiwała cichutko. Więc ja też zacząłem płakać. Ucałowałem ją, ubrałem się szybko i wybiegłem z domu. Byłem szczęśliwy!

No i straciłem cnotę dopiero po maturze, w czasie wakacji, kiedy grałem z pewnym zespołem w garnizonowym klubie na Pomorzu. Wydymała mnie trzydziestosiedmioletnia piosenkarka.

Maturę zdałem, a ze względu na osiągnięcia skrzypcowe – do Wyższej Szkoły Muzycznej dostałem się bez egzaminów.

Ale saksofon też miał swoje prawa. W Łodzi znowu pokazał się Namysłower, posłuchał mnie na jamie w „Siódemkach”, po czym złożył mi gratulacje, że zostałem studentem.

Tym razem nic o wspólnym graniu nie powiedział. Nie słyszał mnie nigdy w klasycznym repertuarze na skrzypcach, ale czuł, że może to być dla mnie wielka sprawa. Patrzył tylko na mnie tymi niebieskimi, wodnistymi oczami i uśmiechał się łagodnym, ledwo widocznym uśmiechem, w którym przez moment błysnęło uznanie.

O taśmach Coltrane’a zapomniał albo celowo przemilczał ten temat. Ja też celowo go przemilczałem.

Żegnając się, Namysłower bąknął od niechcienia, że gra w Hybrydach i że jest tam wspaniała jazzowa atmosfera. W Łodzi też jest wspaniale, ale Warszawa ma większe koło zamachowe i silniejszy cios.

Tylko tego było mi trzeba. Nazajutrz, nie radząc się nikogo i nikomu o swoich knowaniach nie wspominając, wszedłem do gabinetu rektora Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi i powiedziałem krótko, że muszę zabrać swoje papiery.

Rektorem był wówczas Franciszek Wesołowski, znakomity

pedagog i mądry człowiek. Zadumał się na chwilę, po czym zapytał:

– I co z tymi papierami zrobisz, mój paniczu?

– Zawiozę do Warszawy. Ja bardzo pana rektora przepraszam, Zenon Płoszaj jest wspaniałym nauczycielem, ale ja chciałbym studiować u profesora Tadeusza Wrońskiego.

Każdemu studentowi rektor Wesołowski powinien powiedzieć, że to marzenie ściętej głowy, bo do Wrońskiego, bezwzględnie największego autorytetu od skrzypiec, na dwudziestu chętnych było tylko pięć miejsc i trzeba było stanąć – właśnie tego dnia – do egzaminów konkursowych.

Rektor nie wspomniał jednak o marzeniu ściętej głowy. Wyraził tylko żal, że Zenon Płoszaj, który ze względu na mnie dostał nominację profesorską, zostanie bez studenta. W wyższych szkołach muzycznych często tak bywało, że profesor miał tylko jednego ucznia. Pamiętam, że Stanisław Szejwałło otrzymał profesurę, by mógł jedynie prowadzić w wyższej szkole Andrzeja Rokickiego, pierwszego w powojennej Polsce trębacza z dyplomem magisterskim.

Krwawiło mi serce z powodu Płoszaja, nie mogłem się jednak bawić w sentymenty. Przycisnąłem:

– Panie rektorze, ja mam za godzinę pociąg. Proszę natychmiast dać mi te dokumenty.

Więc on zadzwonił do sekretariatu i powiedział, co trzeba. I życzył mi powodzenia.

Trzy godziny później wysiadłem na dworcu w Warszawie. W jednej ręce miałem saksofon, do którego doładowałem przybory toaletowe i parę koszul, a w drugiej skrzypce. Bałem się zostawić saksofon w przechowalni, więc wziąłem go ze sobą do taksówki i pojechałem do Hybryd z nadzieją, że zastanę tam Zbyszka. Nie było go. Nie miałem innego wyjścia, jak stawić się na egzamin z saksofonem.

Złożyłem papiery i stanąłem wśród piętnastki, która ubiegała się

o przyjęcie do Wrońskiego.

Popatrywano na mnie ze wszystkich stron – raz, że byłem nieprawdopodobnie młody, a dwa, że miałem ten saksofon. Nie mieściło się frajerom w głowie, że można mieć taki tupet. Byłem w środowisku muzycznym trochę znany. Wszyscy wiedzieli, że jest w Łodzi zdolny skrzypek, który podgrywa na saksofonie. Gdyby Kulka zaczął podgrywać na trąbce, też by wszyscy o tym wiedzieli. Takie rzeczy błyskawicznie się roznoszą.

No więc stoję tam z fają w łapie, a w drugiej mam skrzypczki, i wszyscy myślą, że jest to demonstracja siły. Podchodzi do mnie jeden taki żul, okularki na nosie, i powiada:

– Na saksofonie Szostakowicza będziesz zasuwał?

Ja byłem zawsze grzeczny. Nikt nie może powiedzieć, że było inaczej. Przełknąłem ślinę i mówię:

– Niech mi pan raczej doda otuchy, bo mam tremę.

Wszedłem do auli i przed komisją, na czele której stał Wroński, zagrałem godzinny recital: koncert Saint-Saënsa, kaprysy Wieniawskiego, kaprysy Paganiniego, cała Partita E-dur i Sonata g-moll Jana Sebastiana Bacha.

Kłamałem, że mam tremę. Zagrałem wszystkie perfektnie, bez zawahania, bez najmniejszego potknięcia. Po prostu granie sprawiało mi cholerną frajdę, no i wyczuwałem tę napiętą, brzęczącą strunę pomiędzy moimi skrzypczkami a komisją. Ta struna zawsze jest wtedy, kiedy ludzie naprawdę słuchają i kiedy muzyka daje im ten wspaniały, artystyczny cios.

Słowa matki dźwięczały mi w uszach: – Michaś, wyjdź i pokaż im! Weź skrzypczki i pokaż!

Wroński mówił mi później na boku:

– Zdał pan jako jeden z pierwszych, może nawet jako pierwszy,

ale proszę mi powiedzieć, jakie wydarzenie muzyczne zrobiło ostatnio na panu wrażenie?

Strzelił okiem w mój saksofon, który wziąłem ze sobą do auli, bojąc się, że mi go podwędzą. Nie miałem co kręcić. Spojrzałem mu prosto w twarz, a była to twarz szlachetna i kochana, i powiedziałem zgodnie z prawdą:

– Najbardziej podobał mi się koncert New York Jazz Quartet w Łodzi i pański koncert w Łodzi, kiedy pan grał Berga.

– Ano właśnie – powiedział. – To pan jest jazzista, jak mi donoszą?

– Tak.

– A wie pan, że jazzisci to są pijacy i narkomani?

– Wiem, panie profesorze, ale ja chcę właśnie zmienić ten wizerunek. Chcę skończyć szkołę, żeby zostać prawdziwym wirtuozem saksofonu w jazzie i prawdziwym wirtuozem skrzypiec w muzyce klasycznej.

– Jak pan sobie to wyobraża?

– Normalnie, panie profesorze. Moim największym marzeniem jest, aby w jednej części koncertu wystąpić z kwartetem jazzowym, a w drugiej z kwartetem smyczkowym, bo ja zawsze grałem u profesora Szaleskiego pierwsze skrzypce i on mówił, że jestem świetnym kameralistą.

Ta rozmowa też była rodzajem egzaminu. Musiałem złożyć go pomyślnie, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Będę pana uczył.

Niewiele brakowało, żebym pocałował go w rękę. Pojechałem taksówką na plac Zbawiciela i wszedłem do mieszkania Zbyszka Namysłowskiego.

– Co tu robisz?

– No, jestem. Powiedziałeś kiedyś, że mógłbym grać z tobą w Hybrydach, więc przyjechałem.

Otworzyłem futerał saksofonu i wyjąłem butelkę wina, bo Zbyszek nie umiał wtedy pić wódki. Potem, żeby się dodatkowo wkupić, wręczyłem mu spisane z taśmy akordy Coltrane’a.

Jak Boga kocham, zrobiło to na nim wrażenie. Sam chyba miałby kłopoty, by to spisać, więc dałem mu prezent. Napiliśmy się – wina oczywiście. Ile ja się później namęczyłem: pieprzówkę mu podsuwałem, próbowałem z wiśniówką, a on bez przerwy się krztusił.

– Jakiś pokój muszę wynająć – mówię.

– Podzwonimy, zaraz coś wykombinujemy – mówi Zbyszek. – Przecież nie będziesz mieszkał w Łazienkach. A poza tym trzeba iść od razu do piwnicy w Hybrydach na próbę z Rockersami.

– Musisz dać mi jeszcze jakieś dwa-trzy dni na załatwienie formalności w szkole – mówię.

Wyszliśmy. Dokładnie naprzeciw domu Zbyszka dozorczyńni wywiesiła w bramie ogłoszenie, że jest do wynajęcia kwatery za trzysta złotych. Długo się nie namyślając, wprowadziłem się tam, by mieszkać po sąsiedzku z moim idolem.

Pokój był o piętro wyżej niż mieszkanie Zbyszka, taka służbówka przy samych drzwiach, piekielnie mała, bo mieściło się w niej tylko łóżko, saksofon, skrzypce i pulpit do nut. Nie przesadzam, kroku swobodnie zrobić nie mogłem, ale byłem szczęśliwy, bo od rana do nocy miałem Zbyszka pod ręką, żeby z nim ćwiczyć, godzinami rozmawiać o muzyce i pić białe wytrawne wino węgierskie, za którym przepadał. Nieraz u niego spałem. Poznałem jego babcię i ona mnie chyba lubiła, choć uważała, że jestem ochlapus.

Na inspekcję przyjechała moja matka, dumna jak cholera,

że wywinąłem ten numer z Wrońskim. Ale było jej też trochę przykro, że opuściłem Łódź.

Pożycie matki z Urbaniakiem układało się coraz gorzej; zajmowali w domu osobne piętra, donosili na siebie, darli koty, obrzucali się najgorszymi wyzwiskami, co nie zmienia faktu, że później, gdy przyszło im umierać, zawinęli się w miesiąc jedno po drugim. Więc może kochali się jakoś? Nie wiem. Tak czy owak matka musiała być bardzo samotna. Ale była dzielna. Nie płakała. Prowadziła z rozmachem interes.

Szału dostała, widząc, że mieszkam tak marnie. Kazała mi się spakować. Wynajęliśmy inny, duży pokój na Mokotowie, ale on miał ten feler, że aby dostać się do niego, trzeba było przedelfilować przez sypialnię gospodarzy, a także przez kuchnię i pozostałe pomieszczenia. Nie przejmowałem się tym. W moje urodziny o dwunastej w nocy przyprowadziłem gęsiego, za rękę, dwadzieścia dziewięć osób, z których dwie ostatnie przydźwigały skrzynkę wódki. Odbyła się straszliwa balanga. Towarzystwo poukładało się do snu w różnych konfiguracjach, aby obudzić się rano z potwornym kacem. Patrzą, a ja ćwiczę na skrzypcach Bacha, bo za chwilę mam lekcję.

Zbyszek wtedy już na dobre wziął się za alt. Miał taki zespół Jazz Rockers, w którym na fortepianie grał Sadowski, na bębnach Fats Zieliński, a na kontrabasie Adam Skorupka. Nie wahał się, aby z kwartetu zrobić kwintet, i wziął mnie na tenor. Graliśmy ostry, agresywny, cholernie rytmiczny bop, kawałki Horacego Silvera i trochę kompozycji Zbyszka, który był liderem artystycznym zespołu. Był to obok The Wreckers Andrzeja Trzaskowskiego najlepszy zespół w kraju. Ładowaliśmy tak, że dziewczyny sikały. Ale sikały również na koncertach Wreckersów – Rozbijaczy – bo grali tam ostre chłopaki: Trzaskowski na fortepianie, Musiał na trąbce, Dyląg na kontrabasie, Karolak na tenorze i Adam Jędrzejowski na bębnach.

W 1961 roku, po przyjeździe do Warszawy, zostałem uznany za najlepszego tenorowego saksofonistę roku.

No i nagle spotyka mnie wyróżnienie, podobnie zresztą jak Zbyszka. Gramy pewnego wieczoru w Hybrydach, rajc jak cholera, a tu przychodzi Trzaskowski, nie siada, tylko staje pod estradą i patrzy. Patrzy

i słucha, no i kręci głową. Myślę, że sypanąłem się gdzieś albo coś w tym stylu. A tu Trzaskowski bierze w przerwie mnie i Zbyszka na stronę i pyta:

– Chcecie jechać ze mną do USA i zagrać na festiwalu jazzowym w Newport?

Spojrzałem na Zbyszka, a on na mnie. Andrzej Trzaskowski był poważnym facetem, a nie jakimś kawalarzem. Miał w Europie i w Stanach ustaloną już jazzową renomę. Prawdę mówiąc, cholernie mi imponował ten gość, bo znał angielski i miał do jazzu podejście naukowe.

Więc odpowiadamy z Namysłowskim chóralnie:

– Chcemy jechać.

– No to przyjdźcie jutro do ambasady amerykańskiej, żeby załatwić wizy.

I wyszedł. A mnie się kręci w głowie. Jak to? – myślę. – Zbyszek to Zbyszek, gwiazdor, ale że chce wziąć akurat mnie?...

Poszliśmy się ze Zbyszkiem z radości uchlać. Winem oczywiście. Był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.

Żałowałem, że od kilku lat nie żyje już mój prawdziwy ojciec, Edmund Michałowski, bo gdyby żył, toby się dowiedział, że mój los toczy się po jego myśli.

Nie byłem nawet na jego pogrzebie. Zawinał się gdzieś, nie wiem nawet gdzie. Zszedł po cichu ze sceny bocznymi drzwiami, nie narzucając się nam u końca swego burzliwego życia. Mówiłem więc do niego w duchu w Warszawie: – Tata, ja tam jadę! Zaraz będę w Nowym Jorku!

A potem, żeby się pochwalić, zadzwoniłem do matki i ona wszystko zrozumiała. Nie wiem, czy bardzo się ucieszyła, lecz wiem, że dotarło teraz do niej, czemu wziąłem się za jazz, czemu musiała kupić mi saksofon i czemu przeniósłem się do Warszawy. Krok po kroku,

podświadomie, realizowałem nienapisany nigdy testament mojego ojca, zawsze zapatrzonego w Amerykę, zawsze marzącego o niej, najpierw dla siebie, później dla mnie.

Powiedziała mi to nie wprost przez telefon. – Tak widocznie musiało być, Michale – westchnęła.

Ojstrach oddalał się, Moskwa znikła z mapy świata. Muzyka klasyczna zaczęła przegrywać z jazzem. Dlatego właśnie westchnęła. Była bardzo mądrą kobietą i przewidziała dalszy rozwój wydarzeń.

– Przyjedź czym prędzej do Łodzi, bo muszę ci uszyć u Szulca garnitur, albo i dwa, żebyś wyglądał jak piąty lord, a o pieniądze się nie martw, zaraz wykopię garnek z dolarami.

Poleciałem więc z Wreckersami do Stanów. Jak już na początku wspomniałem, wcześniej nigdy nie byłem za granicą. No i zobaczyłem nagle płonące dachy Manhattanu. Zagraliśmy na festiwalach w Waszyngtonie i w Newport, zrobiliśmy turę po kraju, odwiedzając między innymi Nowy Orlean, Los Angeles, San Francisco, Chicago i Boston. Wystąpiliśmy w wielu sławnych klubach jazzowych i zebraliśmy furę pochlebnych recenzji.

Jak wróciliśmy do Polski, całe moje myślenie biegło już innym torem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY:

Kobieta, poważne przedsięwzięcie Nie byłem bezkrytyczny. Dobrze wiedziałem, że aby na stałe zakotwiczyć w Stanach, muszę pokonać jeszcze wiele przeszkód. Zacząłem ćwiczyć godzinami, przenosząc z wolna uwagę ze skrzypiec na saksofon, w którym upatrzyłem dla siebie większą szansę. Studiowałem frazy wielkich Amerykanów i wciąż rozszerzałem harmonię. Improvizując, starałem się przełamywać barierę dźwięku, grać trochę poza akordami; trochę po kościach, tak jak to robili czarni Amerykanie.

Grałem jeszcze jakiś czas z Trzaskowskim, w tym samym składzie, ale pod zmienionym szyldem, bo nazwa The Wreckers – Rozbijacze – nie była zbyt fortunna i nie podobała się w USA.

Wystąpiliśmy na Jazz Jamboree jesienią 1962 roku, potem koncertowaliśmy w wielu krajach Europy: w Belgii, we Włoszech, we wschodnich i zachodnich Niemczech, w Jugosławii i Szwajcarii.

Docierałem się i nie miałem już przed żadnym polskim muzykiem kompleksów. Zmęźniał mi ton. Potrafiłem grać szybko i równocześnie głośno, rytmicznie, z gazem, co jest dla saksofonisty nie lada sztuką. Miałem jednak – o czym dowiedziałem się dopiero później, kiedy byłem już na stałe w USA – wadliwe zadęcie. Nie napinałem dostatecznie warg i nie brałem chyba powietrza na przeponę, co u dęciaków jest cholernie ważne. W związku z tym właśnie, jak przypuszczam, miałem tak potwornie rozdmuchaną szyję.

W tym schorzeniu górował nade mną tylko Neskim, minister rozdmuchanych szyj. W trakcie grania dostawałem byczego karku, a szyja dwukrotnie zwiększyła swoją średnicę. Pryskały guziki od koszul, darły się kołnierze. Wyglądało to okropnie. Patrząc na mnie, niektórzy szeptali ze zgrozą: – O Boże, przecież on ma szyję szerszą od głowy!

Zagraniczne koszule nie były dość mocne, więc kiedy zbliżał się poważny koncert, zakładałem wólczanek; zresztą do dzisiaj tak robię. Wólczanka powstrzymywała ekspansję mojej rozdmuchanej szyi, którą dodatkowo obwiązywałem pod kołnierzykiem apaszką i bezlitośnie podciągałem węzeł krawata. Dmuchanie w saksofon to ciężki fizyczny

wysiłek, już niedługo miałem się o tym przekonać. Ale kiedy nie grałem, moja szyja była normalna i smukła.

Niech wam się nie wydaje, że jestem jakimś potworem.

Chyba w połowie 1963 roku moja wspólna droga z Namysłowskim zaczęła się rozwidlać. On założył własny kwartet i tak się w nim rozkochał, że do dzisiaj najchętniej gra w kwartetach, dzięki czemu ma całą przestrzeń powietrzną dla siebie. Ja tymczasem, może zresztą było to wcześniej, też popracowałem we własnym zespole, który prowadziłem wspólnie z Adamem Jędrzejowskim. Na bas wzięliśmy Tadeusza Wójcika, wyróżniającego się gazmajstra śląskiego, który doskonale potrafił godzić picie z graniem. Na gitarę ściągnąłem z Łodzi Stanisława Krawczyka, bestialsko utalentowanego i nieśmiałego faceta mającego zadatki na wielką karierę, której w końcu nie zrobił, bo bez przerwy ściągało go z powrotem do Łodzi. A na trąbkę wzięliśmy Tomasza Stańkę, fantastycznie zapowiadającego się muzyka i pierwszego Polaka, który osiągnął na tym arcytrudnym instrumencie amerykańską biegłość. Z grupą tą wystąpiłem w 1962 roku w Opolu na festiwalu piosenki i w paru innych okazjonalnych koncertach.

Byłem zakłopotany, kiedy Stańko świdrował mnie swymi niespokojnymi oczami skrzywionego geniusza i wypytywał: – Czy ja umiem grać jazz?

Grał jak cholera! I gra jak cholera! Zawsze zresztą lubiłem klasyczny skład: trąba – tenor. Saksofon tenorowy jest instrumentem, na którym można pośpiewać, pomarzyć i poawanturować się trochę, a trąbka jest jedynym instrumentem, na którym można przyłożyć. Tenor rozpętuje piekło, a trąbka stawia kropkę nad i. Jest jak wykrzyknik po dobrze wytoczonym zdaniu.

Nagrałem w tym okresie trochę płyt, pierwszą chyba w 1961 roku z Rockersami Namysłowskiego. Inne też były ze Zbyszkim. W sześćdziesiątym trzecim towarzyszyliśmy wokalistce Brigitte Petry, a w sześćdziesiątym czwartym Muza wydała aż trzy nasze pozycje: z Markiem Tarnowskim, który śpiewał jeszcze wtedy jazz, z Fryderyką Elkaną i Urszulą Dudziak.

W ten sposób poznałem moją przyszłą żonę. Ale byłem tak nieśmiały, że bałem się nawet o niej pomarzyć. Jedyne moje męskie doświadczenia ograniczały się do tego incydentu w Łodzi przy kolei obwodowej, kiedy to nie stanąłem na wysokości zadania, i do tej jednorazowej przygody na Pomorzu z trzydziestosiedmioletnią piosenkarką, która niby pochwaliła mnie, że sprawdzam się jak prawdziwy chłop, ale już następnej nocy wylądowała w łóżku trębacza. No i przeżyłem jeszcze w liceum nieudaną miłość platoniczną z córką pewnego znanego profesora medycyny. Niech ją diabli! Wzdychaliśmy do siebie, nieraz pozwalalała potrzymać się za rękę. Zawsze krążyło wokół niej kilku chłopaków, więc ja, najzamożniejszy w klasie, stawiałem wszystkim ciastka i wino. Potem dowiedziałem się, że wszyscy ją dymali.

Na moim stosunku do kobiet zaważył chyba wykład, jakiego udzielił mi w wieku dziewięciu lat Zdzisiek Banaszczyk, skrzypek i partner w dziedzinie muzyki poważnej. Otóż gdy wyszliśmy raz ze szkoły, szepnął:

– Te kobiety to muszą mieć bardzo dobre serce.

– Dlaczego?

– Bo się pozwalają tak żgać.

Daję słowo, że ja w to wierzyłem. Kobieta jawiła mi się jako stwór doskonały, pełen miłości i gotowości do poświęceń, byle tylko dogodzić mężczyźnie. Ale mnie, jak na złość, żadna nie chciała dogodzić.

Byłem w pewnych kręgach dość znany; grano mnie w radiu, pokazywano w telewizji, niemal codziennie występowałem w jakimś rojącym się od przewspaniałych warszawianek klubie. Nic jednak z tego nie wynikało.

Wszyscy inni muzycy przierzucali towar jak snopki zboża, noc w noc coś świeżego, nieustanne zmiany, nawet Zbyszek radził sobie na tym polu znakomicie. Ja tymczasem zupełnie nie miałem startu do dziewczyn. Nie potrafiłem ani bałamucić, ani podrywać, bo od razu robiłem się czerwony jak burak i gadałem głupstwa. Dziewczęta wprost uwielbiają, aby faceci brali je przebojem – krótko, ostro, przy samej

skórze. Ale ja tego nie rozumiałem. Wydawało mi się, że im jestem grzeczniejszy, tym więcej mam szans. I wstawiałem im ten drętwy bajer, trawiony z jednej strony przez piekielne żądze, a z drugiej przez potrzebę głębokiej, romantycznej miłości.

Potem jakiś czas kombinowałem z dziewczyną, która studiowała filologię polską w Łodzi. Miała na imię Ewa i byłem z nią dość blisko. Dojeżdżała i kochaliśmy się od przypadku do przypadku. Czasami zabierałem ją na grania poza Warszawą. Ale piła. To znaczy lubiła umoczyć dziób.

Byłem bardzo za wódką, nie lubiłem jednak tej skłonności u dziewcząt. Poza tym nie czułem się ani szaleńczo zakochany, ani dość usatysfakcjonowany seksualnie. Więc mówię do niej pewnego dnia:

– Albo przestaniesz pić, albo się rozstaniemy.

Ona na to, że oczywiście, Michałku, ja już więcej pić nie będę. Ale jeszcze tego samego dnia, tuż po złożeniu obietnicy, wychyliła się trochę.

Graliśmy wtedy ze Zbyszkim w kawiarni Nowy Świat. Na pierwszym piętrze, zaraz przy schodach, obok wejścia do lokalu był nieduży bar, gdzie sprzedawali wódkę w dwudziestopięciogramowych kieliszkach. Do baru weszli chłopaki z Tiger Rag, więc Ewa wstała od służbowego stolika i ruszyła się z nimi przywitać. Grało się wtedy trójkami, trzy kawalki i przerwa, a po godzinie nieco dłuższa przerwa. Więc kiedy skończyłem trójkę, też poszedłem z Namysłowerem do baru. Patrę, a Ewa chowa za siebie ten filigranowy kieliszek.

Wściekłem się i zerwałem z nią, chociaż nic takiego nie zrobiła. Może po prostu czuła się zagubiona w Warszawie i poszła przywitać się z łódzkimi chłopakami, którzy nie żywili wobec niej żadnych złych zamiarów. Poderwali zresztą inne dziewczyny i wzięli je na rozpustę do hotelu Polonia, gdzie mieli zarezerwowane pokoje.

Potem zacząłem spotykać się z córką pisarza Stanisława Dygata i było to poważne przedsięwzięcie. Magda, bo tak miała na imię, nie była wcale dziewczyną zepsutą, jak to się często zdarza w artystycznych rodzinach. Miała dużo wdzięku i inteligencji, i byłem w niej chyba

zakochany. Przychodziła na wszystkie moje koncerty, bo lubiła, kiedy grałem na saksofonie. Jej ojciec też bodajże lubił jazz, był facetem o zachodniej orientacji. Spytała mnie raz, czy znam jakieś powieści Dygata. Nawet się nie zaczerwieniłem. Powiedziałem po prostu, że nie.

– To co ty w ogóle czytasz?

– Nic.

– Jak to: nic? – nie mogła tego zrozumieć. – Przecież chyba coś w życiu czytałeś.

– Przeczytałem w życiu, ćwicząc równocześnie na skrzypcach, tylko trzy beletrystyczne pozycje: „Winnetou” i „Old Surehand” Karola Maya oraz „Dwadzieścia lat później” Aleksandra Dumasa.

Zaczęła się śmiać. Dzisiaj nikt się ze mnie z tego powodu nie śmieje, choć nie poszerzyłem mojej znajomości literatury nawet o jedną pozycję. Jeśli w ogóle biorę jakąś książkę do ręki, to wyłącznie z serii „how to”. Na przykład: „How to (jak) zrozumieć siebie i być szczęśliwym”. „How to odnieść sukces w życiu”. „How to posługiwać się najnowszymi generacjami komputerów”, i tak dalej.

Nie mam czasu na czytanie powieści. Nie czytałem w gazetach recenzji o sobie, choć przebiegam je szybko oczami. Nie czytałem nawet autobiografii Milesa Davisa, w której podobno wymienia moje nazwisko.

Kupuję codziennie „New York Post”, nie po to jednak, aby dowiedzieć się, co nowego w mieście i na świecie, lecz po to, by zapoznać się czym prędzej z horoskopem na najbliższy dzień, bo jestem straszliwie przesądny i wierzę w te bzdury. Nawiasem mówiąc, w przeciwieństwie do horoskopów drukowanych w polskiej prasie te z „New York Post”, zamieszczane dzień w dzień i studiowane z uwagą przez dziesiątki tysięcy Amerykanów, bywają bezwzględne i brutalne, raz dają nadzieję, raz dołują człowieka, bruźdzą, spiskują, sięją nieufność, podpuszczają jeden znak zodiaku na drugi, tak że mąż Lew, patrząc na ostrzącą nóż żonę – Skorpiona, dostaje na sam widok gęsiej skórki.

Od lat kieruję się wskazówkami tych horoskopów.

Nie pomogły perswazje Dygatówny w Warszawie. Nie wziąłem się za klasyków literatury, nie rozsmakowałem się w polskiej prozie współczesnej, nie czytałem ani Hłaski, ani Hemingwaya.

Dmuchałem po prostu w moją rurę, a jak chodziłem z Magdą na spacerzy wzdłuż Wisły, moje oczy ciągle uciekały w przyszłość. Ona, jak to baba, próbowała zajrzeć do mojego serca i mózgu:

– O czym myślisz, Michał?

– O płonących dachach Manhattanu.

– Przecież tu, w Warszawie, też można żyć szczęśliwie.

Zacząłem jej tłumaczyć, że nie chodzi mi wcale o szczęście, lecz o jazz.

W Polsce niektórzy muzycy, w ślad za nimi krytycy, snuli wtedy teorie marksistowsko-leninowskie. Wszak to Włodzimierz Iljicz powiedział, że każdy kraj znajdzie własną drogę do socjalizmu. No więc podobnie rysowała się sprawa z jazzem; każdy kraj miał prawo iść do niego własną drogą. Mówiono o jazzie polskim, o jazzie skandynawskim, o jazzie francuskim, o pseudojazzie niemieckim i o pseudojazzie czeskim w wykonaniu orkiestry Gustava Broma.

Ale jazz jest tylko jeden. Nie ma nic pośrodku. Django Reinhardt i Stéphane Grappelli, dwaj genialni francuscy Cyganie, nie próbowali grać żadnego jazzu francuskiego czy cygańskiego, tylko po prostu grali jazz, a jak z obcych genów przeniknęło coś do tej murzyńskiej muzyki, to nigdy na zasadzie spekulacji, lecz indywidualnego, osobniczego instynktu. Nie można ani improwizować, ani komponować z założeniem, że teraz wam pokażę, jaki ze mnie oryginalny Polak, i pchać do jazzu góralskich, śląskich czy mazowieckich motywów. Buntowałem się przeciwko takim zabiegom.

Nie chciałem być żadnym narodowościowym jazzmanem, tylko po prostu jazzmanem.

Nie można być tylko trochę jazzmanem, tak jak nie można być tylko trochę w ciąży. Albo się jest w ciąży, albo się nie jest. To wszystko!

Politykom w latach sześćdziesiątych zależało na spolonizowaniu i zrusyfikowaniu wszelkich form amerykańskiej kultury. To znaczy: najlepiej by było, żeby jej w ogóle nie było, ale skoro już jest, to trzeba ją okiełznać. Przeżywającego swoje złote lata rocka należało śpiewać po polsku. Jazz też należało śpiewać po polsku, takie było bowiem zalecenie czynników. Nie żuć gumy, nie pić coca-coli, nie oglądać hollywoodzkiej szmiry, skoro jest tyle wartościowych filmów radzieckich.

Kiedyś bili w mordę za krótkie włosy, teraz dostały się pod nóż włosy długie, mimo że Marks na portretach był owłosiony jak małpa. Przed niektórymi festiwalowymi występami muzycy i piosenkarze poddawani byli z woli szefa Radiokomiteu Włodzimierza Sokorskiego masowym postrzyżynom, a kto się nie zgodził, to won! Skreślali bydlaka z programu i zabierali mu paszport.

Jak już wspomniałem, opisując Tiger Rag, na rocku i jazzie położyły łapę organizacje młodzieżowe: ZMS, ZWM, ZSP i tak dalej. Miały one swoje prasowe agendy, których dziennikarze wprost piali z zachwytem, gdy jakiś zespół wziął na warsztat „Hej, przyleciał ptaszek w malinowy lasek” czy coś w tym stylu. Takie były właśnie kierunki rozwoju polskiego jazzu i dokładnie takie same były jego perspektywy.

Ja się temu sprzeciwiałem. Skoro zrezygnowałem z kariery klasycznego skrzypka wirtuoza, co stawało się powoli faktem, skoro już wszedłem na dobre w jazz, to postanowiłem zrobić na tym polu wszystko, co tylko możliwe, nie oglądając się na indiańskie plemię pomniejszaczy główki, które zawsze rządziło polską kulturą.

Chciałem być uniwersalny, światowy, zrozumiały dla wszystkich słuchających jazzu nacji, którym niekoniecznie muszą podobać się wariacje na temat polskiej muzyki ludowej.

Powiedziałem o tym Dygatównie. Oczywiście, że w Warszawie też można szczęśliwie żyć. Ale ja czułem, że mam do spełnienia pewną misję, pewien obowiązek wobec swoich ambicji i uzdolnień, i szukałem

partnerki, która mi w tym pomoże.

W 1963 roku zacząłem grać w zespole Krzysztofa Komedy – obok Tomasza Stańki na trąbce, Macieja Suzina na kontrabasie i Czesława Bartkowskiego na perkusji. Jesienią wystąpiliśmy na Jazz Jamboree w Warszawie, a w sześćdziesiątym czwartym roku – w Pradze, gdzie nagraliśmy płytę „Jazz Greetings From The East”. W tym drugim wypadku zamiast Maćka Suzina na basie grał Jacek Ostaszewski.

Komedę zapamiętałem jako wspaniałego kompozytora i świadomego sprawcy bandleadera. To, czego żądał ode mnie i moich partnerów, bardzo mi odpowiadało, bo było zgodne z moimi zapatrywaniami na jazz.

Nie zadowalało Komedy rutynowe ogrywanie akordów. Chciał, abyśmy grali na skraju harmonii, abyśmy podejmowali ryzyko szukania trudnych nut i po krótkiej wycieczce w świat innej galaktyki muzycznej powracali za każdym razem bezpiecznie do bazy. W Polsce chyba tylko Komeda miał tak nowatorskie podejście do jazzu. Zresztą on był niezwykle wszechstronny, przecież obok jazzu tworzył natchnioną muzykę filmową i baletową. Nie miał w sobie nic z jazzowego purysty. Gdyby zechciał, mógłby napisać sambę i też odniósłby sukces.

Jakiś czas grał z Komedą na perkusji Leszek Dudziak. Dzięki temu zaprzyjaźniłem się z jego siostrą. Zaprosiłem ją w kwietniu 1965 roku do Kopenhagi. W radiu puszczała często dwa przeboje Urszuli Dudziak: „Nie otworzę drzwi nikomu” i „Pójdę wszędzie z tobą”. Śpiewała także śmiało wokalizy jazzowe świadczące wymownie o jej talencie improwizatorskim. Była wspaniała. Miała uczciwe, niebieskie oczy i rude włosy, ale nie takie jak marchewka, lecz takie jak spatynowany mosiądz. Od razu się w nich zakochałem.

Dowiedziałem się, że zostawiła we Wrocławiu narzeczonego, a w każdym razie kogoś bliskiego sercu. Sprawa wydawała się więc bez szans.

Tu muszę powiedzieć, że instrumentalista, szczególnie saksofonista czy trębacz, nie wyobraża sobie lepszej żony niż śpiewaczka jazzowa. Raz, że ona robi to samo co on, a dwa, że mogą popracować

razem – nie tylko na estradzie, ale i w domu. Mogą się zgrać jak jeden instrument i dokonać w muzyce cudów. Dlatego właśnie, jeszcze w Łodzi, śniłem o Dinah Washington, Billie Holiday i Carmen McRae, którą zresztą w przyszłości miałem poznać, a nawet z nią grać i wypić u niej w garderobie butelkę zamrożonego szampana. Jednak żoną moją nie została.

Urszula wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie lubi alkoholu i że nie cierpi pijaków. Codziennie sobie przyrzekałem, że odstawiam gorzałę, a potem piłem w dalszym ciągu. Nie tak, żeby się zataczać, ale sporo, bo byłem w tym fachu nieźle zaprawiony, przesiąknięty wódką jak gąbka. Więc ona patrzyła na mnie nieufnie. Ale, z drugiej strony, byłem grzeczny, chętny do prób i do wszelkiej w ogóle pomocy, której kobieta potrzebuje – a to kupić jej coś, a to ponieść walizkę i tak dalej. Więc powoli zjednywałem ją sobie.

Narzeczony nie mógł jej niczym zaimponować, a ja – owszem, grałem jak cholera, śmiało, po amerykańsku, byłem najlepszym tenorem w kraju, miałem bogatą matkę, perspektywy i własne pieniądze. Kupno mieszkania w Warszawie nie stanowiło większego kłopotu.

Cały problem polegał na tym, że piłem, a wódka wolno, lecz systematycznie czyniła wyłomy w moim zdrowiu. Inni też pili, wszyscy pili, ale na zasadzie sportu – mogli równie dobrze nie pić. Ja tymczasem robiłem to też niby dla zabawy, ale zbyt regularnie – żeby zasnąć, żeby się odprężyć, żeby pozbyć się stresów.

Nie uświadamiałem sobie, że to choroba. Posądzałem się po prostu o brak silnej woli. A Urszula, która była z porządnego domu, patrzyła na mnie i mówiła jakby do siebie, że dostała od matki jedno przykazanie: każdy, byle nie pijak. Niech nawet będzie robotnikiem, byle nie moczył pyska.

Znowu próbowałem wziąć się w garść. Czułem, że Urszula jest do zdobycia, jeśli przyhamuję z gorzałą. Był w końcu ze mnie przystojny facet, mała nadwaga, lecz prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, no i spokojny charakter. Nie to, żebyśmy czasem nie zrobił się czerwony ze złości, ale awanturnikiem nie jestem. Ze względu na Urszulę nauczyłem się więc moje picie kamuflować.

To wyskoczyłem po cichu do baru, to pociągnąłem z ukrytej butelki – i wszystko było niby w porządku. Urszula w każdym razie zaczynała wierzyć, że pod wpływem miłości nastąpiła we mnie cudowna przemiana, no i zdobyłem ją.

Kiedy wróciliśmy do Warszawy ze skandynawskiego tournée, byłem dumny jak paw. Miałem swoją polską Dinah Washington, fajną, utalentowaną, szlachetną ciałem i duszą. Czulem na każdym kroku, że muzycy, nawet Zbyszek Namysłowski, zazdroszczą mi. Ale potwór wciąż we mnie drzemał, wciąż popijałem ukradkiem.

W końcu Urszula postawiła mi ultimatum: albo wyskoczę z nałogu, albo koniec.

Któregoś wieczoru spotkałem się po raz ostatni z Dygatówną, aby wyjaśnić sprawę. Z ulgą przyjąłem wiadomość, że ona w międzyczasie też zakochała się w innym człowieku, więc rozstaliśmy się bez łez.

Pozostała tylko Urszula i moje ambitne plany. Myślałem już o stworzeniu własnego zespołu, z którym najpierw podbiłbym Europę, a później USA. Było to zamierzenie trudne, ale realne. Nie brakowało w Polsce zdolnych muzyków, z którymi można było je spełnić. Ale cały czas prześladował mnie pech.

ROZDZIAŁ ÓSMY:

Nic poza Urszulą

Nie wspomniałem, że kiedy wróciłem ze Stanów i grałem jeszcze w zagranicznych trasach Andrzeja Trzaskowskiego, dopadła mnie padaczka. Było to jesienią czy zimą sześćdziesiątego drugiego roku. Jechaliśmy z Warszawy do Kolonii. Podróż ta trwała w owych czasach trzy dni. Pociąg był na niektórych odcinkach piekielnie przeładowany, więc wstawałem i ustępowałem miejsca różnym starszym osobom. Zawsze taki byłem i chyba taki pozostanę. Nie mogłem patrzeć, jak męczą się te stare kobiety, starcy, matki z dziećmi, i w ogóle. Byłem kompletnie trzeźwy, ale bardzo zmęczony.

No i nagle w tłoku, w tym ścisku, odjechałem, żeby odzyskać przytomność w niemieckim szpitalu. Koncert odbył się beze mnie.

Nieźle też przyłożył mi los w 1965 roku. Jeździłem wtedy po Skandynawii z grupą Komedy, będąc jednocześnie saksofonistą i kierowcą, bo za nagraną w Niemczech zachodnich płytę „East Meets West” (1964) kupiłem wspaniałego, nowego, największego opla coupé i oddałem go na usługi zespołu.

8 marca w Sztokholmie wyszedłem rano z hotelu w towarzystwie Sergiusza Tomczaka, trębacza, który pochodził z Łodzi. Było to święto kobiet, więc zamierzaliśmy kupić paniom kwiaty. Patrząc odruchowo na parking, a tu mojego opla nie ma. Nie chcę się nad tym rozwodzić, ale wpakowałem w tę limuzynę wszystkie pieniądze, więc czułem się tak, jakbym stracił dorobek życia. Nic mi nie zostało. Nic poza Urszulą.

Musieliśmy zaczynać od zera. Chodziłem od jednej szwedzkiej knajpy do drugiej i szukałem wytrwale pracy, by zarobić na utrzymanie i dach nad głową. Zespół rozpadł się, porozjeżdżał, więc o żadnych koncertach nie mogło być mowy. W grę wchodziła tylko ciężka knajpiana robota, ale jakoś nie mogłem jej znaleźć.

Wreszcie wszedłem do lokalu, gdzie produkował się w rozszerzonym programie zespół jugosłowiański. Była tam i piosenkarka, i striptizerka, i iluzjonista maltretujący między dwiema

wydrażonymi deszczułkami swoje gołębie, że to niby giną z ludzkich oczu bez śladu, podczas gdy one cierpiały w pułapce. Był tam również związany z piosenkarką konferansjer, kierownik grupy, i ten gość, skoro mnie tylko zobaczył, zaczął wymachiwać rękami, że nie trzeba – skrzypka nie trzeba, saksofonisty nie trzeba, i w ogóle.

Trwała akurat próba, piosenkarka w asyście pianisty śpiewała jakiś szmonces, barman pucował za szynkwasem szkło. Niezrażony zacząłem rozpakowywać saksofon. Więc konferansjer krzyknął:

– Co ty robisz?

– Podegram jej trochę.

Zaczął się śmiać. – A podegraj! – i puścił w swoim języku jakąś wiąchę, że i tak mnie nie przyjmie.

Wszedłem na estradę i zacząłem wypełniać luki w śpiewie, w chwilach gdy piosenkarka brała oddech albo przechodziła z jednej frazy w drugą. Więc konferansjer znowu zaczął bluźnić, tym razem z zachwytem: – Kako ty swirasz, kako ty swirasz!

Wymieniał szczegółowo narządy rodne mojej matki i znanych mu kobiet. I przyjął mnie.

W ten sposób przeżyłem jakiś czas, odkładając na bok ambicje. Grałem z Jugosłowianami, grałem też w innych knajpianych zespołach, podobnie jak robiła to reszta zamieszkałych w Szwecji polskich muzyków. Było ich tam sporo: Piotr Kot, Włodek Gulgowski, Kajtek Wojciechowski, Bruno Buczek, Waldek Hajer, Hanna Rek, Jerzy Kowalski, Bogusław Wyrobek, Sergiusz Tomczak, Ryszard Podgórski, Andrzej Libudzisz, Leszek Dudziak i wielu, wielu innych.

Była to polska emigracja muzyczna, ludzie, którzy opuścili kraj nie tyle z powodów politycznych, ile w celu zorganizowania sobie normalnej egzystencji – wygodnych mieszkań, godziwych zarobków i możliwości swobodnego podróżowania po świecie. Chcieli być wolni i byli wolni. Muzyk ma naturę Cygana, nie można więzić go w klatce.

Sama wolność jednak mi nie wystarczała. Wciąż myślałem o Ameryce. Wiedziałem, że jeśli nie zacznę grać mojego repertuaru z dobrym jazzowym zespołem, niczego nie osiągnę.

Podobnie myślała Urszula, towarzysząca mi we wszystkich złych i dobrych chwilach. Nie byliśmy jeszcze formalnie małżeństwem, ale czuliśmy się sobie bliżsi niż niejeden mąż i żona.

W sześćdziesiątym szóstym roku założyliśmy zespół rodzinny: Urszula śpiewała, jej brat Leszek grał na perkusji, a ja na saksofonach i skrzypcach. Doszedł jeszcze do nas pianista Włodek Gulgowski i kontrabasista Stanisław „Chała” Zwierzykowski. Robiliśmy doskonałą muzykę, kontrakty sypały się ze wszystkich stron, więc znowu czułem, że stoję na twardym gruncie. Z drugiej strony – nie dopisywało mi zdrowie. Coraz częściej łapałem się na tym, że od dmuchania w saksofon dostaję zawrotów głowy. Może była to sprawa zadęcia, może źle brałem powietrze, w każdym razie robiło mi się słabo, szczególnie gdy pograłem trochę dłużej i ostrzej.

W młodości człowiek myśli, że jest nieśmiertelny, więc bagatelizowałem te objawy. Ciągłe popijałem, a Urszula wciąż z tym walczyła. Byliśmy już wtedy niezłe zakotwiczeni w Szwecji; Leszek Dudziak kupił pod Göteborgiem majątek.

Pamiętam, jak Leszek po raz pierwszy przyjechał z Polski do Norwegii, a było to wtedy, gdy po dwóch latach szarpaniny udało mi się wreszcie załatwić kontrakt dla własnego zespołu. Jakiś czas grał ze mną Adam Makowicz, ale klimat skandynawski mu nie odpowiadał, więc ściągnąłem na jego miejsce Andrzeja Nowaka, pianistę z Krakowa, i Leszka Dudziaka, który, choć grał wcześniej z Komeda, nigdy nie był za granicą, a jeśli nawet, to w Bułgarii. No więc oni dwaj, pianista Andrzej Nowak i perkusista Leszek Dudziak, przyjechali do tej maleńkiej, zaśnieżonej, położonej w górach miejscowości norweskiej Larvik, przywożąc ze sobą kilka litrów spirytusu i dużo afgańskiego haszyszu. Piłem oczywiście z nimi spirytus, wypaliłem także pierwsze w życiu dwie laski haszyszu, po których czułem się haniebnie. Myślałem, że umrę. Nigdy jeszcze nie miałem w głowie takiej karuzeli.

Na drugi dzień dyrektor Grand Hotelu, gdzie mieliśmy grać przez

najbliższe trzy miesiące, postawił nam na powitanie cały stół krabów, raczków, langust, krewetek i innych wysmienitych norweskich owoców morza; do tego różne sosy, majonez, białe wino. Poczuliśmy się trochę lepiej, ale najlepiej czuł się Leszek Dudziak, kiedy wyskoczył do sklepu i kupił sobie cały worek pomarańczy. Pożerał je jak małpa, zaklinając się, że już nigdy do Polski nie wróci.

Gdzieś w sześćdziesiątym szóstym roku zaprosiłem do Norwegii na Boże Narodzenie matkę. Przemieszczaliśmy się wtedy z miejscowości Lulea na północy Szwecji do Bergen w Norwegii, gdzie otrzymaliśmy kontrakt. Była to straszliwa podróż, bo Lulea leży w samym zwężającym się końcu Zatoki Botnickiej, niedaleko granicy z Finlandią, a Bergen jest na południu Norwegii, w fiordach, na samym łbie skandynawskiego psa. Zatrzymywaliśmy się w przydrożnych motelach i gospodach, i dalibyśmy sobie radę, gdybyśmy trzymali się dłuższych, obowiązujących o tej porze roku szlaków. Ale sto kilometrów za Oslo, kiedy od Bergen dzielił nas ostatni, krótki odcinek drogi, postanowiliśmy pojechać na skrót, choć na tablicach wyraźnie było napisane, że od 1 października do końca maja wybrany przez nas szlak jest zamknięty i nieprzejezdny. Zlekceważyliśmy ostrzeżenie, bo byliśmy już okropnie zmęczeni, a Bergen wydawało się tuż-tuż, na wyciągnięcie ręki, jeśli można określić tak dystans stu dwudziestu kilometrów.

Dużo miałem w życiu dramatycznych wypraw – o niektórych jeszcze wspomnę – lecz ta była chyba najgorsza. Całe szczęście, że w ostatniej chwili, jako jedyny z kierowców, kupiłem łańcuchy na tylne koła.

Matka, nieświadoma niczego, spała w najlepsze na tylnym siedzeniu, kiedy zapuściłem się pierwszy w to śnieżne, białe pustkowie. Za mną osobnym samochodem jechał Stasiu, a zamykał kawalkadę Leszek Dudziak w swoim garbusie.

Zapuściliśmy się tak daleko, że wycofanie się z wąskiej, zawałonej z obydwu stron śniegiem drogi było niemożliwe, a jeśli nawet, to równało się samobójstwu. To po lewej, to po prawej ręce, nad skutymi lodem fiordami, ukazywały się przepaście, a po przeciwnej stronie pięły się w niebo strome góry. Było to na swój sposób urzekające i piękne, ale tak groźne, że mimo dobrze działającego systemu ogrzewania czułem

na plecach mróz. Pokonanie tego studwudziestokilometrowego odcinka trwało osiemnaście godzin. Kiedy zatrzymałem się wreszcie w Bergen przed hotelem, w którym mieliśmy grać, śpiąca przez całą tę makabryczną drogę na tylnym siedzeniu matka ocknęła się nagle i zapytała radośnie: – Co, Michaś, już?! Jesteśmy na miejscu?

W styczniu sześćdziesiątego siódmego roku znowu dopadła mnie padaczka. Tym razem w Malmo na południu Szwecji. Zaczęło się od tego, że wysiadając z samochodu, Urszula przycięła mi drzwiami palec. Po prostu zamknęła szczelnie i dokładnie drzwi, a między nimi tkwił w najlepsze mój bezcenny palec skrzypka, kciuk lewej dłoni. Pogotowie zabrało mnie do szpitala i chirurg w pierwszym odruchu chciał mi palec amputować, bo był płaski i kompletnie zmasakrowany. Nie zgodziłem się. Więc dał mi zastrzyki znieczulające i zapobiegające zakażeniu, po czym założył opatrunek i próbował zapakować mnie do łóżka. Na to też się nie zgodziłem. Powiedziałem, że mam koncert i muszę grać.

Przestrzegł mnie przed tym, gdyż wyglądałem marnie, raz byłem błądy jak ściana, raz czerwony; pocilem się, ledwo mogłem złapać oddech. Oświadczył, że tak czy siak muszę do niego wrócić, bo trzeba zmienić opatrunek i zdjąć paznokiec. Co do palca, nie robił mi zresztą większych nadziei: utnie się go i po krzyku.

Byłem trzeźwy, wziąłem tylko valium, żeby się uspokoić. Nie wyobrażałem sobie, jak będę grać bez palca. Zarówno na saksofonie, jak i na skrzypcach przypominałbym kulasa, który usiłuje pobić rekord świata w biegu na sto dziesięć metrów przez płotki. Z czułością patrzyłem na owinięty bandażem paluch. Pocałowałem go ukradkiem, modląc się w duchu, żeby przy mnie został.

Wszedłem na scenę, w rażące światło jupiterów. Orkiestra była gotowa do występu. Nabilem tempo nogą, która była zeszywniała w kostce i dziwnie miękka w kolanie. Wetknąłem ustnik pomiędzy wargi i zadąłem się płytko. Jednocześnie jakaś siła, jakaś miażdżąca łapa losu zaczęła wtlaczać mnie w parkiet estrady. Zatoczyłem się do tyłu.

Leszek Dudziak powiedział:

– Znowu się, skurwysyn, upił!

To ostatnie słowa, jakie słyszałem. Przytomność odzyskałem w szpitalu, gdzie przeleżałem cztery dni. Palec uratowałem, mam go do dzisiaj przy sobie i jest w porządku. Ale zdrowie szwankowało mi na całej linii.

Zawsze starałem się wychodzić z opresji z ciosem. Nauczyłem się tego od mojej ukochanej matki, a także od Neskima i od takiego jednego wihajstra Libudzisza. Ci dwaj faceci umieli przetopić swoje słabości w potęgę. Zaśmiewałem się historycznie w szpitalnym łóżku, przypominając sobie, jak Libudzisz, umięśniony, lecz maleńki chłopak, trochę tylko większy od liliputa, wyciągnął z tarapatów orkiestrę w Szczecinie. Było nas tam pięciu czy sześciu, między innymi Alfred Banasiak – natchniony tenorzysta, jeden z najlepszych, jacy pojawili się kiedykolwiek na polskiej scenie jazzowej. Był tam jeszcze jakiś trębacz, jakiś basista oraz ja i grający na bębnach Libudzisz, i kiedy wychodziliśmy po chałturze z knajpy, każdy oprócz mnie z jakąś miejscową dziewczyną, zaatakował nas bandytyzm lokalny.

Nie żartuję. Szczecin zawsze był miastem prostytutek, alfonsów i bandytów, przesiedleńców, kresowców, Ukraińców o czarnym podniebieniu, i w ogóle. Więc oni, cała zgraja, rzucili się na nas z mordem w oczach. Ani ja, ani Banasiak, ani nikt w ogóle poza Libudziszem nie miał zielonego pojęcia o bójce ulicznej.

Byliśmy jak stado owiec w rzeźni. Przyjmowaliśmy ciosy pokornie, nie stosując nawet uników i przygotowując się powoli na śmierć, gdyż bandyci, nasyciwszy pięści, zaczęli nas kopać. I nagle wdarła się w środek tych oszalałych skurwysynów jakaś siła nieczysta, jakiś tajfun, jakieś małe, niebywale ruchliwe diablę. Był to Andrzej Libudzisz z metalową pałą. Takimi pałami perkusiści ćwiczą na poduszce, żeby nabić mięśnie i poprawić tremolo. Taką pałą można zabić.

I maleńki Libudzisz walił tak, żeby zabić – w skronie, w nosy, w uszy, w ciemiona. Od czasu do czasu znikał z oczu, padając na ziemię i przeciskając się bandytom między nogami, po czym znowu rozdawał zabójcze ciosy, wrzeszcząc:

– Mojego kumpla, skurwysynu, maltretujesz?! – i BUM!

– Muzyków bijesz?! – i BUM!

– Artystów flekujesz?! – i BUM, BUM, BUM!

Schylał się raptem i podrywał bandytów za obcasy tak, że walili łbami o chodnik.

Był naprawdę patetyczny. W tym świętym szale przypominał trochę Mariana Urbaniaka rozprawiającego się z ubekami.

Pozbierałem się jakoś. Ściągnąłem z Polski kilku wspaniałych muzyków i stworzyłem zręby zespołu, który niebawem miał się okazać najlepszą grupą jazzową na kontynencie. Nagrałem z nimi w 1968 roku płytę „Michał Urbaniak Orchestra”. Na organach Hammonda grał niezwykle muzykalny i cudownie improwizujący Wojtek Karolak, na bębnach w miejsce Leszka Dudziaka, który nie chciał się uczyć i odrzucał w tej materii moje propozycje, obsadziłem Andrzeja Dąbrowskiego, zaczynającego również śpiewać. Prawdziwym instrumentem wokalnym stawała się szybko Urszula, co wyraźnie można usłyszeć na tej płycie. W przeciwieństwie do brata Urszula nigdy nie migiała się od prób, rozszerzała skalę, idealnie stroiła, trafiając w sam środek alikwotów, po akordach biegała jak flet.

Nawiasem mówiąc, 23 grudnia 1967 roku wziąłem z Urszulą ślub. W dużej mierze było to zasługą żony Karolaka Bożeny, która powiedziała pewnego dnia: – Tyle lat już ze sobą jesteście, że w końcu powinniście się pobrać.

Zrobiliśmy to w Oslo, cicho i bez rodziny. Świadkami byli Andrzej Dąbrowski i Wojtek Karolak.

Kiedy dowiedziała się o tym moja matka, chciała popełnić samobójstwo. Mieszkała wtedy w Łodzi na Ciasnej, w całkowitej separacji z Urbaniakiem, z którym jeśli nawet coś ją łączyło, to tylko nienawiść. Była bardzo samotna, choć wciąż z energią prowadziła interesy, i mój postępek uznała za zdradę. Lubiła Urszulę, uważała ją

za bardzo wartościowego człowieka, więc tym bardziej chciała być na naszym ślubie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY:

Nie napiję się więcej

Mogliśmy zostać w Szwecji na dobre. Mogliśmy zostać na dobre w każdym innym kraju skandynawskim, a także w Niemczech, Szwajcarii i Francji. Jednak stan mojego zdrowia był tak kiepski i tak kiepskie było moje samopoczucie, że zdecydowaliśmy się nagle z Urszulą wrócić do Warszawy. Byliśmy już prawie Szwedami, w każdej chwili mogliśmy otrzymać szwedzkie obywatelstwo. Leszek Dudziak wykupił pod Göteborgiem pół wsi i był już tam zadowolony. Nie brakowało tras koncertowych, nie brakowało kontraktów w knajpach, a mimo to postanowiliśmy wrócić.

Nie był to powrót triumfalny. Miał w każdym razie miejsce w roku 1969, kiedy to nagrałem z nowym zespołem płytę „Live In Warsaw” (Muza Records) i wystąpiłem na Jazz Jamboree. Na fortepianie grał Adam Makowicz, na basie Paweł Jarzębski, na perkusji Czesław Bartkowski, a śpiewała Urszula Dudziak. W najbliższej przyszłości okazało się, że jest to czołowa formacja jazzowa w Europie i że na jej tle ja, kierownik grupy, też nie wypadam blado, a wprost przeciwnie – czekało mnie przecież wielkie wyróżnienie. Na razie jednak, w Warszawie, kiedy zjawiłem się w niej chory i osłabiony psychicznie, krytycy, muzycy i przyjaciele kopali mi grób.

Z uśmiechów, z gestów, ze sposobu, w jaki traktowali mnie ludzie, mogłem wysnuć jeden tylko wniosek: Michale, jesteś skończony! Nie umiesz grać, nie umiesz komponować, nie umiesz kierować zespołem, więc napij się lepiej wódki, a potem połóż się i umrzyj, bo tak czy owak nic już z ciebie nie będzie.

Myślę, że w Polsce koledzy tylko czekają, aby wyciągnąć konającemu spod głowy poduszkę. Tak się wtedy czułem.

Piłem, było mi źle, czekałem chciwie na każde życzliwe słowo, ale częściej nadziewałem się na jadowite, pełne złośliwej satysfakcji spojrzenia, z których mogłem wyczytać swoją klęskę.

Postanowiłem się bronić. Wciąż byłem przecież bardzo młodym, dwudziestokilkuletnim człowiekiem, więc wszystko buntowało się

we mnie, że tak szybko postawiono nad moją, pustą jeszcze mogiłą krzyż. Gdzieś w środku, w głębi zmęczonego serca i chorej duszy, czułem nieprzebrane pokłady twórczych zasobów. Gdybym nie pił, był zdrowy, mógłbym czerpać z nich pełnymi garściami.

Ale piłem. I nie byłem zdrowy. Coraz częściej podszeptowano mi, że powinienem się wszyć – iść do przychodni przeciwalkoholowej i wziąć esperal. Pytałem, na czym to polega. Ano chirurg otwiera ci brzuch albo pośladek, albo jakieś miejsce pod łopatką i wpycha tam dziesięć pastylek esperalu, po czym zaszywa to zgrabnie i już jesteś zdrowy.

Zdrowy? – Zdrowy. – Czemu zdrowy? – Bo nosisz w sobie śmierć. Od tej chwili nie wolno ci wypić, bo umrzesz, bo masz padaczkę i chorujesz na serce. Organizm zbuntuje się nawet po łyku piwa albo dwudziestu gramach wódki. Poczujesz w sercu i w głowie takie uderzenie, jakby cię walnął młot pneumatyczny, i dwa dni później będziemy się z tobą bawić w chowanego na jakimś cichym podwarszawskim cmentarzu.

Ale może być również inaczej. Może być tak, że ukochana matka zechce pochować cię w Łodzi. Wtedy będzie dużo zamieszania. Klnąc w duchu, niektórzy koledzy muzycy poczują się w obowiązku pojechać samochodami i pociągami do Łodzi, aby pochylić się nad twoją rozkopaną mogiłą.

Płakałem.

Nie chciałem jeszcze umierać. Chociaż jakiś głos wewnętrzny podpowiadał mi, że gdyby tak się stało, wszyscy moi aktualni przeciwnicy zaczęliby nagle mówić, jaki to byłem zdolny, może nawet genialny, jaka to niepowetowana strata dla muzyki, że przeniosłem się tak szybko na drugi świat. Kto umiera młodo, staje się nieśmiertelny, choćby nawet niczego wielkiego nie dokonał. Po prostu ludzie zaczynają przypominać sobie jego najlepsze strony i spekulować, co mógłby jeszcze zrobić, gdyby żył.

Martwy artysta przestaje być dla kogokolwiek konkurentem. Umrzyj, a nawet wrogowie będą wynosić cię pod niebiosa.

Jednakże instynkt życia, który w moim wypadku łączył się nierozdzielnie z nienasyconym pragnieniem tworzenia, bronił mnie przed takim rozwiązaniem. Nie chciałem krótkiej i puste, kapryśnej sławy. Chciałem grać, komponować, cieszyć się moją ukochaną muzyką, która zawsze była dla mnie ważniejsza od rozgłosu. Nie jestem wcale tak próżny, jak to się niektórym zdaje. Może nawet w ogóle nie jestem próżny.

Jestem artystą, kocham to, co robię. Moje ciało było przesiąknięte alkoholem, ale moja dusza była przesiąknięta wyłącznie muzyką. A więc była nieskazona i czysta.

Nie uznaję muzyków, którzy grają wyłącznie dla popularności i pieniędzy. Nie są dla mnie w ogóle muzykami.

Wypytywałem biegłych w sprawie gazerów, czy istnieje dla pijaka jakieś koło ratunkowe poza wszyciem. Doktor Ładygin powiedział:

– Istnieje.

– Co?

– Anticol, takie tabletki, które bierze się doustnie. Ale pan ma padaczkę, więc są przeciwwskazania.

– I nic więcej?

– Jak to nic? Może pan jeszcze udać się na kurację odwykową. Trzy miesiące to potrwa, oddział zamknięty, pokoje bez klamek. Potem pan wyjdzie i znowu pan zacznie pić. Marek Hłasko powiedział: kto pił, ten będzie pił, i nie ma na to żadnej rady.

– Pan pije, doktorze?

– Nie piję.

To był niesamowity gość. Miał na punkcie jazzu kompletną szajbę. Nie był snobem, jak to się często zdarza wśród lekarzy. Był

fanatycznym wielbicielem amerykańskiej muzyki, przed którą padał na kolana, a jeśli na chwilę się podniósł, to tylko po to, aby paść na twarz. Znał się na płytach i kolekcjonował je. Jeśli jakiś pieprzony krążek z Mulliganem czy Garnerem kosztował dwa tysiące, to amator gotów był zapłacić trzy, a doktor Ładygin wszystkich przebijał i bulił lekką ręką pięć. I nawet cholera nie drgnęła powieka.

Sprzedam mu tak kiedyś Coltrane'a. Zapłacił i powiedział:

– Trzeba to opić.

– Proszę bardzo.

Rozlałem po kieliszku. Walnął i zrobił się czerwony jak rak. Oczy wyszły mu z orbit. Nie mógł złapać powietrza. Trząsał się jak galareta, pocił, dygotał, wreszcie wyskoczył jak oszalały z mojego mieszkania, zapominając o płycie.

Wrócił po nią wieczorem. Był uśmiechnięty i szczęśliwy. Klepnął mnie w ramię i huknął:

– Miodu, panie Michale!

Ja tam Sienkiewicza nie czytałem, ale domyśliłem się, o co chodzi, i mówię:

– Nie ma miodu, jest tylko wódka.

– Tym lepiej.

Walnął i nie zrobił się czerwony, chyba że miał legitymację. Pół litra w godzinę wpompował i był coraz szczęśliwszy. Więc go pytam:

– Skąd u pana, doktorze, taka cudowna przemiana?

Wówczas przyznał się, że był wszyty i właśnie wypruł z siebie esperal. Nie widelcem, jak to robią amatorzy. Fachowo, lancetem i pincetą. Ranę zdezynfekował i opatrzył, choć sprawiło mu to pewną trudność, bo była na plecach. Na szczęście ludzkość wynalazła coś

takiego jak lusterko, więc nie musiał prowadzić po omacku.

– I jak pan się teraz czuje?

– Jak w niebie, panie Michale. Jak w niebie. Ale niebo pijaka łączy się przez cienką ścianę z piekłem.

Zdecydowałem, że muszę wciąć esperal. Gdyby mnie wszyli pod łopatką, nigdy bym takiej operacji jak doktor Ładygin wykonać nie potrafił. Jakie to szczęście, że nie studiowałem medycyny!

Ale Tomek Stańko wyjaśnił mi wiele lat później, że nie jest to wcale takie wielkie szczęście, bo na każdy sposób alkoholicy wykombinowali kontrę.

Tomek szedł w górę. Rozwijał się jako trębacz i kompozytor. Poza tym, tak samo jak ja, zaczął współpracować z symfonicami nowej generacji, których pojawiło się kilku w latach sześćdziesiątych, między innymi Krzysztof Penderecki i Bogusław Schaeffer. Tomek nagrał nawet z Pendereckim płytę, ale żeby raz wyjaśnić sprawę, trzeba powiedzieć, na czym to polegało. Otóż po minucie ciszy i godzinie walenia patelnią w fortepian ten czy ów awangardowy kompozytor wypychał na scenę mnie, Stańkę lub innego jazzowego cwaniaczka, żeby trochę poimprovizował, i kiedy dmuchaliśmy w rurę, za nami z tyłu orkiestra robiła kociokwik.

Ściągali nas do filharmonii na Warszawską Jesień. Fraki, batuty, wielka gala, jeden machał, drugi bzykał, potem jazzman puszczał jazzowego bąka i dalej wszystko zależało już tylko od krytyki: albo to było genialne, albo chuj.

Tak czy owak Stańko w swojej poważnej jazzowej robocie był naprawdę doskonały, ale miał takie same ciężkie problemy z wódą jak ja. Z tym że on wszystko już poznał i przez wszystko przeszedł, więc ostatnio zwróciłem się do niego o radę, jak tu pozbyć się nałogu. Wtedy zgnął mnie sztywnym palcem w brzuch i zapytał:

– Ty chcesz przestać pić czy „toto” chce przestać pić?

Czyli miałem w sobie jakieś „toto”. Cholera go wie, może i miałem. Ten cholerny trębacz zabijał mnie swoją pokrętną logiką. Ale mówię:

– Tomek, przed dwudziestu laty po dyskusji z doktorem Ładyginem doszedłem do wniosku, że najlepiej się wszyć.

– Pewnie, możesz się wszyć.

Ucieszyłem się, że jest taki zgodny, i mówię:

– Najlepiej gdzieś z tyłu, pod łopatkę lub w plecy, wiesz, żeby nie sięgnąć ręką.

– To nic nie da.

– Jak to: nic nie da?

– No nic!

I wyjaśnił mi meandry zagadnienia. Otóż w komunie, jeśli żona nakablowała, przychodziła z nakazem milicja, najczęściej dzielnicowy z jakimś drugim żulem, i prowadziła za ucho pijaczka na wszycie. A jak się nie godził, to szedł siedzieć.

Tu muszę wtrącić, że w Stanach wszywanie esperalu jest zabronione; jeśli ktoś chce się wszyć, musi jechać do Kanady albo udać się na Greenpoint, do polskiej dzielnicy w Nowym Jorku, gdzie za sto dolarów załatwi go jakiś lekarzyna szarlatan. Stany nie wiedziały po prostu, jak radzić sobie z alkoholizmem, komuna natomiast robiła to śpiewająco.

No więc prowadzą, mówi Tomek, pijaczka na wszycie, idzie żona, idą milicjanci, a po drugiej stronie ulicy idzie kumpel z półlitrem. Operacja się odbywa, chirurg zakłada szwy i uwalnia pacjenta. Milicjanci natychmiast odchodzą z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Żona też jest szczęśliwa, że okiełznała bydlę. Ma łzy w oczach, całuje serdecznie męża w policzek, a on mówi, że musi się przejść.

„Idź, idź. Oczywiście. Spacer uspokoi twój system nerwowy. Powiedz tylko, kiedy wrócisz, kochanie?”.

„Za godzinę”.

„No to pa!”.

Rozchodzą się. Ona biegnie radośnie do domu, a on na róg, gdzie czeka w bramie kumpel z butelką. Jest empirycznie sprawdzone, że jeśli w pół godziny od wszycia uchlaz się strasznie, ale naprawdę trzeba ostro przyjebać, to esperal przestaje działać, bo nie miał jeszcze czasu dostać się do krwiobiegu i rozpełznąć po organizmie.

Nie musisz się wypruwać, nic, był esperal i jest esperal, lecz jego czarodziejska moc została zniwelowana na tej samej zasadzie co połknięta grzecznie pastylka anticolu, jeśli skontrujesz ją najpierw piwem, po godzinie setą, a po trzech godzinach możesz już chlać do upojenia. W pięć dni po operacji błogosławiony przez małżonkę ochlapus wraca więc na czworakach do domu i wszystko zaczyna się od nowa.

Powtarzam: Tomek powiedział mi to dużo później. Lecz wówczas, w sześćdziesiątym dziewiątym roku w Warszawie, nie pocieszały mnie żadne wariackie opowieści. Tym bardziej że każdy pijacki kontrzabieg nosił w sobie znamiona samobójcze.

Może przeżyjesz, a może się przekręcisz ku szczeremu zachwytowi przyjaciół.

Wiedziałem, że mam słabą wolę i że z chwilą, kiedy mnie już wszyją, mogę popaść w szaleństwo. Mógłbym również wykonać czapę. Myśl o czapie zaczęła mnie już nachodzić wcześniej, w Skandynawii, kiedy dorywała mnie padaczka. Ale dopiero po powrocie do Warszawy zamiar ten ovladnął mną na dobre.

Czapa – i nie ma choroby.

Czapa – i nie ma złych spojrzeń.

Mimo zaledwie dwudziestu kilku lat czułem się już bardzo zmęczony. Nowy Jork, moja nieprzerwana obsesja i miłość, wydawał się dalej niż kiedykolwiek. Będąc za granicą, pisałem setki podań do różnych amerykańskich instytucji, napraszając się o kontrakt w jakiejś wytwórni płytowej albo o stypendium na wydziale jazzowym w jakiejś uczelni. Jednak nic z tego nie wychodziło, a ja byłem znużony i miałem chwilami ochotę odpuścić.

Tak czy owak, dałem się zaprowadzić do przychodni przeciwalkoholowej i zapisano mnie na wszycie.

Tu zbliża się dzień mojego największego triumfu. Kiedy miałem się już położyć na chirurgicznym stole, złożyłem ręce, jakby to był kościół, a nie śmierdząca środkami farmakologicznymi buda, i powiedziałem ze łzami w oczach:

– Nigdy więcej! Błagam, nie róbcie mi tego, a ja przysięgam na moją żonę, na moją matkę, na moje ukochane saksofony i na moje zapomniane, wzgardzone i osieroczone skrzypki, że nie napiję się więcej, że odstawię alkohol jednym ruchem ręki.

Dano mi tę szansę, a ja dotrzymałem słowa.

Tak jak nie zdradziłem mojej żony Urszuli przez siedemnaście lat, tak przez najbliższych piętnaście lat ani razu nie umoczyłem pyska. Nie tylko wina, piwa czy wódki, nawet kaczkę nie ruszyłem, jeśli była to kaczkę w maladze.

Perfumując się po goleniu, uważałem, żeby nie padła mi na wargę kropla wody kolońskiej. Stałem się najbardziej zatwardziałym abstynentem na świecie.

Niech się nikomu nie zdaje, że poprawił się dzięki temu stan mego zdrowia. W Ameryce twierdzą, że gdyby znakomitej Billie Holiday i tysiącom innych uwikłanych w narkotyki artystów nie odstawiono tak brutalnie heroiny, to żyliby dłużej. Stąd biorą się głosy, aby mimo bezspornego zła, jakie niosą, zalegalizować narkotyki. Uzależniony od heroiny człowiek może wyjść ewentualnie z nałogu, ale nigdy w ten sposób, że wrzuca się go jak szmatę do więziennej celi. Gwałtowne

odstawienie heroiny powoduje, że organizm poddaje się chętnie wszelkim chorobom, łatwo na przykład złapać zapalenie płuc i już z niego nie wyjść. Nie mam zamiaru wymądrzać się w tej materii, nic o narkotykach nie wiem i nic wiedzieć nie chcę.

Ale zastanawiam się, czy koszmar, jaki przeżyłem w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy od momentu rozstania się z alkoholem, nie polegał na tym samym co odcięcie heroiny.

Moje picie do czternastego roku życia to była zabawa. Ale później, od czternastego roku życia w górę, piłem w zasadzie bez przerwy. Mogłem się nie zataczać i nie mówić głupstw, ale piłem, zatruwając latami każdy centymetr ciała. Alkohol wiązał mnie na swój perfidny, wyniszczający sposób, więc kiedy oderwałem się od niego na dobre, popuściły widocznie wszystkie moje spoiwa; inaczej sobie tego wytłumaczyć nie umiem.

Nie umieli również tego wytłumaczyć lekarze, wybitni specjaliści, którym płaciło się twardą walutą, a nie książeczką ubezpieczalni. Przywieźliśmy z Urszulą ze Szwecji dwa auta, jedno nowe, drugie prawie nowe. Mieliśmy pieniądze, zapisaliśmy się na mieszkanie własnościowe, wzięliśmy w ajencję piwnicę w Hybrydach, którą nazwaliśmy „Piwnicą u Urbaniaków”. Można było żyć i można było grać, ale ja nie żyłem i nie grałem, ja przez dziewięć miesięcy umierałem.

Wynajęliśmy apartament na Powiślu, przy moście Poniatowskiego, ulica Gwardzistów 9a mieszkania 13. I w tym domu właśnie przeleżałem dziewięć bitych miesięcy, otwierając codziennie rano oczy i dziwiąc się, że jeszcze oddycham. Kilka razy w tygodniu przyjeżdżało do mnie pogotowie, w jednej ręce lekarz trzymał nitroglicerynę, a w drugiej relanium i zastanawiał się, co mi dać. Miałem chorobę reumatyczną, nadwagę, niedoczynność przysadki mózgowej, w sercu całkowity blok prawej gałązki pęczka Hisa i dziesięć innych, większych lub mniejszych niedomagań, o których nie chcę mówić. Wyzdrowieć miałem dopiero piętnaście lat później, kiedy wziąłem się niemal zawodowo do tenisa i schudłem dwadzieścia trzy kilogramy.

Tymczasem leżałem całymi dniami w łóżku na Powiślu. Byłem gnuśny i skołowany. Gapilem się w sufit, liczyłem plamy na ścianach.

Jak byłem w lepszej formie, snuły mi się po głowie urywki jakichś melodii, bo cały czas żyłem muzyką. Jak byłem w formie gorszej, wylęgała się w sercu myśl o czapie.

Wieczorami kazałem Urszuli zapraszać jak najwięcej gości, którzy chętnie przychodzili popić i popatrzeć na powalonego kolegę. Brak mi było tych kochanych zapijaczonych pysków, więc kazałem ich zapraszać, a jak sobie popili, kazałem podstawić im nowe butelki. To był chyba pierwszy pozytywny objaw w mojej chorobie.

Leżałem sobie na plecach, z rękami pod głową, i obserwowałem odkształcających się przyjaciół. Z każdym kolejnym kieliszkiem wygadywali większe bzdury. Prześcigali się w idiotyzmach i banałach. Opadły im szczęki i policzki, jakby wyciągnął ktoś spod nich konstrukcję kostną. Nawet kobietom ciekła z ust ślina, a niejeden facet się usmarkał. Wrogowie wpadali raptem w pijackie rozrzewnienie i wyznawali sobie dozgonną miłość, aby nazajutrz znowu wykopać topór wojenny. Nienawidzące się damy prawiły sobie komplementy, jak to jedna z drugą ślicznie jest dzisiaj ubrana. Wielcy muzycy klepali po plecach małych muzyków, zapewniając ich, że skoro tylko popracują, również odniosą artystyczny sukces.

Zrozumiałem wówczas, że jeszcze niedawno ja zachowywałem się identycznie.

– Urszula, daj mi wody! – mówiłem, bo chciałem zobaczyć, co będzie dalej, chciałem przejrzeć się w lusterku wstecznym. Ci ludzie to byłem przecież ja w stu różnych odmianach. Ściskali się, całowali, rzygali, zasypiali na fotelach i dywanach.

Moje ciało wciąż było chore, czyścił się jednak z każdym tygodniem mój mózg. Zauważyłem nagle, że mogę myśleć z diabelską precyzją. Parę dobrych muzycznych motywów zaświtało mi w głowie, więc wziąłem papier nutowy i zapisałem je. Kilka razy spojrzałem na leżące w kącie skrzypce, czując, że muszę je odkurzyć. Ostatnio, choćby na Jazz Jamboree, grałem przecież wyłącznie na saksofonach, na tenorze i alcie, często również na sopranie, lecz wiedziałem, że notoryczne dmuchanie w rurę skończyło się dla mnie raz na zawsze. Może, jeśli wyzdrowieję, będę mógł wydmuchać na koncercie pięć czy

sześć kawałków. Nie więcej jednak. Resztę trzeba będzie załatwić skrzypcami.

Gdzieś w drugim, trzecim miesiącu choroby znowu wróciła do mnie obsesja Stanów. Nie tęskniłem za Europą, za żadnym Sztokholmem czy Paryżem, bez przerwy natomiast marzyłem o Nowym Jorku. Chwilami były to marzenia tak rozpaczliwe, iż przestawałem wierzyć, że kiedykolwiek tam byłem.

Nie wstydzę się do tego przyznać. Wstydzić to się może żołnierz, polityk czy inny skurwysyn, który niby wszystko robił dla Polski, a potem wyemigrował dla pieniędzy. Ja byłem jazzmanem i chciałem wyemigrować dla jazzu.

Skoro Ameryka jest kolebką jazzu, to ja, jazzman, mam prawo traktować ją jak ojczyznę. I tak ją do dzisiaj traktuję. Nie urodziłem się powstańcem styczniowym ani żadnym bohaterem, żebym musiał zachłystywać się swoją polskością. A że kocham również Polskę, to już inna sprawa. Obok amerykańskiego mam także polskie obywatelstwo. W Nowym Jorku mówią na mnie „Michael”, na okładkach płyt i w wywiadach prasowych zachowuję jednak imię w pisowni polskiej. „Michał” jestem. Na końcu „l” zamiast „ł” bo tej drugiej spółgłoski brak w angielskim alfabecie.

Przyjechała z Łodzi moja niezawodna matka, aby doglądać mnie wraz z Urszulą. Próbowałem przy pomocy jednej czy drugiej wykonać parę kroków, ale zatykało mnie, oblewałem się potem i czym prędzej wracałem w szlafroku do łóżka.

Na świeżym powietrzu dwa kroki kończyły się podobną klęską. Wraz z wodą rzuciłem palenie, ale i to niewiele dało.

Matka zwróciła się o pomoc do różnych sercowców, leczyl mnie między innymi znakomity kardiolog profesor Żera. Potem jakiś autorytet klasnął w ręce i wrzasnął, że ma już lekarstwo. Trepanację czaszki trzeba mi zrobić. Usłyszawszy to, matka wpadła w szal. Mojemu genialnemu synowi trepanację czaszki? Sam pan sobie zrób trepanację czaszki albo wykonaj pan to doświadczenie na własnych dzieciach.

Na stoliku obok łóżka roilo się od lekarstw. Brałem je i leżałem. Pocieszała mnie myśl, że mimo braku poprawy nikt nie przepowiadał mi już rychłego zgonu. Czułem, że będę żył, że kiedyś wstanę, że wyjdę jeszcze na scenę i zagram.

I znowu śniłem o płonących dachach Manhattanu, nasłuchując baczenie, co nowego dzieje się na światowej scenie jazzowej. Nie telewizja, radio było moim informatorem. Szukałem amerykańskich, a także brytyjskich i francuskich stacji, żeby zorientować się, w jakim kierunku zmierza muzyka jazzowa. W wielu krajach miałem swoich ludzi. Opłacałem ich, a w zamian otrzymywałem najnowsze taśmy i płyty, najświeższe plotki i wiadomości, dzięki czemu nie umknął mojej uwadze żaden nowy rytm, żadne przebijające się w jazzie nazwisko.

Ze specjalną czujnością śledziłem poczynania Milesa Davisa. Ten facet nigdy nie przystanął w miejscu. Stara gwardia trzymała się razem i grała do upojenia te same kawałki, a jeśli nawet były to nowe kawałki, to i tak były stare, bo napisano je w starej manierze. Miles tymczasem, nie przejmując się przekleństwami krytyków i rozczarowaniem publiczności, szedł dalej. Publiczność i krytyka doganiały go w pewnym momencie, bo zdążyły się oswoić z nowym brzmieniem. Oddychały z ulgą, że oto znowu mogą zrozumieć i kochać swojego boga, lecz Miles robił im psikusa i wykonywał kolejny krok, więc znowu wszyscy wrzeszczeli: – Miles, wróć do źródeł, zagraj nam jak za dawnych lat!

Co za głupota. Gdyby Miles miał grać bez przerwy jak za dawnych lat, przypominałby architekta, który buduje bez przerwy ten sam pałac. Pierwszy egzemplarz tego dzieła sztuki był na pewno objawieniem, ale kiedy powielono go w mieście do dwóch tysięcy, ludzie zaczęli rzygać. Artysta, choćby największy, musi się rozwijać – eksperymentować, poszukiwać, odnosić sukcesy i ponosić klęski, bo one także uczą patrzeć na sztukę. Miles odnawiał składy, zmieniał barwy, sięgał po instrumenty elektryczne i nie bał się angażować młodych muzyków o wyraźnym przechyle rockowym.

W tym samym kierunku zmierzałem i ja. Już w Szwecji, ani na chwilę nie rezygnując z jazzu, zmuszałem zespół do rockowego uderzenia, wiedząc, że wcześniej czy później zacznę grać w ten sposób

cały świat.

W Polsce i w Europie natomiast panowała fatalna moda na free jazz. Było to wielkie udawanie muzyki improwizowanej i każdej innej muzyki. Było to wielkie udawanie muzyki klasycznej przez amatorów, którzy w życiu nie słyszeli muzyki klasycznej i w życiu jej nie grali. Każdy, najgłupszy nawet utwór symfoniczny skomponowany przez prawdziwego klasyka był arcydziełem w porównaniu z żalonymi dokonaniem jazzmanów produkujących bzdety niemające nic wspólnego z żadną w ogóle sztuką. Jedyną korzyścią, jaka wynikała dla jazzmanów z tego bredzenia, była nauka improwizacji poza idiomem jazzowym, co nie interesowało mnie zupełnie.

Chciałem grać rytmy rockowe i funkowe, tak żeby widownia zaczęła się ruszać, a jednocześnie wpakować do środka zdrową, niebanalną, ambitną treść. Była to jedyna droga, jaką miał przed sobą znudzony jazz.

Nikt w Polsce tego nie rozumiał. Nikt nie dawał mi wiary. Niebawem jednak okazało się, że miałem rację.

Wysłałem kilka taśm do Berklee College Of Music w Bostonie z nadzieją, że może wezmą mnie na studia. Dla moich przyjaciół wciąż była to mrzonka. Nie chcę wymieniać nazwiska, lecz jeden z naszych największych jazzmanów zdenerwował się kiedyś po kielichu i ryknął na mnie, kiedy leżałem z rękami pod głową:

– Nie pierdol, Michał! Ameryka jest dla Amerykanów, a nie dla Polaków. Skoro my możemy grać w Polsce, to i ty możesz tu grać. Nie jesteś przecież od nas lepszy.

A ja na to:

– Pewnie, że nie jestem lepszy. Ja po prostu lepiej widzę i czuję. I dlatego właśnie, nawet jeśli jestem gorszy, wyjadę w końcu, a wy będziecie rzepolić tu do śmierci.

Zrozumiałem w trakcie tej choroby, że talent stanowi tylko niezbędne minimum, reszta zaś zależy od pracy. To truizm, ale warto go

zapamiętać. Jeśli gość z talentem nie będzie pracował, to go wyprzedzi inny gość, który ma talentu o połowę mniej. Tu coś podsłucha, tam coś zerżnie, bo poza tematem kradzież w muzyce improwizowanej jest dozwolona, no i leżysz – jemu zacnie basować krytyka; on dostanie pracę, nie ty. Nie mam nic przeciwko tytanom pracy, bo sam takim jestem, a w każdym razie – bywam.

Znam facetów, którzy nie mieli słuchu, przyczepiali się jednak do instrumentu jak rzep. Ćwiczyli po dwanaście godzin dziennie, kopiowali, kompilowali i wychodzili na swoje. Więc żeby się z nimi pościgać, musisz pracować, a wówczas, jeśli masz talent, dasz im w dupę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY:

Znowu wdarłem się na szczyt

Wpadłem na pomysł otwarcia Piwnicy u Michałów czy też u Dudziaków w Hybrydach. Bogu dzięki, że wynająłem to pomieszczenie, bo nawet jeśli nie zarobiłem na nim grosza, było przynajmniej gdzie ćwiczyć i grać. Skoro tylko dźwignąłem się z przeklętego łóżka, miałem klapki na oczach; obchodziła mnie tylko muzyka. Żadna stabilizacja, żadna rodzina. Kochałem oczywiście głęboko Urszulę, ale traktowałem ją przede wszystkim jako muzyka w moim zespole i wymagałem od niej więcej niż od innych.

Kupiłem za trzysta złotych chińską fufajkę Mao Zedonga. Był to protest w drugą stronę, swoiste wyznanie wiary w jedyną liczącą się dla mnie wartość – jazz.

Z każdym dniem byłem silniejszy, więc mogłem coraz więcej pracować. Zabierało mi to cały wolny czas, którego większość traciłem kiedyś na zabawę. Fufajka Mao Zedonga bardzo mi w tym ascetycznym życiu pomogła.

Próbowałem i koncertowałem w Hybrydach w tym samym składzie. Byli ze mną ci sami ludzie, z którymi wystąpiłem na ostatnim Jazz Jamboree i którzy nagrali ze mną w sześćdziesiątym dziewiątym roku płytę „Live In Warsaw”: Urszula – wokal, Adam Makowicz – fortepian, Paweł Jarzębski – bas, i Czesław Bartkowski – perkusja.

Wykazałem się siłą ducha, bowiem nie spodobałiśmy się przecież krytykom i publiczności, i każdy inny bandleader dokonałby zmian. Uważałem jednak, że są to najlepsi dla moich celów muzycy. Nie miałem zamiaru wymieniać ich z tego tylko powodu, że komuś tam nie przypadli do smaku. Zresztą najbardziej do smaku nie przypadłem ja.

Makowiczowi kupiłem za ostatnie pieniądze małą elektryczną klawiaturę, której jako ambitny pianista do dzisiaj nie może mi wybaczyć. Nie był to perfekcyjny instrument, ale na nic innego nie było mnie stać. Odczuwałem potrzebę elektrycznego piana, które dawało oryginalne brzmienie i zupełnie inną muzykę wraz z elektrycznym

basem, na którym grał Paweł Jarzębski.

Dzień w dzień, siedem razy w tygodniu przez osiem czy dziewięć miesięcy, graliśmy wieczorami w Hybrydach, więc z wolna stopiliśmy się w jeden instrument o pięciu różnych rejestrach. Z początku oczywiście śmiano się z nas, bo indiańskie plemię pomniejszych główek czuwało.

Przychodził Stańko popić, przychodził Zbyszek Namysłowski i Włodzimierz Nahorny, ale i oni narzekali. Mówili, że z tych winogron szampana nie będzie. Już niebawem jednak wszyscy zaczęli grać tak samo. Podsluchali mnie, podejrzeli i uderzyli w podobny dzwon. Raptem także doczekałem się pochwał, że zwąchałem to, czego oni zwąchać nie mogli.

Byłem ponad te pochwały. Bardziej cieszyła mnie reakcja widowni, która ruszała się, falowała, pokrzykiwała, a często po prostu miała ochotę zatańczyć.

Jazz, którego nie można zatańczyć, a przeznaczony jest niby tylko do słuchania, niewiele dla mnie znaczy, bo gram między innymi po to, żeby sprawić sobie i ludziom radość, a człowiek radosny manifestuje swoje humory w tańcu.

Niedawno jeszcze lżony i wyszydzany, pochlebstwa przyjmowałem z chłodną miną. Wystygłem wewnątrz, bo nauczyłem się panować nad emocjami. Robiłem swoje. Skupiałem się jak lekkoatleta przed wielkim skokiem. Nie obchodziły mnie zmienne opinie muzyków, których zostawiłem daleko w tyle. Niech sobie grają – myślałem – swoją szlachetną odmianę słowiańskiego jazzu.

Tak jak kiedyś zdradziłem skrzypce dla saksofonu, teraz zacząłem zdradzać saksofon dla skrzypiec. Wiedziałem, że w Ameryce instrument ten nie cieszy się estymą, choć grał tam przecież szalony Stuff Smith. Mam dzisiaj w Nowym Jorku kompaktową płytę tego wihajstra, piętnaście czy dwadzieścia kawałków, i kiedy go słucham, chce mi się wyć. Przyjaźnię się z Grappellim, nagrywałem z nim w Paryżu i kochałem go. Ale Stéphane przy Stuffie jest krótki. On zresztą o tym wie. Smith, od dawna już nieżyjący, przycinał z takim fajerem, z takim

pomysłem i swingiem, że można się było załamać. Improvizował w obrębie zupełnie niesamowitej harmonii, aby wyskakiwać z niej tak daleko w jednym takcie, że wrócić do niej na czas w drugim było prawie niemożliwe, a on wracał.

Był to absolutny Paganini jazzu, choć jestem głęboko przekonany, że gdyby Paganini mógł Smitha na żywo wysłuchać, niejednego by mu pogratulował.

Ameryka tak czy owak nie była za skrzypcami, ja zaś zdawałem sobie sprawę, że będę musiał ją zdobyć z ich właśnie pomocą. Saksofony na dłuższą metę nie wchodziły w rachubę. Nie skreślałem ich, ale intensywne granie groziło mi zawałem i wylewem krwi do mózgu. W tej sytuacji ćwiczyłem jak szalony na skrzypcach, które stawiały mi opór, nie tak wielki jednakże, abym z każdym dniem nie odzyskiwał techniki.

Matka, która często przyjeżdżała z Łodzi, była zachwycona. Wierzyła we mnie. Wiedziała, że wyjdę i pokażę. Cieszyła się, że zrobię to na skrzypcach, ale saksofon też w międzyczasie zdążyła pokochać, więc pytała nieraz przewrotnie:

– Po co ja ci tę rurę kupiłam, Michaś? Żeby w kącie stała?

– Jeszcze na niej zagram, mamó. Przyrzekam.

Śmialiśmy się. Całowałem kochane matczyśko w rękę. Byłem szczęśliwy. Poświęciłem się bez reszty pracy, ale do dzisiaj wiem, że artysta tylko wtedy może być szczęśliwy, gdy pracuje. Żadne pieniądze. Żadna miłość. Zresztą urlopowany twórca, taki, co nic nie robi, tylko je i pije, nie jest zdolny do ogromnej, wybuchowej miłości. Jeśli nawet się zakocha, to na pół wzvodu.

Opląciło się pracować.

Któregoś dnia przyszedł Jan Byrczek, którego jeszcze nieraz w tej książce wspomnę, i powiedział, że w szwajcarskim Montreux odbędzie się w 1971 roku festiwal jazzowy, na którym zaprezentuje swoje zespoły szesnaście czołowych europejskich radiofonii, w tym polska. Zdaniem Jana Byrczka, doskonałego kontrabasisty, długoletniego prezesa

Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego i naczelnego redaktora „Jazz Forum”, my, grupa Michała Urbaniaka, byliśmy najlepszym i jedynym kandydatem do wyjazdu na tę imprezę.

W Hybrydach była ta rozmowa. Przełknąłem ślinę, bo czułem, że nadszedł przełomowy moment, a Byrczuś mówił:

– Powinieneś, Michał, iść do Pagartu i do Ministerstwa Kultury, i pchnąć sprawę. Paszporty wam dadzą, delegacje wam dadzą, nie wiem tylko, jak będzie z pieniędzmi. Warto jednak szarpnąć się i pojechać choćby za swoje, bo coś mi się zdaje, że macie szansę. Kto wie, Michał, czy nie jest to ta szansa, na którą czekałeś?

Kocham Byrczka, bo on myślał zawsze w tym samym kierunku co ja, a kiedy zdrowie uniemożliwiło mu grę na basie, nie załamał się i brał w życiu najtrudniejsze przeszkody jak gladiator.

Załatwiłem delegacje, wziąłem auto z przyczepą i wyruszyliśmy do Montreux jak tabor cygański: Urszula, Makowicz, Jarzębski, Bartkowski, wciąż ci sami ludzie, z którymi potem, w 1970 roku, nagrałem płytę „Paratyphus B”, a w 1971 roku album „Inactin”, obydwie w wytwórni Intercord.

W Montreux były wszystkie europejskie tuzy o znanych nazwiskach spopularyzowanych przez radio i gazety. My nie mieliśmy praktycznie żadnej marki. Jakiś Szwed przypomniał nas sobie z grania w knajpie, jakiś Niemiec, wymówiwszy kilkakrotnie moje nazwisko, skojarzył grupę Michała Urbaniaka z koncertem i płytą, o których dawno zdążyliśmy zapomnieć.

Nie mieliśmy ani pleców, ani publiczności, która czekałaby z niecierpliwością na nasz występ. Nie znaczy to jednak, że czuliśmy się gorsi.

Wyszliśmy na scenę i zaczęliśmy przypieprzać. Koncert był jak cholera. Przeciągnęliśmy go trochę, ale nikt się nie gniewał. Jak ktoś naprawdę dobrze przypieprza, wiele można mu wybaczyć.

Grałem na sześciu instrumentach: tenorze, sopranie, barytonie,

alcie, skrzypcach i skrzypcach niższych o oktawę.

Dostaliśmy owacje. Część widowni wstała. Zewsząd krzyczano o bis. Czuję, że nawet jeśli nie otrzymamy żadnej nagrody czy wyróżnienia, i tak posypią się propozycje, dzięki czemu wyjdziemy poza Hybrydy i zaczniemy znowu koncertować na Zachodzie, a tylko na to czekałem.

Byrczek też był w Montreux, ale nie z nami, lecz osobno, zasiadał we władzach europejskiego jazzu. Przyszedł do nas za kulisy i mówi:

– Jest nieźle.

– Co jest nieźle? – pytamy.

– No – mówi – kto wie? Wszystkich nagród nie dostaniecie, ale ty, Michał, masz to prawie jak w banku, pojedziesz do Stanów.

Nie wierzyłem mu. I jednocześnie wierzyłem. Zacząłem beczeć. W hotelu beczałem. Potem stałem gdzieś przy rulecie w pałacu i znowu beczałem. Wyników nie ogłoszono jeszcze oficjalnie, więc czułem ściskanie w dołku. Podskoczył do mnie dyrektor amerykańskiej wytwórni płytowej Warner Brothers, wręczył mi wizytówkę i powiedział, żebym zgłosił się do niego pierwszego dnia po przyjeździe do Stanów, to otrzymam kontrakt płytowy. Odszedłem na bok i znowu zacząłem beczeć.

Co mi tam nagroda! Miałem już swoją Amerykę. W duchu dziękowałem Bogu, że jestem trzeźwy, myśl o wódce nie przebiegła mi nawet przez głowę. Szczęściem także można się upić, jak Boga kocham!

Półtora roku temu urządzano mi w Warszawie gromki pogrzeb, a teraz podchodzi do mikrofonu przewodniczący jury i odczytuje werdykt. Otrzymuję Grand Prix jako najlepszy solista festiwalu. Ludzie wstają i biją brawo, a ja beczę. Jak tu nie beczeć? Nauczyłem się na szczęście beczeć tak, żeby jednocześnie trzymać uśmiech i fason. Nigdy nie marzyłem o tak wysokiej nagrodzie. Zupełnie jakbym dostał dyplom najlepszego muzyka w Europie. Klepie mnie po plecach przedstawiciel Coca-Coli i mówi, że firma funduje mi bilet do Stanów.

Potem dowiaduję się, że bostoński Berklee College of Music zaprasza mnie na roczne stypendium.

Michale, jesteś kimś! – pomyślałem. Niby urodziłem się Amerykaninem, ale nie w USA, zaś ojciec i matka nie mieli amerykańskich genów. Jeśli więc ktoś taki jak ja zostanie uznany przez Amerykanów za osobę, w którą warto zainwestować, znaczy to dużo więcej niż wyróżnienie w ten sposób jakiegoś amerykańskiego muzyka. Startowałem z dużo niższego i trudniejszego pułapu niż jakikolwiek jazzman amerykański i nie wstydzę się o tym otwarcie powiedzieć.

Reakcja zespołu na moje wyniesienie była fantastyczna. Wszyscy się cieszyli. Szczerze. A to dlatego, że stanowiliśmy jedność. Dążyliśmy do tego samego celu. Widać było, że mam taki napęd, że nawet gdybym podbił księżyc, to oni po drodze też mogą strącić parę gwiazd.

Dzisiaj ja, jutro któreś z nas. Adam wierzył, że wyciągnie się z gówna, i tak się stało. Wierzył Paweł, Czesiek i Urszula.

Zebrałem zespół w hotelu i powiedziałem:

– Kocham was. Dzięki wam wziąłem tę nagrodę. Więc byłbym niewdzięcznym draniem, gdybym opuścił was teraz i wyjechał do Stanów. Chcę spłacić wobec was swoje długi. Stany mi nie uciekną. Bilet nie straci ważności. Postanawiam opóźnić wyjazd o rok. Jesteśmy najlepszym zespołem w Europie, więc musimy zrobić coś, aby wszyscy się o tym dowiedzieli. Pogramy razem przez ten rok. Zarobimy dobre pieniądze, kupimy dobre instrumenty. Każdy się odkuje. Jak będziecie wszyscy OK, wtedy wyjadę.

Przystali na to. Ale mieli również swoje zobowiązania. Adam Makowicz – czy też Matyszkowicz, sam nie wiem, jak go tu nazywać, ale nazwisko skrócił niefortunnie, bo i tak, kiedy rozmawia przez telefon w Stanach, musi je literować – był wówczas akompaniatorem Wojciecha Młynarskiego. Miesiąc po festiwalu w Montreux Młynarski złapał dobrą chałturę w Kolonii, za którą każdemu z nas tamtejsza rozgłośnia radiowa zapłaciła po tysiąc marek, a graliśmy incognito, jako zespół Matyszkowicza. Były to pierwsze zdrowe pieniądze, bo za festiwalową nagrodą w Montreux, wyróżnieniem honorowym, nie krył się złamany

grosz, sam pokryłem koszty tego wyjazdu, zapożyczając się na dodatek.

Ale mieliśmy samochód – ciągnik, wielkie combi, mieliśmy przyczepę, mieliśmy cały zestaw zespołu i namioty, więc mogliśmy przemieszczać się z kraju do kraju. Pojechaliśmy do jakiegoś niemieckiego miasteczka, stanęliśmy na placu kempingowym. Powiedziałem wówczas:

– Panowie, proszę, teraz wszyscy oddacie mi zarobione pieniądze. Ja je włożę do wspólnej kasy i za parę miesięcy będzie z tego zdrowy szmal.

Chłopaki oddali pieniądze bez wahania. Dzięki temu mogłem uruchomić moje jednoosobowe biuro. Prowadziłem je bez niczyjej pomocy. Wydrukowałem przyzwoite pocztówki reklamowe Michał Urbaniak Group – Grand Prix Jazz Festival Montreux '71. Wydrukowałem w Darmstadt na denaturatowym powielaczu ulotkę, że mój polski zespół skłonny jest zagrać w każdym klubie niemieckim koncert za sto dolarów, a Niemcy były wtedy najlepszym rynkiem na mały jazz. Rozsyłałem te pocztówki i ulotki. W ślad za nimi wykonywałem ze swojego nieistniejącego biura setki telefonów do organizatorów. Oni pytali:

– Polska grupa? Stańko?

– Nie.

– Namysłowski?

– Nie.

– Więc kto?

– Michał Urbaniak.

W telefonie była cisza, a potem padało:

– Nie znamy.

– No to ja wam wyślę dodatkowe materiały.

I ponownie mówiłem o nagrodzie w Montreux, o nagranych w Niemczech płytach, i tak dalej. Nieraz dorzucałem: – Jak nas nie znacie, to my możemy przyjechać i zagrać u was na próbę za darmo, zorganizujcie nam tylko spanie.

Trzy miesiące później nie mogliśmy się opędzić od propozycji. Nasze stawki poszły dziesięciokrotnie w górę. Koncertowaliśmy dzień w dzień, siedem razy w tygodniu. Trwało to dwa lata. Nagrywaliśmy płyty, występowaliśmy w telewizji i w radiu. Staliśmy się atrakcją wielu jazzowych festiwali. Do kas na nasze występy ustawiały się długie kolejki. Rozdawaliśmy autografy, bo ludzie zaczęli poznawać nas na ulicach.

Wszystko to okupione było katorżniczą pracą. Nie chcę się użalać, lecz podobnie jak to było w zespole Komedy, teraz też ciężar organizowania tras i koncertów spoczywał wyłącznie na moich barkach.

Muzycy spali albo kochali się, albo coś tam jeszcze, a ja od rana siedziałem przy telefonie lub biegłem na pocztę (faksów jeszcze nie było), żeby porozsyłać oferty, potem musiałem zatankować paliwo i sprawdzić olej w silniku, aby mieć pewność, że samochód wytrzyma trudy podróży. Następnie podjeżdżałem pod hotel, zamawiałem dla wszystkich śniadanie, budziłem towarzystwo, które maszerowało do jadalni z zaspanymi minami. Kiedy już wreszcie wszyscy zajęli miejsca w aucie, musiałem zawieźć ich raz pięćset, raz osiemset, raz tylko trzysta kilometrów na występ w jakimś mieście lub miasteczku.

Jeśli ktoś czasem pomagał mi w tych wyprawach, to tylko Urszula. Siedziała obok mnie w samochodzie i była pilotem. Trzymała na kolanach mapę i mówiła mi, gdzie skręcić. Zabawiała mnie rozmową, żebym przypadkiem nie zasnął, bo często byłem w stanie krańcowego wyczerpania. Prowadziłem w malignie. Miałem omamy wzrokowe. Wydawało mi się chwilami, że jestem w Polsce: jeszcze dwa, trzy kilometry i zobaczę w progu uśmiechniętą mamę. Nieraz zatrzymywałem się przed stacją benzynową i mówiłem: – Panowie, wy idźcie jeść, ja potrzebuję czterdzieści minut dla siebie.

Brałem valium i zasypiałem. Potem budziłem się i jechałem dalej, pięćset, sześćset kilometrów, do celu.

Nie skarżę się, jeszcze raz to podkreślam! Kochałem ten zespół i moją codzienną krzątanię. Kochałem prowadzić samochód i kochałem grać. Był to na pewno dobry, twórczy okres w moim życiu.

Wdarłem się znowu na sam szczyt. Wygrywałem wraz z zespołem we wszelkich możliwych ankietach, w „Jazz Forum”, w „Jazz Podium”, w wielu innych europejskich magazynach muzycznych. Jak to się stało? Przecież mówiono niedawno, że nie umiem grać, że pieprzę coś o siedmiu zbójach, a tu nagle jestem muzykiem roku, kompozytorem roku, bandleaderem roku, alceistą roku, tenorzystą roku, skrzypkiem roku.

Moja grupa obwołana została najlepszym zespołem. Adam był najlepszym pianistą, Czesiek najlepszym perkusistą, Paweł Jarzębski najlepszym basistą, a Urszula najlepszą wokalistką. Ci, którzy w sześćdziesiątym dziewiątym unikali mnie po Jazz Jamboree na ulicy, teraz kłaniali mi się z drugiego chodnika.

Nigdy nie zadzierałem nosa i nigdy nie użerałem się z prasą. Szanuję dziennikarzy. Bez takich pism jak „Jazz Forum” rozwój europejskiej muzyki improwizowanej byłby niemożliwy. Krytyk może cię wylansować. Wielki krytyk może ci coś nawet podpowiedzieć: – Ty, Michał, dlaczego nie nagrałeś na płytę kawałków z filmu o Witkacym? Przecież Ameryka wciąłaby to jak makaron!

Krytyka może również próbować cię skończyć. Nie przejmuj się tym. Jeśli jesteś dobry, wcześniej czy później podniesiesz łeb.

Nie bez wzruszenia przeczytałem ostatnio w „Jazz Forum” recenzję naszej płyty „Constellation – Live At Philharmonic Hall”, którą wydaliśmy najpierw w 1973 roku w warszawskiej Muzie, potem w 1974 w amerykańskiej CBS Records, a w 1993 wznowiono ją w wytwórni Power Bros po raz kolejny. Były na niej utwory: „Bengal”, „Spokój”, „Lato”, „Seresta” i „Theme”. Nagraliśmy ją na żywo 16 maja wspomnianego 1973 roku w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Skład zespołu był trochę zmieniony: ja – skrzypce elektryczne, Urszula Dudziak – śpiew i instrumenty perkusyjne, Wojtek Karolak – organy

Hammonda i Farfisa, Czesław Bartkowski – bębny, Adam Makowicz – fortepian Fendera, i Paweł Jarzębski – bas elektryczny. Roman Kowal, recenzent „Jazz Forum”, wspominał w czerwcowej edycji magazynu (6/1994):

„Kiedy w Wiśle upłynęło sporo wody, kiedy już niemal zapomniano brzmienie Konstelacji Michała Urbaniaka, bracia Power wznowili płytę Polskich Nagrań sprzed lat dwudziestu. Wówczas płyta ta nosiła numer SXL 1010 i kosztowała... 65 złotych. Dzisiaj kosztuje prawie 200 tysięcy. O tempora, o mores!”.

Nagrano ją w atmosferze niemałego skandalu, który zakończył epokę obecności jazzu w Filharmonii Narodowej. W 25 numerze „Jazz Forum” czytamy: „To, co miało miejsce na koncercie Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego w dniu 16. V.1973 roku, przekracza wszelkie wyobrażenie. Doszło do karygodnych incydentów. Tłum sforsował główne wejście, połamano ozdobną żelazną kratę przy wejściu do szatni, powyrywano z niej mosiężne ozdoby artystyczne, wyrwano cały segment marmurowej balustrady schodów prowadzących na pierwsze piętro, pobito kierownika widowni i pięciu bileterów, dwóch z nich otrzymało kilkudniowe zwolnienia lekarskie. Po raz pierwszy w historii Filharmonii Narodowej do jej gmachu trzeba było wezwać pogotowie MO, które zatrzymało 50 osób bez biletów.

Teraz jazz mógł rozbrzmiewać jedynie w «Śnie cukiernika», czyli w Sali Kongresowej.

Nie ma wielkiego sensu rozwodzić się nad muzyką. Rok 1973 to rok emigracji państwa Urbaniaków do USA. Jest to bodaj ostatnie ich nagranie w Starym Kraju. Znaczące poprzez zestaw wykonawców, ale i jakość muzyki. Kwintet Michała, z dwoma klawiszowcami (właściwie nie wiadomo, czy traktować Ulę Dudziak jako głos, czy jako instrument?), reprezentuje typowe dla lat siedemdziesiątych brzmienie. Typowo Urbaniakowe są kompozycje, ze znakomitymi spiętrzeniami akcji, umiejętnym rozegraniami odcinków free przygotowujących do odcinków in rhythm. Świetna, żywa, barwna, pełna inwencji i wigoru jest Urszula Dudziak. To samo można powiedzieć o improwizacjach Karolaka i Makowicza. Na mnie jednak największe wrażenie teraz, po latach, zrobił Czesław Bartkowski. Gra z niesamowitym napędem,

dynamicznie, cały komplet eksploatowany jest do granic możliwości instrumentu.

W całości Constellation to znakomita, aktualna muzyka, odległa od jakichkolwiek zabytkowych skojarzeń!”.

„Those were the days, my friend. I thought they’d never end”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY:

Ostatni Polak w zespole

Nagrodę w Montreux otrzymałem dokładnie 28 czerwca 1971 roku, a do Nowego Jorku przyleciałem z Urszulą 11 września 1973. Spłaciłem zaciągnięty wobec mojej grupy dług, a teraz zacząłem spłacać dług wobec siebie.

Tato, ja tu jestem! Powiedziałem, że wrócę, i wróciłem.

Lato jeszcze trwało i było gorąco. Mieliśmy ogromne bagaże. Mogłem zastopować wiozącą nas z lotniska taksówkę gdzieś na Greenpoincie, w polskiej dzielnicy, gdzie nie było problemów z wynajęciem mieszkania za pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Kazałem jednak jechać szoferowi na Manhattan, zakładając z góry, że oszczędzanie na nic się nie zda. Albo od razu będę rezydował jak gość, który zamierza podbić świat, albo lepiej wrócić do kraju.

Nie ma chyba drugiego takiego miasta na świecie, gdzie punkt, dom, piętro, apartament, w którym rezydujesz, odgrywałby tak istotną rolę. Mniej liczy się marka samochodu, a jeszcze mniej ubranie, chociaż dobrze mieć na ręce złotego rolexa. Dobrze mieć także w kieszeni parę tysięcy dolarów, bo wtedy jesteś twardszy w rozmowie z ewentualnym pracodawcą.

Prawdę mówiąc, tej akurat cechy nie odziedziczyłem po matce, która była grzeczna, lecz nieustępliwa w interesach. Zawsze bałem się przeciągnąć strunę i wyciągałem od producentów płytowych mniej, niż można było wyciągnąć. No, ale nosiłem dobre zegarki i od początku mieszkałem w dobrych punktach Manhattanu, jak przystało na młodego, wierzącego w siebie artystę. Z podniesionym czołem mogłem podać każdemu mój adres i numer telefonu.

Pierwszą płytę wydałem trzy miesiące po przyjeździe do Stanów. Było to wznowienie przez CBS Records wspomnianej już „Constellation” nagranej na żywo w warszawskiej filharmonii przez niemiecką wytwórnię. Amerykanie wydali ją praktycznie za darmo, ściągając z Niemiec sto egzemplarzy i rozsyłając po wszystkich

college'ach, aby przetestować ją tam na wszelkie sposoby i ustalić, co jest warta. Sukces „Constellation” przerósł ich najśmielsze oczekiwania – posypały się doskonale recenzje, przychylna była również reakcja amerykańskiego środowiska jazzowego. Chwilami i mnie, i Urszuli kręciło się po prostu w głowie.

Bez trudu otrzymaliśmy nowy deal, kontrakt na nagranie następnej płyty. Tu jednak popełniłem błąd. Kiedy w gabinecie dyrektora Columbii padło pytanie, jaką chciałbym dostać zaliczkę, przełknąłem ślinę i czerwieniąc się, wymieniłem kwotę dwóch tysięcy dolarów. Facet zapłacił, ale parę dni później zapytał:

– Michael, dlaczego nie zażądałeś pięciu tysięcy?

Spocilem się z wrażenia. W tamtych czasach pięć tysięcy dolarów to były jeszcze pieniądze.

– A gdybym zażądał, tobyś dał? – zapytałem dyrektora.

Zaczął się śmiać i powiedział:

– Nie wiem.

Powinienem wyciągnąć z tej rozmowy naukę. Ale nie wyciągnąłem jej. W dalszym ciągu jestem miękki w finansowych pertraktacjach. Tymczasem Ameryka jest krajem, gdzie musisz się targować. Geny matki filosemitki przegrywają we mnie jaskrawo z genami rozrzutnego ojca, zagorzałego antysemitę, który wszystko brał i rozdawał lekką ręką.

Matka uzbroiła mnie w dwie recepty na życie: pierwsza była mądra, druga głupia. Trzymam się niestety zarówno pierwszej, jak i drugiej. Pierwsza polegała na tym, żeby dobrze żyć z Żydami: daj im zarobić, wówczas oni dadzą zarobić tobie i będziesz miał przy nich jak w raju.

Sprawdzało się to w praktyce. A drugą radą matki było, żeby trzymać zawsze przy sobie wszystkie wartościowe rzeczy – pieniądze, biżuterię, złoto i tak dalej. Ciężkie lata okupacji, a potem konieczność

ukrywania majątku przed komunistami wykształciły w matce ten nawyk – szczęśliwy dla niej, dla mnie zaś fatalny, gdyż bez przerwy wynoszę wszystko na ulicę i gubię. A jak nie gubię, to mnie okradają – w klubach, w kinach, w parkach.

Najczęściej giną mi podręczne komputery, które wynoszę z domu w torbie. Nie potrafię wyjść z domu bez torby. Muszę mieć przynajmniej na przegubie małą, skórzaną saszetkę, w której trzymam zawsze notesy z adresami i numerami telefonów, paszport, prawo jazdy i pieniądze, dwieście dolarów zazwyczaj, bo tyle nauczyłem się wydawać w ciągu dnia. No i tydzień w tydzień gdzieś to zostawiam, raz w barze pod szynkwasem, raz na ławce, a jak nie, to kradnie mi to w tłoku jakiś wyspecjalizowany wzawodzie farmazon. Wciąż muszę więc wyrabiać nowe dokumenty i kupować nowe elektroniczne urządzenia, w których zakochałem się na zabój.

Największą jednak klęskę poniosłem dzięki radom matki w końcu siedemdziesiątego trzeciego roku, tuż po przyjeździe do Stanów. Postanowiłem mieszkać dobrze, blisko Columbii i innych sławnych wytwórni płytowych. Przez pierwsze trzy miesiące zatrzymaliśmy się z Urszulą w hotelu Le Marquis przy 31 Wschodniej ulicy, pomiędzy Czwartą a Piątą Aleją. Był to wspaniały punkt, a sam hotel, którego nigdy nie zapomnę, też robił na pierwszy rzut oka sympatyczne wrażenie. Nie był duży. Miał tylko dziesięć pięter i mansardy, a na bocznej wschodniej ścianie biegły uskokami od samego dachu w dół schody przeciwpożarowe. Nad wejściem był zielony daszek, a do holu prowadziły z ulicy cztery schodki i tarasik z białej terakoty. Fronton był niechlujny, ale wyższe kondygnacje mogły się podobać dzięki trójgraniastym, wykuszowym oknom i biegnącej wzdłuż drugiego piętra balustradzie. Coś fajnego, starego było w tym hotelu. Francuski szyld Le Marquis pasował do niego jak ulał.

Były to jednak pozory. Uroczy na zewnątrz budynek w środku okazał się mordownią. Wśród pensjonariuszy nie brakowało niebieskich ptaków posługujących się fałszywymi nazwiskami. Pochłonięty bez reszty muzyką nie przyglądałem się im, podobnie jak nie robiła tego Urszula. Z pełnym zaufaniem trzymaliśmy w numerze cały nasz dobytek.

Któregoś ranka otworzyły się drzwi. Wskoczyłem z łóżka. Byłem

tak wystraszony, że chwyciłem jakiś kij i stanąłem za framugą gotów w każdej chwili przywalić. Zamiast włamywacza ukazała się uśmiechnięta twarz sprzątaczk, która zapytała, kiedy wychodzimy, bo chce pościelić łóżka i pomachać trochę miotłą. Spławiłem ją. Poprzedniego dnia wróciliśmy do domu późno, bo poszliśmy do kina z Horowitzami, Anną i Ryszardem, jednym z najlepszych amerykańskich fotografów. Wróciliśmy, położyliśmy się od razu spać, lecz rano, po spławieniu sprzątaczk, stwierdziliśmy nagle, że zostaliśmy kompletnie ogołoceni.

Złodziej czy też złodzieje musieli dokonać kradzieży poprzedniego wieczoru, kiedy siedzieliśmy w kinie. Zabrali absolutnie wszystko: walizki, ubrania, obuwie, pieniądze, półtora kilograma złota i sporo drobnej biżuterii.

W Skandynawii, wtedy gdy jeszcze piłem, miałem taki zwyczaj, że ilekroć umoczyłem dziób, z miejsca kupowałem Urszuli zamiast kwiatka jakiś pierścionek lub bransoletkę, aby przebłagać ją za kolejny pijacki wyskok. Widocznie często musiałem chlać, skoro aż tyle zebrało się tych precjozów. Gdyby nie rady mojej ukochanej mamy, zdeponowałbym to wszystko w sejfie hotelowym lub w banku i Urszula miałaby to pewnie do dzisiaj. A tak zostaliśmy goli i znowu musieliśmy zacząć od zera.

Urszula wzięła na szczęście do kina swój piękny biały skórzany płaszcz, który kupiłem jej w Kopenhadze za tysiąc dolarów. Miała więc niby co włożyć na grzbiet. Ale i tu los spłatał nam figla. Otóż oddaliśmy płaszcz do pralni, że to niby nie jest już taki biały i trzeba go odświeżyć. Kiedyśmy odebrali to cudo, dzielna i odporna na ciosy Urszula zaczęła płakać, bo zamiast światowej marki płaszcz otrzymała jakąś kusą, sfilcowaną, bestialsko zdeformowaną szmatę.

Uciekliśmy z hotelu Le Marquis i wynajęliśmy piękny, duży apartament przy 58 Zachodniej ulicy, krok od Central Parku. Urszula mieszka tam z naszymi dwiema córkami do dzisiaj i płaci jak na tak wspaniały, ekskluzywny punkt stosunkowo niski czynsz z uwagi na wieloletnie zasiedlenie.

Nauczyłem się w Nowym Jorku zapominać o nieszczęściach,

których nie można już odwrócić. Jest to wielka szkoła życia i wielka umiejętność obca większości Polaków. Polacy uwielbiają rozdrapywać rany – te stare i te, których nabawili się niedawno.

„Gdyby” jest podstawowym składnikiem ich leksykonu. Gdybym się wtedy nie ożenił albo gdybym ożenił się z kimś innym, albo gdybym skończył studia, albo gdybym nie sprzedał domu, albo gdybym w porę wymienił złotówki na dolary.

Zadreczają się swoimi pomyłkami dzień w dzień, do końca życia, rujnując sobie zdrowie i system nerwowy. Tymczasem amerykańska szkoła przetrwania i wyjścia z opresji z ciosem polega na usunięciu z organizmu trucizny wspomnień. Nie skończyłeś studiów, to je skończ, do cholery! Źle się ożeniłeś, to się rozwiedź i ożeń się dobrze. A w miejsce jednego domu zawsze możesz postawić drugi.

Zapomniałem o skradzionych kosztownościach. Pomogła mi w tym muzyka. Miałem tyle prób, ćwiczeń, koncertów, tyle wspaniałych kontaktów i planów, że nie było czasu na stare troski. Wiedziałem, że i tak wyjdę na swoje. Dziękowałem w duchu złodziejom, których policja nigdy zresztą nie złapała, że kradnąc wszystko, zapomnieli jakimś cudem o moich skrzypcach. Było przynajmniej na czym grać.

Otrzymawszy od Columbii kontrakt na drugą płytę, postanowiłem nagrać ją z polskim zespołem wypróbowanym już na amerykańskim rynku. Do wspomnianych już dwóch tysięcy dolarów dołożyli mi kilkudziesięcioletnią zaliczkę, mogłem więc ściągnąć z kraju chłopaków: Bartkowskiego, Jarzębskiego i Karolaka, który zastąpił Makowicza.

Deale w Stanach polegają na tym, że podpisując z wytwórną umowę, bierzesz pokaźną zaliczkę, lecz niezupełnie należy ona do ciebie. W ramach tej kwoty musisz utrzymać zespół, zakwaterować go i opłacić. Jeśliby coś zostało, to należy do ciebie, ale zwykle przekraczałem budżet.

Gdyby płyta odniosła sukces i dobrze się sprzedawała, mogłem jeszcze liczyć na tantiemy. W przeciwieństwie do „Constellation” w „Atmę”, taki bowiem był tytuł mojego drugiego albumu, Columbia zainwestowała szczodłą ręką, urządzając nam trasę po Stanach,

wyposażając nas w kilku doświadczonych menedżerów, opłacając nasze ekskluzywne hotele, samoloty i limuzyny.

„Atma” (nazwę wziąłem od willi Karola Szymanowskiego w Zakopanem) odniosła jeszcze większy sukces niż „Constellation”. Były na niej wyłącznie moje kompozycje, zaprawione trochę ludowością, odczytane jednak przez Amerykanów jako melodie Nowego Jorku.

Mogliśmy iść za ciosem i nagrać dla Columbii kolejną płytę. Niestety, zespół się rozpadł.

Karolak był zakochany i chciał czym prędzej wracać do Warszawy, gdzie czekała na niego narzeczona – Maria Czubaszek. Z kolei Bartkowski oświadczył, że ma ważną trasę w Zielonej Górze. Nie pamiętam już, jaki powód podał Paweł Jarzębski. Wszyscy trzej odlecieli do Polski. Mówię więc do Urszuli, która oczywiście została i z którą tworzyliśmy wówczas jeden instrument:

– Trudno, trzeba o nich zapomnieć. Od tej pory będziemy grać z najlepszymi.

O Amerykanach myślałem, ale trafił się w moim zespole jeszcze jeden Polak. Otóż zatelefonował do mnie ze Sztokholmu Włodek Gulgowski, pianista, z którym spędziłem w Łodzi i w Warszawie lata wczesnej młodości, i mówi:

– Jeśli to prawda, Michał, że tak w Stanach rozrabiasz, to weź mnie, a ja ci pomogę.

– Dobra – powiedziałem. – Przyjeżdżaj.

– Poważnie mówisz?

– Tak.

– Ale gdzie ja będę spał?

– U mnie.

Dałem mu pokój w naszym mieszkaniu przy 58 Zachodniej ulicy. W tym pokoju mieszka teraz moja starsza córka Kasia, lecz wówczas nie było jej jeszcze na świecie. Mieliśmy dużo przestrzeni i wiele pomieszczeń, więc Włodek nie przeszkadzał nam jako lokator. Zawsze był człowiekiem o trudnym charakterze i czułem do niego tyle miłości, co nienawiści. No, ale skoro biorę go pod swój dach i przyjmuję go do zespołu, dając mu szansę nagrania płyty dla Columbii, to chyba potrafi być wdzięczny i nie wykręci mi żadnego numeru.

Muzykiem był dobrym. Miał absolutny słuch i świetną technikę; biegle czytał nuty. Byliśmy więc w trójkę: Urszula, Gulgowski i ja. Teraz chodziło o to, żeby dobrać spośród Amerykanów pozostałych członków zespołu.

Przycisnąłem dyrektora Columbii, bo cieszyłem się już doskonałą reputacją i mogłem sobie na to pozwolić. Dostałem ogromną zaliczkę, prawie sto tysięcy dolarów. Jak bierzesz takie pieniądze, to możesz pozyskać praktycznie każdą sławę, a wytwórnia gotowa jest w tym pośredniczyć. Dla dyrektorów Columbii wszystko jest możliwe, więc zapytają cię tylko:

– Powiedz, przyjacielu, z kim chcesz grać? Parker umarł, Armstrong umarł, ale możemy zadzwonić.

Taka jest właśnie Ameryka. Zażyczyłem sobie najlepszego perkera i najlepszego basisty, jacy aktualnie byli w USA – Steve’a Gadda i Anthony’ego Jacksona, mistrzów, którzy do dzisiaj nie mają sobie równych. Do tego wzięłem jeszcze paru innych fantastycznych gości jak Larry Coryell i John Abercrombie. Zmontowałem więc najlepszy zespół, jaki kiedykolwiek miałem. I nagrałem z nim najlepszą chyba płytę – „Fusion”. To było coś!

Stałem się znany. Nie tylko w środowisku muzycznym, lecz w ogóle. Kolejki do kas na nasze koncerty zakręcały na drugą ulicę. Udzielałem wywiadów dla radia i telewizji. Moje nazwisko ciągle było w prasie. Miałem pieniądze. Kapały nawet tantiemy, mimo że w trakcie nagrywania „Fusion” przekroczyłem jak zwykle budżet i Columbia odliczała skrupulatnie swoje wkłady.

Czułem się jak król. Podobnie czuła się Urszula, której wokalizy robiły furorę i która rozbłysła na jazzowym firmamencie jako gwiazda pierwszej wielkości. Obydwoje absorbowaliśmy Amerykanów. Zaczęli traktować nas jak rodaków, tym bardziej że błyskawicznie nauczyliśmy się angielskiego, a ściślej mówiąc, jego amerykańskiej, slangowej odmiany.

Żadne z nas nie chodziło nigdy na lekcje ani nie wzięło do ręki podręcznika, ale mówiliśmy naprawdę dobrze, wkrótce zresztą nauczyliśmy się poprawnie pisać. Byliśmy więc Amerykanami. Jeszcze bez obywatelstwa, lecz całym sercem, bo nigdzie nie czuliśmy się tak dobrze jak w Stanach.

Do dziś nie mogę zrozumieć kilku polskich jazzmanów, że nie chcieli zakotwiczyć na stałe w USA. Włodek Gulgowski należał jednak do tych, którzy chcieli i którzy bez wątplenia mogli, więc jeśli tak się nie stało, była to już wyłącznie jego wina.

Zaczął mącić. Patrząc na tego niskiego, dość korpulentnego, krótko ostrzyżonego faceta z zakolami łysiny na wypukłym, lśniącym czole, nikt by nie pomyślał, że stać go na taką makiaweliczną dwulicowość.

Miał zawsze lekko odęte usta, pucułowatą twarz i poczciwe oczy, a na dodatek – ujmująco się uśmiechał. Znał dobrze angielski, świetnie grał w tenisa, jako pianista zaś rokował pewne nadzieje. Jednak po nagraniu „Fusion” uderzył mnie z flanki.

Nastawiał przeciwko mnie amerykańskich muzyków. Mówił:

– Słuchajcie, jesteście utalentowani, więc po co wam Urbaniak? Ja wam lepiej będę aranżował, komponował i przewodził.

Moja matka szczerze go nie lubiła i miała do mnie pretensje, że mu pomagam.

Chciał dokonać czegoś sam, więc zaprowadziłem go kiedyś do znanej wytwórni płytowej SBI i zarekomendowałem. Było to w Nowym Jorku, w południe. Wielki gabinet, mahoniowe biurko,

miękkie fotele i unoszący się ze wszystkich zakamarków zapach pieniędzy. Z bocznych drzwi wyłonił się asystent dyrektora, młody, przystojny gość w nieskazitelnie białej koszuli i doskonałym garniturze. Uśmiechnął się promiennie, usadowił nas w fotelach i już miał zwrócić się do Golema, co ewentualnie mógłby dla niego zrobić, kiedy Włodek, mistrz świata w popełnianiu nietaktów, wyprzedził go ze swoim bezczelnym pytaniem:

– Słuchaj, czy ty możesz sam podejmować decyzje?

Facet zbaraniał, a ja myślałem, że zapadnę się ze wstydu pod ziemię. Nic oczywiście z umowy nie wyszło. Na ulicy oświadczyłem Golemowi krótko:

– Koniec z nami, Włodek.

– O co ci chodzi? – był zdziwiony i podejrzliwy, bo nim żeśmy wyszli, asystent dyrektora wziął mnie w pewnej chwili na bok i szepnął mi kilka słów. – Co ci ten cwaniak powiedział?

– Żebym cię tu nigdy więcej nie przyprowadzał.

– Nie żartuj, Michał.

– Nie żartuję. Przykro mi, ale od tej pory, Golem, jesteś sam.

Nagrał jeszcze w USA parę płyt. Potem wrócił do Szwecji, aby znowu pojawić się w Nowym Jorku. Kombinował jako jeden z dziesięciu kandydatów z pewną narkomanką. Pozował na mocnego gościa, ale był zmęczony życiem. Czasami lubiłem go, bo okazywał się nagle wrażliwym, poczciwym, bezbronnym facetem. Ledwo jednak dałeś mu trochę ciepła, znowu wystawiał pazury. USA nie były krajem dla niego, więc dobrze zrobił, że wrócił wreszcie na stałe do Szwecji. Bierze tam podobno jakieś nagrody. Czasem do mnie dzwoni. Raz jest sympatyczny, raz opryskliwy. Nieraz pyta z wyrzutem:

– Jak to się stało, Michał, że ty odniosłeś sukces, a ja nie? Przecież nie jestem od ciebie mniej utalentowany.

Mówię mu wtedy:

– Może ja po prostu wcześniej wstaję.

– Co to ma do rzeczy?

– Dużo. Wstawaj o godzinę wcześniej niż ja, a uda ci się może zrobić to samo.

Golem był w moim amerykańskim zespole ostatnim Polakiem.

===aVhoX29Z



Zespół Krzysztofa Komedy (tyłem, przy fortepianie). Ja dmucham w tenor, Tomek Stańko stoi i się przygląda, a ten odwrócony basista to Jacek Ostaszewski. I... niewidoczny Czesław Bartkowski.



1962. Próba zespół u Jazz Rockers Zbyszka Namysłowskiego w Hybrydach. Ja na tenorze, Andrzej „Fats” Zieliński na perkusji, Adam Skorupka na basie i Krzysztof Sadowski na fortepianie.



Mój pierwszy zespół: Makowicz – przy fortepianie. Gram na saksofonie sopranowym, przy perkusji Leszek Dudziak, a na basie szarpie Stanisław „Stasin” Zwierzchowski.



1964. Koncert w Norwegii, Stavanger. Włodek „Golem” Gulgowski na pianinie, ja na sopranie, Urszula i Leszek Dudziakowie i Stasin na basie.

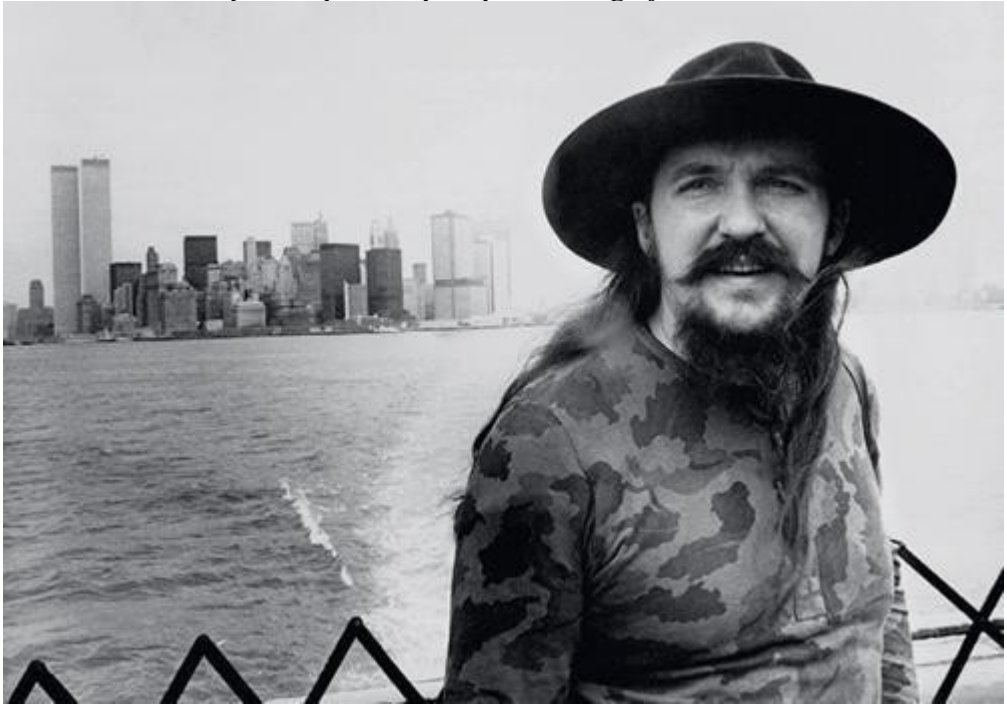


Z pociągu na pociąg. Nieustanne podróże po Europie z Urszulą, która patrzy na mnie ze zgrozą i układa swoje wokalizy.



Ford, z którego byłem bardzo dumny. W 1972, w Szwajcarii, zostawiłem go Karolakowi, Namysłowskiemu, Bartkowskiemu, a sam poleciałem

do Stanów. Niestety, chłopaki zaprzepaścili tego forda.



Tato, Edmundzie Michałowski! Oto, czego się Twój Michaś doczekał!



Moja czarna kapela z Urszulą u boku. Po lewej stronie Urszuli drummer

Lurenda Featherstone. A po prawej ode mnie Kenny Kirkland, pianista i keyboardzista, oraz Tony Bunn, basista i gitarzysta.



Slucham z uwagą pianisty Kenny'ego Barrona. Blue Note, 1980.



Maj 1981. W Village Vanguard z najlepszą jazzową sekcją na świecie.

Od lewej: Roy Haynes – perkusja, Buster Williams – bas, Kenny Barron – piano.

ROZDZIAŁ DWUNASTY:

Noc nowojorska

Po „Fusion” zabiegało o nas wiele wytwórni płytowych. Chick Corea odwiedził mnie kiedyś i nie mógł się nadziwić, że mamy z Ulą podwójne kontrakty: ja występowałem na jej sesjach nagraniowych, a ona na moich, bo do końca lat siedemdziesiątych nie wyobrażaliśmy sobie grania bez siebie.

W 1975 roku wydaliśmy bodajże cztery albumy: „Fusion II” i „Fusion III” w Columbii oraz „Funk Factory” i „Mardin” w Atlantic Records; w 1976 ukazała się w Arista Records nasza głośna płyta „Body English”, a MPS/Pausa Records opublikowała naszą pozycję „Smiles Ahead”.

Upominała się o nas Europa. Mieliśmy stamtąd wiele kuszących propozycji, ale broniliśmy się przed nimi – jak się wkrótce okazało, słusznie – uważając, że liczy się tylko to, co robimy w Stanach. Tak czy owak pojechaliśmy wreszcie na wielką europejską trasę, która obejmowała przede wszystkim zachodnie Niemcy, i nagle, na jakimś festiwalu, połowa ludzi wyszła z sali.

Beczałem. Czułem się znieważony.

Przywiozłem przecież do tych pieprzonych Niemiec wspaniałą zespół. Graliśmy bardzo trudną muzykę, która jednocześnie brzmiała łatwo, ponieważ Murzyni dowalali jak cholera, z niebywałym gazem i feelingiem, i w Nowym Jorku czy innym amerykańskim mieście widownia wpadłaby w zachwyty. Ale Szwaby w zachwyty nie wpadły.

Nie podobały im się skomplikowane rytmicznie numery na siedem, na dziewięć, na trzynaście. Oni uznawali tylko cztery na cztery i do dzisiaj nic innego nie uznają. Zrozumiałem, że jest ogromna przepaść między niemiecką i europejską koncepcją jazzu a tym, co my gramy i tworzymy w USA. Pięć albo i dziesięć lat trzeba ogrywać w Stanach nowy rodzaj muzyki, aby przyjęło się to wreszcie w Europie, która jest zarozumiała, hermetyczna i nieprzemakalna, i cały czas myśli, że wie lepiej.

Oprócz Uli grał ze mną w tym zespole świetny pianista od Milesa Davisa, schizofrenik Harold Williams, genialny pałker Woody „Sonship” Theus oraz zdolny, młody basista z Baltimore Tony Bunn. Wszyscy trzej byli czarni i niczym się nie przejmowali, chętnie krążąc pociągami po Europie. Jeździliśmy pierwszą klasą, w doborowym otoczeniu, więc było na co popatrzeć, gdy Harold dostawał nagle ataku szaleństwa. Wytrzeszczał oczy, wydymał policzki i zaśmiewając się do łez, wypisywał palcem na ścianie albo na szybie okiennej swoje ubzdurane i poszerzone raptem nazwisko: HAROLD HOWARD IRE MĞŁASZYLI KUASZYLI WILLIAMS.

Innym razem, też w pociągu, po głośnym przeczytaniu kilku wersetów z Biblii, którą studiował dzień w dzień, oświadczył nagle wobec grona eleganckich Niemców, że miał właśnie objawienie i że jeszcze tego wieczoru nagra płytę z Johnem Coltrane’em i Jimim Hendrixem.

Jeden z Niemców zauważył nieśmiało:

– Proszę pana, przecież Coltrane już nie żyje.

Harold wrzasnął na niego:

– Nie gadaj mi tu! Jak mówię, że nagram, to nagram. Dostałem właśnie sygnał od Boga.

Sonship też był totalnie nawiedzony i dzielnie mu w tych wariactwach sekundował. Jeździliśmy dzięki temu w pustych przedziałach, bo Niemcy bali się natchnionych szaleńców.

Któregoś dnia w Stuttgarcie Harold opuścił pociąg, oświadczając, że obrzydło mu już niemieckie żarcie (bullshit!) i że idzie na kurczaki do McDonalda.

Szedł wzdłuż torów, a potem wszedł między tory i stapał jak bocian po podkładach. W każdej chwili mógł potraćić go jakiś pociąg, więc dogoniłem faceta:

– Harold, na miłość boską, przecież w Stuttgarcie nie ma McDonalda! McDonald jest w Monachium.

A on na to:

– Wiem, Michael, przecież nie jestem głupi, ale jak już idę, to idę.

Błagałem go wtedy, żeby wrócił, i przyrzekłem, że własnoręcznie upiekę mu w hotelu kurczaka.

Szczęśliwy byłem, gdy znowu znaleźliśmy się w Stanach. Po raz pierwszy uprzytomniłem sobie, gdzie jest mój dom. Nowy Jork był moim domem. Kochałem i kocham to miasto, dla muzyków i dla większości żyjących w nim ludzi – jedyne miasto na świecie.

Oni nie wymieniają wcale nazwy Nowy Jork. Mówią po prostu: miasto. Byłem w mieście, wyjechałem z miasta, wróciłem do miasta, zagrałem w mieście, urodziłem się w mieście, tęsknię za miastem i tak dalej.

Jest taki film z genialnym tenorzystą Dexterem Gordonem „Round Midnight”, do którego muzykę, nagradzaną zresztą wielokrotnie, napisał Herbie Hancock, cholerny przystojniak produkujący się również jako aktor. Ale Dexter jest aktorem lepszym. Gra w tym filmie trochę samego siebie, a trochę Lestera Younga. Dmucha w Paryżu, popija, zaprzyjaźnia się z młodym Francuzem, wreszcie pakuje saksofon i leci z owym Francuzem do miasta.

W mieście widać go na scenie z Murzynami; na trąbie łąduje Freddie Hubbard, a na fortepianie Herbie Hancock. Francuz jest trochę zazdrosny i zawiedziony, że Gordon tak łatwo zdradził Paryż. Wypytuje więc Gordona:

– A Paryż, Dex? Co z Paryżem?

– Oh, pretty town – odpowiada Gordon. Dwa dni później chowają go na cmentarzu. On po prostu wrócił, żeby umrzeć w mieście.

Nowy Jork żyje dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc nigdy

nie wiadomo, kiedy dzień się zaczyna, a kiedy kończy. W Paryżu i Madrycie nocne życie, z którego obydwie te miasta słyną, zamiera nad ranem. W Nowym Jorku knajpy czynne są wiecznie. Każda pora w Nowym Jorku chwyta za serce. Lubilem oglądać nad ranem bumów, tych nowojorskich kloszardów, śpiących na ławkach albo na chodnikach pod murami i przenoszących się z pierwszymi promieniami słońca na strome nowojorskie ganki, z których tak cudownie można przyglądać się miastu. W przeciwieństwie do paryskich kloszardów, apatycznych zwykle i zgorzkniałych, bum odznacza się pogodą ducha i straszliwą siłą przetrwania. Skąpo ubrany, rozkudłony zazwyczaj i cuchnący, potrafi nawet spędzić noc w pojemniku na śmieci. Mam jednak do tych ludzi ciepły stosunek, może dlatego, że i oni mnie lubią, że często mnie poznają, że przyłapałem kilku z nich na słuchaniu mojej muzyki.

Kiedyś na Broadwayu w pobliżu Metropolitan Opera ocknął się jeden i z nową energią próbował wtrzyknąć przechodniom sokowirówkę, którą zapewne buchnął gdzieś albo pożyczył od sąsiada. Widząc mnie, schował sokowirówkę za siebie, po czym wstał i przewrócił oczami, mówiąc głośno:

– Michael Urbaniak.

Uścisnąłem mu rękę, wsuwając do niej jednocześnie pięć dolarów. Schował je z właściwą Amerykanom godnością, a potem poprosił mnie o autograf.

Rano bum budzi się do życia, śpiewając, a pierwsze swoje kroki kieruje do najbliższego sklepu, gdzie można kupić litrową butelkę mocnego piwa Ale lub Olde English.

Piwo, podobnie zresztą jak wino, wódkę i w ogóle każdy inny alkohol, wolno pić w Nowym Jorku na ulicy, pod warunkiem że puszka czy też butelka tkwi w papierowej torebce wyprodukowanej specjalnie do tego celu. Jeśli pijesz bez opakowania, wówczas obrażasz ludzkość i możesz zostać aresztowany.

Bumy są różne, czarne, białe i czekoladowe, ale nie ma wśród nich Hindusów i Azjatów. Sądzę, że nie tylko brak pracy i lenistwo degradują ludzi do poziomu tej ulicznej społeczności. Bum to pewna filozofia życia.

Spotkałem kiedyś faceta, który był biały i choć wyglądał gorzej niż inne bumy, w twarzy miał coś szlachetnego. W trakcie rozmowy okazało się, że mieszkał on kiedyś w zamożnym domu na Long Island i był głową rodziny o wysokim statusie społecznym. Pił jednak ponad miarę, więc żona postawiła mu warunek: albo ja, albo twój przeklęty nałóg. Jak masz zamiar ciągnąć dalej, to wynoś się z domu.

I wyniósł się. Tłumaczył mi, że ciepło rodzinne ma swoje powaby, jednak nie istnieje nic piękniejszego niż wczesny ranek pod gołym niebem, kiedy budzisz się zziębnięty, lecz wolny, nikt nie pochyla się nad tobą i nie gdera. Rozprostowujesz członki, przeciągasz się i maszerujesz po pierwszą flaszkę piwa.

Ten gość aż jęczał z rozkoszy, mówiąc:

– Ja tak strasznie lubię pić!

Rozgadałem się o bumach, ale muszę jeszcze to i owo dodać. Otóż bumy dostają co dwa tygodnie od socjału parę setek i kartki żywnościowe, które też potrafią zamienić na alkohol. Zimą, kiedy szaleją mrozy i śnieżyce, a lód skuwa jeziora i rzeki, bumy przenoszą się do bunkrów, gdzie dostają gorącą zupę i koce.

Ukazuje się w Nowym Jorku redagowana przez bumów gazeta „Street News”, serce i dusza dziatwy ulicznej. O ile „New York Times”, „New York Post” i pozostałe nowojorskie dzienniki kosztują pięćdziesiąt centów, za „Street News” musisz zapłacić dolara, ale odbywa się to na zasadzie: zamiast dawać mi jałmużnę, kup egzemplarz. Każdy mądry bum, nim sprzeda otrzymany za darmo „Street News”, najpierw dokładnie go przeczyta, bowiem można w nim znaleźć wiele istotnych dla biedaków informacji: gdzie się przespać, gdzie kupić z drugiej ręki najtańsze ubranie, gdzie najlepiej zjeść i wypić, gdzie posłuchać za darmo muzyki lub obejrzeć film bez biletu, lub nabyć za dziesięć centów powieść o wartkiej akcji i mrożącej krew w żyłach fabule, z którą bum zapozna się ochoczo w świetle ulicznej latarni.

Bumy nie stanowią zagrożenia dla tak zwanej zdrowej społeczności. Bo w ogóle trzeba powiedzieć, że Nowy Jork jest miastem spokojnym. Nie polecam nikomu samotnych spacerów po czarnym

Harlemie, hiszpański Harlem też lepiej chyba zwiedzać w dzień niż w nocy, w pozostałych jednak dzielnicach jest spokojnie. Filmy kłamią! Nie ma samochodowych karamboli, nie pałuje nikogo policja. Ludzie piją i palą, lecz nikt się nie zatacza i choć powietrze przesiąknięte jest słodkim zapachem marihuany, Nowy Jork w porównaniu z Łodzią czy Warszawą wydaje się miastem abstynentów.

Poza rankami, kiedy wybiegam do kiosku po gazetę, lubię także w Nowym Jorku porę lunchu. Od dwunastej w południe miasto wydaje się najszcześniejsze. Zaludniają się restauracje, kawiarnie i bary, a jest ich tysiące, i prawie każdy lokal wyrzuca na ulicę stoliki.

Zewsząd parują aromaty wszystkich możliwych kuchni świata: indyjskiej, chińskiej, japońskiej, koreańskiej, meksykańskiej, francuskiej i włoskiej. W godzinie lunchu new yorker zapomina o troskach i kłopotach, a ostatnio coraz częściej zapomina również o zdrowej żywności, która przedłuża podobno życie, ale sprawia, że twarz człowieka nabiera wyglądu śledziennika. Zawsze uważałem, że zdrowe jest to, co jest smaczne, więc jak matka dawała mi tran, wypluwałem go do zlewu.

Trzecią moją ulubioną porą w Nowym Jorku jest wczesny wieczór, kiedy zamiera praca w urzędach i od nowa ożywiają się ulice.

W lokalach znowu jest gwarno, ruszają nocne kluby, również te, w których posłuchać można dobrego jazzu.

Kochałem znaleźć się o zmierzchu w dole miasta, tam gdzie ulice nie mają już numerów, tylko nazwy, w okolicach Canal Street, które rozbrzmiewają do dzisiaj muzyką jak za starych dobrych czasów. Grają małe zespoły, grają big-bandy, na afiszach roi się od wielkich nazwisk. W Sobs (Sound Of Brazil) przy Varick Street, egzotycznym klubie, którego czarna z reguły klientela zapatrzona jest i zasłuchana we wszystko, co ma jakikolwiek związek z Afryką, możesz trafić akurat na koncert Artura Sandovala albo Hugh Masekeli, południowoafrykańskiego trębacza, który od lat wspiera swoim śpiewem i graniem walkę przeciwko rasizmowi w RPA. W tej sprawie zresztą wystąpiło na amerykańskich scenach wielu innych jazzowych muzyków, w tym ja, bo poprosił mnie kiedyś o to wspaniałe George Benson.

Lubię i cenię Murzynów. Kocham z nimi grać, a oni kochają grać ze mną. Istnieje oczywiście w USA jazz biały i czarny, a między nimi brzęczy czasem antagonistyczna struna. Nie jest ona jednak do tego stopnia napięta, aby groziła pęknięciem. Każdy czarny zespół bierze sobie przynajmniej jednego białego muzyka, a każdy zespół biały – przynajmniej jednego czarnego. Jeśli biały zespół weźmie sobie czarnych dwóch, wyjdzie mu to tylko na dobre.

W Downtown na południowym Manhattanie jest wytworny i najdroższy chyba Blue Note, w sam raz dla Franka Sinatry i Herbiego Hancocka, ale Chuck Mangione i Michał Urbaniak też się tam mieszczą. Jest Zanzibar, Sweet Basil, The Bottom Line, Sweetwaters, Village Vanguard i kilkanaście innych, jazzowych albo półjazzowych klubów. Występowałem prawie we wszystkich, również w małym i cholernie ekskluzywnym Village Vanguard, do którego schodzi się po stromych stopniach pod ziemię i który ma tylko setkę miejsc, ale o zagranium w nim marzy każdy muzyk.

Dwa tylko miałem marzenia, przyjeżdżając do Stanów: nagrać płytę w Columbi i stanąć na estradzie w Village Vanguard. Spełniło się jedno i drugie. Nagrana na żywo płyta „Michał Urbaniak Quartet At The Village Vanguard” ze mną na skrzypcach, z Ronem Carterem na basie, Mikiem Gerberem na fortepianie i Lennym White’em na bębnach podobała się w USA. Były na niej numery Oscara Hammersteina, Dave’a Brubecka, Thada Jonesa i Horacego Silvera oraz cztery moje kompozycje: „Café Mirage”, „Harvest”, „Blues No Blues”, i „Outbound”. Ukazała się ona w późniejszym okresie. Wcześniej, w 1977 roku, Jam Records opublikował album „Michał Urbaniak, New York Five At The Village Vanguard”, a w 1986 Sonet/Storyville Records wydał „Michał Urbaniak Quartet – Friday Night At The Village Vanguard”. Piszę o tym wszystkim od razu, aby już do tego nie wracać.

Muszę opowiedzieć jeszcze o nocach w Nowym Jorku. Kocham je, choć przez wiele, wiele lat nigdy ich nie zarywałem, bo byłem przykładnym ojcem rodziny. Tak czy siak późna nowojorska noc jest jak szampan, i to marki Dom Pérignon. Pijak nigdy tu nie zapłacze. Sklepy z mocnym alkoholem zamykane są już o dziewiątej-dziesiątej, ale knajpy, jak wspomniałem, działają bez przerwy. Nie znaczy to wcale, że nie

obowiązuje w nich krótka prohibicja. Ten straszliwy dla pijaka czas rozciąga się od godziny czwartej do szóstej nad ranem. W porządnym lokalu nie podadzą ci wtedy żadnej wódki, koniaku czy wina. Ale masz wyjście. Biegniesz czy też wleciesz się z nosem w rynsztoku do najbliższej grocery – kiedyś nazywano tak sklepy korzenne, teraz możesz w nich kupić prawie wszystko – i dobierasz się do piwa, które pozwala ci przetrwać do szóstej, a potem wracasz do knajpy i ciągniesz dalej.

Szcześliwy byłem, że nie mam tych problemów. Nie myślałem o wódce, nigdy nie zapragnąłem piwa. Jasno zdawałem sobie sprawę, że gdybym wówczas, w sześćdziesiątym dziewiątym roku, nie rozprawił się z wyniszczającym nałogiem, byłbym już dawno pod ziemią.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY:

Tnij! Przerwij te męczarnie!

– Jak to jest, Ula – mówię – że nie mamy dziecka? Przecież to ty jesteś kobietą, nie ja. Ty powinnaś się tego domagać.

Zacząłem o tym rozmawiać z Urszulą gdzieś w siedemdziesiątym siódmym, w Europie.

Nie od razu się na to zgodziła. Dzisiaj twierdzi, że ją zdominowałem.

Już wcześniej, w Skandynawii, ale w Stanach – też. Była bardzo znaną i podziwianą artystką, cały czas jednak dobrowolnie ustępowała mi pola.

Jak spojrziałem na nią krzywo na estradzie, z miejsca zaczynała się denerwować.

Jak zmrużyłem powiekę, myślała, że knoci.

Jak udzielaliśmy wspólnie wywiadów i pytanie było skierowane do niej, mówiła parę słów, po czym patrzyła na mnie i dodawała, że resztę to już powie mąż.

Ja podobno o wszystkim decydowałem, ja wszystkim rządziłem, i w ogóle.

Nigdzie nie mogła sama wyjść. Spędzała ze mną każdego dnia okrągłe dwadzieścia cztery godziny. Jadła, piła, ubierała się, spała, chodziła do kina, śpiewała i grała, ale wszystko na moją komendę. Tak twierdzi.

Nie wiem, czy naprawdę tak było. Wiem, że ją kochałem, że byłem jej bezgranicznie wierny i że przez kilkanaście lat stanowiliśmy monolit – w życiu, na scenie, wszędzie!

Gdzieś tam pewnie popełniłem błąd, że byliśmy aż tak

nierozłączni. W końcu każdy człowiek ma prawo do kilku chwil samotności. Lecz ja podobno tego nie rozumiałem.

Byłem podobno zaborczy jak Hitler.

W każdym razie, gdy w siedemdziesiątym siódmym roku Ula zaszła w ciążę, dosłownie szalałem ze szczęścia. Byliśmy wtedy w tej niemieckiej trasie, ale jak tylko wróciliśmy do Stanów, zaczęliśmy wspólnie przygotowywać się do porodu. Czytaliśmy poradniki lekarskie, chodziliśmy na ćwiczenia, które później powtarzaliśmy w domu. Kładliśmy się na dywanie lub łóżku i przerabialiśmy wszystkie warianty, by w żadnej sytuacji nie dać się zaskoczyć.

Nie tylko Ula była w ciąży. Ja byłem w ciąży razem z nią.

Nie żartuję! Pracowałem mięśniami brzucha, parłem, napierałem, oddychałem głęboko w myśl zaleceń podręcznika. Sam nie paliłem i Uli nie dawałem palić. Ciągnąłem ją na spacer do Central Parku, by wdychała jak najwięcej tlenu. Kazałem Urszuli patrzeć na młode matki z ładnymi noworodkami, zasłaniałem jej natomiast oczy, kiedy trafiał się na drodze jakiś koszmarek.

Nie pozwalałem jej gapić się długo w telewizor, w kinach wybierałem filmy łagodne. Surowo przestrzegaliśmy porodowej diety. Zrezygnowaliśmy w pewnym momencie z tenisa, co stanowiło dla nas największe wyrzeczenie, bo poza muzyką sport ten był naszą jedyną namiętnością.

Wbiegliśmy tak ramię w ramię, ciężarni obydwój, w 1978 rok. Szczęśliwie minęła zima i wiosna. Wydawało się, że zmierzamy ku pomyślnemu rozwiązaniu. Urządziliśmy pokój dziecienny, skompletowaliśmy wyprawkę, nakupowaliśmy zabawek, pozytywki, grzechotki i tak dalej. A tu raptem zaczęły się kłopoty. Kilkakrotnie musiałem wieźć Urszulę do szpitala. Zdenerwowałem się jak cholera, gdy usłyszałem, że grozi nam poronienie.

Cud, że nie odpałem zawałem. Jak to?! Mamy stracić nasze pierwsze dziecko? Nie umiałbym się z tym pogodzić. Nie przyjmowałem tego do wiadomości. Cierpiałem jak nigdy. I to nie tylko duszą, ale

i ciałem. Odczuwałem te same bóle co Urszula, te same mdłości, ten sam strach.

Był w szpitalu taki genialny lekarz Janusz, który nazywał się oficjalnie Wiktor Rejniak, i to on mówi do mnie:

– Na Boga, daj mi jeszcze chociaż dwa miesiące, bo teraz dziecko nie ma żadnych szans.

Zacząłem razem z Urszulą modlić się do dziecka: – Czekaj jeszcze, czekaj! Ale było już bardzo źle. Kaśka rozpychała się i spieszyła na świat, nie wiedząc, że grozi jej to śmiercią.

Ordynator zwołał konsylium. Stało nad Urszulą kilku wybitnych położników i zaczęło naradzać się szeptem. Zwyciężyła koncepcja słynnego włoskiego profesora, specjalisty od podtrzymywania ciąży, który zawyrokował, że pomoże tylko alkohol.

Natychmiast! Nieznosząca alkoholu Urszula dostała z miejsca spirytus z kroplówki. Przeżyła szok. Mówiła nazajutrz, błada i niemilosiernie skołowana, że w życiu się tak nie upiła. Miała nieprawdopodobnego kaca. Płakała, histeryzowała, oganiała się rękami. Włoski specjalista oświadczył, że pierwszy rozdział mamy szczęśliwie za sobą, ale od tej pory, i to co najmniej przez trzy miesiące, Urszula musi leżeć nieruchomo z nogami do góry i wypijać dzień w dzień dużo wina. W przeciwnym wypadku dziecka nie donosi.

Był to ciężki okres w moim życiu. Miałem zespół, nagrywałem na Broadwayu płytę, chałturzyłem w klubach i doglądałem Urszuli; pielęgnowałem ją według wskazówek Włocha.

Po paru dniach zrozumiałem, że sam nie dam rady, a na żadną pomoc ze strony znajomych liczyć nie mogłem. Ogarnęło mnie przerażenie, że czegoś nie dopatrzę i dojdzie z mojej winy do tragedii. Sprowadziłem więc z Polski matkę Uli, czyli moją teściową.

Przyleciała prawie natychmiast, ale od razu pierwszego dnia wyszła na spacer i wpadła pod auto. Szast-prast! Obie nogi jej połamało. Obie trafiły w gips. W ten sposób miałem w domu dwie rozkrzyżowane

na wyciągu baby z uniesionymi do góry nogami.

Jedna jęczy z bólu, druga narzeka, że musi ciągle wino pić, a ja obydwie muszę nakarmić i jeszcze po nich posprzątać, bo na sam widok wina Ula miała odruchy wymiotne.

Jak tylko przestawała się krztusić, od razu zaczynała wrzeszczeć, że nie chce, nie może, że nie wypije już ani szklanki.

Błagałem ją na kolanach:

– Pij, Ulka! Pij!

– Co ty ze mną wyprawiasz?!

– Lekarz kazał.

Teściowa obrzucała Włocha wyzwiskami, więc tłumaczyłem jej cierpliwie:

– Albo będzie piła, albo dziecko się nie urodzi.

– To nie lekarz, lecz jakiś sadysta i zboczeniec. W Polsce takich metod się nie stosuje.

– Mamo – mówię – to nie jest Polska, tylko Ameryka. Jak pić, to pić!

I wmuszałem w Urszulę kolejną szklankę uprzedzony przez lekarzy, że alkohol może, ale w żadnym wypadku nie musi, spowodować w organizmie i mózgu dziecka pewne zmiany, w co – jako emerytowany pijak – w żaden sposób nie mogłem uwierzyć.

Okazało się, że miałem rację. Ten Włoch – kocham go i polecam Bogu – też miał rację. Biegły tygodnie, a poronienia nie było. Cięża umacniała się z każdym dniem. Tuż przed rozwiązaniem Urszula zaczęła chodzić, bo Włoch stwierdził, że niebezpieczeństwo minęło. Mogłem znowu grać.

Przygotowywałem wtedy dla Marlin/TK Records płytę „Ecstasy”, której wróżono wielki sukces i która w całości poświęcona była nienarodzonemu jeszcze dziecku. Miałem z wytwórnią genialny kontrakt i genialnych czterech Murzynów. Próbowałem z nimi trzy miesiące. Chciałem zrobić płytę w stylu Earth, Wind & Fire. Praca nad nią trwała prawie rok.

Wziąłem osiemdziesiąt tysięcy dolarów zaliczki, a sam z własnej kieszeni dołożyłem kolejnych sześćdziesiąt pięć, więc w sumie koszt wyprodukowania tej płyty przekroczył sto czterdzieści pięć tysięcy. Wierzyłem, że to się zwróci, gdyż wszyscy prorokowali, że będzie to płyta mojego życia, wielki hit, a co za tym idzie – kolosalny sukces finansowy.

Nawiasem mówiąc, bardziej zależało mi na sukcesie artystycznym i nie żałowałem pieniędzy, aby go osiągnąć. Z tego samego powodu chciałem, aby na płycie wystąpiła Urszula Dudziak. Więc u końca ciąży ona zaczęła uczestniczyć w nagraniach. Siłą rzeczy uczestniczył w nich także pchający się na świat Kasiuleniek. No i pewnego popołudnia, 10 lipca 1978 roku, śpiewająca w studyjnym boksie Urszula zaczęła dawać mi nagle przez szybę znaki.

Pobiegłem do niej, zdjąłem jej z uszu słuchawki, a ona mówi:

– To się chyba zaczęło, Michał. Wody odchodzą.

Zwolniłem muzyków i zawiozłem ją do szpitala. Pielęgniarki zapakowały Urszulę do łóżka, a ja zacząłem szukać doktora Janusza, który oficjalnie nazywał się Wiktor Rejniak.

Nie było go ani w szpitalu, ani w domu. Pojechał do pacjentki na Long Island. Ustaliłem numer telefonu i zadzwoniłem tam.

– Przyjeżdżaj – powiedziałem.

– Co się stało?

– Urszula rodzi.

– Spokojnie, Michał, uszy do góry. Wsiadam w samochód i zaraz będę.

Ale Long Island nie jest znowu tak blisko. Zjawił się po dwóch godzinach, w trakcie czego ogryzałem paznokcie do krwi. Na dodatek przyjechał zmęczony, po odebraniu jakiegoś trudnego porodu.

– Bój się Boga, Janusz! – mówię. – Jak ty sobie poradzisz?

– Nic się nie martw.

Pielegniarki napompowały go kawą. Zbadał Urszulę, położył się przy niej na sąsiednim łóżku i zasnął.

Budziłem go co jakiś czas, bo sam czułem bóle porodowe, a stosowane przeze mnie skurcze i rozkurcze w ogóle Urszuli nie pomagały.

Rodziłem z nią, jak Boga kocham! Uważam, że facet, który choć raz nie brał z żoną udziału w takim wspólnym porodzie, nie jest w pełni mężczyzną.

Budzę Janusza, bo czuję, że umieram, a cała moja wiedza porodowa bierze w łeb. Na nic podręczniki, na nic gimnastyka i ćwiczenia z piłką tenisową. W krytycznych chwilach czułem się całkowicie bezradny. Jeśli lekarz nie pomoże, ja tego nie zrobię na pewno.

No więc potrząsam nim; budzę Janusza i krzyczę:

– Tnij!

A on na to:

– Nie ma medycznego uzasadnienia.

– To go poszukaj!

– Nie znajduję, Michał. To jest medycyna. Trzeba się do pewnych

prawideł stosować.

– A ona w tym czasie umrze.

– Nie umrze.

– To ja umrę, nie mogę już tego wytrzymać. Tnij, Janusz! Tnij!
Przerwij te męczarnie!

Pękał mi od bólu brzuch. Z głową, którą rozsadzały dzikie myśli, też działo się coś dziwnego. Łzy ciekły mi z oczu na bezwładną, bladą jak marmur rękę Urszuli.

– Nie odchódź! Nie zostawiaj mnie! – prosiłem.

Ale ona była duszą w jakimś innym, setki mil odległym świecie. Nie reagowała, nie patrzyła na mnie, nie poruszyła palcem ani powieką. Wyglądała żałośnie, bo była podłączona do różnych kroplówek i aparatów. W pewnej chwili wszystkie te cholerne urządzenia zaczęły wydawać alarmujące odgłosy. Pi-pi-pi! Pi-pi-pi! Pi-pi-pi! Pi-pi-pi!

Janusz zerwał się z łóżka, odepchnął mnie, w biegu wrzeszcząc: –
Spierdalaj!

Potem wrzasnął na asystentów i pielęgniarki, od których zaroilo się nagle. No i w ciągu półtorej minuty wykroił z brzucha Urszuli Kasiuleńkę, która czternaście razy okręcona była dookoła pępowinę.

– Daj na mszę – powiedział do mnie po wszystkim Janusz.

– Pewnie, że dam – zapłakałem. – Było groźnie?

– Było tragicznie. W starych latach nie przeżyłyby obie trzydziestu godzin.

Potem zaczął się chwalić: – Ale dobry byłem, co? W ciągu półtorej minuty wyłuskałem ci ze śmierci córkę.

Zapewniał, nim jeszcze zaczął kroić Urszulę, że po cięciu nie

będzie śladu. Jednak miał wesołą rękę, który poleciała mu trochę, zostawiając nieznaczny uśmiech.

W ten sposób dzięki alkoholowi, z którym dawno skończyłem, Włochowi, który go zalecił, i Januszowi, który w decydującym momencie był szybki jak błyskawica, przyszło 10 lipca 1978 roku na świat moje pierwsze dziecko.

Czyż nie jest to ironia losu? Ten sam alkohol, który miał zabić mnie i w którym Urszula zawsze upatrywała największego wroga, uratował życie Kasiuleńce. I nie zaszkodził jej bynajmniej. Jest diabelnie zdrowa, diabelnie ambitna i tak cholernie w wielu dziedzinach utalentowana, że chwilami ogarnia mnie przerażenie.

Drugie dziecko – Michelle, na którą wołamy Mika – urodziło się 8 stycznia 1980 roku. Ją również odbierał Janusz, stosując znowu cesarskie cięcie. Tym razem jednak obyło się bez alkoholu i bez dramatów.

Jestem dumny z córek i ogromnie je obydwie kocham. Pamiętam, że jak Misia przyszła na świat, ześrodkowała na sobie czułość Urszuli i całej w ogóle rodziny, bo była taka maleńka, słodka i bezbronna, że chciało się płakać.

Ale mnie chciało się jednocześnie płakać nad Kasią, która też przecież wciąż była maleństwem starszym o niespełna półtora roku od swojej nowo narodzonej siostrzyczki. Więc mówiłem przekornie, wytykając Michelle:

– Weźcie sobie tego Mao Zedonga, ja zostaję z Catherine.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY:

To jest amerykańskie zawodowstwo

Jazz nie jest zawodem. Jest wyrokiem. Każdy ambitny muzyk, który chce zrobić karierę, musi ćwiczyć od rana do nocy i dopiero kiedy zapadnie w sen, wolno mu improwizować. Mieszkałem często w hotelach z amerykańskimi muzykami. Nawet wtedy, kiedy szły ich ulubione programy telewizyjne, żaden ani na chwilę nie zaprzestał ćwiczeń. Patrzyli w ekran i zaśmiewali się z dowcipów, lecz w tym samym czasie jeden przebiegał bezgłośnie struny na gitarze, drugi tłukł pałeczkami w udo albo w poduszkę, jakby to była perkusja, a trzeci palcował na niemej klawiaturze.

Polacy nie mają pojęcia, co to jest prawdziwy profesjonalizm.

Lubiłem wielkie koncerty z gorącą publicznością, ale wiedziałem, że muszę być także muzykiem studyjnym, dla którego nie ma trudnej tonacji ani trudnej partytury. Zazdrość mnie brała, kiedy patrzyłem na tych gości wchodzących pewnym krokiem do studia, wypakowujących instrumenty i przeczesujących oczami karkołomne zapisy nutowe, aby po chwili oświadczyć: – OK. Jedziemy. If you are ready, I am ready.

To jest właśnie amerykańskie zawodowstwo. Grali swoje partie od początku do końca bez jednej wsypy, po czym pakowali instrumenty, kasowali pieniądze i biegli do innego studia. Czas w studiach jest drogi, więc do niektórych kawałków lepszy bywa perfekcyjny rzemieślnik niż najbardziej natchniony solista, chyba że ten drugi umie być równocześnie tym pierwszym.

Poza tym było dla mnie sprawą ambicji i honoru umieć znaleźć się w każdej sytuacji. Proszę bardzo, ja też gram od razu – nie ma dla mnie trudnych tonacji, nut i podziałów. Ćwicząc godzinami na saksofonie i skrzypcach, osiągałem z wolna amerykańskie mistrzostwo. Sprawiało mi to wielką frajdę, no i wpływało na moją pewność siebie. Jeszcze, jeszcze! Dogonić ich i prześcignąć. Oporne instrumenty, niedostępne w pewnych rejonach jak dziewice, poddawały się moim palcom, a jak raz wydrzesz instrumentowi warowny przyczółek, nigdy już go nie utracisz.

Nie sposób oczywiście zdobyć wszystkiego, bo tego nie dokonał ani Bach, ani Beethoven, ani żaden inny człowiek w dziejach muzyki. Ta pani ma swoje humory! Możesz na nią popatrzeć. Możesz nawet ją podotykać. Niektórych wpuszcza do przedsionka, niektórych do pokoju, a niektórych nawet do łóżka. Nie znaczy to jednak, że jeśli zaczniesz ją posuwać, zdradzi ci wszystkie tajemnice.

Zajmujący się zawodowo muzyką człowiek wpada wtrans, czy też rodzaj amoku, i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę każda jego myśl wiąże się z nią w ten czy inny sposób. To męczący nałóg.

Jesz i myślisz o muzyce!

Kochasz się i myślisz o muzyce.

Śpisz i śniesz o muzyce.

Wiecznie coś układasz, zmieniasz, komponujesz. Ciągłe biegają ci palce, snują się po głowie jakieś projekty, frazy, improwizacje. Jak czytasz, to najczęściej prasę fachową, przy czym zwykle z niczym się nie zgadzasz, bo masz własną teorię muzyki.

Chwilami odczuwasz przesyt, jakbyś przez tydzień nie wstawał od stołu, nagle jednak usłyszysz coś fajnego i tryby zaczynają obracać się z dawną energią – znowu komponujesz, improwizujesz, potykasz się na każdym kroku o melodie i rytmy.

Aby osiągnąć w muzyce sukces, trzeba być ambitnym, pracowitym i utalentowanym. Pierwsze dwa warunki spełnić może w zasadzie każdy. Z talentem jest gorzej. Albo go masz, albo go nie masz. W przeciwieństwie do pozostałych dziedzin artystycznych: filmu, malarstwa, poezji czy prozy, w muzyce talent od razu się uzewnętrznia. Gość zagra kawałek i z miejsca wiesz, czy jest zdolny. Z drugiej strony zdolność muzyczna ma kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt odmian. Ktoś może się pochwalić absolutnym słuchem, inny dysponuje fantastyczną pamięcią muzyczną, jeszcze inny z wyjątkową łatwością czyta nuty, nie znając ich prawie, wyłapując jednak ze zręcznością kuglarza wszystkie bemole i krzyżyki.

Piękny ton, poczucie harmonii, umiejętność komponowania, sztuka improwizacji, fantazja rytmiczna, dar przekazania gniewu, agresji, miłości i wzruszeń, bez których najdoskonalszy nawet muzycznie utwór będzie płytki i drętwy; swingowanie, którego w żaden sposób nie można się wyuczyć, a za które wielu doskonałych jazzmanów oddałoby połowę swojej sprawności; biegłość techniczna, smak w operowaniu pauzami i ciszą, i tak dalej, każdy dobry muzyk dołożyłby coś do tej listy, każdy ma bowiem swój własny na tę sprawę pogląd.

Spotkałem kiedyś gracza, który w ogóle nie miał słuchu, więc nie zdałby egzaminu do szkoły muzycznej. Z akademickiego punktu widzenia był zerem. Ale w tym popieprzonym mózgu aż roilo się od pomysłów jazzowych; nie słyszał linii melodycznej, lecz musiał ją widzieć. Improwizował jak cholera. Wypracował sobie nieprawdopodobną technikę i grał tak gęsto, że mało kto wyczuwał jego niestrojność.

Każdemu, choćby najgenialniejszemu graczowi czegoś brak. Są jednak tacy, którzy akumulują w sobie większość z przytoczonych powyżej talentów muzycznych, a jeśli na jakimś polu są słabsi, to właśnie nad tym pracują.

Oszlifowałem kanty. Mogłem zagrać teraz na skrzypcach dosłownie z każdym i wszystko. Postanowiłem sobie, że przekonam Amerykanów do tego instrumentu, dobrze wiedząc, że przede mną był genialny Stuff Smith.

Równie ostro pracowałem nad saksofonem, bo ciągle jeszcze nie wyzbyłem się miłości do niego. Skrzypce były moją żoną, saksofon – kochanką. Poświęcałem mu najśłodsze myśli. Choć nie dopisywała mi kondycja, mogłem na nim wygrać każdą frazę, jaka pojawiła się w głowie. Uwielbiam tenor i sędzę, że osiągnąłbym w tej dziedzinie ten sam poziom co na skrzypcach, gdyby nie wadliwe zadęcie.

Pamiętam, jak kiedyś w Nowym Jorku, ale to było chyba dopiero w osiemdziesiątym piątym, przyjrzał mi się podczas grania Phil Woods, znakomity saksofonista, i wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

– Jak się ciebie słucha, a nie widzi, Michael – powiedział – to się

zdaje, że dmuchasz prawidłowo, bo masz cudowny ton, dźwięczny i oryginalny. Wystarczy jednak na ciebie spojrzeć, wiesz, na szyję, brzuch i usta, i już wiadomo, że nikt cię nigdy nie ustawił.

– To co mam robić?

– Idź do Paula Rostocka, on jest najlepszy od tych spraw w Nowym Jorku.

Poszedłem, bo nie mam w zwyczaju lekceważyć takich uwag. Przywitałem się z Paulem, który też był wybitnym tenorzystą, a on mówi:

– Puść mi jakąś swoją taśmę, żebym zorientował się, na jakim jesteś poziomie.

Puściłem mu specjalnie tę samą balladę, której wysłuchał poprzednio Phil Woods. Paul pokręcił głową i powiada:

– Przecież ty żadnej lekcji nie potrzebujesz. Genialnie grasz na saksofonie, chłopcze. Sam chciałbym mieć taki ton.

– To samo powiedział mi Phil Woods, panie profesorze. On twierdzi jednak, że muszę wyjąć saksofon i zademonstrować panu moje zadęcie.

Zgodził się bez przekonania, lecz jak zacząłem grać, złapał się za głowę. Nie mógł zrozumieć, jak mogłem osiągnąć taki ton i taką technikę przy moim haniebnym układzie mięśni policzkowych i warg. Grałem przy luźnych wargach i luźnych policzkach, artykułując językiem:

– Tfu, tfu, tfu, tfu.

Tymczasem powinienem napiąć wargi i rozciągnąć policzki tak, jakbym się uśmiechał, i artykułować:

– Khe, khe, khe, khe.

Dał mi tylko tę jedną jedyną lekcję. Kazał uśmiechać się i ćwiczyć

długie tony. Już po tygodniu grałem dwa razy głośniejsz i z dwukrotnie mniejszym wysiłkiem niż poprzednio. Nie mogę odżałować, że tak późno trafiłem do tego faceta. Gdybym zetknął się z nim wcześniej, tuż po przyjeździe do Nowego Jorku, zaoszczędziłbym dużo zdrowia i mógłbym konkurować na tenorze z każdym światowym saksofonistą.

Przestałem w każdym razie omdlewać na scenie. Wówczas zaś, w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, zdarzało mi się to raz po raz.

Miałem doskonałe notowania w prasie jazzowej. A przecież wydana w siedemdziesiątym ósmym roku płyta „Ecstasy”, do której dopłaciłem z własnej kieszeni sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów, nie przyniosła mi ani pieniędzy, ani oczekiwanego sukcesu artystycznego. Wszyscy byli przekonani, że będzie to wielkie, wręcz rewolucyjne wydarzenie muzyczne, coś pomiędzy Weather Report, wspaniałym zespołem Zavinula, a Earth, Wind & Fire, czyli kompilacja elektrycznego jazzu ze śpiewanym dynamicznie przez czterech Murzynów rhythm and bluesem.

Nie wstrzeliłem się jednak w odpowiedni czas. Realia były takie, że promująca nas wytwórnia Marlin/TK Records wypuszczała w siedemdziesiątym ósmym roku hit za hitem. W radiu, w telewizji, wszędzie krążyły ich kawałki. Produkcja szła pełną parą.

No i zdarzył się paradoks. W pewnym momencie potencjał finansowy Marlina przestał nadążać za długami, które wytwórnia zaciągnęła wobec firm tłoczących setki jej płyt. Marlin był w owym czasie zbyt mały i zbyt biedny, aby wciąż zwiększać nakłady, czego domagał się od wytwórni wszystkożerny rynek. Pieniądze za sprzedane płyty można by ściągnąć od dystrybutorów dopiero za sześć-dziewięć miesięcy, nieraz dopiero za rok albo za półtora. No i skutek był taki, że Marlin, rozrastając się ponad miarę i nie nadążając z płatnościami, zbankrutował. Było to bankructwo przez sukces. Operacja się udała, pacjent umarł, zabierając do grobu moje pieniądze.

Rok później cała amerykańska muzyka popularna skrzyła dokładnie w tym kierunku, jaki podjąłem na „Ecstasy”. Jazz wokalny i instrumentalny oraz czarny pop wzięły z tej płyty wszystko, co istotne. Ślady tego można znaleźć w amerykańskiej muzyce do dzisiaj.

Jak wspomniałem, nagrywając ze mną, Urszula Dudziak miała również swoje niezależne kontrakty. W 1979 roku towarzyszyłem jej na płycie „Future Talk” wydanej przez Inner City Records, a w 1980 ukazała się nakładem Kaytone Records inna głośna płyta Urszuli „Space Lady”, gdzie także grałem.

W tym samym osiemdziesiątym roku wyszły dwie moje płyty: „Daybreak” (UBX/Pausa Records) i „Serenade For The City” (Motown Records). W osiemdziesiątym pierwszym wydałem wraz z Larrym Coryellem „Bolero”, a w osiemdziesiątym trzecim znowu ukazały się dwie moje płyty: jedna z Billym Cobhamem „Live In London” (Acoustic Records), a druga – Michał Urbaniak, „Facts Of Life” (UBX/SWS Records).

Taki był bilans pierwszych dziesięciu lat stałego pobytu w USA. Nie mogłem narzekać. Nagrałem dwadzieścia kilka płyt, z których niemal wszystkie były gorąco przyjęte przez krytykę i publiczność. No i doczekałem się dwóch wspaniałych córek.

Byłem osobistością. Wielu światowej sławy jazzmanów upatrywało we mnie prekursora, okazując mi na każdym kroku szacunek, przyjaźń i gotowość do współpracy. Miałem szerokie grono znajomych, nie tylko muzyków, lecz także wybitnych filmowców, fotografików, dziennikarzy, menedżerów, plastyków i pisarzy.

Byli również wśród nich sportowcy, a ściślej mówiąc tenisiści, gdyż tenis jest jedynym sportem, jaki kocham. Zacząłem grać już w młodości, w Szwecji, lecz dopiero tutaj, w Stanach, na poważnie.

U końca lat siedemdziesiątych często przyjeżdżał na turnieje do Nowego Jorku Wojtek Fibak, z którym szybko się zaprzyjaźniłem i który zwykle zatrzymywał się w naszym mieszkaniu przy 58 Zachodniej ulicy. Za jego pośrednictwem poznałem wielkich tenisistów, Lendl, Borga, Connorsa. McEnroe i Gerulaitis uprawiali półzawodowo rock and rolla, a pozostali też byli zaprzysięgłymi fanami jazzu i popu.

Wojtek Fibak udzielił zarówno mnie, jak i Urszuli wielu lekcji. Nie chcę się chwalić, ale grałem jak cholera, i to mimo nadwagi

i kłopotów ze zdrowiem, przez piętnaście lat. Kardiolog w ogóle chyba nie pozwoliłby mi uprawiać sportu, bo często przyjeżdżało do mnie pogotowie z nitrogliceryną. Jednego dnia, wedle wszelkich oznak, groził mi zawał, drugiego wychodziłem na kort i szalałem.

Grywałem między innymi z Januszem Głowackim i Włodkiem Gulgowskim. Innym moim stałym partnerem była Urszula Dudziak, która też zakochała się w tenisie.

Tu muszę jednak powiedzieć, że gdzieś w osiemdziesiątym drugim roku moje stosunki z Urszulą zaczęły się psuć.

Najpierw nastąpiło między nami coś w rodzaju separacji artystycznej. Dwie cięższe oddaliły trochę Urszulę od muzyki. Mniej występowała, mniej nagrywała. Rzadziej koncertowaliśmy wspólnie, więc nasz sprawdzony repertuar, w którym jej instrumentalny śpiew stapiał się z moim graniem w jedność, został zaniedbany. Urszula za tym tęskniła. Przypominała mi lata, kiedy stanowiliśmy we dwójkę całą orkiestrę, o którą wszyscy zabiegali i która zarabiała nieraz piętnaście tysięcy dolarów za występ.

Miała rację. Ja jednak ni stąd, ni zowąd zapragnąłem wrócić do swoich korzeni. Skoro nie było obok mnie Urszuli, zacząłem nagrywać muzykę ściśle jazzową, do której wciąż wzdychałem. Potrzebne mi było jak tlen twarde, szalone, swingujące, popowe granie z czadem, bez którego nie ma dla mnie muzyki.

Śniły mi się trąby, saksofony i puzony. Marzyłem o szalejących perkusistach, podkreślających tempo i wprawiających publiczność w ekstazę. Nie to, żeby usunąć Urszulę ze swoich planów, ale zabrnąłem po prostu w ten stary, fascynujący jazzowy idiom i nie mogłem się od niego wyzwolić.

Urszula mówiła: – Michał, zróbmy znowu coś razem.

Przytakiwałem niewyraźnie głową, wiedząc, że już do tej muzyki nie wrócę. Owszem, koncert, chałtura, płyta, wspólny wyjazd, wspólny wywiad – chciałem to wszystko utrzymać, tak jak chciałem ze wszystkich sił utrzymać rodzinę. Ale w mojej muzycznej duszy nastąpiło rozdarcie

i szczyry powrót do starego grania uważałem za niemożliwy.

Kochałem do szaleństwa obydwie moje córki i ponad życie kochałem Urszulę. Pisałem już, że spędzałem z nią dwadzieścia cztery godziny na dobę i byłem chory, kiedy znikwała z moich oczu choćby na kilka minut.

Ula twierdzi, że to był błąd, i chyba ma rację. Jej wersja i moja wersja naszego rozstania niewiele się od siebie różnią. Teraz, po latach, kiedy wciąż jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, analizujemy to czasami na wesoło.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY:

Dziewczynki na mojej głowie

W siedemdziesiątym czwartym roku, wkrótce po naszym przyjeździe do Stanów, do Urszuli zadzwoniła Elżbieta Czyżewska, która stawiała sobie za punkt honoru opiekę nad młodymi polskimi artystami. Powiedziała: – Ula, słuchaj, jest u mnie party, są fajni ludzie, wpadnij, co ci szkodzi?

Ja byłem wtedy w New Jersey, gdzie udzielałem jakiegoś wywiadu. No i Urszula zdecydowała się pójść na to party beze mnie.

Była to jej pierwsza samodzielna wyprawa w naszym dotychczasowym życiu. Poczula się nagle wolna jak ptak. Płynęła, frunęła, spadły z niej kajdany, które założyłem jej rzekomo na ręce i nogi. Odzyskała pewność siebie. Śmiała się, dowcipkowała. Mowy nie było o żadnym flircie, ale w ciągu tych kilku godzin niezależności świat bez Michała Urbaniaka wydał jej się cudowny i nie mogła już o tym zapomnieć.

Taka jest właśnie wersja Urszuli.

Poszła na party do Czyżewskiej, po czym wróciła i dostała się znowu pod bicz moich spojrzeń. Robiłem jej wymówki. Może nawet urządziłem scenę zazdrości.

Sam nigdzie bez niej nie chodziłem, chyba że w naszych wspólnych interesach, więc oczekiwałem od niej tego samego. Nic na to nie poradzę. Mam już taką zaborczą naturę.

Wracając do osiemdziesiątego drugiego roku – rozbrat jazzowy między nami spowodował, że Urszula zaczęła budować własny program muzyczny. Była przecież znakomitą artystką. Stać ją było na samodzielne występy. Miała masę propozycji koncertowych w Ameryce i Europie, i zaczęła z nich korzystać, zostawiając dom i dziewczynki na mojej głowie.

Jesienią dziewięćdziesiątego czwartego roku jedno z polskich

czasopism bulwarowych napisało niefrasobliwie:

„Urszula Dudziak, znana wokalistka jazzowa, która od lat mieszka w Ameryce, sławna jest nie tylko ze wspaniałego głosu. Przejdzie do historii jako ostatnia wielka miłość Jerzego Kosińskiego, pisarza żyjącego na obczyźnie, którego «Malowany ptak» przyniósł mu sławę i majątek. Kosiński popełnił samobójstwo w wannie – podczas kąpieli założył na głowę torebkę foliową i udusił się.

Urszuli trafiały się tragedie z mężczyznami jak mało której kobiecie. Najpierw zostawił ją mąż Michał Urbaniak, jazzman, który zakochał się w pięknej modelce i porzucił żonę wkrótce po przyjeździe na drugą półkulę, gdy nie wiedziała, jak zapłacić rachunki”.

Jest to oczywiście wierutne łgarstwo.

Nie chodzi o Kosińskiego, z którym w latach osiemdziesiątych. Naprawdę łączyła Urszulę wzniosła i szlachetna przyjaźń. Chodzi o to, że ja ją zostawiłem, że nie miała na opłacanie rachunków, podczas gdy faktycznie byliśmy w Stanach skromnymi, lecz potencjalnymi milionerami, dużo zamożniejszymi niż większość sławnych amerykańskich jazzmanów.

Doczekaliśmy się dzieci, przeżyliśmy wiernie i szczęśliwie w Nowym Jorku kilkanaście lat. I jeśli już ktoś kogoś zostawił, to mnie się zdawało, że zaczęła robić to Urszula.

Mylilem się być może. Ja, nie ona, doprowadziłem chyba do artystycznego rozwodu. Inny rozwód jednak w ogóle nie zaświatał mi w głowie. Kiedy więc w osiemdziesiątym drugim roku Ula usamodzielniała się i zaczęła wyjeżdżać w długie, wielomiesięczne trasy – pół biedy, gdy było to w Stanach, ale częściej wchodziła w grę Europa – rozpaczałem jak nieboskie stworzenie.

Nie mówię, że Ula była złą matką. Wręcz przeciwnie. Ale ciągle zostawiała mnie z dziewczynkami. Mieliliśmy niby dla nich opiekę, niańki i pielęgniarki, lecz tym babom nie sposób w pełni zaufać. Mimo dobrej sytuacji finansowej ciągle więc byłem zajęty, niedospany i zmęczony. Dwoilem się i troilem, żeby utrzymać dom na poziomie.

Najkoszmarniejszy był 1983 rok.

Zdawało mi się, że Urszula ode mnie odchodzi. Ciągnąłem smykami albo dmuchałem w saksofon, wyobrażając sobie, że żona mnie zdradza. Najpierw wpadłem w ohydłą chorobę telefoniczną. Pół biedy, kiedy grywała trasy w Stanach, bo wówczas znałem jej marszruty i mogłem połączyć się błyskawicznie. Bez przerwy odlatywała jednak do Europy, gdzie było na nią duże zapotrzebowanie, więc często musiałem jej szukać.

Dzwoniłem dzień w dzień, i to kilka razy na dobę. Nieraz rozmawialiśmy godzinę, nieraz pół, a nieraz tylko kilka sekund, bo zaczęła zdradzać zniecierpliwienie.

Łapałem ją za dnia i w nocy, gdy już spała. Nic dziwnego, że była wściekła. Czasem w trakcie koncertu schodziła na chwilę z estrady, a tu czyha już na nią portier i mówi:

– Telefon.

Je kolację w restauracji, atu ciągną do niej kabel przez pół sali:

– Nowy Jork do pani, madame Dudziak.

To samo w hotelach. Zaczęli z niej pokpiwać muzycy, a niejedną łątę przyfastrygowali pewnie do moich pleców. Więc Urszula przestała odbierać telefony. A jak odebrała, to mówiła:

– Michaś, przestań zadrećcać mnie i siebie.

Chciałbym mieć dzisiaj te pieniądze, które wydałem wówczas na telefony. Ale było to nic w porównaniu z ceną mojego drugiego szaleństwa. Nie mogąc dodzwonić się do Urszuli, zacząłem do niej latać. Po przebudzeniu albo w trakcie sesji nagraniowej, albo podczas lunatycznego spaceru ulicami Manhattanu brałem ni stąd, ni zowąd taksówkę, jechałem na JFK i wsiadałem w pierwszy samolot do Londynu, Paryża, czy też innego europejskiego miasta.

No i zaskakiwałem Urszulę, wtaczając się do garderoby lub stając pod estradą. Śpiewała od dwudziestu lat to samo; nie chciała zmienić idiomu, do czego wielokrotnie próbowałem ją skłonić, abyśmy znowu mogli grać razem. Śpiewała przebojowo i świetnie, więc klaskałem, żeby ją sobie zjednać. Najczęściej jednak kipiała ze złości. Furii dostawała, gdy waliłem nocą do jej pokoju w Monachium czy Kopenhadze. Nieraz poświęciła mi parę godzin, ale bywało, że po krótkiej wymianie zdań jechałem z rozpaczą w sercu na lotnisko i wracałem do Nowego Jorku, po to tylko, aby za chwilę znowu przylecieć do Europy.

Zaniedbałem muzykę. Ukazały się wprawdzie tego roku (1983) dwie moje płyty: nagrana wspólnie z Billym Cobhamem „Live In London” (Acoustic Records) oraz autorska „Facts Of Life” (UBX/SWS Records), dwudziesta druga moja amerykańska pozycja, były to jednak kupony od starych akcji.

Improwizujący i komponujący jazzman nigdy nie uwolni się na dobre od muzyki, którą oddycha nawet wtedy, gdy cierpi, choruje i śpi. Więc nawet w ciszy, kiedy nie miałem w rękach instrumentu, frazy muzyczne bez przerwy snuły mi się po głowie. Nieraz były świetne, a nieraz być może genialne, byłem jednak zbyt rozczarowany, aby je zapisywać lub rejestrować na taśmie.

Trzy rzeczy znałem na pamięć: numery kierunkowe do wszystkich większych amerykańskich i europejskich miast, godziny wszystkich samolotowych rejsów do Europy i z powrotem oraz kolejowy rozkład jazdy w całej zachodniej Europie.

Szczególnie zapadły mi w pamięć tysięczne godziny, które spędziłem w europejskich pociągach. Był to z pewnością nienormalny stan, jakaś psychiatryczna jednostka chorobowa. Jak w letargu goniłem pociągami za Urszulą z nadzieją, że w końcu się dogadamy. Parę razy zresztą przecinałem jej drogę i materializowałem się jak duch w przedziałach pociągów, którymi Ula jechała na koncert. Mówię: „jak duch”, i nie ma w tym żadnej literackiej przesady, bo ustalałem na przykład, że podążająca do Hamburga żona odjechała kilka minut przede mną z Berlina Zachodniego. Wówczas goniłem ją taksówką, wyprzedzałem i wsiaadałem do pociągu na małej stacyjce, przeczesując wagon po wagonie. Jak odnalazłem ją wreszcie i wchodziłem

z rozmachem do przedziału, ona zasłaniała się rękami i wykrzykiwała:

– Och, nie! Daj mi spokój!

Zasypiałem w tych szaleńczych trasach. Nieraz budził mnie konduktor na dworcu, a nieraz policjant na boczniczy. Brałem hotel, albo i nie brałem, i jechałem dalej, wmawiając sobie, że mam do załatwienia jakąś sprawę w Genewie lub w Sztokholmie. I znowu gnałem za Urszulą.

Często na dworcach spotykałem znajomych i oni też patrzyli na mnie jak na zjawę. Raz wpadłem przy kasach w Kolonii na Marka Manna, perkusistę z Łodzi, chłopaka ze sławnej filmowej rodziny, który ukończywszy warszawską Akademię Sztuk Pięknych, wyemigrował na stałe do Niemiec i został tam jednym z najwybitniejszych grafików.

– Jedziesz gdzieś? – zapytał.

– Do Göteborga.

– Grać?

– Kochać się – skłamałem. – Mam tam piękną dziewczynę.

Zgodnie z amerykańską szkołą zachowań uśmiechnąłem się promiennie przez zażawione oczy.

Bywało, że czasami występowałem z Urszulą, bo byli agenci, którzy chcieli ją tylko z Urbaniakiem. Zostawiliśmy dzieci u Leszka Dudziaka pod Göteborgiem i pojechaliśmy na północ Norwegii. Graliśmy tylko we dwoje, a sekcję rytmiczną zastępowały wszystkie te elektryczne buzery. Podobaliśmy się ludziom jak cholera, więc agenci wypłacali nam pięć albo i siedem tysięcy dolarów za wieczór.

Urszula kręciła jednak nosem. No i przebrała się miarka. Wchodzimy pewnej nocy po koncercie do hotelu, a ona mówi, że ma mnie dosyć i żąda, abym wziął jej osobny pokój.

Czułem się tak, jakbym dostał siekierą w łeb. Nie zapomnę tego do końca życia.

Wyszła wtedy nowa płyta Quincy'ego Jonesa, którą miałem na kasecie w walkmanie i której bez przerwy słuchałem. Włączyłem ją, ale niewiele pomogła. Na dodatek w Norwegii było wtedy ciemno przez okrągłą dobę, co też mnie dołowało.

Powlokłem się nad skalisty fiord i stanąłem nad przepaścią. W dole kłębiło się morze, wałąc falami o kamienisty brzeg. Zaciśnąłem pięści, zamknąłem oczy i szykowałem się do skoku.

Nagle, przez szum morza i jęczenie wiatru, doszedł mnie głos matki:

– Michaś, nie rób tego! Weź się w garść i pokaż im znowu!

Czułem, jak zamarzają mi łzy.

Nie wspominałem, że wcześniej, 24 września 1981 roku, matka pożegnała się ze światem w Łodzi. Odchorowałem to w ciągu pięciu miesięcy. Wyłem nocami jak pies, wrzeszczałem na ulicach, ale na pogrzeb nie pojechałem, gdyż miałem niezłatwione sprawy z chciwym jak cholera Pagartem, no i bałem się, że mnie wsadzą. Na szczęście matka była u mnie w Nowym Jorku przez dziewięć miesięcy i zdążyła nacieszyć się Kasią, a drugą córeczkę Michelle też zobaczyła przed śmiercią w Szwecji.

Straszliwie matkę kochałem i żałuję, że tak rzadko okazywałem jej swoje uczucia.

Szlag by to trafił. Człowiek byle babie wyznaje miłość, byle kumpłowi mówi, że go kocha, a przed własną matką milczy jak pień.

Chyba tylko raz się przed nią otworzyłem, a było to po dramatycznych narodzinach Kasi. Zatelefonowałem do Łodzi i, płacząc jak bóbr, powiedziałem, że jest mi najdroższą istotą na świecie, co nie zmienia faktu, iż równie mocno kochałem żonę i dziecko.

No, ale żona zaczęła się ode mnie odsuwać. Rozsadzał mi serce ból nie do zniesienia. Gibąłem się nad tym fiordem i byłbym chyba

naprawdę skoczył, jednakże głos matki otrzeźwił mnie z miejsca i mój ból zamienił się nagle we wściekłość.

To tak mi się, małpo, odpłacasz?! – pomyślałem. – Za to, że cię uczyłem i zrobiłem z ciebie gwiazdę?

Czułem potrzebę natychmiastowego działania. Pora zmienić życie, Michale!

Byłem niezwykle otyły, więc najpierw z tym zamierzałem się rozprawić. Dokończyłem z Urszulą trasę i zamiast wracać do Nowego Jorku, pojechałem do Ulm w zachodnich Niemczech. Położyłem się w klinice tamtejszego uniwersytetu na oddziale profesora Ditchunhaita, przemycając ze sobą papier nutowy i pióro, bo postanowiłem napisać symfonię.

Męczyłem się z początku. Źle oddychałem, bo miałem jakieś zapory w nosie. Po paru tygodniach zdołałem się jednak przyzwycząić do rygorów szpitalnych. Doszedłem do porozumienia z siostrą Renatą i siostrą Teresą. Obie wiedziały, że jestem zdrowy facet i jedynie się odchudzam. Obydwie mnie polubiły, podobnie jak profesor Ditchunhait, dumny, że leczy się u niego znany Amerykanin.

Rano o szóstej był obchód. Profesor rozglądał się na wszystkie strony, czy nie chowam gdzieś jedzenia. Odżywiałem się głównie wodą źródlaną, cały galon tego specjału dostawałem. No, ale od samej wody można wyciągnąć kopyta. Poza tym serwowano mi na obiad wymyślony przez Ditchunhaita kleik, tak zwany milkshake, który miał tylko trzysta kalorii, a składał się z rozpuszczonych lodów o smaku waniliowym.

Wypijałem kilkanaście litrów wody, zakąszałem milkshakiem i, pracując bujnie wyobraźnią, wmawiałem sobie, że jestem po zupie grzybowej, tatarze, kotlecie schabowym i waniliowym deserze.

Najbardziej wykańczała mnie nuda. Podciągnąłem trochę symfonię i skomponowałem furę jazzowych kawałków, w końcu zatkało mnie jednak. Brakowało mi wielkiego miasta: gwaru, klaksonów, knajp, kin i żywej swingowej muzyki. Zacząłem więc spiskować z siostrą Renatą i siostrą Teresą.

Niemki są niby szalenie zasadnicze, one dały się jednak wciągnąć w spisek i wieczorem, po ostatnim obchodzie, pozwalały mi wychodzić ukradkiem do miasta.

Mówiły:

– Jak nie wrócisz rano przed obchodem, to wyrzucą nas z pracy.

– Wrócę – zapewniałem, obcałowując je po rękach.

Przebierałem się, wyskakiwałem na ulicę i jechałem pociągiem lub taksówką do Monachium, gdzie rozwijałem bogatą działalność towarzysko-kulturalną – na dworcach, w klubach, w dyskotekach, w domach licznych przyjaciół, gdzie dyskutowałem zawzięcie całą noc lub słuchałem do upojenia muzyki.

Wszyscy dookoła obżerali się i pili, a ja, najczystszy człowiek świata, pociągałem tylko co chwilę zachłanny łyk wody z galonu, który zawsze miałem pod ręką.

Nad ranem wracałem do Ulm, poganiając taksówkarza:

– Schnell, schnell! Uniklinik Au Schlossenberg!

Rozbierałem się, padałem jak kłoda na łóżko obok mojego chorego kolesia i udawałem, że śpię. Niebawem pojawiał się na czele swojego orszaku profesor i zagadywał:

– Jak naszemu amerykańskiemu artyście minęła noc?

– Dankeschon, Herr Proffesor – odpowiadałem, tłumiąc ziewanie i szykując się do długiej, pokrępowanej drzemki.

Niemiecki znałem bardzo dobrze, choć podobnie jak to było z angielskim i szwedzkim, nigdy nie uczyłem się go z podręczników.

Dowcipkowałem z pielęgniarkami, ale w sercu ciągle tkwiła zadra. Tęskniłem straszliwie za córeczkami i Urszulą. Czułem jednak,

że z każdym dniem przybywa mi sił fizycznych i psychicznych. Zgubiłem w Ulm dwadzieścia pięć kilogramów, więc gdy wróciłem do Nowego Jorku, byłem innym człowiekiem.

Wiedząc, że mam kłopoty z oddychaniem, profesor Ditchunhait polecił mnie swoim kolegom z Ulm, kardiologom i laryngologom, bo miewałem ni stąd, ni zowąd objawy, które wskazywały na ataki serca. Po gruntownych, kompleksowych badaniach ustalono, że przyczyna tkwi w nosie. Ogromny, zwalisty, jowialny laryngolog, którego nazwiska nie pamiętam, powiedział, że powinienem poddać się operacji, ale nie w Niemczech, tylko w Stanach, gdyż może to być długa historia, wymagająca nadzoru ze strony rodziny.

Mniej bałem się o serce, bardziej o słuch, który z dnia na dzień traciłem.

– Jak tak dalej pójdzie – rzekł bez uśmiechu laryngolog – to będziemy mieli drugiego Beethovena.

– Ogłuchnę zupełnie? – dopytywałem z trwogą.

– Jak pień!

Dał mi zalecenie dla lekarzy w Nowym Jorku, i to w trzech językach – po łacinie, angielsku i niemiecku.

Na Manhattanie raz czułem się lepiej, raz gorzej, ale z pójściem do szpitala zwlekałem.

W 1984 roku nie wydałem ani jednej płyty. Muzycznie był to chyba najgorszy rok w mojej amerykańskiej karierze. Nie ćwiczyłem, nie komponowałem. Grałem w klubach, występowałem w radiu i telewizji, ale czyniłem to mechanicznie. Saksofon mnie męczył, a do skrzypiec też straciłem serce.

Wigor odzyskiwałem na kortach tenisowych. Byłem teraz nieomal chudy, więc ruszałem się jak błyskawica. Stałem się wymagającym partnerem nawet dla takich mistrzów, jak bardzo ze mną zaprzyjaźniony Lendl, Nastase czy Okker.

Jednak gdy schodziłem z kortu, byłem bardzo samotny. Nie widywałem Urszuli miesiącami. Unikałem też naszych wspólnych przyjaciół. Znowu siadywałem na gankach nowojorskich kamienic albo krawężnikach zatłoczonych ulic i trzymając głowę w dłoniach, odpychałem od siebie mroczną pokusę grobu.

Do tego, że schudłem, zdążyłem już przywyknąć i nie było to dla mnie – jak sobie fałszywie tłumaczyłem – żadnym racjonalnym sukcesem.

Ale w życiu człowieka nic nie dzieje się przypadkowo. Przeznaczenie biegło już ku mnie z rozpostartymi ramionami. Dobra Bozia szykowała mi niespodziankę.

ROZDZIAŁ SZESNASTY:

Miłosne tajemnice

Była wiosna osiemdziesiątego czwartego roku. Którejś nocy obudził mnie telefon. Spojrzałem na zegarek – dochodziła dopiero dziesiąta. Niechętnie odbierałem wówczas telefony, ale tym razem coś mnie tknęło. Zerwałem się i dopadłem aparatu jednym skokiem.

Nieznany głos, ni to dziewczęcy, ni kobiecy, napełnił moje uszy słodyczą.

– Pan Michał Urbaniak?

Przytaknąłem. Dawno już nikt nie wymówił tak ciepło mojego nazwiska.

– Cieszę się, że mogę rozmawiać z Polką – powiedziałem.

– Ja też się cieszę – odbiła dziewczyna i przystąpiła do sprawy.

Otóż żona Janusza Głowackiego poinformowała ją, że ja oraz moja żona i dzieciaki wyjeżdżamy na całe lato do Göteborga, a ona jest w trudnej sytuacji życiowej i bardzo chciałaby wynająć nasze mieszkanie.

Ugryzłem się w język i nie wspomniałem, że Ula wyjechała z córeczkami do Szwecji sama, twierdząc, że tak będzie dla wszystkich najlepiej. Nie akceptowała mnie, i już! Ale po co miałem stresować dodatkowo nieznaną, którą zobaczyłem nagle oczami wyobraźni jako biedną, zagubioną w nowojorskich tłumach istotę.

Postanowiłem jej pomóc, i choć nie jestem w rozmowach z dziewczynami śmiały, zaproponowałem spotkanie. Najdziwniejsze jest to, że nim ją zobaczyłem, już czułem się zakochany, bo było coś urzekającego w jej głosie.

Ona mówi:

– Chętnie zobaczę się z panem, ale gdzie?

– Może w okolicach Plaza Hotel? – wymieniłem najdroższy punkt w Nowym Jorku, odwiedzany przez tabuny turystów.

– Dobrze, lecz jak się poznamy?

– Jak się poznamy, to się poznamy, a jak nie, to nie – strzeliłem, nie opisując swojej sylwetki. – Nigdy mnie pani nie widziała?

– Nigdy, chociaż dużo o panu słyszałam.

– Więc do zobaczenia za godzinę. Jak ma pani na imię?

– Liliana.

Ogoliłem się, wszedłem trzeci raz tego dnia pod prysznic i ruszyłem do Plaza Hotel – pieszo, bo miałem dwa kroki. To, że na postoju przed hotelem siedział na koźle swojej pięknej dorożki Polak Mike, wziąłem za omen, i okazało się wkrótce, że słusznie.

Od razu na siebie wpadliśmy. Spodziewałem się średnio urodziwej dziewczyny, skromnie ubranej i cichej. Nie przypuszczałem, że jest to skończona piękność.

– Pani Liliana?

– Tak.

Pocałowałem ją w rękę, lecz byłem tak wstydliwy, że nie śmiałem wprost na nią spojrzeć. Trzymałem wzrok utkwiony gdzieś z boku albo ponad jej głową, gdy opowiadała mi w kawiarni swoją historię.

Nie wszystko od razu powiedziała, ale szybko przespała się ze mną, słysząc, że mam z Urszulą kłopoty. Dopiero wtedy miałem odwagę patrzeć wprost na tę cudowną twarz i na to fantastyczne ciało. I dopiero wtedy zdradziła mi wszystkie swoje tajemnice.

Pochodziła z Warszawy. Przeżyła kilka młodzieńczych miłości, rodzice zdawali sobie jednak sprawę z tej niepośledniej urody

i postanowili wydać ją za milionera. Nie polskiego oczywiście, bo polski milioner to cham i szmaciarz, badylarz jakiś lub morderca drobiu.

Napatoczył się nowojorski Żyd, obrzydliwie bogaty i rozpaczliwie stary. Zupełnie jak w bajce straszce, której nie należy opowiadać dziewczynkom przed snem. Wyszła za niego, wierząc, że pomoże jej zrobić karierę. Była początkującą aktorką szukającą kontaktów z wielkimi producentami i reżyserami. Starzec przyrzekał, że wprowadzi ją do Hollywood.

Ale geriatryczna miłość nie wytrzymała próby czasu. Nie było dzieci, nie było rodzinnego ciepła, no i nie było filmu, który wyniosłby dziewczynę na piedestał. Postanowiła więc rozwieść się i usamodzielnic. Na razie mieszkała jednak w pałacowym mieszkaniu starca przy rogu Piątej Alei i 61 Zachodniej ulicy.

Żyd wyjeżdżał często w interesach, więc mieliśmy ten pałac dla siebie. Byłem potwornie zakochany. Każdego ranka, budząc się, przeżywałem szczęście, o którym dotąd nawet nie śniłem. Wszystko do mnie wróciło: zapachy, kolory, apetyt, a co najważniejsze – chęć do grania. Wiedziałem, że mogę teraz przewrócić do góry nogami świat i że wcześniej czy później wystrzelę znowu wielką płytą.

Chudłem, bo nie wychodziliśmy z łóżka. Z płacznego Michasia zrobił się nagle diabelnie przystojny gość. Pierwszy raz w życiu poczułem się prawdziwym mężczyzną. Ogier był ze mnie. Nie dawałem kumplom wiary, gdy mówili, że kobieta może jęczeć z rozkoszy pod facetem, no i raptem zobaczyłem, że to prawda. Więc nagrywałem nasze łóżkowe zmagania na taśmie, aby udowodnić sobie, że nie uległem złudzeniu. Gdy przesłuchiwałem nagrania, namiętność buzowała we mnie jak pożar.

Liliana miała karnację blondynki, ale oczy i włosy były ciemne. Nos miała zgrabny i prosty, zęby białe i równe, a cudowne, miękkie wargi aż prosiły się o pocałunek. O piersiach, biodrach i nogach można by napisać poemat. Nauczyła mnie, że nie tylko usta służą do całowania. Nauczyła mnie wielu innych rzeczy, które dotychczas uważałem za tabu i wstydzilem się o nich pomyśleć.

Krótko mówiąc, dopiero ona wyciągnęła mnie z seksualnego analfabetyzmu. Potrafiła wspaniale ułożyć się i ustawić, i początkowo dyrygowała mną jak ciurą. Potem jednak przejmowałem czasami dowództwo.

Romans utrzymywaliśmy w najgłębszej tajemnicy. Nie chciałem, aby dowiedziała się o nim Urszula i mąż Liliany. Przeczuwałem komplikacje. Zacząłem chodzić w ciemnych okularach, niczym gangster. Wybierałem ustronne sklepy i kwaciarnie, żeby wręczyć Lilianie bukiet czerwonych róż i butelkę francuskiego szampana, za którym przepadała. Lubiała też czarny astrachański kawior i zawsze miała go pod dostatkiem.

Częściej nocowałem teraz w pałacu niż u siebie. Kiedy wróciła Urszula z córeczkami, uciekałem z domu pod pretekstem, że nagrywam w nocy lub że złapałem poza Nowym Jorkiem jakąś trasę. Czasami nie zaglądałem do domu przez tydzień, albo i dłużej.

Znalazłem u Liliany prawdziwą przystań. Łóżko łóżkiem, ale gdy wychodziliśmy z niego, była dla mnie szalenie dobra. Cały czas obdarzała mnie ciepłem, spokojem i miłością, a więc tym, za czym zawsze tęskniłem. Niebawem jednak zaczęła przebąkiwać, że chętnie zostałaby moją żoną, bo nie lubiła konspiracji. Chciała poznać moich przyjaciół, chodzić ze mną do klubów i prowadzić otwarte życie towarzyskie.

Mówiłem jej wtedy:

– Nie zabieraj mnie z tej rodziny. Błagam, zostaw wszystko, jak jest. Będiesz miała we mnie przyjaciela do końca życia, przybiegnę na każde wezwanie, ale po co ci taki mąż jak ja?

Rozmawiałem z nią wprost. Jako aktorka musiała czasami paść z reżyserem, producentem czy operatorem. Rozumiałem to i ku swojemu zdziwieniu wcale nie byłem zazdrosny. Wiedziałem jednak, że w pewnym momencie może opuścić mnie dla kariery, wołałem więc, aby zrobiła to jako kochanka niż żona.

Otwierałem butelkę Dom Perignon i napełniałem kieliszek Liliany, a do swojego wlewałem wodę mineralną. Nadpijała ze smakiem

odrobinę, mrużąc oczy i uśmiechając się ciepło jak siostra, i perswadowała łagodnie:

- To takie pyszne! Spróbuj. Przecież łyk nie może ci zaszkodzić.
- Błagam, nie rozpijaj mnie, Liliana.
- Ja cię rozpijam?
- Mówiłem ci, że miałem z tym kłopoty.
- Ze mną nie będziesz miał żadnych kłopotów.

Nigdy nie była uzależniona, więc nie mogła zrozumieć zagrożenia, jakie niesie najmniejsza choćby dawka alkoholu dla człowieka pijącego kiedyś zawodowo. Bronilem się, odpychając pokusę obiema rękami, potem jednak spróbowałem raz i drugi, i wkrótce przestałem się bronić, czując, że jestem normalnym facetem i że szampan nie bierze mnie we władanie. Dalej nie ruszałem piwa i żadnych mocnych alkoholi, więc wszystko niby było w porządku.

Nikt by nie uwierzył, że Liliana dobiega już trzydziestki. Zawsze radośnie mnie witała, a potem wykwitał na jej twarzy szelmowski uśmiech i raptem obydwójce zaczynaliśmy chichotać.

– Z czego się cieszysz? – mówiłem. – Przecież jeszcze cię nie dotknąłem.

I wybuchaliśmy jeszcze głośniejszym rechotem, nie mogąc się opanować przez trzy godziny.

Była inteligentna i dowcipna, no i miała bestialskie wyczucie muzyki. Ani wśród kobiet, ani wśród mężczyzn nie spotkałem nigdy człowieka o takiej wrażliwości na rytm, melodię i harmonię. Wysłuchiwała dwóch pierwszych taktów i już wiedziała, czy ktoś gra, czy pieprzy o siedmiu zbójach. Byłaby znakomitym pisarzem jazzowym wśród skorumpowanych i przemądrzałych krytyków, wciąż marzyła jednak o karierze aktorskiej.

A filmu jak nie było, tak nie było. Może ktoś i wciągnął ją pod kołdrę, potem nie wywiązał się jednak z przyrzeczeń. Sam próbowałem załatwić jej rolę, bo przecież skomponowałem muzykę do szesnastu obrazów, wiele moich kawałków filmowych było przebojami, które trafiły na kasety i płyty, chwalił mnie nawet za tę robotę „New York Times” i inne gazety. Znałem kupę ludzi z branży, jednak głównie tych, co działali na Manhattanie, tu zaś produkuje się zazwyczaj trudne i ambitne, niskonakładowe i tanie obrazy, traktowane w Hollywood jako sztuka drugiej kategorii.

Niewiele zdziałałem. Los Liliany leżał w jej własnych rękach. Tłumaczyłem jej codziennie, że powinna mieć więcej poczucia własnej wartości – nie na zewnątrz, lecz wewnątrz.

– Zmobilizuj się – mówiłem. – To, że idziesz na obiad z kamerzystą, nie ma żadnego znaczenia, bo gnojek, choćby nie wiem jak przyrzekał, i tak nie pozna cię z producentem czy reżyserem. Ci panowie mogą posłać go najwyżej po papierosy.

Zgadzała się niby, lecz wciąż była naiwna. Ściągały ją klasy średnie.

Wreszcie, działając wspólnie, załatwiliśmy jej rolę w telewizji. Utrzymała ją przez rok, zarabiając kilkadziesiąt tysięcy dolarów, które radośnie przepuściliśmy.

Nie była ani trochę wyrachowana. To znaczy: bardzo taką być chciała, ale jej nie wychodziło, choć zapatrzyła się w Pacułę i bardzo jej zazdrościła. Tłumaczyłem jej wtedy – dosadniej, niż tu mówię:

– Cwaniarą człowiek się rodzi. Ty nie urodziłaś się spryciarą, więc daj sobie z tym spokój, chyba że chcesz być marną spryciarą, z której wszyscy będą się śmiać.

– Więc gdzie jest błąd? – dopytywała.

– W tobie. W twoim mózgu i sercu. Stoisz godzinami przed lustrem, żeby wykreować arcydzieło. Malujesz się, pozujesz, przebierasz, zupełnie tak, jakby krawiec próbował zrobić z tandetnego materiału

suknię dla księżniczki. Tracisz czas. Przecież jesteś piękna. Powinnaś wyskoczyć na ulicę w byle bluzce, w byle spódnicy i zakosić wszystkich bez gadania.

– Prawidło jest takie – mówiłem – że piękna dziewczyna idzie do fryzjera i wychodzi trzy razy brzydsza. Na naturalność musisz postawić, Liliano. W strojach i w zachowaniu. I tak facet kocha cię najbardziej wtedy, gdy cię dyma, a wówczas suknia leży na podłodze, zaś dzieło fryzjera zamienia się w kołtun.

W osiemdziesiątym piątym roku poddałem się wreszcie operacji nosa. Był to ostatni dzwonek, bo prawie nic już nie słyszałem. Leżałem w nowojorskim szpitalu, płacąc za tę przyjemność, jako pacjent nieubezpieczony, siedem tysięcy dolarów.

Operacja, przeprowadzona zgodnie z sugestiami niemieckiego laryngologa, powiodła się. Przedłużono mi septum, powywiercano dziury w nosie, który przedtem był zgrabny, a potem zrobił się zupełnie inny. Jak obudziłem się z narkozy, to przypomniałem sobie moment, gdy wieźli mnie na operację. Zasypiałem. Półprzytomny byłem, bo dostałem już eter, a Urszula dreptała obok wózka i kłóciła się ze mną zażarcie.

Szeptałem:

– Małpo! Jestem prawie na łożu śmierci, a ty ciągle mnie szarpiesz?!

Powtarzała się historia stara jak świat. Jeśli odchodzi od ciebie żona czy narzeczona, to zamiast płakać, sięgać po truciznę czy rzucać się w przepaść, znajdź sobie inną kobietę, a ta pierwsza zaraz do ciebie wróci.

Urszula domyślała się czegoś i raptem zaczęło jej na mnie zależeć. Przypominała mi ciągle, że jesteśmy rodziną, że mamy dzieci i wspólny dorobek. Zaczęła mnie śledzić i przepytywać. Biegała za taksówkami, z których wysiadałem, aby wyciągnąć z kierowcy, skąd wracam. Szukała dowodów zdrady w moich kieszeniach i na taśmach, wiedząc, że zawsze wszystko nagrywam. Już nie byłem wstrętny. Wyczuwała we mnie determinację i ogromną, choć maskowaną siłę, którą dać mi mogła tylko

jakaś kobieta.

Odwiedzała mnie po operacji. Ale w innych porach odwiedzała mnie Liliana, przynosząc codziennie piękne, czerwone kwiaty, z których aż buzoowało miłością. Więc Urszula brała mnie w krzyżowy ogień pytań.

– Od kogo te róże?

– Od Larry’ego Coryella – kłamałem.

– To on jest pedał?

– Daj spokój! Masę ludzi przychodzi z wizytą. Nie jadam słodyczy, więc przynoszą kwiaty.

Prawdę mówiłem. Oprócz córek, Urszuli i Liliany przychodzili przyjaciele: muzycy, śpiewacy, filmowcy, często też goście z Polski, raz z flachą, którą odsuwałem, raz z kwiatami. Ale bukiet od Liliany wyróżniał się spośród innych wiązanek. Wszyscy zwracali na niego uwagę, a co dopiero Urszula.

– Jakaś baba tu zagląda oprócz mnie.

– Nie zagląda – zapierałem się w żywe oczy.

Bałem się, że sypną mnie pielęgniarce. Ale nie sypnęły. Liliana umiała zjednać je sobie i z powodzeniem uprawiała mijankę.

Wreszcie lekarze zdjęli opatrunki z mojego zdeformowanego nosa i wypuścili mnie. Biegło upalne nowojorskie lato. Urszula, sama lub z córeczkami, wyjeżdżała ciągle do Hunter, wypoczynkowej miejscowości w górach oddalonej od Nowego Jorku o trzy godziny drogi. Było to miejsce spotkań polskich artystów i ich rodzin. Czeczotowie, Głowaccy, Rybczyńscy, Hartowiczowie – wszyscy tam jeździli, zabierając ze sobą Urszulę, a ja w tym czasie ciągnąłem w Nowym Jorku swoją szaloną miłość.

Wciąż ani ja, ani Liliana nie mieliśmy rozvodu i wciąż się kryliśmy – albo w pałacu milionera przy Piątej Alei, albo u mnie.

Bywało, że Urszula jeździła do Hunter bez dziewczynek, zostawiając je pod opieką baby-sitter. Wówczas, jeśli milioner był akurat w pałacu, Liliana przychodziła na noc do mnie, z tym że nie wchodziła głównym wejściem, lecz drugim, zapasowym, zastawionym szafą, z której wyłaniała się jak szczęśliwy sen. Nie nakryła nas nigdy żadna niańka, gdyż kochaliśmy się cicho. Jednak kiedy wracała Urszula, marszczyła nos, jakby czuła w pokoju jakieś podejrzone zapachy.

Organizatorzy naszych koncertów w Izraelu uparli się, aby Urszula wystąpiła z Urbaniakiem, a Urbaniak z Urszulą. Proponowano nam tak wysokie honoraria, że trudno było odmówić występów. No i stawaliśmy razem na estradzie, grając, uśmiechając się do siebie i udając szczęśliwe małżeństwo. Gdy jednak po występie próbowali nas na spacerze lub w restauracji ustrzelić fotoreporterzy, czmychałem na bok albo odwracałem głowę, nie chcąc, aby Liliana była zazdrosna o Urszulę. Przed każdym wyjazdem z Dudziakową musiałem jej składać deklarację wierności.

Podejrzenia Urszuli już dawno zamieniły się w pewność. Ale zapierałem się stanowczo.

– Jesteś zakochany!

– Nie.

– Lepiej przyznaj się, Michał, i skończ z tym czym prędzej.

Akurat! Gdy nie mogliśmy się spotkać z Lilianą ani w pałacu przy Piątej Alei, ani w mieszkaniu przy 58 ulicy, udawałem, że lecę na koncert do Paryża czy Londynu. Wywalczałem sobie w ten sposób kilka wolnych dni. Wynajmowałem na Manhattanie pokój w hotelu dla porzucających i porzuconych, i kochałem się tam z Lilianą.

Cały spryt Urszuli nakierowany był teraz wyłącznie na to, żeby mnie złapać. Wracając, nie wysiadałem z taksówki przed domem, lecz gdzieś w pobliżu. Urszula już tam czekała. Zatrzymywała taksjarza i próbowała wysondować, czy wiezie mnie naprawdę z lotniska, czy też z innej okolicy. Taksjarze jednak są dyskretni, chyba że dostaną w łapę. Nie dostawali widocznie, bo jakoś mnie nie sypnęli. Więc Ula patrzyła

na licznik. Już sama wysokość opłaty mogła jej powiedzieć, skąd wracam – jeśli taksometr wskazywał parędziesiąt dolarów, mogło to być rzeczywiście lotnisko, lecz jeśli wybił tylko kilka, nie ulegało wątpliwości, że jestem kłamcą wracającym z łajdackiej randki.

Ciągle jednak przeczyłem faktom. Nie mam nikogo, nie kocham się w nikim.

Wreszcie Urszula zdobyła ostateczny dowód. A w każdym razie, tak jej się wydawało. Na zapytanie, gdzie idę, odpowiedziałem uczciwie, że do wróżki. Była taka kobieta, trochę wróżka, trochę psychoterapeutka, którą często pokazywano w telewizji i która zajmowała się przede wszystkim problematyką miłosną. Po jednym z programów zadzwoniłem do niej. Miała masę pacjentów, lecz wyjednałem sobie u niej seans. Potem wróciłem do domu, ani głupszy, ani mądrzejszy, a wieczorem poszedłem do Liliany.

Zgubiło mnie to, że miałem chorobliwy zwyczaj nagrywania wszystkich moich rozmów. Urszula rozpoczęła poszukiwania, przeczesując moje kieszenie i szuflady. No i znalazła kasetę, na której odważnie odkrywałem przed wróżką swoje miłosne tajemnice. Ani razu nie wymieniałem jednak imienia Liliany.

Urszula puściła nagranie i wrzasnęła triumfalnie: – Mam cię! Teraz już się nie wywiniesz!

Ale ja w dalszym ciągu wszystkiemu zaprzeczałem, twierdząc, że nie chodzi tu o żadną obcą kobietę, tylko o nią.

– Więc czemu mówisz o jakiejś aktorce?

– Dla kamuflażu – łgałem jak z nut.

Nie wierzyła, ale absolutnej pewności nie miała. Nie sposób jednak ukryć romansu nawet w tak wielkim mieście jak Nowy Jork. Z wielu stron donosiły na mnie przyjaciółki Dudziakowej – jedna widziała mnie z Lilianą w kinie, druga na ulicy. Wreszcie któraś dostarczyła konkretne imię i nazwisko, dalej więc palić głupa nie mogłem.

Polski reżyser zaproponował Urszuli rolę w filmie, w którym miała również wystąpić Liliana. Niewiele brakowało, aby obie spotkały się na planie. W rezultacie nic z tego nie wyszło. I dobrze. Mogłoby dojść do draki. Ula coraz częściej objawiała złe humory. Pojechałem kiedyś z nią i z córkami do Hunter, a ona rano obudziła się w podłym nastroju i mówi:

– Dalej tak być nie może, Michał! Decyduj się: ja albo Liliana!

Wrzasnąłem wówczas:

– Liliana!

Wyskoczyłem z łóżka i wróciłem do Nowego Jorku. Byłem zdecydowany opuścić wreszcie Urszulę. Kiedy powiedziałem o tym Lilianie, ucieszyła się bardzo. Okazała mi dużo uczucia i tkliwości, i znowu zaczęła napomykać o małżeństwie.

Baba nigdy nie ma dosyć.

W osiemdziesiątym piątym roku ukazała się moja płyta „Cinemode”. Złożyły się na nią kompozycje, które napisałem do różnych filmów. Nie był to jazz, lecz muzyka ilustracyjna, w której obok płynnej linii melodycznej nie brakło swingu i typowych dla jazzu rozwiązań harmoniczných. Jednak pobrzmiwały w niej również poważne, patetyczne echa, bo wykonywały ją orkiestry symfoniczne.

Muzycy mówili: – Od razu widać, Michael, że jesteś Słowianinem. Chwilami brzmisz jak Czajkowski, a chwilami jak Szostakowicz.

Zawsze pociągala mnie potęga wielkich orkiestr i do dzisiaj chętnie z nimi współpracuję. Cieszy mnie wówczas zgodna koegzystencja różnych stylów muzycznych. Fragmenty niektórych moich kompozycji zmieściłyby się z pewnością w niejednej klasycznej rapsodii czy symfonii.

Ale jazz zawsze w końcu wygrywał. Zakochany, a więc natchniony, układałem często kilka jazzowych kawałków w ciągu dnia.

Nie ja pisałem, lecz miłość wypełniająca mój mózg i serce. Pracowałem jak szalony, pomysł gonił pomysł, melodia melodię. Jeszcze dzisiaj wracam do tematów, które zarejestrowałem w trakcie sześciu lat spędzonych u boku Liliany.

Obydwoje rozwiedliśmy się wreszcie – ja z Urszulą, ona ze swoim milionerem, i choć nie byłem w pełni przekonany, wzięliśmy ślub na dachu Empire State Building, najwyższego wieżowca na świecie.

Było to 17 sierpnia 1987 roku. Moim świadkiem został Janusz Głowacki i z nim właśnie jechałem na ślub dorozką Polaka Mike’a, który naprawdę nazywa się Zbigniew Żarów. Świeciło słońce, lecz raptem z jasnego nieba spadł rzęsy deszcz, nieomal ulewa. Więc pytam Janusza:

– Myślisz, że to jest jakiś znak?

A on mnie nie oszczędza i mówi:

– Z pewnością.

Liliana nie czekała długo, żeby wyciąć mi pierwszy numer. Dwa tygodnie po ślubie uciekła do Australii z operatorem obiecującym pokierować jej karierą. Film miała kręcić. Pierwsze sceny zaczęły się w łóżku. Była dość inteligentna, aby szybko zrozumieć, że akcja nie posunie się dalej, a sama poza z rozłożonymi nogami, bez dialogu i normalnych planów, nie bardzo jej odpowiadała.

Kiedy więc przeżywałem katusze zazdrości, zrozpaczony, rozbity, wytracony z muzyki, która nie dawała mi ukojenia, zadzwoniła do mnie z antypodów.

– Misiek, ja cię przepraszam – płakała w słuchawkę. – Tylko ty! Kocham cię i zawsze będę cię kochać. Poblądziłam, ale chcę natychmiast wrócić.

A ja wtedy, może głupi, a może nie głupi, przełknąłem ze wzruszenia ślinę i powiedziałem:

– Wracaj.

Wróciła i kontynuowaliśmy nasz miodowy miesiąc. Wiedziałem, że jest to tylko odroczenie wyroku. Ale niczego nie żałowałem. Kiedy była przy mnie, wyrastały mi skrzydła. Znowu komponowałem jak w transie. Wieczorami grywałem w manhattańskich klubach, a ona siedziała przy stoliku, pijąc szampana i słuchając całym sercem i całym swoim pożądlwym ciałem. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie byłem szczęśliwszy.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY:

Miles Davis zaprasza

Kiedyś Liliana wyjechała do rodziny w Niemczech. Tęskniłem za nią jak pies. Od razu zaczęła kuleć muzyka. Został mi tenis, ale ile można grać? Zająłem się więc w New Jersey hazardem. Szczególnie wciągnęła mnie modna wówczas piramidka, zakazana skądinąd przez władze.

Płacisz tysiąc pięćset dolarów i dostajesz miejsce w samolocie. No i teraz musisz działać: jesteś w samolocie, ale łazisz po mieście i szukasz frajerów, którzy – jak ty wcześniej – też gotowi są zapłacić tysiąc pięćset dolarów, żeby wejść na pokład z ośmioma miejscami. Jeśli już zwerbowałeś czterech, to przesiadasz się na miejsce obok pilota, kasujesz dwanaście tysięcy i odlatujesz, a tych ośmiu, każdy z osobna, musi martwić się o kolejnych czterech, żeby wyjść na swoje.

W piramidce obowiązywała konspiracja. Nie było nazwisk, tylko ksywy. Orzeł, Reszka, Bambosz, Kapucyn, Liliput. Traf chciał, że zwerbowałem Polaka, który wszedł do samolotu, ale w żaden sposób nie mógł pozyskać do gry czterech facetów. Słabo znał angielski i obca mu była piękna sztuka perswazji. W tej sytuacji postanowił iść na policję.

Policjant, sonny boy, który go przyjął, zatarł ręce z uciechy i z miejsca go wsadził, mówiąc przedtem:

- Więc przyznajesz się, ty uroczy skurwysynu, że grałeś?
- Nie grałem, tylko mnie podpuścili.
- Kto?
- JBX/257.
- I co się za tą ksywą kryje?
- Podejrzewam, że sławny muzyk jazzowy Michał Urbaniak.
- Ach, Michael! Urbaniak!

Znam dobrze tok przesłuchania, bo policjant był miłośnikiem jazzu i przychodził na moje koncerty, więc jakżeśmy się później spotkali w barze, to mi wszystko powtórzył.

– Rzucasz, synu, poważne oskarżenie na osobę publiczną.

– Wykiwał mnie – napierał aresztowany Polaczek. – Skoro ja mam siedzieć, niech i on siedzi.

Typowo polska mentalność! Policji ze stanu New Jersey, z miejscowości Bayonne, gdzie konkretnie rozgrywały się te wypadki, nie pozostało nic innego, jak rozpocząć poszukiwania tajemniczego JBX/257.

Do akcji włączyła się momentalnie łasa na sensację prasa, rozdmuchując sprawę do niebywałych rozmiarów. „Bayonne Daily Chronicle”, dziennik lokalny, zamieścił na pierwszej kolumnie wstrząsający artykuł, że oto dnia dzisiejszego nasza dzielna policja wpadła na trop bandy oszustów i szulerów uprawiających w lokalach Bayonne obrzydliwy proceder. Nagłówek brzmiał:

ARESZT NA MANHATTAN MANA

W ostatnim akapicie reporter zapowiadał, że policja z Bayonne jedzie już do Nowego Jorku, aby zwinąć JBX/257, przestępcę, którym wedle wszelkich znaków na ziemi i niebie jest znany artysta jazzowy.

Ja tymczasem siedziałem w swoim mieszkaniu na Manhattanie, tęskniąc straszliwie za Lilianą. Nagle dzwoni do mnie Urszula, u której była wtedy Halina Frąckowiak, i zaczynają tokować jedna przez drugą:

– Uciekaj, Michał!

– Dlaczego?

– Bo cię ścigają!

– Kto?

– Policja!

– Skąd ta wiadomość?

– Przeczytałyśmy przypadkiem artykuł w „Bayonne Daily Chronicle”.

Zrozumiałem, że nie żartują. Wybiegłem jak szalony z domu i wpadłem do adwokata.

– Ratuj! – mówię.

– Co się stało?

Opowiedziałem mu całą historię.

– Daj się zaarrestować – brzmiała rada mego papugi.

– Zwariowałeś?

– Nie widzę innego wyjścia – rzekł. A potem dodał: – Chociaż widzę. Zamiast czekać, aż cię zaarrestują, sam zgłoś się na policję. To robi zawsze dobre wrażenie.

Zrobiłem, jak radził. Dygocząc ze zdenerwowania, poszedłem na posterunek i przyznałem się do przestępstwa. No i zaczął się koszmar. Nie patyczkowali się ze mną, wykręcając mi od razu ręce i ciągnąc do jakiegoś pomieszczenia. Obfotografowali mnie, zdjęli odciski palców i wrzucili do celi za szkłem, gdzie czekało już na mnie pięciu bandytów.

Były to mordy tak straszne, że straciłem władzę w nogach i zwałem się na betonowe klepisko, obok kibla, do którego ktoś się akurat odlewał.

Moje wejście ożywiło drani znudzonych jałowym tokiem dnia. Dźwignęli mnie do pozycji stojącej i zaczęli podawać sobie z rąk do rąk, jakbym był koszykarską piłką. Szarpali mnie, popychali, wreszcie któryś położył mi łapsko na karku i tak ścisnął, że znowu upadłem.

– Przecież nic wam złego nie zrobiłem – mówię.

– Stul pysk i dawaj papierosy!

Parę dni później wróciła Liliana i przysłała do aresztu z adwokatem. Wyciągnęli mnie za kaucją pięć tysięcy dolarów.

Tu muszę powiedzieć, że wcześniej, podczas moich obłądnych wędrówek po Europie, byłem również aresztowany. Było to w lutym osiemdziesiątego trzeciego roku. Wsiadłem do slipingu w Cannes i ruszyłem do Bazylei na spotkanie z Adzikiem Sendeckim. Pojechałem, aby z nim popracować, a trochę żeby go po prostu zobaczyć, gdyż potrzebna mi była jakaś bratnia dusza.

W pociągu komponowałem zawzięcie na klawiaturze, którą zawsze noszę w kieszeni. Powstały wówczas dwa dobre numery: „Challenger” i „Don Alligator”, nie jechałem więc do Adzika z pustymi rękami, lecz z konkretnym, gotowym do obróbki materiałem.

Bazylea jest pięknym miastem na granicy trzech państw: Francji, Niemiec i Szwajcarii. W dobrym nastroju opuściłem pociąg, bo zza chmur wyjrzało akurat słońeczko, i udałem się zwawym krokiem do odprawy paszportowej. Nie przewidywałem żadnej przykrej niespodzianki, przeciwnie, był to jeden z nielicznych w tym okresie dni, kiedy w sercu zaświtało mi, że wszystko się jeszcze z Urszulą ułoży. Nawiasem mówiąc, Ula była wtedy z dziećmiakami w Szwecji, więc pomyślałem sobie, że jak uwinę się z Adzikiem, to wpadnę do niej z krótką wizytą.

Stałem nagle przed paskudnie wyglądającym bykiem, grenze polizei, który obciął mnie błyskiem źrenicy i powiedział z flegmą:

– Pass, bitte.

Znam niemiecki, ale mam taki nawyk, że z początku nigdy nie przyznaję się do tego w niemieckojęzycznych krajach, dzięki czemu wiem, co o mnie mówią, i w razie czego potrafię przysolić.

Dryblas przekartkował mój paszport i zwrócił się nagle do kolegi:

– Widzisz skurwysyna?! W dupę jebany pies [hund – tak właśnie mnie nazwał, przy czym się sympatycznie uśmiechał], ma podrobiony paszport i chce się przeszwarcować.

Mój paszport był prawdziwy jak wszystkie moje dokumenty. Więc skoro drażał się uśmiechał, ja też się uśmiechałem, a on klarował koledze, wągrowatemu młodzieńcowi:

– Patrz i ucz się, jak wyglądają fałszywe paszporty.

Wtedy mówię:

– Any problem, sir?

– Not at the moment.

– Then give back my passport.

– Poczekaj.

– Jak to: poczekaj?! Kiedy oddacie mi dokument?

– Gdy się z nim bliżej zapoznamy.

Już miałem wybuchnąć po niemiecku, ale raptem widzę, że dwóch panów w kitlach i czterech mundurowych stoi za moim wózkiem z bagażami, a ja w dodatku mam w kieszeni dwanaście tysięcy marek, osiem tysięcy franków i tysiąc pięćset dolarów.

Drażał podszedł do wózka, żeby przyjrzeć się moim walizkom, zaś wągrowaty pętał, potrząsając w jego stronę głową, poinformował mnie szeptem:

– Pan dzisiaj źle trafił.

– Dlaczego?

– Bo to jest największy ekspert w Europie od fałszywych dokumentów.

– Żartuje pan! Moje dokumenty są w porządku.

Śmiałem się frajerowi w twarz. Byłem jeszcze butny i pewny siebie, wiedząc, że w razie czego zadzwonię do amerykańskiej ambasady i dostaną za swoje.

Ale młodzieniaszek też się śmiał.

– Mam siedmioletnią córkę – powiedział – i nawet ona by poznała, że stempel w pańskim paszporcie jest rozmazany.

– Widocznie komuś obsunęła się ręka.

– Akurat!

Poczułem nagle ból w ramionach wykręconych fachowo do tyłu i spętanych kajdankami. Wzięli mnie we czterech do pustego pokoju i rozebrali do naga. Największy ekspert w Europie od fałszywych dokumentów zaczął przykładać papierek lakmusowy do każdego ze znalezionych przy mnie banknotów, że to niby one też muszą być podrobione. Nie przerywając roboty, rozkazał komuś:

– Wsadź mu palec!

– Gdzie?

– No... tam!

Poczułem obrzydliwy ból i potworne upokorzenie. Wrzasnąłem:

– Chcę natychmiast rozmawiać z ambasadą!

– Do żadnej ambasady nie zadzwonisz, bo jest sobota. Ruszaj się!

Cisnęli mnie w kajdankach do zielonego passata, który z tyłu nie miał klamek, a od przednich siedzeń oddzielały mnie żelazne kraty.

Po obu moich stronach usadowili się mundurowi, przekonani niezbitcie, że mają do czynienia z groźnym bandytą.

Podjechaliśmy do gmaszyska opatrzonego szyldem: Kriminalpolizei Basel.

Nie byłem już butny. Byłem przerażony. Powlekli mnie długim, ponurym korytarzem. Z pomieszczeń, które mijaliśmy po drodze, dobywały się jęki, wrzaski i charkoty. Torturowali ludzi. Przysięgam na matkę! Pomyślałem, że jeśli i mnie zaczną torturować, popełnię samobójstwo.

Sięgnąłem do kieszeni, żeby łyknąć valium, ale zabrali mi już. Więc mówię:

– Mam to zapisane przez lekarza.

– Nie jesteś w szpitalu, łobuzie, tylko na policji – osadził mnie jeden.

Drugi mówi po niemiecku:

– W dupę jebany skurwiel, pies chce się zabić! Niezłą szychę żeśmy złapali!

Naprawdę wierzyli, że złapali szychę.

Wzięło się za mnie dwóch panów w fartuchach, bo drażal zadysponował, aby zrobić mi rentgen zębów. Potem zostałem obfotografowany i niebawem, po pięciu zaledwie minutach, facet przyniósł plakat, na którym pomiędzy lewym i prawym profilem widniała również moja twarz na wprost, przy czym muszę uczciwie przyznać, że wyglądałem paskudnie.

Błagałem, żeby mnie puścili, całowałem ich nieomal po butach, ale nic to nie pomogło.

Tak jak bierze się trumnę na ramiona, tak i oni podnieśli mnie do góry w sześciu, no i zostałem wrzucony do celi.

Cieszyłem się początkowo, że jestem sam, wkrótce jednak znowu zaświtała mi samobójcza myśl. Ale jak tego dokonać, skoro wszystko mi zabrali? Nie miałem paska, nie miałem sznurowadeł, a w celi nie było żadnego haka, o który mógłbym zaczepić powrósło.

Interesowałem się wówczas buddyzmem, więc zacząłem medytować. Udało się! I nagle wypełzła mi z duszy fantastyczna muzyka. Usłyszałem wyraźnie różne frazy, nie tylko na saksofon i skrzypce, lecz na całą orkiestrę. Nie miałem pióra i papieru, żeby to spisać, więc ogarnęła mnie raptem straszliwa tęsknota za instrumentem.

Załomotałem do drzwi. Podszedł klawisz i zapytał:

– Czego?!

– Dajcie mi skrzypce! Muszę poćwiczyć na skrzypcach.

Klawisz wpadł w furję, pewien, że stroję sobie żarty. Przez minutę obrzucał mnie najplugawszymi wyrazami, grożąc, że zaraz pójde na kolejne przesłuchanie i że nim mnie zatłuką, urwą mi przedtem ptaka i dzwony.

Człowiek, który pierwszy raz trafia do aresztu, szybko nabiera pewności, że już nigdy na wolność nie wyjdzie. Tak było i ze mną. Tymczasem zwolnili mnie wieczorem, po siedmiu godzinach. Ten sam zielony passat bez klamek odwiózł mnie na dworzec i zostałem wpakowany do pociągu. Usłyszałem na pożegnanie, że nie wolno mi przez trzy lata wjeżdzać do Szwajcarii, bo nie mam właściwego paszportu i nieodpowiednio się zachowuję. W ten sposób dragał, najwybitniejszy ekspert od fałszywych dokumentów w Europie, zemścił się na mnie, a przed kolegami zachował twarz.

Zauważyłem, że nie bronię się już tak bardzo przed szampanem, skutecznie łagodzącym moje niepokoje. Byłem nieprzytomnie zakochany, dobrze jednak wiedziałem, że Liliany, choć była już moją prawną żoną, nie utrzymam na dłuższą metę. Urszula tymczasem zaplątała się z Kosińskim, więc gdyby Liliana opuściła mnie na dobre, nie miałbym dokąd wrócić. A tak straszliwie bałem się samotności!

Jeśli coś nie zdradziło mnie przez cały ten czas, to muzyka. Kobiety, choćby nie wiem jak zakochane, zawsze zdradzają. Jak nie ciałem, to umysłem. Dzień w dzień toczyły się w głowie Liliany skomplikowane procesy myślowe, do których nie miałem dostępu. Wierzyłem, że darzy mnie szczerym uczuciem, ale kiedy całowała mnie i mówiła: – Misiek, ja cię Kocham i będę cię kochać do końca życia – czułem w tym zapowiedź rozstania.

Spędziliśmy razem kilka lat, w trakcie których siedmiokrotnie odchodziła ode mnie i wracała. Wciąż śniła o wielkiej karierze aktorskiej i wierzyła, że trafi wreszcie na właściwego faceta, który umożliwi jej wielki start. Przy mnie czuła się spokojna, może nawet szczęśliwa, drażyła ją jednak świadomość niespełnionych nadziei.

Moja kariera muzyczna układała się przy Lilianie nad podziw dobrze. W samym tylko osiemdziesiątym piątym roku wyszły moje trzy płyty: dwie autorskie – „Urbaniax” w UBX/Sonet Records i „Cinemode” w Rykodisc oraz jedna nagrana z Larrym Coryellem: „A Quiet Day In Spring”, opublikowana przez wytwórnię SteepleChase Records.

W następnym, osiemdziesiątym szóstym roku, również wydałem trzy płyty: Michal Urbaniak Quartet „Friday Night At The Village Vanguard” (Sonet/Storyville Records), Michal Urbaniak „Take Good Care Of My Heart” (SteepleChase Records) oraz Michal Urbaniak „Live In New York” (L&B Bellaphon Records).

Fakt, że w osiemdziesiątym siódmym roku moja muzyka ukazywała się na płytach aż pięciokrotnie, był miły, ale nie najważniejszy, bowiem w tym czasie spełniło się jedno z największych moich marzeń.

Poznać Milesa Davisa i zagrać z Milesem Davisem!

Mieliśmy z Milesem w swoich zespołach tych samych muzyków, czasami nawet w odwrotnej kolejności. Ja pierwszy odkryłem Bernarda Wrighta i Marcusa Millera, w chwili kiedy obydwaj byli jeszcze paronastoletnimi chłopcami i do nocnych klubów na Manhattanie musieli przychodzić pod opieką swoich ojców, bo inaczej nikt by ich nie wpuścił.

Pamiętam, jak skromny i stremowany Marcus odwiedził mnie kiedyś w domu i zagrał z pamięci na gitarze basowej repertuar z paru moich płyt, nie myśląc się nawet o ton. Spytałem go wtedy:

– Jesteś wspaniały, chłopcze, ale powiedz no mi prawdę: czytasz nuty?

– Nie, proszę pana. Nie znam w ogóle nut, za to bardzo kocham i podziwiam pańską muzykę i bardzo chciałbym z panem grać.

– Jasne, że będziesz ze mną grał – odparłem – lecz co ci szkodzi iść do szkoły?

No i Marcus poszedł za moją namową do szkoły, którą zresztą ukończył, zapoznając się z fagotem, klarnetem oraz instrumentami klawiszowymi. Dziś aranżuje, komponuje, gra jak szatan na basie i dętych instrumentach drewnianych, i jest chyba obok Herbiego Hancocka i Wyntona Marsalisa najlepiej zarabiającym i najbardziej przez czarną publiczność podziwianym muzykiem w USA.

Zatrudnialiśmy zresztą z Milesem – ja sobie, on sobie – wielu innych wspólnych graczy, do których należeli choćby Kenny Garrett czy Joe Zawinul.

Pora jednak opowiedzieć, jak do mojego spotkania z Davisem doszło.

Wspominałem już, że wcześniej, w osiemdziesiątym szóstym roku, wydałem płytę „Take Good Care Of My Heart”. Nagrałem ją w Danii, bo dowiedziałem się nagle, że w Kopenhadze mieszka na stałe mój ulubiony pianista z lat sześćdziesiątych, Horace Parlan, więc jak byłem tam przejazdem, wynająłem studio i zaczęliśmy współpracować. Lubilem cholernie jego rytmy i jego harmonię, a że Horace miał w Kopenhadze i w USA ustaloną renomę i nazwisko, producent duński (SteepleChase Records) bez namysłu przystał w rozmowie telefonicznej na to szybkie przedsięwzięcie, słysząc, że napisałem przez noc serię utworów.

Płyta „Take Good Care Of My Heart” ukazała się najpierw

w Europie, w małym półtysięcznym nakładzie, z czego trochę egzemplarzy trafiło do Stanów, w których zawsze znajdzie się ktoś, kto importuje i eksportuje.

W Stanach w owym czasie, i to przez dwadzieścia lat, najpopularniejszym programem telewizyjnym był „Tonight Show” Johnny’ego Carsona. O 23.30 program Carsona oglądała cała Ameryka, gdyż Johnny dbał o to, aby mieć zawsze przed kamerą atrakcyjnych gości: sławnego boksera, piłkarza czy iluzjonistę i sławnego artystę, jak na przykład Elizabeth Taylor, Richarda Chamberlaina lub Franka Sinatrę.

No i pewnego dnia otrzymuję od producenta płyt z Danii dziwną telefoniczną wiadomość:

– Uważaj, Michael, bo cię Johnny Carson szuka.

– Czego chce, do cholery? – zapytałem, wiedząc, że aby wystąpić w programie Carsona, trzeba zapłacić ciężki szmal. Wielcy aktorzy najmują agentów, którzy szukają dla nich okien reklamowych, gdzie warto wystawić pysk, ale ja takiego okna nie szukałem.

– Nie wiem, czego chce, Michael. Dzwoń i nie gadaj!

Nie zadzwoniłem.

Dwa dni później skontaktował się ze mną telefonicznie producent Johnny’ego Carsona, gość, który był na boku perkusistą jazzowym. Grywał w małych zespołach, zbierał płyty i trafił jakimś cudem na moją „Take Good Care Of My Heart”.

– Słuchaj no, chłopie – powiedział – bardzo mi się podoba twoja piosenka, a jeszcze bardziej twoje gadające skrzypce (talking violin). Johnny’emu też się podobałeś, więc chcieliśmy cię spytać, czy można by to powtórzyć w naszym programie na żywo.

– Jasne, że można.

– Z big-bandem Maynarda Fergusonona?

– Czemu nie? Sam mogę zrobić aranże.

– Cudownie, Mike! Jeszcze dzisiaj wyślę ci kontrakt i bilety na samolot. Kurde, jak te twoje gadające skrzypce działają?

– Mam taki specjalny mikrofon. Jak przylecę, to ci wszystko pokażę i wytłumaczę.

– Do zobaczenia, Mike!

No i znalazłem się w czerwcu w Los Angeles, gdzie zagrałem w wielu programach Carsona, nie tylko mu za to nie płacąc, ale biorąc jeszcze od niego zdrowe pieniądze. Komponowałem również trochę w Kalifornii do filmów i zasiedziałem się tam trzy miesiące.

Raptem z Nowego Jorku jest telefon, którego osobiście nie odebrałem. Sam więc zacząłem dzwonić do moich kontraktów płytowych i do filmowych nowojorskich zespołów, między innymi do Tommy'ego LiPumy, wiceprezydenta Warner Brothers, wytwórni, która wykupiła akurat od Columbii prawa autorskie do nagrań Milesa Davisa.

Tom do mnie:

– Szukam cię od dłuższego czasu, Mike. Gdzie jesteś?

– Przeniosłem się do Kalifornii – mówię.

– A ja przeniosłem się do Nowego Jorku.

– I czego chcesz?

Spodziewałem się, że zaproponuje mi nagranie płyty. Ale Tommy powiedział coś jeszcze lepszego.

– Kiedy możesz być w Nowym Jorku?

– A o co chodzi?

– Miles postanowił wziąć cię na płytę.

To ja przełknąłem ślinę. Dla takiej oferty gotów byłem rzucić każdy film, każdego Carsona i każde inne nagranie.

– Lecę – powiedziałem – ale wytłumacz mi, Tommy, jak do tego doszło?

LiPuma wybuchnął śmiechem, a potem zrelacjonował sprawę lakonicznie:

– Widział cię Miles w programie Carsona i wiesz, mówi do mnie tym swoim pieprzonym ochrypłym falsetem: „Tommy, get me that fuckin’ Polish fiddler!”.

– Tak powiedział?

– Dokładnie. Muszę kończyć, Mike. Wysyłam ci bilet.

W samolocie medytowałem, jak się przygotować, chociaż wiedziałem, że na skrzypcach jestem mistrzem świata. Ciężyła jednak na mnie świadomość, że Miles nigdy dotąd nie zatrudnił skrzypka i nigdy nie grał z Polakiem. Wedle kaprysu sprowadzał nieraz graczy z Anglii, z Francji, nawet z Czechosłowacji, lecz z Polakiem nie próbował.

Był ciężkim facetem – to też wiedziałem. Bywało, że angażował muzyka i przez cały czas kontraktu nie odezwał się do niego ani słowem – jakby gość w ogóle nie istniał. Ale miewał też piękne gesty. Podarował na przykład Coltrane’owi sopranowy saksofon, pomagał bezdomnym muzykom. Kiedyś spóźnił się na koncert w klubie, gdzie jego zespół zaczął już grać. Miles wypakował trąbkę i postawił pierwszy krok na scenie, po czym cofnął się, dochodząc do wniosku, że jego orły robią bez niego tak znakomitą muzykę, iż on tego dnia jest zupełnie niepotrzebny.

Legendy krążyły o płycie Milesa „A Tribute To Jack Johnson” nagranej w Columbii w 1970 roku ku pamięci i czci wybitnego murzyńskiego boksera. Davis siedział za szybą z producentem, a jego kapela buzowała na scenie. Miles machnął ręką, bo on często w ogóle nie mówił, tylko machał ręką, i należało się tego bezwzględnie słuchać.

– Wypieprzać z tym! – mruknął do producenta, który też nie był zachwycony poczynaniami zespołu i powtórzył skwapliwie:

– Wypieprzać! Wypieprzać!

Nagle Miles mówi do niego:

– Zaczekaj! – i podniósł ramię do góry, każąc chłopakom grać dalej. Kiedy rozswingowali się, rozbuzowali i nabrali właściwego gazu, podłączył się z trąbką i nagrał od razu całą płytę od pierwszej do ostatniej nuty, bez żadnych poprawek.

Często słucham „Jacka Johnsona”, i to na stojąco. „Jacka Johnsona” nie da się słuchać, siedząc, gdyż ta muzyka ma taki ładunek emocji, taki skumulowany dynamit, że dosłownie rozrywa na strzępy.

Analizowałem często fenomen Milesa Davisa. Cała masa muzyków uważała, że nie był największym trębaczem. Całej masie trębaczy wydawało się, że grają lepiej, szybciej i piękniej od Milesa. Nie wdając się w spory, powiem tylko, że Miles nie był trębaczem.

Miles był genialnym muzykiem wyśpiewującym swą duszę na trąbce.

Miles był organizatorem, reżyserem i magnesem ściągającym do siebie najlepszych.

Miles był innowatorem, wiecznym eksperymentatorem i drogowskazem zmieniającym kilkakrotnie kierunek rozwoju muzyki jazzowej.

Miles był bogiem!

Żaden muzyk w historii jazzu nie miał takiej charyzmy jak Miles. Często grał kulawo. Często wybierał tony, z których musiał się mozolnie wygrzebywać. Niektóre jego pasaże, szczególnie te, co pięły się w górę, brzmiały niezręcznie, nieomal brzydko. W sumie jednak Miles, dysponując nie najwyższą skalą i nie najdoskonalszą techniką, trąbił tak,

że chwilami zwał z nóg, udowadniając, że wcale nie trzeba grać dużo, szybko i gęsto, bo nie na tym, do cholery, polega sztuka.

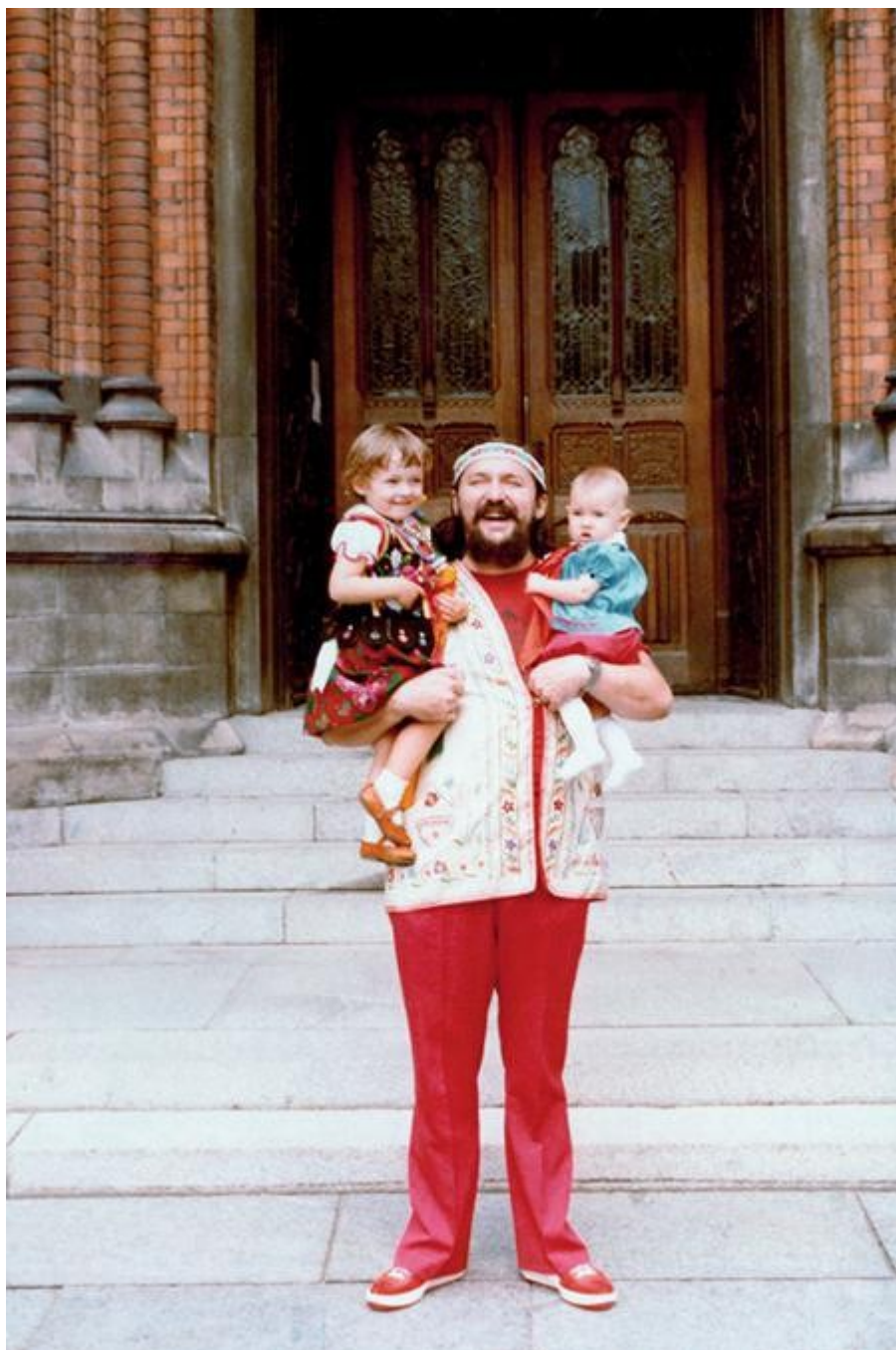
Zdawał się mówić, kiedy dmuchał, pod adresem jazzowych iluzjonistów:

– To, że wy umiecie przebierać palcami, skurwysyny, to my już wiemy! Teraz pokażcie, co macie w środku!

Na temat harmonicznego feelingu u Milesa nie chcę mówić, bo mam na ten temat odrębne zdanie. Był wykształconym muzykiem, lecz na scenie czy w studiu kierował się przede wszystkim psim instynktem. Był wizjonerem, malarzem dźwięków. No i miał ton.

Jak się słucha symfonii Beethovena, to jest w tym taka głębia, takie przecucie nieskończoności, jakbyś czytał traktat filozoficzny. Miles był jedynym muzykiem jazzowym, który potrafił wyrazić to samo na pojedynczym instrumencie. Żeby nie wiem ile dźwięków wydmuchał Wynton Marsalis, jeden dźwięk Milesa znaczy więcej, bo w jego tonie znajdziesz otchłań: nostalgię, pesymizm, gniew, zadumę nad światem i nad parszywym losem człowieka. Dlatego właśnie był tak wielki.

Ale w Nowym Jorku ruszyłem na spotkanie z nim bez kompleksów. Będzie ze mną gadał, to dobrze, a nie, to nie. Nie przepadał za białymi muzykami, lecz ja również za nimi nie przepadałem. Zawsze otaczałem się Murzynami, nie z żadnych pieprzonych powodów rasowych czy antyrasowych, tylko dlatego, że odpowiadał mi czarny, spontaniczny, mniej wyspekulowany jazz.



W Sztokholmie z córeczkami, Kasieńką i Mikusią.



Moja mama, jej wnuczki i ja. 1981, Rutherford w New Jersey.



Ten siwy, dostojny pan w środku to Gil Evans. Po lewej stronie ja, po drugiej Karolak, a obok Wojtka – Urszula. Po lewej Joe Siegel, CBS-TV-News.



W nowojorskim studiu z perkusistą Jerrym Brownem



To zdjęcie zostało zrobione w pracowni Rysia Horowitza w 1970 roku. Od lewej stoją: Ania Bogusz, Czesław Niemen, Ryszard Horowitz, Ula Dudziak i ja. Parę lat później Rysiu zaprojektował absolutnie genialną

okładkę do mojego albumu „Ecstasy”...

1986, Nowy Jork, Village Vanguard. Z Lennym White'em.



Z Ronem Carterem w Village Vanguard.



Za kulisami Blue Note. Od lewej: John Blake, Didier Lockwood, Michał Urbaniak i Noel Pointer, który parę miesięcy później zmarł na zawał.



W towarzystwie Tommy'ego LiPumy, producenta Warner Brothers, który wcześniej grał na saksofonie. Właśnie od niego dowiedziałem się, że poszukuj e mnie Miles Davis: – Daj mi tego pieprzonego polskiego skrzypka. He's got the sound!



Ja, Liliana i bóg jazzu Miles Davis, z charakterystycznie wyciągniętym prawym ramieniem, jakby chciał powiedzieć: – W porządku, ale ani centymetra bliżej, bo się mogę odwinąć. – Już po „Tutu” grałem z nim na paru koncertach w wielkim Beacon Theatre. Zawsze był wobec mnie przyjazny, a ja zawsze go kochałem i nigdy nie przestanę go kochać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY:

Liliana znika Nie chcę sam pisać o płycie „Tutu”, którą nagrałem z Milesem Davisem. On w swojej autobiografii wspomina to tak: „Gdy nagrywaliśmy «Tutu», nie zdecydowaliśmy się z góry na żadną muzykę. Jedyne, co postanowiliśmy, to w jakiej tonacji ma być dana piosenka. Większość muzyki na «Tutu» napisał Marcus, ale powiedziałem mu, czego chciałem, tak jak ansambl tu i cztery takty tam. Z Marcusem nie ma problemów, bo on wie, co lubię. Nagrywał po prostu kilka ścieżek, a ja przychodziłem i nagrywałem ponad nimi. On i Tommy LiPuma całymi nocami zapisywali muzykę na taśmie, a potem przychodziłem ja i dokładałem głos trąbki ponad tym, co zrobili. Najpierw programowali na taśmie bębny, bęben basowy, następnie dwa albo trzy inne rytmy, a potem klawisze.

Potem Marcus sprowadził tego gościa nazwiskiem Jason Miles, geniusza programowania syntezatorowego. On zaczął pracować z tą muzyką i właśnie tak to powstało. Po prostu rosło, to był zbiorowy wysiłek. Wiele muzyki na «Tutu» zaaranżował George Duke. Potem sprowadziliśmy tych wszystkich innych muzyków, takich jak Adam Holzman na syntezatorze, Steve Reid na instrumentach perkusyjnych, Omar Hakim na bębnach i instrumentach perkusyjnych, Bernard Wright na syntezatorach, Paulinho da Costa na niektórych instrumentach perkusyjnych, Michał Urbaniak na elektrycznych skrzypcach, ja na trąbie i Marcus Miller na gitarze basowej i wszystkim innym”.

Tyle Davis.

Ucieszyłem się bardzo, że występują na „Tutu” moi chłopcy: Bernard Wright oraz Marcus Miller, za którym przepadam i przepadał również Miles, powierzając mu w gruncie rzeczy kierownictwo muzyczne nad tym albumem. Znałem też dobrze Omara Hakima, ognistego i utalentowanego bębniście.

Jak wszedłem do studia, to zwróciłem się do LiPumy:

– Powiedz no mi krótko, Tommy, czego Miles ode mnie oczekuje?

LiPuma, Włoch z pochodzenia, „wspaniały – wedle opinii Davisa

– producent, jeśli chodzi o sprawy, które ON chce na płycie usłyszeć”, odparł z półuśmiechem:

– No wiesz, Miles oczekuje od ciebie, że będziesz deptał.

Marcus podstawił mi moje partie nutowe. Deptał to nie znaczy: dreptał. Chodziło o określony ton, określony rytm i określony, trochę afrykański klimat, bo płyta poświęcona była czarnemu biskupowi Desmondowi Tutu, który wziął Pokojową Nagrodę Nobla, a jedną z piosenek „Full Nelson” dedykował Miles Nelsonowi Mandeli.

Davis napisał o „Tutu”:

„Jeśli muzyk jest naprawdę zawodowcem, zrobi to, czego od niego chcesz w kategoriach występu w studiu, grając z zespołem, który jest już na taśmie. To znaczy taki sukinsyn SŁYSZY, co jest grane, no nie? A właśnie to się liczy wgraniu zespołowym: słyszeć, co robią wszyscy pozostali, i grać z tym lub przeciw temu”.

I tak ja właśnie zagrałem.

W pół godziny uporałem się z trzema kawałkami, nie widząc w ogóle Milesa Davisa. Ale nazajutrz rano, kiedy przyszedłem do studia i stanąłem obok Marcusa Millera w mikserce, zobaczyłem go nagle za szybą. Siedział z trąbką na kolanach i dostrzegłszy mnie, zapytał LiPumy:

– Kto to jest?

– To jest właśnie ten pieprzony polski skrzypek – odpowiedział Tommy.

Miles odłożył trąbkę i wszedł tym swoim wolnym, posuwistym krokiem do mikserki. Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, a potem mówi:

– Jak grałeś?

Ja mu na to:

– Chyba tak, jak chciałeś, panie dyrektorze?

– Yeah! – przytaknął ochryple. Był to w jego repertuarze najwyższy komplement.

Wiedziałem, że jest niski i drobny, nie przypuszczałem wszakże, że aż tak. Trochę ponad ramię mi sięgał. Zgiąłem szyję, więc Miles pyta:

– Boli cię coś?

– Źle spałem.

– Siadaj!

Usiadłem na stołku, a Miles stanął za mną i zaczął mnie masować. Rozbeczałem się. I wcale się tego nie wstydzę. Dotarło raptem do mnie, że jest to wielka sprawa. Grałem w Stanach z najlepszymi, lecz zagranie z Milesem zawsze było moim ukrytym marzeniem. Inni wybitni muzycy też mieli takie marzenia i też je skrywali.

Czułem, że podłączyłem się do głównego nurtu, że jestem w sztafecie amerykańskiej muzyki jazzowej, że otarłem się o historię.

Tylko jeden z trzech nagranych przeze mnie do „Tutu” utworów trafił na płytę. Był to jednak czas, kiedy Warner Brothers rejestrował skrzętnie na taśmach każdy dźwięk, każde słowo i powiedzenie, jakie wydał z siebie Miles. Więc te dwa moje niepomieszczone na płycie kawałki też wcześniej czy później zostaną opublikowane. To tylko kwestia czasu i decyzji producenta, że akurat teraz, a nie kiedy indziej można na tym najlepiej zarobić.

„Tutu” sprzedawał się doskonale, podobał się zarówno krytykom i młodzieży, jak i starym fanom Davisa. Otrzymał zresztą nagrodę Grammy Award za osiemdziesiąty siódmy rok.

Zagrałem jeszcze z Milesem parę koncertów w klubach na Broadwayu. Zawsze traktował mnie bardzo ciepło i życzliwie. Raz wspomniał swój występ w Warszawie, gdzie był przyjęty lepiej niż król

czy prezydent. Stał ze mną do zdjęcia – on na pierwszym planie z charakterystycznie odgiętym ramieniem, ja z Lilianą w tyle. Nie mam specjalnego kultu do fotografii, tę jednak kazałem powiększyć i oprawić. Patrzę sobie na nią czasami, a wtedy w oku kręci się łza.

Dobrze pamiętam dzień śmierci Milesa Davisa. Byliśmy z chłopakami na Dolnym Manhattanie, gdzieś w okolicach Village Vanguard. Był Marcus Miller, Bernard Wright, Lenny White, Omar Hakim, był chyba Kenny Garrett i George Benson; byłem i ja. Wszystkich nas przeszła wiadomość o tej śmierci jak sztylet, tym bardziej że w ostatnich dniach stan zdrowia Milesa nie był wedle raportów najgorszy.

No i raptem: nie ma Milesa! Nie ma! Świat wydał się nagle ciasny i ubogi. Nikt nie płakał, lecz przez długą chwilę, może nawet przez minutę, nie odezwaliśmy się ani słowem.

Wreszcie przemówił Marcus:

– Panowie, zrobmy to! Musimy coś zrobić. Miles nie żyje, więc tym bardziej trzeba coś zrobić!

Wszyscyśmy zrozumieli, o co mu chodzi. Instykt podpowiadał nam, że tę muzykę, ten wspaniały, cudowny, twórczy jazz trzeba ciągnąć dalej.

Przygoda z Milesem była dla mnie tak wielkim przeżyciem, że przyćmiła nawet moje kłopoty z Lilianą. Przyćmiła mój nieco wcześniejszy wyjazd do Polski, pierwszy od trzynastu lat i wcale nie tak udany – zagrabiono mi mieszkanie własnościowe w Warszawie, coś dwa tysiące dolarów odszkodowania dostałem, a mój występ na Jazz Jamboree był przez pewnych ludzi przyjęty z rezerwą, bo inaczej to bym pewnie zadarł nosa.

Jedynym jasnym momentem pobytu w Polsce był mój krótki wypad do Łodzi, gdzie stanąłem w Grand Hotelu i zaprosiłem do pokoju kolegów i przyjaciół z młodzieńczych lat.

Przyszli Jerzy Bożyk, Władysław Krześniak i jego brat Waldemar,

Witold Armacki, Roman Niedźwiecki, Zbigniew Horyd i wielu, wielu innych. Z jakichś powodów zabrakło Janusza Pietrzaka (Plastusia), ale wpadła za to jego żona Basia Pietrzak-Słowianek. Towarzyszył mi także Czesław Niemen, który wygłaszał tej nocy przy koniaku sentencję: – Piłeś, nie jedz. Jadłeś, nie pij.

A z Lilianą w Nowym Jorku wciąż powtarzał się ten sam refren: odchodziła i wracała. Jak była, to grałem, nagrywałem i wydawało mi się, że mogę przewrócić do góry nogami świat, aczkolwiek rzeczy toczyły się wedle jej kaprysu – stawałem na scenie w klubie, bo ona sobie akurat tego życzyła, a jak nie, to piliśmy szampana i żarliśmy kawior.

Natomiast jak jej nie było, jak znikwała, niby ostatecznie, zabierając łachy w kilku walizkach, to rozglądałem się za sznurkiem.

Nie żartuję! Nie wyobrażałem sobie bez Liliany życia i wciąż nękały mnie myśli samobójcze.

Przeklinałem dzień, w którym ją poznałem. Moim głównym powołaniem nie była widocznie miłość, lecz muzyka, zaś Liliana, choć miała tak wspaniałą wrażliwość na rytm, melodię i wszelkie związane z muzyką niuanse, nie sprzyjała moim twórczym poczynaniom, gdyż bez przerwy wsączała do mojego serca jad zazdrości i rozpaczy.

Cierpienie jest niby dobrym paliwem dla artystów, ale ile można cierpieć? Małżeństwo nie jest przecież obozem kondycyjnym dla męczenników.

W muzyce i w życiu starałem się być taki jak Miles, o ile jednak w pierwszym przypadku często mi się to udawało, w drugim często ponosiłem klęskę. Potrafiłem być dyktatorem muzycznym: naginać polskie i amerykańskie zespoły do swoich życzeń, forsować nowe, ryzykowne pomysły, sięgać po nowe instrumenty, korzystać z techniki, podążać za bieżącym tokiem wydarzeń albo go nawet wyprzedzać, przechodzić z jednego etapu w drugi.

W życiu jednak, w moich stosunkach z kobietami, brakowało mi stalowej odporności Milesa – za miękki byłem, za ckliwy, nie umiałem uderzyć, zagrozić, postawić się im, więc robiły ze mną, co chciały.

Liliana przepadała na parę tygodni, a potem otrzymywałem nagle telegram: „Będę we wtorek o piątej rano na lotnisku”. Zakładałem najlepszy garnitur, kupowałem najpiękniejszy bukiet kwiatów i po nieprzespanej ze szczęścia nocy odbierałem ją z La Guardia czy JFK. Całowała mnie po rękach, przyrzekała, że już nigdy nie wytnie mi kolejnego numeru.

Oczekiwała, że bez przerwy będę zajmował się jej karierą, że wsadzę ją wreszcie na wielkiego konia. Moja kariera, szczególnie po nagraniach z Davisem, była jej zdaniem wystarczająco wielka, by bardziej się o nią troszczyć.

Myślę, że gdybym był bardziej stanowczy i poszukał wtedy oparcia w muzyce, gdybym nie dał się od niej oderwać, pełną parą komponował, grał i nagrywał, Liliana byłyby do dzisiaj ze mną. Tymczasem przeżywałem muzyczny kryzys. Z nazwy tylko byłem artystą, a grałem jak błazen, wyłącznie wtedy, gdy ona chciała pokazać się w jakimś klubie. Lubiła się mną chełpić i przechwalać publicznie, ledwie jednak wróciliśmy do mieszkania, które najmowaliśmy przy 58 Zachodniej ulicy (tej samej, na której zostawiłem winnym domu rodzinę), wszystko zaczynało się od nowa.

Wreszcie któregoś dnia, pod koniec 1989 roku, Liliana zniknęła z mego życia na dobre, życząc sobie w dodatku, abym zabierał się z mieszkania, to ona sobie do niego wróci z producentem. Ano, miała swawolne udko.

Mieszkaliśmy wysoko, więc otworzyłem okno i szykowałem się do skoku. Potem snułem się ulicami, siadywałem w rynsztokach i parkach, zahaczałem o bary, wciąż nie tykając mocnego alkoholu, tylko piwo. No, ale piwem też się można wykończyć.

Urszula Dudziak i Jan Byrczek pełnili przy mnie w domu dwudziestoczworgodzinne dyżury, za co jestem im głęboko wdzięczny, bo gdyby nie oni, już by mnie nie było. Konsekwentnie i z rozmysłem szedłem w śmierć. Szukałem tej przeklętej kurwy z kosą, nie decydując się jednak na skok z okna – raz, że się bałem, dwa, że widziałem oczami wyobraźni swoje rozkwaszone na chodniku ciało i wzdragałem się przed

tym ze względów estetycznych, a trzy, że chciałem oszczędzić makabry Byrczusiowi, Urszuli i córkom.

Wytworniej byłoby posmakować trucizny, ale jak ją zdobyć? Prochów żadnych nie miałem, bo Urszula i Byrczek przeczesali mi skrzętnie kieszenie. Więc ciągnąłem piwo. Zorganizowałem telefonicznie dostawę pięciu kartonów heinekena, po sześć butelek w każdym, i wypilem to ukradkiem pod kołdrą. Ula lub Byrczek robili coś w kuchni albo czytali gazetę, a ja raz za razem naciągałem kołdrę na łeb i chlałem błyskawicznie.

Nigdy nie byłem z Jerzym Kosińskim blisko i nie czytałem jego książek, chociaż jedna z nich była ulubioną lekturą wielu muzyków i mam ją po angielsku w domu. Chodzi o „Pinball”, znakomicie podobno zdokumentowaną i ze znanstwem napisaną historię popowców.

Jak już chyba wspomniałem, Kosiński nie lubił jazzu, lecz o mnie miał wysoką opinię, tak samo zresztą jak ja o nim. Cieszył się w świecie artystów autorytetem, najwięksi amerykańscy twórcy poczytywali sobie za zaszczyt, gdy mogli z nim porozmawiać. Uczuciem darzyła go nie tylko Urszula, ale i obydwie moje córki, którym okazywał zawsze dobroć i troskę.

Każda telefoniczna i domowa rozmowa z Kosińskim była przez Urszulę rejestrowana na taśmie, więc zachował się też jego monolog w związku ze mną i opuszczającą mnie Lilianą.

Słowo daję, gdyby Liliana wpadła wówczas Kosińskiemu w ręce, toby ją chyba rozerwał.

Powiedział: – Więc Michał zamierza popełnić samobójstwo, a Liliana próbuje jeszcze zabrać mu mieszkanie! Nic z tego nie rozumiem! Dajmy na to, że piszę o tym scenariusz, lecz gdzie tu jest logika? A może Michał, do ciężkiej cholery, nie chce wcale popełnić samobójstwa na ulicy, w rynsztoku, na śmietniku? Może Michał chce popełnić samobójstwo w domu?

Ustępliwy byłem i bezwolny. Cały czas twierdzę, że Liliana gorąco mnie kochała i miała najlepsze serce, więc gotów byłem, choć

poszła z kolejnym producentem, oddać jej wszystko. Moi przyjaciele patrzyli jednak na to inaczej. Byłem dla nich wartością, Liliana była dla nich nikim. Pilnowali mojego mieszkania.

Dzięki temu nie piłem heinekena na schodach przeciwpożarowych i na ukochanych nowojorskich gankach, lecz w łóżku przesiąkniętym ciągle zapachem Liliany. Gdy wysączyłem ostatnią, trzydziestą butelkę, zacząłem odjeżdżać.

Było to coś wspaniałego. Ukatrupiłem się na amen; nie mogłem poruszyć nogą ani wstać. Poczulem, że jestem lekki jak piórko, że już mnie w ogóle w tym łóżku nie ma. I nagle zobaczyłem w sobie taki ogromny, cudowny, złocisty komin pełen nieziemskiej jaskrawości i światła. Szedłem gdzieś w górę, ku wierzchołkowi komina, i przepelniała mnie słodka radość. Zacząłem zadawać sobie pytania: Boże, czy ja już jestem TAM? Czy już mnie wzięłeś do nieba?

I coś we mnie wrzasnęło triumfalnie: Zrobiłem to! Zrobiłem! Udało mi się! Brawo!

Jednocześnie nędzne resztki czegoś, może świadomość, może podświadomość, wyprodukowały myśl w przeciwnym kierunku: Zrobiłeś, wygrałeś, zwyciężyłeś, chuju! Gdybyś się jednak teraz obudził, gdybyś jeszcze raz otworzył na chwilę oczy, to reszta twego życia będzie bajką – dla ciebie, dla twojej rodziny, dla córek. Ocknij się, chuju! A nikt cię już więcej nie złamie i nie upokorzy. Michał, skrzypce i saksofony czekają!

No i rozkleiłem powieki, z których każda ważyła tonę. Miałem potwornego kaca, bo ten komin był we mnie przez wiele godzin, a w kartonach pod łóżkiem nie zostało już ani butelki. O ile jednak w kominie marzyłem o śmierci, teraz zapachniało mi na nowo życie.

Żyjesz, chuju! Żyjesz! – wrzasnąłem i z miejsca zacząłem martwić się o zdrowie. Już nie chciałem umierać, krzepki instynkt samozachowawczy zrobił swoje. Pocieszałem się, że nie ruszyłem niczego prócz piwa, ale byłem wtedy szczupły i tych trzydzieści butelek pokutowało we mnie przez tydzień.

Odstawiłem alkohol i zrobiłem muzyczny rachunek sumienia. Jak popatrzeć w moją dyskografię, to wydaje się, że w trakcie pożycia z Lilianą nagrywałem płyty nieustannie. W 1987 roku poza „Tutu” ukazały się: dokonana wspólnie z Michaeliem Franksem „The Camera Never Lies” (Warner Bros) oraz trzy pozycje autorskie: „Folk Songs” (Island Records), „Urban Express” (East-West/Atlantic Records) i „Songs For Poland” (UBX/Sonet Records). Były to jednak kupony od starych akcji – nic świeżego, nic odkrywczego, takie rutynowe dreptanie w miejscu, które w żadnej mierze nie zaspokajało moich ambicji.

W 1988 roku nagrałem jedną tylko płytę z Earlem Klughem, wydaną bodajże przez Capitol Records, a w 1989, gdy odeszła Liliana, nie nagrałem nic. Zacząłem natomiast coraz częściej latać do Polski, czując instynktownie, że skoro straciłem w Nowym Jorku dwie żony, to trzeba poszukać oparcia w ojczyźnie. Dobrze mieć dwie ojczyzny, bo wtedy jak nie w jednej, to w drugiej możesz wyleczyć się z ran.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY:

Misiek, chcę mieć z tobą dzieci! Grałem w Warszawie koncert ku czci „Solidarności”. Byłem nareszcie w formie: szczupły, zdrowy, naładowany energią i pomysłami muzycznymi. Dokładałem na skrzypcach i na saksofonie, jak chciałem. Miałem w Polsce doskonałe notowania, bo wszyscy wiedzieli o płycie z Davisem, a poza tym skomponowałem muzykę do filmu „Pożegnanie jesieni” i wszystkim się ona podobała.

Umiałem już całymi dniami nie myśleć o Lilianie, już się prawie wyleczyłem z miłości. Skrzypce śpiewały mi w rękach. Za kulisami, podczas koncertu, rozmawiałem z premierem Tadeuszem Mazowieckim i innymi mężami stanu. Czułem się wspaniale – nie piłem, grałem, w głowie roilo się od projektów.

Ale Liliana nie zapomniała o swoim. No i strzelił grom z jasnego nieba. Powinna być w Nowym Jorku albo ze swoim producentem w Londynie, aby przygotować się do ról, które facet rzeźbił jej między nogami. W Polsce w żadnym razie być nie mogła.

A tu kończy się mój występ, radio, telewizja, flesze; oklaski huczą mi w uszach, a w oczach płoną gwiazdy reflektorów. Niby coś widzę, ale nic nie widzę, nie rozpoznaję dziewczyny, która idzie do mnie przez scenę z olbrzymim bukietem kwiatów.

Kłaniam się. Nie dziewczynie, tylko przewspaniałej polskiej publiczności. Szlag z kwiatami! Szlag z dziewczyną! Nagle ta bestia chwytą mnie obiema rękami za szyję i na oczach całej Polski, jako że była z koncertu bezpośrednia transmisja, zaczyna moczyć mi twarz gorącymi pocałunkami.

– I love you, Misiek!

– Zwariowałaś?! – wciągnąłem ją za kulisy i mówię: – Kurwo, operację na otwartym sercu robisz?!

– I love you! – całuje mnie i ryczy. – Wszystko przemyślałam, Misiek, wszystko zrozumiałam! Chcę mieć z tobą dzieci!

Wziąłem wodę, której nie ruszałem od szesnastu czy siedemnastu lat. Wlałem w siebie pół litra.

– To chodź – powiedziałem. Wciąż była moją żoną, więc miałem prawo się zapomnieć. Miłość tak szybko nie przemija.

Pojechaliśmy do mieszkania jej rodziców. Widzieli koncert i przyjęli mnie jak bohatera, z kwiatami. Był także brat Liliany i jej siostra, wszyscy dumni ze mnie jak cholera. Polało się jak z cebra, uściski, pocałunki.

Lila mówi:

– Chciałabym już teraz zostać z tobą na stałe, ale mam jeszcze w Londynie parę niedokończonych spraw.

– Więc jedź – powiedziałem.

– Pojadę i wrócę.

– Wróc, ale dopiero wtedy, gdy się przekonasz, że naprawdę tego chcesz. Sprawdź jeszcze raz tego swojego filmowca, czy nie jest ode mnie lepszy.

Przysięgała, że za dwa dni będzie z powrotem. Czekałem nerwowo. Znowu cały mój spokój rozpieprzył się w drobny mak. Schlałem się do nieprzytomności, bo ją nieludzko kochałem. Była marzycielką, miała nieprawdopodobną fantazję, w ciągu sekundy potrafiła odlecieć ze mną w jakieś baśniowe, nierealne światy.

Chleję więc przekonany, że znowu zrobiła ze mnie idiotę, a dranica dzwoni nagle i mówi:

– Będę w sobotę, więc wyjdź po mnie na lotnisko. Nie pij, wyprostuj się i czekaj. Zaczniemy wszystko od nowa, zmajstrujemy sobie dzieciaka.

Mógłbym ją wtedy zamordować. Grała na moich nerwach

z wirtuozerią gitarzysty – raz je szarpała, raz oblewała miodem.

– O której lądujesz w sobotę? – zapytałem.

– O jedenastej.

Wstałem więc przed ósmą. W Forum mieszkałem. Kazałem podać sobie do numeru flachę johnny'ego walkera, a potem wziąłem dojrzałą, wytresowaną w zawodzie dziwkę i zacząłem z nią wywijać, by nabrać męskości. Nie chodziło mi o męskość seksualną, lecz o siłę charakteru. Chciałem być twardy, stanowczy, tak żeby zademonstrować Lilianie inną niż dotychczas twarz i odstawić ją na dobre, gdyby znowu wykręciła jakiś numer.

Wziąłem taksówkę i przyjechałem na Okęcie tak zalany, jak chyba nie byłem nigdy w życiu. Liliana czekała już w rodzinnym samochodzie, którym kierował brat. Zszokowana była moim wyglądem i skomentowała to uszczypliwie.

Powiedziałem wtedy:

– No i co ty, kurwa, od tego pijaka chcesz?! Spierdalaj z mojego życia!

Trzasnąłem drzwiami, które otworzyła przede mną, i wróciłem taksówką do miasta. Szukała mnie cały dzień i znalazła wreszcie w Europejskim, gdzie kontynuowałem pijaństwo. Nawiasem mówiąc, gdyby nie Liliana, nigdy bym do nałogu nie wrócił.

Przeprosiła mnie, sam nie wiem za co, bo w tym akurat wypadku wina była po mojej stronie, i powiedziała tym cholernym, miękkim jak aksamit głosem:

– Chodź do domu.

– Po co?

– Utulę cię.

No i znowu kochaliśmy się przez tydzień jak szaleni. Nie wychodziliśmy z łóżka, a jeśli nawet, to tylko po to, żeby stanąć przed lustrem albo zwalić się na fotel. Przeżywaliśmy nowy miesiąc miodowy, znacznie intensywniejszy i szczęśliwszy niż ten po ślubie.

Uwierzyłem, że wróciła na zawsze. Nie rozstawaliśmy się w Warszawie ani na chwilę i razem poleciliśmy do Nowego Jorku, trafiając prosto z lotniska do naszego mieszkania.

Jeszcze się to jakiś czas ciągnęło, ale w Lilianie wciąż pokutowały stare, niespełnione ambicje i pragnienia. Wierzyła, że spotka w końcu hollywoodzkiego księcia z bajki, który uczyni z niej wielką gwiazdę. No i opuściła mnie wreszcie na dobre.

Bardzo ucierpiała na tym moja muzyka. Mówi się, że cierpiący artysta jest bogatszy duchowo, że odczuwa dużo głębiej i że dużo szersze są jego nastroje i horyzonty. Ja jednak byłem sparaliżowany. Nie to, żebym szalał z rozpaczy, gdyż z utratą Liliany zdażyłem się już oswoić. Ale zabrakło mi nagle celu w życiu.

Gdy napomykałem o tym przyjaciołom, wściekali się na mnie. Twoim celem – mówili – jest muzyka. Ale ja grałem zawsze dla moich ukochanych kobiet. Dla widowni, dla krytyki – też. Oczywiście. Lecz to kobiety były moim natchnieniem, moim twórczym paliwem. Im chciałem przede wszystkim sprawić radość, żeby były szczęśliwe i dumne ze mnie. Więc kiedy nie miałem kogo kochać, to nie miałem dla kogo grać.

Świat wydawał mi się beznadziejny. Znowu, jak wówczas, kiedy zaczęła się oddalać ode mnie Urszula, siadywałem na krawężnikach ulic albo snułem się od knajpy do knajpy. Jednak przy Urszuli cierpiałem na trzeźwo, po odejściu Liliany topiłem złe nastroje w alkoholu, który zostawiła mi w spadku. Wciągnęła mnie z powrotem w nałóg, o którym już zupełnie zapomniałem, a teraz znowu rujnował mój talent i zdrowie.

Żadna płyta, żaden film, żaden sukces, który mógłbym jeszcze osiągnąć, nie wydawał się wart więcej niż butelka piwa. Muzyka mnie nie cieszyła. Jeśli już musiałem grać, robiłem to mechanicznie, myśląc o zupełnie innych sprawach i modląc się, aby czym prędzej zejść ze sceny.

Piwo! Wypiję piwo i zaraz będzie mi lepiej. Wypiję piwo i ta trucizna, co toczy moją duszę, zniknie bez śladu – odhamuje się coś w sercu, odemknie się w mózgu jakaś klapka i znowu będę zdrowym i twórczym facetem.

Tak wmawia sobie każdy uzależniony człowiek. Są zresztą muzycy, którzy rozmyślnie piją czy szprycują się na zatrącenie, nie dbając o to, że mogą lada chwila umrzeć. Nie wiem, skąd bierze się wśród nas tylu samobójców, którym przecież niczego pozornie wżyciu nie brakuje – ani sławy, ani pieniędzy, a kobietę mogą znaleźć na każdym rogu.

Mnie jednak takie kobiety nie zadowolają. Żeby żyć i żeby grać, potrzebuję miłości. Czułem, że jeśli nie zakocham się znowu z wzajemnością w jakiejś mądrej, czystej, uczciwej kobiecie, nie odbiję się od dna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY:

Nauczyłem się kraść piwo Ameryka dała mi sławę, o którą nie umiałem często zadbać, pieniądze, których nigdy nie potrafiłem przytrzymać, znajomości, koneksje, obywatelstwo i życzliwość. Staralem się zawsze odplacić za to mojej drugiej ojczyźnie w należyty sposób, grając i komponując jazz najlepiej, jak tylko można. Jednakże w kryzysowym dla mnie okresie początku lat dziewięćdziesiątych niczego nie nagrałem i byłem dla Ameryki okrutny.

Krótko mówiąc: okradałem ją.

Nigdy w życiu nie pokusiłem się o czyjąś własność, nie było mowy, abym zdefraudował jakąś sztukę garderoby, instrument czy płytę. Nauczyłem się natomiast kraść w sposób mistrzowski piwo. Wstydziłem się pożyczać pieniądze od przyjaciół, a moja dniówka wynosiła zaledwie pięć dolarów, które przepijałem bezpowrotnie rano, po czym stawałem przed perspektywą długich suchych godzin. Przerażała mnie ta perspektywa. Alkohol opadał, wyparowywał, zaczynało mną trząść, w duszy pojawiała się czarna, bezdena pustka, nic, tylko sięgnąć po sznurek albo wejść na dwudzieste piętro i skoczyć.

Tłumaczyłem sobie jednak: nim skoczysz, napij się jeszcze, to nie będziesz się tak bał. No i wchodziłem bez centa do supermarketów, kierując się ku stoisku z piwem. Wybierałem puszkę, półlitrową zazwyczaj, i ruszałem niby do kasy. O tym, aby przemycić puszkę w kieszeni, nie było nawet mowy – z miejsca rozryczałby się alarm albo złapałby mnie za kark wytresowany w zawodzie strażnik. Szukałem więc w gęstym labiryncie regałów i półek ustronnego miejsca i jak nie było nikogo w polu widzenia, otwierałem puszkę, wypijałem błyskawicznie zawartość, a potem porzucałem gdzieś pusty pojemnik i opuszczałem supermarket, mijając kasę i stojącego za nią strażnika czysty jak łąka.

Początkowo nie udawało mi się wypić piwa do końca, bo nagle ploszył mnie ktoś, jakaś baba czy dokonujący zakupów mężczyzna. Staralem się wtedy zachowywać naturalnie; zamykałem kciukiem ledwie nadpita puszkę, wracałem do stoiska z piwem i odstawiałem ją w miejsce, skąd ją wziąłem. Wkrótce jednak, ćwicząc systematycznie i wytrwale, nauczyłem się wypijać półlitrową zawartość w kilka sekund. Otwierałem

szeroko gardło i nie poruszając przełykiem, wlewałem sobie piwo wprost do brzucha.

Mój przyjaciel Kuba, z którym mieszkałem przy 58 Zachodniej ulicy, został kiedyś mimowolnym świadkiem jednego z tych moich wyczynów. Był znakomitym inżynierem dźwięku, nie pił, nie palił, prowadził się nad wyraz przykładowie, ale miał poczucie humoru i mówi:

– Nikt nie chla tak szybko jak ty, Michale.

– Dzięki za dobre słowo.

– Głupstwo! Powinieneś to zgłosić do księgi Guinnessa.

Kto wie? Może naprawdę pokonałbym innych rekordzistów. Tak czy owak okradałem Amerykę z piwa. I nigdy nie wpadłem, co skończyłoby się dla mnie tragicznie, gdyż w więzieniu nie wytrzymałbym jednego dnia.

Nie wierzyłem, że coś może się zmienić. Będę już tak chlał piwo, aż umrę. Siadywałem na manhattańskich gankach albo na krawężnikach ulic i rozmyślałem o śmierci. Ratunek był jednak tuż-tuż.

Którejś nocy, w styczniu dziewięćdziesiątego pierwszego, zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, sądząc, że ktoś szuka Kuby, bo mnie wtedy nikt nie szukał. Atu pogłaskał nagle moje zharatane serce obcy, dziewczęcy, bardzo sympatyczny głos:

– Pan Michał Urbaniak?

– We własnej osobie.

– Dzień dobry. Nazywam się Barbara Trela. Jestem siostrą aktorki Grażyny, która występowała z panem w filmie o Witkacym. Siostra przesyła panu list i trochę zdjęć z festiwalu w Wenecji, więc chciałabym je panu doręczyć.

Poczułem, że coś się we mnie budzi. Grażyna Trela była piękną dziewczyną, więc jej siostra nie powinna być gorsza, co zdawał się

potwierdzać jej miękki, słodki głos.

– Musimy się szybko zobaczyć – powiedziałem, ślubując sobie drugą połową mózgu, że koniec! Od dzisiaj nie piję. I jakby na zawołanie poczułem w sobie chęć do grania.

Daję słowo, że te reakcje zbudziły się we mnie w ciągu sekundy. Wprawdzie pesymistyczna strona natury podszeptowała mi, że nic z tego nie wyjdzie, ale nie zmienia to faktu, że zrobiłem się raptem głodny i świat za oknem nabrał nagle innych barw.

– Więc gdzie się spotkamy? – zapytała.

– Może u mnie? – i podałem dokładny adres.

Przeląknęłam się, bo w słuchawce zaległa na chwilę cisza.

Potem powiedziała: – Dobrze – lecz głos był o stopień chłodniejszy.

Nie byłem pewien, czy przyjdzie nazajutrz. Ale przyszła, i to punktualnie. Krakowiaci mają to we krwi. Wysprzątałem na szczęście z Kubą jako tako mieszkanie, nakupowałem owoców i ułożyłem je z fantazją na wielkiej paterze. W innym kącie postawiłem kwiaty. Wiem, że kobiety zwracają na takie szczegóły uwagę, a Basia, jak się wkrótce miało okazać, nie była wyjątkiem – uwielbiała zarówno owoce, jak i kwiaty.

Przecucie mnie nie zawiodło. Spodobała mi się od pierwszej chwili: ładna, gustownie ubrana, dobrze wychowana, niby skromna, lecz wesoła, rozmowna, na swój sposób pewna siebie. Jeśli ktoś z nas dwojga był skrępowany, to na pewno nie ona, lecz ja.

Wręczyła mi list od Grażyny, która pisała: „Misiu, daję ci kontakt z moją siostrą, więc gdyby coś cię zabolalo, to możesz do niej zadzwonić, bo ona podobno jest lekarką”.

– Naprawdę jest pani doktorem medycyny?

– A nie wyglądam?

– Czy ja wiem? – wydawała się strasznie młoda i brakło jej powagi, jaka cechuje zwykle medyków. Przełknąłem trzy razy ślinę i dorzuciłem: – W każdym razie wygląda pani świetnie.

– Dziękuję – uśmiechnęła się, a ja kombinowałem nerwowo, jak by tu zaproponować jej następne spotkanie.

Wychodząc, przystała na to z pewnym wahaniem. Byłem szczęśliwy.

Organizm wrzeszczał do mnie: – Jeść! – a dusza: – Grać!

Usłyszałem od razu parę wspaniałych melodii. Zawsze ze mną tak jest: drobna radość, wątła nitka nadziei i włączają się natychmiast procesory twórcze. Niczego nie muszę wymyślać, samo przychodzi.

Chwyciłem skrzypce, bo dmuchanie w saksofon przerastało jeszcze moją nadwątloną kondycję. Ćwiczyłem do północy. Płyte jakąś trzeba wydać. Szybko! Przecież minął rok, odkąd nagrałem dwa ostatnie albumy: „Milky Way” i „Songbird”.

Rozpierało mnie znowu pragnienie działania, a Basia, z którą zacząłem się umawiać w kawiarniach, klubach i kinach, miała na to decydujący wpływ.

Pochodziła spod Krakowa, do którego zresztą prędko się przeniosła z rodzicami i siostrą. Ukończyła tam szkołę podstawową, liceum i akademię medyczną. W wieku dwudziestu czterech lat wyszła za mąż za aktora, który był absolwentem krakowskiej szkoły aktorskiej, ale tuż po dyplomie przeprowadził się do Warszawy, gdyż otrzymał angaż od dyrektora Hubnera do Teatru Powszechnego. Basia wyjechała oczywiście razem z nim, czego matka długo nie mogła jej wybaczyć: rozchorowała się ciężko, nieomal śmiertelnie, tym bardziej że małżeństwo z popijającym aktorem nie układało się najlepiej.

W osiemdziesiątym siódmym roku, po trzech latach pożycia, Basia załatwiła mężowi wyjazd do Chicago, gdzie wkrótce po nim również

udała się na trzymiesięczne wakacje, ale byli już jakby osobno.

Sama wróciła do Polski, lecz zarówno w Krakowie, jak i w Warszawie czuła się podle, więc w końcu dziewięćdziesiątego roku ponownie wyjechała do Stanów, decydując się tym razem na Nowy Jork, i to nie na żadną peryferyjną dzielnicę, lecz na Manhattan.

Wielokrotnie usiłowała dodzwonić się do mnie, ponieważ jednak wciąż zgłaszała się automatyczna sekretarka, doszła do wniosku, że musiałem gdzieś na dłużej wyjechać.

Dała sobie jakoś radę bez mojej pomocy, bo mówiła już sprawnie po angielsku i wspaniale ruszała głową. Znalazła na przykład pracę w biurze adwokackim, dzięki czemu dobrze poznała meandry amerykańskiego prawa i sama, przedstawiając odpowiednie dokumenty, załatwiła sobie rozwód z aktorem, z którym zresztą pozostaje w przyjaźni. Wynajęła z przypadkową koleżanką wspaniałe mieszkanie na Manhattanie, nad Hudsonem, przy 34 Zachodniej ulicy, z cudownym widokiem na rzekę i na gwarny przybrzeżny jacht-restaurację.

Miała, krótko mówiąc, szczęście. Świetnie zarabiała, dokształcała się w wolnych chwilach, uprawiała rozmaite sporty rekreacyjne, więc choć nie otrzymała jeszcze obywatelstwa, wyglądała na prawdziwą, szczupłą, ambitną Amerykankę.

Było nam ze sobą dobrze. Zapomniałem przy niej całkiem o Lilianie i alkoholowych problemach. Też zresztą otrzymałem w dziewięćdziesiątym pierwszym roku rozwód z Lilianą, więc zaczęliśmy przebąkiwać z Basią o ślubie.

No i pobraliśmy się. Najpierw włożyłem Basi na palec obrączkę, a dopiero parę miesięcy później ofiarowałem jej pierścionek zaręczynowy, co często wypomina mi w żartach. Wkrótce zmieniliśmy mieszkanie, przenosząc się z 58 na 53 Zachodnią ulicę, z wysokich panoramicznych pięter na parter, ale ten parter był moim marzeniem.

Nie mam już wspaniałego widoku na pasjonujące nowojorskie ulice i płonące o zmierzchu dachy Manhattanu, mam za to dwupoziomowy apartament. Na górze, w części parterowej, jest kuchnia,

obszerny hol, łazienka, sypialnie i duży living room z oknami na patio i ze schodami prowadzącymi na niższą kondygnację. Tu z kolei oprócz korytarza, drugiej łazienki i niewielkiego pomieszczenia z kanapą, gdzie można się wygodnie przespać, urządziłem z pomocą Barbary profesjonalne studio nagraniowe. Warto jest dziś przynajmniej pół miliona dolarów, bo mam w nim wszystko, o czym współczesny, niestroniący od elektroniki jazzman marzy. Przypomina ono centrum sterowania kosmicznego, lecz oprócz techniki są tu również instrumenty klawiszowe i muzyczne programatory.

Miałem wreszcie kobietę, która była mi wierna i nie wystawiała co wieczór na próbę moich rozstrojonych nerwów.

Miałem studio, w którym byłem w stanie nagrać i wyprodukować każdą, najbardziej nawet ambitną płytę, bez oglądania się na wielkie, możliwe i kapryśne wytwórnie.

Miałem dom, jako takie zdrowie oraz mózg i serce nabite muzyką, nic więc nie stało na przeszkodzie, abym jeszcze raz zaatakował Himalaje światowego jazzu.

Wierzyłem w siebie i z żelazną konsekwencją, pracując nieraz, bez przesady, po dwadzieścia godzin na dobę, zacząłem przygotowywać kompakt „Manhattan Man”. Wiedziałem, że musi to być pozycja od początku do końca autorska – z kompozycjami Urbaniaka, z saksofonami Urbaniaka i ze skrzypcami Urbaniaka. Wiedziałem, że muszę pozyskać do tego celu najlepszych muzyków, takich, którzy są z jednej strony skończonymi artystami, z drugiej zaś facetami wystarczająco uprzejmymi (bo trudno tutaj mówić o skromności), aby całkowicie podporządkować się moim muzycznym wizjom. Każdy miał prawo zakładać, że nie jest gorszy ode mnie albo nawet że jest lepszy, szefem jednak miałem być ja, i tylko ja.

Nie wirtuozi byli mi potrzebni, lecz wykonawcy, którzy wczują się w napisaną przeze mnie pieśń Manhattanu, w jego smutki, w jego nostalgię i niepowtarzalny klimat.

To ja jestem człowiekiem Manhattanu.

Na „Manhattan Man” wystąpili: Herbie Hancock i Peter Burman na pianinach, Bobby Baldwin na keyboardach, Gregg Jones na basie, Lenny White na bębnach, Toots Thielemans na harmonijce ustnej i Bervin Harris jako wokalista. Ponadto, jako współwykonawca i doskonały programator rytmów, złożył się na muzyczną atmosferę płyty Darren Quinland.

Sam ją wyprodukowałem dla nowojorskiej UBX Inc., a w nagraniach uczestniczyli doskonali inżynierowie dźwięku: Joachim Schmid, Kuba Nowakowski, Dante i Ted Jensen.

Jak wspominałem, wszystkie pomysły, aranże i kompozycje na płycie były moje, z wyjątkiem utworu „Don't Wait”, który napisałem wspólnie z Darrenem Quinlandem i Bervinem Harrisem.

Artysta, czy to muzyk, czy malarz, czy jeszcze inny wihajster, nigdy do końca nie wie, jak publiczność odbierze jego dzieło. Wie, że dobrze zagrał, namalował lub zaśpiewał. Wie, powiedzmy, w siedemdziesięciu procentach, że powinien trafić w gust odbiorcy, ale nigdy nie jest przekonany do końca, czy jego rachuby się sprawdzą.

Niecierpliwie czekałem na promocję płyty. Muzycy, przyjaciele i Basia mówili: śpij spokojnie.

Ano, zobaczymy, co z tego wyniknie – myślałem.

Sukces przerósł moje najśmielsze oczekiwania. Urbaniak znowu był sensacją jazzową w Stanach. I to sensacją w dobrym tego słowa znaczeniu, bowiem na płycie nie było żadnej grepserskiej, fałszywej nuty, żadnego udawania, żadnych siłowych eksperymentów, które robią ludziom wodę z mózgu, a jak krytyk je słyszy, to kręci w obie strony głową.

Prawdę zagrałem. Moją własną, uczciwą prawdę, bez pozerstwa i napuszenia, bez podszywania się pod jakikolwiek wzór czy styl. Pamiętam, jak złapał mnie za szyję w barze jakiś gość. Myślałem, że chce uderzyć bykiem, i zamknąłem odruchowo oczy. Wtedy poczułem na czole jego wilgotne usta:

– Ty jesteś Michael Urbaniak?

– Zgadza się – powiedziałem.

– Od „Manhattan Mana”?

– Sure.

W rękę mnie z kolei pocałował:

– Człowieku, to jest najpiękniejsza muzyka, jakiej w życiu słuchałem. Prawda to, że pochodzisz z Polski?

– Tak.

– No proszę! Pieprzony Polaczek uczy nas, jak powinno grać się muzykę jazzową. Nawet literatura i poezja nie powiedziała nic prawdziwszego o Manhattanie, a ja się, bracie, tu urodziłem, więc wiem.

Posypały się recenzje – nie tylko w prasie fachowej, lecz i w najpoważniejszych centralnych dziennikach. Kawałki z płyty bez przerwy szły w programach telewizyjnych i radiowych, jeden trafił do filmu o AIDS wraz z kompozycjami Phila Collinsa i paru innych wybitnych kompozytorów. Kolejki przed klubami na moje koncerty znowu zawijały na sąsiednie ulice.

Zewsząd zbierałem gratulacje. Podnosili kciuk do góry lub wylewnie ściskali mi dłoń tacy mistrzowie, jak kochany przyjaciel Joe Henderson, Benny Carter, Chick Corea, Herbie Hancock, Joe Zawinul, Dizzy Gillespie, który wciąż przekreślał żartobliwie moje nazwisko, i wielu innych.

Udzielałem wywiadów ekskluzywnym tygodnikom. Telefon w moim domu praktycznie nie przestawał dzwonić. Znowu miałem porządne pieniądze i w ogóle byłem szczęśliwy.

Zaimponowałem Barbarze. Kłaniali nam się na ulicach znajomi i obcy. Miałem dużo koncertów, ale mózg pracował już w innym kierunku.

– Co ty teraz wykręcisz, Michał? – dopytywali mnie przyjaciele.

– Wydam kolejną płytę.

– Kiedy?

– Szybko.

Chodził mi już po głowie Urbanator.

Tymczasem czekałem na doroczną ankietę magazynu „Down Beat”, ciekaw, czy mój sukces znajdzie w niej potwierdzenie.

Nie rozczarowałem się. Chyba tylko po przyjeździe do Stanów, gdy wydałem w Columbi „Constellation”, „Atmę” i „Fusion”, miałem tak wysokie notowania.

„Manhattan Man” uznany został za trzecią płytę roku. Jako muzyk roku znalazłem się na piątym miejscu po Wyntonie Marsalisie, ale przed Dizzym Gillespiem. Jako skrzypek byłem czwarty, jako kompozytor – dziewiąty, a jako lider Jazz Electric Combo – trzeci.

Ukazał się ponadto w „Down Beat”, z ogromnym nazwiskiem i zdjęciem, obszerny artykuł Billa Milkowskiego zatytułowany: „Michał’s Musical Mysteries”.

Autor napisał, że po Davie Grusinie, Lee Ritenourze i Herbiem Hancocku dołączyłem do grona największych kompozytorów, umiejętnie wykorzystujących w twórczości elektronikę i komputery. Całą moją artystyczną drogę w tym artykule przypomniał – Łódź, Warszawę, lata szkolne i studia, możliwość wyjechania na stypendium u Ojstracha do Moskwy, a także moment, który zdecydował, że rozstałem się z klasyką po wysłuchaniu kilku audycji Willisa Conovera i Armstrongowskiej wersji „Mack The Knife”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY:

Wejście w rap

W 1993 roku wyszła kolejna moja płyta: Michał Urbaniak Quartet „Some Other Blues”. Była to czysta rutyna, ostre, swingowe granie na skrzypcach, fajna, dobrze się sprzedająca muzyka, która nie zaspokajała jednak moich ambicji.

Chciałem znowu zrobić coś zupełnie innego, oryginalnego, więc zacząłem wsłuchiwać się bacznie w muzykę ulicy. Grałem jazz, majdrowałem w komputerach i syntezatorach, nie spuszczałem jednak ręki z pulsu dnia, a każdy dzień w Nowym Jorku przynosił coś nowego – nowe rytmy, nowe śpiewy, nowe wyzwania.

Rap z początku nikomu się nie podobał, bo był szorstki, ordynarny, twardy i monotony melodycznie. Krytycy, jak również większość słuchaczy uważali, że jest to efemeryda niemająca widoków na przetrwanie. Ale rap opierał się tym opiniom i robił swoje, przeciekając powoli z ulic do klubów i restauracji, a potem do telewizji i radia.

Każdy nowy, śmiały styl stojący w sprzeczności z tym, co obowiązywało dotychczas, potrzebuje miesięcy, albo i lat, aby się przyjąć. Nie wydał jeszcze rap swoich Parkerów, Coltrane’ów i Davisów, kto wie jednak, czy tego nie zrobi. Trzyma i rozwija się przecież, a było wiele kierunków muzycznych, które wystrzeliły, zawojowały świat i padły, że przypomnę tylko twista i calypso. Z nurtu muzyki młodzieżowej, uprawianej skądinąd z powodzeniem przez pięćdziesięciolatków, przetrwał i ewoluował twórczo tylko rock, za którym zresztą nie przepadam.

Postanowiłem pomóc rapowi, owej wymyślanej na gorąco i deklamowanej rytmicznie poezji. Postanowiłem mu pomóc jednakże nie jako raper, którym przecież nie jestem, lecz jako jazzman, którym zawsze pozostanę, otwierając się przy tym na każdy nowy ton zdolny wzbogacić brzmienie, zwiększyć siłę oddziaływania i dogonić współczesność.

Nigdy nie byłem purystą muzycznym, gdyż wiem, że puryści są

wrogami postępu. Gdyby puryści mieli decydujące słowo, jazzu nie byłoby już na świecie, każda sztuka bowiem, która stoi w miejscu, musi umrzeć, a jazz przecież wciąż prze do przodu mimo śmierci starych mistrzów, też niegdyś przeklinanych za nowatorstwo. Miles Davis powiedział: „Wszyscy ci puryści łążą wokół i gędzą, jak to instrumenty elektryczne zrujnują muzykę. To zła muzyka rujnuje muzykę, a nie instrumenty. Nie widzę nic złego w instrumentach elektrycznych tak długo, jak długo są wspaniali muzycy, którzy będą na nich dobrze grać”.

Podobny stosunek miał Miles do innych kierunków muzycznych, fascynowały go rytmy hiszpańskie, latynoskie, indyjskie, przyjaźnił się z rockiem i z reggae, więc nie można wykluczyć, że w dzisiejszych czasach również sięgnąłby po tego czy innego rapera.

Wszedłem w środowisko raperów i muzyków, którzy podobnie jak ja mieli po temu skłonności. Odbyłem z nimi rozmowy, przygotowując ich do mojego przedsięwzięcia. Mówiłem:

– Jeśli to się uda, panowie, możemy dokonać w jazzie przełomu.

Potem okazało się, że w tę samą stronę biegły myśli Herbiego Hancocka. A nawet jeśli nie biegły, to mógł zarazić się ode mnie, bo zaprosiłem go do współpracy.

Oprócz Herbiego w nagraniach „Urbanatora” wzięli udział tacy gracze jak Kenny Garrett na saksofonie altowym, Michael Brecker na saksofonie tenorowym, Tom Browne na trąbce, Randy Brecker na trąbce flugelhornie, Jane Getter i Fred Welsh na gitarach, Bernard Wright i Jon Dryden na keyboardach, Marcus Miller i Al MacDowell na basach oraz Lenny White na perkusji. Ponadto zaprodukowali się raperzy Muckhead i Solid oraz wokalista Dziko.

Pozyskałem więc doskonałych muzyków, w wypadku Herbiego Hancocka, Kenny’ego Garretta, Marcusa Millera i Bernarda Wrighta – prawdziwych mistrzów świata, występujących kiedyś z Milesem Davisem i będących w Nowym Jorku bogami.

Płytą zachwycił się inny genialny muzyk George Benson, pisząc na okładce, że „Urbanator” jest wielkim osiągnięciem muzycznym

i wielką twórczą propozycją w zakresie rytmu, melodii i improwizacji.

W końcu kwietnia dziewięćdziesiątego czwartego roku, tuż przed ukazaniem się płyty, nagraliśmy w manhattańskim studiu i na placu Washingtona wideoklip „Urbanator”, zakupiony przez kilka telewizyjnych programów.

Zaczęło się wspaniale. Wierzyłem, że „Urbanator” odniesie nie mniejszy sukces niż „Manhattan Man”. Album miał jednak opóźnienie. Produkcja trwała o kilka miesięcy za długo, co dało konkurencji szansę na mniej lub bardziej udane plagiaty. Zawsze byłem bacznie obserwowany przez awangardę muzyczną zastanawiającą się, co ten Michael chce znowu wykręcić. Podpatrywali mnie, podsłuchiwali, było trochę przecieków ze studia, co w sumie nie przysłużyło się płycie.

7 czerwca, wieczorem i w nocy, w sławnym manhattańskim klubie The Bottom Line odbyły się dwa pierwsze promocyjne koncerty Urbanatora. Miałem znakomite towarzystwo, bo zagrał ze mną fantastyczny saksofonista altowy Kenny Garrett oraz trębacz Tom Browne, pianista i keyboardzista Bernard Wright, basista Al MacDowell, perkusista Lenny White i kilku śpiewaków rapowych.

Na pierwszym koncercie salę wypełniała w trzech czwartych murzyńska publiczność, co jest niezawodnym miernikiem sukcesu. Murzyna na byle co nie nabierzesz. Prócz tego stawili się także w Bottom Line wszyscy liczący się w Nowym Jorku krytycy muzyczni, dziennikarze, radiowcy, fotoreporterzy oraz czarna, biała i latynoska telewizja.

Drugi koncert szturmowany był przez wielorasową publiczność z jeszcze większą determinacją, a ci, co nie dostali się do środka, słuchali pod drzwiami. Wzruszył mnie poróżniony z Lennym White’em basista Al MacDowell, który specjalnie przyleciał na występ z Europy i nazajutrz, 8 czerwca, miał do niej wrócić, aby ciągnąć z Ornette’em Colemanem trasę we Francji. Zarzekał się, że już nigdy z Lennym nie zagra, a tu patrz – jest! Odrzucił na bok urazy. Wypalił drzewo marihuany, która dodaje mu skrzydeł, i grał jak natchniony.

Oświadczył w przerwie dziennikarzom:

– Nie mogłem zawieść Michała, bo kocham jego muzykę, więc stanąłem jednak na scenie z Lennym, którego Urbaniak wylansował i wyciągnął z biedy. Lenny niestety zdążył już o tym zapomnieć.

Fakt. Lenny jest doskonałym perkusistą, ale coś mu ostatnio odbiło. Granie na bębnach, które podobnie jak Miles uważam za serce zespołu, przestało Lenny'emu wystarczać. Ubiera się sztywno, jak piąty lord: czarny garnitur, czarne buty, czarny krawat, na głowie płaska czarna czapeczka. Zamiast mówić, burczy coś pod nosem, nigdy się nie uśmiecha. Ubrdał sobie, że jest kompozytorem jak Max Roach, ale nie ma ku temu dostatecznej wiedzy muzycznej. Wystukuje coś jednym palcem na keyboardzie, domaga się, abym to zapisał, a potem uchodzi za autora utworu.

W Bottom Line w czasie promocji Lenny wyciął mi paskudny numer. Prezenterka otwierająca promocyjny koncert zapomniała o mnie, a także o innych muzykach, i pytowała dłuższy czas wyłącznie o Lennym. Lenny to, Lenny tamto, Lenny owo, Lenny genialny i wspaniały, zupełnie jakby nie był to „Urbanator”, lecz autorskie nagranie perkusisty. Wreszcie ktoś zdenerwował się i przerwał te brednie.

Mam poczucie sprawiedliwości, nie jestem zawistny, lubię mówić dobrze o moich partnerach i cieszę się, gdy inni tak mówią. Ale ta afera na promocji była wstrętna. Niemniej, choć nie wszystkim, Lenny White się podobał i choć gdy go przywiozłem do Polski, bardzo rozczarował krytykę muzyczną, w dalszym ciągu mam do niego słabość, tak samo chyba jak Marcus Miller.

Jak White siada za bębnami, to od razu się zmienia. Znika gdzieś pyszałek i egocentryk, a w jego miejsce pojawia się fantastyczny, absolutnie podporządkowany idei zespołu muzyk, wyprany z wszelkiego gwiazdorstwa i egoizmu. Rzeczywiście pracuje wtedy dla całości, a podnieca się tylko od czasu do czasu, wrzeszcząc: – I get it, I get it!

Wciąż grywam więc z Lennym White'em, stawiając dobro muzyki ponad urazy i kłótnie. Był w grupie, która pojechała promować „Urbanatora” w Los Angeles. Uczestniczył w wielu innych koncertach.

„Urbanator” zebrał dobre recenzje prasowe, słysząc go było w radiu i telewizji zarówno w Stanach, jak i w Europie. W Wielkiej Brytanii trafił na listy przebojów. Dostałem polecenie od producenta wytwórni, aby polecieć do Londynu i wymiksować parę kawałków na singiel.

Chodził również „Urbanator” w polskich rozgłośniach. Podobał się. Potwierdzało to moje przewidywania, że jazz pójdzie w tym właśnie kierunku – ostry, zróżnicowany, nachalny rytm, rapowy wokal i agresywna improwizacja. Grają dzisiaj w tej manierze wszyscy ambitni, kreatywni muzycy.

Mam żal do wytwórni, że „Urbanator” ukazał się na rynku tak późno, wyprzedzony przez nagrany w tym samym stylu płytę mojego serdecznego przyjaciela Herbiego Hancocka. Wystarczy powiedzieć, że Herbie najpierw nagrał w moim studiu dla „Urbanatora” swój kawałek „Chameleon”, a dopiero później ukazała się jego płyta. Wnioski nasuwają się same.

Nie chcę się jednak nad tym rozwodzić. Wraz z ukazaniem się „Urbanatora” uznałem rozdział za zamknięty i natychmiast zacząłem planować dwie kolejne płyty. Jedną poświęcę pamięci Milesa Davisa, a drugą Louisowi Armstrongowi. Spłacę w ten sposób moje jazzowe długi, oprócz tego jednak zamierzam zrobić w muzyce kolejny krok naprzód.

Pomysł ten zaświtał mi w głowie podczas coraz częstszych wizyt w Polsce. Zrozumiałem nagle, że Polska stała się wraz ze zmianą ustroju krajem pionierskim i że jest tu miejsce nie tylko na interesy, lecz i na każdy, najśmielszy nawet eksperyment artystyczny.

We wrześniu 1994 roku zacząłem przygotowania do najbardziej chyba zadziwiającego koncertu w dziejach współczesnej muzyki. Nie żartuję! Jazz od dawna jest już w filharmonii, wprowadził go do niej Norman Granz. Wcześniej, jako pierwszy, Louis Armstrong zagrał z zespołem utwór W. C. Handy’ego „Saint Louis Blues”, a towarzyszyła mu nowojorska orkiestra symfoniczna pod dyktando Leonarda Bernsteina. Jak można w Ameryce, to wolno i w Europie, a jak wolno w Europie, to i w Polsce. Wszystkie większe polskie miasta wpuściły jazz

do filharmonii jako sztukę integralną, a także jako wtórny do muzyki klasycznej (czy też poważnej), bo jazzmani często występowali podczas Warszawskiej Jesieni pod batutą takich kompozytorów jak na przykład Krzysztof Penderecki czy Bogusław Schaeffer.

Postanowiłem połączyć jazz, rap i klasykę. Pracowałem nad tym pięć miesięcy wraz z Jerzym Koskiem, odważnym szefem Filharmonii Częstochowskiej.

Nie pracowaliśmy, rzecz jasna, bez przerwy, ale tydzień przed światową premierą przyleciałem z Nowego Jorku do Częstochowy, świętego miasta Polaków, i próbowałem z orkiestrą od rana do późnej nocy. Po próbach kończących się zwykle około dwudziestej trzeciej nie szedłem do hotelu, lecz zostawałem wraz z basistą i aranżerem Marcinem Pospieszalskim w ciasnym pokoiku filharmonii i pracowaliśmy przy komputerze, przearanżowywaliśmy tam do rana niektóre utwory, poprawiając partie waltorni, obojów czy kontrabasów.

Czasy zmieniły się cholernie. Można dzisiaj skomponować symfonię, nie biorąc do ręki pióra i papieru nutowego. Rozpisana z najdrobniejszymi szczegółami partytura trafia z komputera na drukarkę i każdy muzyk w siedemdziesięcioparosobowym zespole otrzymuje swój głos. Poza tym zaprogramowany komputer Macintosha też miał uderzyć gromko na scenie swój rytm: w tle orkiestry filharmonicznej, wraz z kwartetem jazzowym oraz raperem Solidem przewidzianym na dwa lekkie kawałki i poważnym songiem Karola Wojtyły, do którego wcześniej wykupiłem prawa autorskie.

Ta ostatnia pozycja, z uwagi na żartobliwe usposobienie rapera, niepokoiła trochę reporterów. Słyszałem, jak podpytywali:

– Będziesz to naprawdę śpiewał, Solid?

– Jasne, że będę! – odpowiadał stanowczo.

– No tak. Powiedz no nam tylko jeszcze: czy ty jesteś katolikiem?

Potrząsnął głową i mówił:

– Nie. Jestem muzułmaninem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI:

Zdobycie Częstochowy

„Mystery Of Man” – „Tajemnica człowieka”, tak właśnie brzmi tytuł wiersza Karola Wojtyły, do którego przymierzał się nowojorski raper.

Staliśmy w Częstochowie przy alei Najświętszej Marii Panny, obok budynku, w którym nocował niegdyś Jan Paweł II.

Solid, muzułmanin, postawny jasny Murzyn, metr dziewięćdziesiąt, podgolony do połowy głowy tak, że krótkie kędzierzawe włosy zaczynały się dopiero od uszu; w czarnych butach z cholewą, w niebieskim komplecie dżinsowym, z amerykańskim papierosem w zębach – patrzył ciekawie na tablicę upamiętniającą wizytę papieża, po czym skierował zachwycony wzrok na Jasną Górę i powiedział cicho:

– To jest piękne.

Krzyż płonął w gęstniejącym mroku, a stado wron kołowało nad miastem. Jak zeszło się w bok z pięknej alei, to na domach przy wąskich ulicach nie brakło śmiałych przedwyborczych haseł. Gdzie indziej znowu wisiały na ścianach plakaty obwieszczające nasz zadziwiający koncert.

WIELKA ORKIESTRA SYMFONICZNA POD DYREKCJĄ JERZEGO KOSKA. MICHAŁ URBANIAK – SKRZYPCE, SAKSOFON SOPRANOWY. SEKCJA RYTMICZNA W SKŁADZIE: MARCIN POSPIESZALSKI – BAS, MICHAŁ DĄBRÓWKA – PERKUSJA, LESZEK MOŹDŻER – FORTEPIAN, SOLID – RAP.

Komputer Macintosha też był na plakatach wymieniony jako oddzielny instrument. Wymieniony był również wśród kompozytorów Christophe Voise, gość, którego poznałem w jakimś barze na Manhattanie i zaproponowałem mu współpracę, aczkolwiek Chris nie interesuje się specjalnie jazzem.

Nim przyjechał do Nowego Jorku, mieszkał wiele lat we Francji,

ale karierę muzyczną zaczynał w Warszawie jako oboista. Z czasem przekształcił się w dyrygenta. Prowadzi od przypadku do przypadku orkiestry amerykańskie, współpracuje na stałe z Filharmonią w São Paulo. Żona Amerykanka wciąż woła o więcej pieniędzy, więc Voise zastanawia się, czy nie pojechać do Chin, gdzie proponują mu stały etat.

Jest stosunkowo młody, wysoki i przystojny. Zwykle wypija do obiadu butelkę kalifornijskiego wina, ale w Częstochowie ceniował piwem. Twierdził, podobnie jak Solid, że piwa amerykańskie są kiepskie. Polski c. k. browar natomiast przypadł mu do smaku. Był dumny, że może wystąpić obok mnie w Polsce i opowiadał o tym dookoła dziennikarzom, których zjechała się cała masa.

To samo zresztą trzeba powiedzieć o publiczności, która w piątek 27 stycznia 1995 roku wykupiła na kilka godzin przed koncertem wszystkie bilety. W filharmonii na drugim i trzecim piętrze jacyś młodzi ludzie spali poskręcani na korytarzach, jedni w fotelach, drudzy na podłodze. Kilku pod stołem pingpongowym chrapało tak rozpaczliwie, jakby mieli zaraz pożegnać się z życiem.

Jestem facetem komunikatywnym, więc jak się jeden obudził, zapytałem go mimochodem:

- Skąd pan przyjechał?
- Z Jeleniej Góry.
- Specjalnie po to, żeby mnie posłuchać?
- Tak. Pana i rapera.
- Ach, rapera. Co takiego jest w rapie?
- Wszystko. Bunt, poezja i przyszłość.

Tuż przed wyjściem na scenę okazało się, że nie dowieźli mi z hotelu fraka, a koniecznie chciałem wystąpić jak Paganini. Telewizja, która nagrała ze mną wcześniej rozmowę, zaoferowała samochód, aby umyślny mógł przywieźć frak. Umyślny, zaufany człowiek z ekipy,

wpadł jak burza do pokoju w orbisowskiej Patrii i przeczesał wszystkie kąty, nie znajdując cholernego fraczyska, które kilka minut wcześniej zabrała działająca niezależnie Basia.

Wystąpiłem ostatecznie w ciemnym luźnym garniturze, gdyż pospiesznie przymierzony frak okazał się za ciasny i poszedł rękaw.

Tysięczny tłum zawył po pierwszym utworze.

Prezydent Wrona, zajmujący ze świtą jeden z pierwszych rzędów, cieszył się jak dziecko. Koncert prowadził Marcin Kydryński, młody gość, który robi, co może, aby osiągnąć słodycz głosu swojego ojca. Powiedział między innymi, że Urbaniak jest jedynym muzykiem z tej części Europy, któremu udało się zrobić karierę w Stanach, i jedynym skrzypkiem, z jakim kiedykolwiek chciał grać legendarny Miles Davis. Powiedział, że mamy oto do czynienia ze światową prapremierą zadziwiającej muzyki, na którą składają się w równej mierze klasyka, jazz, rap i pop. Wcześniej czy później – zakończył – Urbaniak, wieczny poszukiwacz i eksperymentator, zostanie za to należycie doceniony.

Mylił się! Urbaniak został doceniony natychmiast.

Jak gruchnęło siedemdziesięciu dwóch symfoników, jak włączyła się jazzowa sekcja rytmiczna i odpowiednio zaprogramowany pan Macintosh, a ja wycieniowałem na skrzypcach swoje solo, młodsza i starsza, rapowa i symfoniczna publiczność zrozumiała, że dzieje się coś wielkiego.

W sali panowało ogromne napięcie. Leciały moje kompozycje zaaranżowane wspólnie z diabelnie utalentowanym Marcinem Pospieszalskim: „Krakowiak”, „Pollack”, „Manhattan Man”. Czuję, że sprawiają one wszystkim nieopisaną frajdę, gdyż nie było w nich żadnej pozy, przemądrzalstwa, udziwnienia na siłę. Po prostu piękne, zadzierzyste melodie z odniesieniem do Szymanowskiego i całej klasyki, bowiem na zakończenie pierwszej części koncertu dyrektor Jerzy Kosek ustąpił miejsca przy pulpicie dyrygenckim Christophe’owi Voise’owi, a ten sam poprowadził orkiestrę, prezentując swoją postimpresjonistyczną serenadę z bolem w środku i z dwoma moimi skrzypcowymi wejściami po bokach.

Jeden utwór zagrałem na sopranie. Otrzymałem rześiste brawa. Polacy lubią, kiedy dmuchasz w saksofon, ale na bis nie miałem już siły.

Nowojorski raper Solid zaśpiewał dwa końcowe kawałki, w których opowiedział swoimi słowami moją amerykańską historię i dzieje nagrania „Urbanatora”. Padły więc z jego ust takie nazwiska, jak Herbie Hancock, Bernard Wright, Al MacDowell, Jon Dryden, Lenny White. Solid był luźny, żartobliwy, rozgrzany entuzjastyczną reakcją widowni, więc kiedy zaczął śpiewać wiersz Karola Wojtyły „Mystery Of Man”, bałem się, żeby nie strzelił jakiejś gafy.

W sali zapanowała raptem grobowa cisza. Zniknął gdzieś szybki, przebojowy raper, wyznający skądinąd doktrynę Mahometa, a w jego miejsce pojawił się poważny, wrażliwy, odpowiedzialny za każdy gest i słowo artysta przekazujący w wolnej, dobitnej i refleksyjnej formie wzniosłe posłanie polskiego papieża do ludzkości.

Wieczna i niezgłębiona tajemnica człowieka. Wieczna i niezgłębiona tajemnica sztuki. Wzruszenie. Brawa. Owacje na stojąco.

Mówiono później, że od lat, a może nigdy nie było w Częstochowie takiego koncertu. Ja też od dawna nie przeżywałem tak wzniosłych i radosnych wzruszeń, choć występowałem już przecież z wielkimi polskimi i amerykańskimi orkiestrami symfonicznymi.

Pomyślałem. Czułem już od jakiegoś czasu, że to się tak musi potoczyć i że muszę iść w tym kierunku. Muszę przygotować serię takich koncertów z innymi filharmoniami w Europie i USA.

Życie artysty bywa trudne, ale bywa również cudowne. Rollercoaster, czyli prawdziwy diabelski młyn. Cena radości bywa olbrzymia, ale w końcu sam sobie to jakoś wymierzam, o czym wiem zresztą od dosyć dawna.

Przypomniałem sobie, co powiedział w swojej książce Miles:

„Bez przerwy myślę o tworzeniu. Moja przyszłość zaczyna się, gdy budzę się rano. Wtedy się zaczyna – kiedy się budzę i widzę

pierwszy promień światła. A więc jestem wdzięczny i nie mogę doczekać się przebudzenia, bowiem każdego dnia jest coś nowego do zrobienia i do spróbowania”.

Ja, Michał Urbaniak, myślę i czuję dokładnie tak samo.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI:

Uciekinier

Z Częstochowy, niech Bóg ma nadal w serdecznej opiece to miasto, pojechaliśmy dwoma samochodami na festiwal jazzowy do Olsztyna. W pierwszym samochodzie był sprzęt, trzech muzyków i szefowa całego tego burdelu, w drugim, w wynajętej taksówce, ja, Maki, Leszek Możdżer i Marcin Pospieszalski.

Czas naglił, koncert w Olsztynie miał się ku końcowi. Honorowym gościem festiwalu był schorowany, osiemdziesięcioletni Willis Conover. Organizatorom bardzo zależało, abym zagrał dla niego choćby jeden kawałek. Tymczasem taksjarz włókł się osiemdziesiątką, że to niby silnik jest na dotarciu, więc zwolniłem go w najbliższym mieście i wziąłem rajdowca, który nie opierdalał się z silnikiem i zakazami.

Dzięki temu z godzinnym opóźnieniem stanąłem wraz z Możdżerem, Pospieszalskim i Dąbrówką na scenie i wykonałem dla Willisa „Take The A Train”, utwór, którym zaczynały się niegdyś wszystkie jego niesamowite audycje radiowe.

Potem była szalona, niezapomniana noc w restauracji. Przy stoliku siedziała Urszula Dudziak, Adam Makowicz, Leszek Możdżer, ja i pisarz. Kelner donosił paliwo lekkie, okocim bodajże lub żywiec, i trwała ożywiona muzyczna dyskusja, przerywana od czasu do czasu przez pisarza, który błagał Ulę, żeby zaśpiewała.

Więc śpiewała. Bez żadnego podkładu, żadnego akompaniamentu. Jak natchniona biegała po skalach z oszłamiającą wirtuozerią dętego instrumentu, a ten nienasycony pisarz skurwysyn wciąż się domagał:

– Jeszcze! Jeszcze!

Tej nocy była naprawdę w światowej formie i wygrałaby pewnie z każdą śpiewaczką jazzową.

Nazajutrz, tak jak dnia poprzedniego, znowu dał o sobie znać

wrodzony takt Polaków. Aby uczcić Conovera, którego twarz przybierała już z wolna szlachetne rysy cmentarnego monumentu, usadowili go na scenie, gdzie siedział karnie przez bite trzy godziny w rażącym świetle jupiterów.

Wykańczali wielkiego Willisa. Podobnie jak, z zachowaniem odpowiednich proporcji, wykańczali Jana Pawła II na otwartych audiencjach w Watykanie. Znużony, wycieńczony, zmaltretowany od upału i słońca papież raz po raz wstawał z tronu pod źle umieszczonym baldachimem, aby skryć się w chłodzie Bazyliki Świętego Piotra, i osiemnastokrotnie chamskie, ryczące głosy polskich (wyłącznie polskich!) pielgrzymów wywoływały go z powrotem:

– Góraaalu, czy ci nie żal?!

– Jan Paweł II! Jan Paweł II!

– Papież, pa-pież, pa-pież, pa-pież, pa-pież!

Zupełnie jak na meczu piłkarskim. I ledwie powłóczący nogami Ojciec Święty, aby nie sprawić im zawodu, wracał na plac.

Słynny i kochany przez cały jazzowy świat Willis w nieco innej, mniej doniosłej skali potraktowany został podobnie. W dusznej, przegrzanej auli wypełnionej do ostatniego stojącego i siedzącego miejsca oddychał z najwyższym trudem. Pocił się, wzdychał dyskretnie, splatał i rozplatał ręce, z heroicznym wysiłkiem produkował uśmiechy i słuchał różnych obrzepałów, gratulując muzykom, którzy zwyciężyli w takiej czy owakiej kategorii.

Z Olsztyna pojechaliśmy do Warszawy, gdzie załatwiałem jakieś sprawy biznesowe, po czym wróciłem do Nowego Jorku, który na zawsze zostanie moim prawdziwym domem, bez względu na inne rezydencje czekające na mnie w europejskich miastach.

W City, bo tak amerykańscy jazzmani nazywają Wielkie Jabłko, jakby nie było na świecie żadnych innych godnych uwagi cities, nagrałem „Urbanatora II” i ruszyłem w trasę koncertową: Nowy Jork, Waszyngton, Boston, Filadelfia, Columbus i Chicago, skąd przenieśliśmy

się na Stary Kontynent.

Niemcy kochają mój jazz, chociaż starsi, kiedy przyjeżdżałem już do nich nie jako Polak, tylko nowojorczyk, nie nadążali za moim nowym stylem, za moją czarną, murzyńską prawdą. Amerykański szajs – mówili.

Jednak zarówno koncert, jak i całe tournée wypalił jak bomba. Przeciągnął się o godzinę. Ludzkość tańczyła, bo ostry jazz zawsze można jakoś zatańczyć, o czym miałem się przekonać dwanaście lat później.

Komplikacje nastąpiły, dopiero kiedyśmy dotarli z Urbanatorem na festiwal jazzowy we Wrocławiu. Skład był fantastyczny, a gracze niebezpieczni. Mistrzowie świata! Raperzy Solid i Six, klawiszowiec Bernard Wright, basista Al MacDowell, perkusista Rodney Holmes i trębacz Tom Browne.

Tom pochodził z Karoliny Północnej i oprócz muzyki zajmował się zawodowo lotnictwem. Galopował zatem przez wertepy życia na dwóch koniach. Z Karoliny jeździł do City, żeby grać, z City wracał do Karoliny, aby latać. Było to uciążliwe. Poza tym jako baptysta nie powinien podobno uprawiać jazzu, zakazywała mu tego religia. Trochę to dziwne, bo Bill Clinton też był przecież baptystą, a swingował nie bez wdzięku na tenorze. I to publicznie, wobec radia i telewizji. No cóż, prezydent ma widocznie inne prawa, które nie przysługiwały Tomowi, i wspaniała trębacz, po naradzie z żoną, porzucił jazz, zostając ostatecznie pilotem amerykańskich linii pasażerskich.

Nie jestem i nigdy nie będę zawodowym alkoholikiem. Potrafię wstrzymać się od tego paskudnego procederu na całe miesiące. Zdarza się jednak, że sukces przerasta moją silną wolę i wówczas muszę dać temu skurwysynowi, temu rozpierającemu mnie sukcesowi w łeb, żeby nie zwariować.

No i dałem mu w łeb na zakończenie trasy koncertowej we Wrocławiu. Wypłaciłem sute honoraria moim ukochanym czarnym muzykom, którzy od razu wrócili do Stanów, sam zaś zanurzałem usta w wiadrze gorzały.

Najpierw ciągnąłem w mieście, w towarzystwie przypadkowych ludzi o wielce zróżnicowanych profesjach i rodowodach. Potem, nie porzucając butelki, zacumowałem w hotelu, gdzie postanowiłem się wykapać. Nie żaden tam cholerny prysznic, tylko wanna, porządna, półgodzinna wanna – mówiłem do siebie, odkręcając na cały regulator krany.

Czekając, aż woda w łazience osiągnie należyty poziom, zadbałem w pokoju o należyty poziom wody ognistej w organizmie. Popijałem.

W błogim nastroju. Miłe złego początki – rzekła czarownica wbijana na pal i zapomniałem o planowanej kąpieli, która miała mnie wyrwać ze szponów alkoholu.

Mój apartament był na pierwszym piętrze, tuż nad hotelowym barem. Ludzkość usadowiona na wysokich stołkach przy szynkwasie sączyła w najlepsze rozmaite drinki: wino, piwo, koktajle, koniaki, a tym, co trzymali w łapach whisky, zaczęła nagle skapywać z sufitu do szklanek niezamówiona woda.

Zdziwione towarzystwo uniosło wzrok. Z sufitu, najpierw pojedynczymi kroplami, później w ulewnych strugach padał deszcz.

Wrzask zgrozy i oburzenia sprawił, że ocknąłem się z letargu. Woda z przelanej wanny była już nie tylko w łazience, ale i w moim pokoju i sięgała mi do kostek. Zwiąłem. W porę. Nim jeszcze pojawili się ochroniarze, dyrektorzy i policja.

Lotem błyskawicy obiegła Wrocław mrożąca krew w żyłach wieść, że oprócz podtopienia hotelu puściłem go na dodatek z dymem, bo kurzyłem od przypadku do przypadku fajkę i ponoć zajęły się od niej firanki.

Bzdura! Z dymem to puściłem całkiem inny hotel w całkiem innym kraju. We Wrocławiu byłem z ogniem ostrożny, bo w przeciwieństwie do Nowego Jorku nie ma tam schodów pożarowych.

Wywinąwszy się obławie, zaciąłem setę w pierwszej lepszej

napotkanej kawiarni, a potem to już niewiele pamiętam. Były jakieś speluny, jakieś typy spod ciemnej gwiazdy, jakieś ni to psie, ni to ludzkie pyski, od których wiało morderstwem. W tej parszywej marszrucie zwinęli mi karty kredytowe, komputery, pagery, pióra, ołówki, zegarek i siedem czy osiem tysięcy dolarów.

Zawsze chodzę uzbrojony po zęby w ten sprzęt, jak komandos, i zawsze coś zgubię albo coś mi ukradną.

Jak przez mgłę przypominam sobie, że jechałem taksówką i że podałem kierowcy zmyślony adres, choć nie miałem wtedy ani w Polsce, ani w Europie żadnego stałego adresu: no direction home.

Zasnąłem kamieniem na tylnym siedzeniu i obudziłem się rano w uroczym, choć nieznanym mieście. Popatrzyłem zdumiony na maszty frachtowców w porcie i zapytałem szofera:

– Co to jest, do ciężkiej cholery?

– Szczecin – odpowiedział uprzejmie taksjusz. – Kazał pan zawieźć się do Szczecina. Teraz proszę jeszcze podać mi ulicę i numer domu.

– Jaką ulicę? Jakiego domu? – jęknąłem z rozpaczą. Cęgi kaca ścisnęły mi gardło. W podtopionym wrocławskim hotelu zostawiłem siedemnaście sztuk bagażu oraz dwie pary skrzypiec, trzy saksofony i lyrycon.

– Coś mi się chyba wczoraj poplątało.

– Więc co robimy?

– Wracamy do Wrocławia.

– Bardzo przepraszam – pyknął wciąż jeszcze uprzejmie taryfiusz. – Wiem, że jest pan sławnym artystą, ale chciałbym się jeszcze dowiedzieć, czy masz pan pieniądze na kurs powrotny.

– Mam – chowam zawsze w torebce na piersiach żelazną rezerwę.

Pokazałem mu i znalazłem się znów we Wrocławiu, skołowany, zagubiony, przerażony, ale dopisało mi szczęście.

Otóż w południe przypadkiem spotkałem na ulicy Wojtkę Rawecką, genialnego operatora filmowego. Przedstawiłem swoje problemy, a on jakimś cudem, bez instrumentów wprawdzie, wyciągnął z hotelu wszystkie moje bagaże i pchnął mnie taksówką do Warszawy.

Stanałem w Europejskim, który od lat służy mi za noclegownię. Dostałem na trzecim piętrze pokój z potężnym rabatem i szczelnie wypełnioną lodówką. Była oczywiście cola i woda, lecz obydwie te osierocone specjały ginęły w gąszczu piwa, wina, szampana, koniaku, whisky i czystej.

Raj! Graniczący przez cienką ścianę z piekłem.

Zalewałem robaka, aby tylko nie myśleć o wrocławskim incydencie. Każdego dnia opróżniałem lodówkę i czekałem niecierpliwie na rano, kiedy to pokojówki wypełniały ją na nowo.

Trwało to trzy tygodnie. Nie lubię samotności, więc co rusz zjeżdżałem windą na parter i zaprawiałem z różnymi typami, obojga płci i wszelkiego autoramentu.

Pochylony nad ladą baru mruczałem do aktora Franciszka Trzeciaka:

– Jak Maki był u mnie w Nowym Jorku i zaprawiał, to nie odstępowałem go ani na krok, a jak ja zaprawiam w Warszawie, to go nie ma. A przecież muszę być trzeźwy w Krakowie i trzymać do chrztu córeczkę Grażyny.

Franek zadzwonił wieczorem do Makiego, a Maki zadzwonił z Łodzi do mnie i powiedział, że przyjedzie nazajutrz rano z karną ekspedycją. Postawił warunek.

– Od tej chwili ani grama alkoholu, Michał. I nie wychodź z pokoju!

Przyrzekłem. I nie dotrzymałem słowa.

Kiedy Maki zjawił się rano w Europejskim i zapukał do moich drzwi, odpowiedziała mu złowroga cisza. Znalazł mnie na czwartym piętrze w podejrzanej agencji, gdzie długonoga blondynka usiłowała podźwignąć mnie szklanką becherovki.

Maki bywa dżentelmenem, potrafi jednak w okamgnieniu zamienić się w chama. Zwymyślał blondynkę, wytrącił mi z roztrzęsionych rąk becherovkę i zawlókł piętro niżej do numeru. Wziął mnie pod prysznic. Potem obydwaj przeszukiwaliśmy bagaże z nadzieją, że może zaplątały się gdzieś dolary.

Mój dług wobec Europejskiego urósł do czterech tysięcy baksów (z czasem miałem go spłacić), więc ucieczka z hotelu była wielce ryzykowna. Mógłbym czmychnąć do Nowego Jorku, lecz gdyby hotel zawiadomił policję, zwinęliby mnie chyba na lotnisku.

Czułem się podle, zaszczuty i sponiewierany. W dodatku ciągle przychodzili różni koledzy z gazem, żeby cisnąć mi w ten skacowany odmęt smutku i przerażenia koło ratunkowe. Maki, bardzo grzecznie zresztą, wypraszał jednego po drugim.

Wyprosił Kubusia z dwiema butelkami, wyprosił Piotra z baterią browarów, przegonił miotły, które chciały posprzątać i wymienić lodówkę, wreszcie stanął przed prawdziwym dylematem, gdyż w drzwiach pojawił się Niemen. Też uzbrojony we flaszkę, chociaż sam był abstynentem.

Maki napisał kiedyś o Czesławie gorzki reportaż i cierpkie opowiadanie „Człowiek, który przyjechał rozbić bank” zamieszczone w książce „Przepis na wymianę twarzy”. Opowiadanie i reportaż powstały w latach, kiedy komunistyczne Ministerstwo Kultury (tfu!) nie chciało przyznać Niemenowi statusu artysty i kiedy nie dopuszczono go w ostatniej chwili do festiwalu piosenki w Sopocie, boby wygrał. Poza tym Niemen skomponował i wykonał muzykę do ekranizacji powieści Makiego „Powrót wabiszczura”.

Znali się zatem. Dzisiaj, po śmierci niezapomnianego,

nieodżałowanego, wspaniałego Czesława, uznanego za najwybitniejszego polskiego pieśniarza dwudziestego wieku, okazuje się, że wszyscy go znali. Wszyscy go kochali. Wszyscy byli z nim na ty.

Maki nie spoufala się jednak i nie wymusza spoufaleń. Powiedział z estymą, z ogromnym wzruszeniem:

– Szalenie jesteśmy panu wdzięczni za pamięć, panie Czesławie, ale ta butelka jest już niepotrzebna. Michał ma być jutro ojcem chrzestnym w Krakowie i musi być trzeźwy.

Spokojny, cudownie wyciszony Niemen pokiwał ze zrozumieniem głową, uściskał mnie i wyszedł, a w jego miejsce zmaterializował się ponownie Kubaś, inżynier dźwięku, który dzielił ze mną przed laty apartament na Manhattanie.

Maki zaczął go błagać, co robił rzadko, aby Kubaś zawiózł mnie na chrzciny do Krakowa. Pan inżynier, nie obiecując niczego, bąknął, że musi naradzić się z żoną. I znowu zniknął.

Maki tymczasem, jak prawdziwy zawodowiec, przystąpił do rozpoznania terenu.

Główna droga – zarówno schodami, jak i windą – biegła do wyjścia na ulicę obok recepcji. Odpadało, biorąc pod uwagę siedemnaście sztuk bagażu. Ale Maki, stary cwaniak, znalazł inną drogę. Wystarczyło wyjść z pokoju i ruszyć w lewo, do końca korytarza. Można było stamtąd zjechać albo zejść do prawie niewidocznych z recepcji bocznych drzwi pomiędzy barem a kawiarnią.

Godzinę później skorzystaliśmy z tej drogi. Bez mojego udziału, gdyż nie czułem się na siłach, Kubaś i Maki wywlekali cały mój przeklęty majdan, sztuka po sztuce, do zaparkowanego przed bocznymi drzwiami samochodu, w którym brylowała młoda, rozpaskudzona żona Kuby.

I odcumowaliśmy od skalistego, najeżonego grozą portu, jakim był wówczas dla mnie Europejski, zawsze gościnny i przyjazny. Maki wywiódł mnie z ziemi egipskiej, domu niewoli. Nie zdążyłem nawet

faceta ucałować. Ruszył na dworzec i wrócił pierwszym pociągiem do Łodzi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY:

Raj w wytrzeźwialni

Kochałem do szaleństwa moje instrumenty i świadomość, że tłuką się gdzieś bezpiecznie po Wrocławiu, sprawiała mi ból. Okropny ból. Nieomal taki jak wówczas, kiedy w młodości w Nowym Jorku straciłem saksofon. Był to tenor, Selmer Mark VI, stradivarius wśród saksofonów, najwyżej do dziś ceniona przez tenorzystów fajka. Zostawiłem ją na trzy minuty przed restauracją Kiev w dole Manhattanu. Jedząc zupę, bo podawali tam fantastyczne polskie i ukraińskie zupy, trzymałem nieprzerwanie wzrok na moim błękitnym cadillacu. Nie wystarczyło.

Nowojorscy złodzieje uderzają znieścacka, błyskawicznie. Jak piorun. Wyłupali w cadillacu szybę i zrabowali selmera oraz parę innych drobiazgów. Nie wezwałem policji, choć sam futerał do selmera, flight case, wart był tysiąc dolarów.

W trakcie chrztu córki Grażyny Treli w Krakowie stanąłem na wysokości zadania. Założyłem chyba nawet garnitur i krawat. Nie lubię takiej pompy, lecz wśród bagaży był również frak i smoking. Wożę to gównem na wszelki wypadek, bo przecież czasem zapraszają mnie na bale premierzy i prezydenci.

Żeby sprawa była jasna: moim ukochanym polskim prezydentem był i zawsze będzie Lech Wałęsa, najwybitniejszy obok papieża rodak dwudziestego wieku. Kwaśniewski i Miller też mnie rozpijali. Osobiście wpychali mi w łapę szampana i whisky.

Trzęsło mnie trochę na tych chrzcinach w Krakowie, w jednym z tych dostojnych, sędziwych kościołów. Dopadła mnie tam wszakże radosna wiadomość, że jakaś dobra dusza, jakiś przyjaciel spakował we Wrocławiu moje instrumenty i odesłał je na adres mojej żony Basi Treli, która dzieliła ze swoją siostrą Grażyną willę na Podgórzu.

Na pierwszym, należącym do Barbary pięttrze tej willi zainstalowałem swoje studio muzyczne i tak zaczął się krakowski epizod w moim życiu. Nagrania, koncerty, niezapomniane wieczory w Piwnicy pod Baranami. Nieraz drobne potknięcie o butelkę.

Na pytanie: „Czemu znowu to robisz?”, odpowiadałem Basi albo innym osobom: – Wiesz, piętnaście lat picia, siedemnaście lat całkowitej abstynencji. Teraz sprawdzam, który okres był lepszy.

Bywały potknięcia radosne, bywały bolesne, bywały tragikomiczne. Do tych ostatnich zaliczam dzień spędzony na krakowskiej ulicy z saksofonem tenorowym Juliusa Keilwertha, Niemca, który produkował ten instrument na Stany pod szyldem H. Couf.

Była to doskonała fajka, nie gorsza od selmera, ale cięższa wagowo i o wyżej ustawionych klapach. Aby jej nie stracić, położyłem się z nią na futerał. Byłem zmęczony i pijany, na tyle jednak przytomny, że przykryłem futerał własnym ciałem. W celu dodatkowego zabezpieczenia zdjąłem z szyi podtrzymujący saksofon pasek, przytracając go do kiści i do rączki futerału. Zasnąłem smakowicie pośród tłumu, który walił na Stary Rynek. Co rusz, nieśmiało i łagodnie, budził mnie niejaki Szajbus, były aktor Piwnicy pod Baranami, przyjaciel Wiesława Dymnego. Kiedy otwierałem oczy, Szajbus, który uzurpował sobie przywilej sprawowania nade mną opieki, wyciągał mi z kieszeni dwa złote na piwo, mruczając:

– Śpij dalej, Michał, w Indiach przecież ludzie śpią tysiącami na chodnikach. A jak ktoś odwali kite, nikt się go nie czepia.

Więc spałem, tuląc do siebie saksofonisko, zaś Szajbus ładował w barze akumulatory.

Kolejna pobudka, gdzieś o trzeciej czy czwartej po południu, nie była już tak nieśmiała i łagodna. Zobaczyłem nad sobą oburzone mordy dwóch policjantów.

Skurwysyny, gdyż w owych czasach byli to wciąż apologeci Zmotoryzowanych Oddziałów MO, uznali bez dmuchania w balon, że nadają się w sam raz do izby wytrzeźwień. I tu Szajbus pokazał klasę. Oświadczył ochryłym z przepicia głosem straceńca:

– Jak Urbaniaka bierzecie do izdebki, ja też chcę do izdebki. Ktoś musi trzymać na nim oko.

No i trafiliśmy do bandyckiej noclegowni razem, do tej samej sali, na sąsiednie łóżka, przy czym mnie dręczył kac, natomiast Szajbus, częsty bywalec izdebki, tryskał optymizmem i humorem. Znał tam wszystkich strażników, też dających w trąbę przy każdej okazji, więc skoro tylko szef całego tego burdelu zniknął z pijackiego pobojuwiska, Szajbus z miejsca nawiązał kontakt z cerberami.

– Chłopaki – powiedział z ogromną siłą perswazji. – Ja dałbym sobie radę bez klina, lecz Urbaniak nie wydoli. On musi natychmiast łyknąć coś na rozruszanie mięśnia sercowego.

„Chłopaki”, do których przemówiło nie tylko współczucie i ogromne umiłowanie ludzkości, lecz jednocześnie moja zasobna kieszeń, kopnęli się po piwo zarówno dla nas, jak i dla siebie. Wypiliśmy pierwszą kolejkę, stukając się przez szybę z „chłopakami”, i od razu wszyscy ci, co nas więzili, i ci, co byli więźniami, doszli do wniosku, że trzeba łyknąć coś na drugi „obczas” i że sam browar nie wystarczy, należy wzmocnić go paliwem ciężkim.

Potem była trzecia i czwarta wzmocniona kolejka. Ponury pensjonat alkoholików zamienił się w raj.

Zamiast westchnień, jęków, stęków i złorzeczeń rozległy się uszczęśliwione chóralne śpiewy. Na góralską i krakowską nutę. Urąbana w cztery stodoły brygada strażników tłukła się od ściany do ściany, któryś rzygał pogodnie, inny opróżniał na środku korytarza pęcherz, jeszcze inny przysięgał, że pierwsza rzecz, jaką zrobi, wróciwszy do domu, to dzieli siekierą przez łeb swoją umiłowaną małżonkę, która przeszkadza mu w pijackim rzemiośle.

Przyszedł lekarz kwalifikujący delikwentów do dalszej kwarantanny lub do wyjścia i też umoczył.

Wpadł z przyjacielską wizytą patrol policji i przechylił kielicha. Wąsaty sierżant, mój zagorzały fan, stwierdził autorytatywnie, że takich artystów jak ja nie odwozi się do izdebki, tylko do domu, że gliniarze mają w tej materii wyraźne instrukcje.

– Jeśli jakiś sławny muzykant, malarz, aktor czy inny skurwysyn nie robi zadymy, nie wolno go wpierdalać pomiędzy lumpów i notorycznych ochlapusów, lecz odstawić do rodzinnego siedliska.

Już tam żona wygarnie mu lepiej niż jakikolwiek popapraniec z wytrzeźwialni.

I poprosił mnie o autograf, a w ślad za nim wyciągnęły się ku mnie różne pogniecione zeszyty i papierzyska.

Chyba ze trzydzieści autografów rozdałem. Byłem wzruszony, kiedy przez okienko sąsiedniej sali, trzeźwej, bo z pensjonariuszy piłem tylko ja i Szajbus, wychywały czarne szpony wyśmienitego alkoholika. Gość ten, jakiś historyk czy filolog, niegdyś schludny, ale upadły po rozwodzie, przeżywał akurat upojny stan delirium tremens. Usłyszawszy jednak wywrzaskiwane raz po raz nazwisko Urbaniak, odegnał od siebie stada atakujących go ze wszystkich stron szczurów, zdziczałych kotów i myszy, i rozdarł się przesywajaco:

– Panie Michale, znam wszystkie pana płyty, bywałem na pańskich koncertach. Podpisz mi się pan choćby na rękę. Klnę się na Boga, nie umyję jej po grób.

Podpisałem. Chwilę później zawiany doktor, otrzymawszy honorarium za swoją wielce wyczerpującą pracę, zdiagnozował mój stan i stan Szajby jako znakomity: całkowita trzeźwość, sprawność intelektualna i fizyczna wprost wyjąca o podjęcie dalszej działalności.

Niewłocznie podjęliśmy więc dalszą działalność w barze, gdzie wcześniej Szajbus przytomnie zdeponował mój instrument. Wiadomo, że we wszystkich polskich izbach wytrzeźwień kradną. Niekoniecznie strażnicy, często robią to biuraliści bądź dowożący delikwentów gliniarze. Nie ma pijących muzyków, którzy w takich okolicznościach nie straciliby chociaż raz trąbki, akordeonu czy skrzypiec. Jak potrafią zwinąć ci zegarek, mogą także buchnąć saksofon, a na drugi dzień wmówić pijusowi, że go zgubił.

Tak czy owak legenda poszła po Krakowie, że Urbaniak rozpętał w wytrzeźwialni rewolucję. Podobno kierownik tych kazamat, gdy zjawił

się rano w pracy i ujrzał podwładnych w ekstazie alkoholowego upojenia, kazał ich zapudłować, zaś pensjonariuszy wypuścić. Nic dziwnego, że gdy włókłem się uliczkami Krakowa, trąbiące pod kioskami browar obrzępały biły mi dyskretne brawa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY:

Sześć lat do edenu

A za tym wszystkim wciąż była muzyka. Zawsze na pierwszym planie. Zawsze najważniejsza. Wiedziałem, że jako Amerykanin mam do spełnienia w Polsce ważną misję: przekonać rodaków do czarnego jazzu, do hip-hopu i rapu, którym słuchacze w tamtych latach pogardzali albo nic o nim nie wiedzieli.

Przecież, do diabła!, pierwszym genialnym prekursorem rapu był Louis Armstrong. Od niego się zaczęło i na nim jak dotąd się kończy, bo jeszcze tego formatu pieśniarz się nie narodził, ale kto wie?...

Wystarczy posłuchać jego sa-ba-zu-bu-du-bu-da albo zanalizować uważnie „Mack The Knife”. Czyż nie są to pierwociny rapu? Czyż nie jest to rapowe frazowanie? Toczy się pozornie monotonna, bogata fabularnie opowieść o nożowniku i można tego słuchać bez końca.

Ściągnąłem zatem z całej Polski do swojej firmy producenckiej w Krakowie dwanaście hiphopowych zespołów, które odbierałem z dworca, zawoziłem do radia i nagrywałem. Wykluło się z tego wiele gwiazd. Pomagałem Liroyowi, który był już po pierwszej płycie, a ja pilnowałem drugiej. Ani Liroya, ani żadnego innego wypromowanego hiphopowca nie spętałem ze sobą żadnym zobowiązaniem czy umową ograniczającą prawa autorskie. Puszczaliśmy ich na szerokie wody i dalej płynęli już samodzielnie.

W 1997 roku podpisałem z producentem Tomaszem Filipczakiem umowę na muzykę do filmu animowanego „Eden”, którego głównym autorem miał być wybitny rysownik animator Andrzej Czeczot.

Andrzej mieszkał na stałe w Nowym Jorku, choć zachował jakąś metę w Łodzi, gdzieś przy ulicy Uniwersyteckiej. Bywał w niej od czasu do czasu wraz z synem Rafałem i żoną Sonią, która zmarła niedawno. W trakcie tworzenia filmu Andrzej zainstalował się w Łodzi na dobre; urządził sobie pracownię w hotelu przy ulicy Łagiewnickiej i namawiał mnie do tego samego.

Film mieliśmy zrobić w dwa lata, w sumie jednak potrwało sześć. Komponować zacząłem w Krakowie, a skończyłem w Łodzi, gdzie w końcu założyłem studio, w tym samym bałuckim hotelu co Czeczot. Nie była to kurwiarnia, koczowały tam całe rodziny z Azji i Europy Wschodniej. Folklor jak cholera! Krzyżowały się różne języki i unosiły różne aromaty.

Muzyka filmowa zawsze mi wychodziła i często dostawałem za nią nagrody. Moja amerykańska filmografia liczy około dwudziestu pięciu pozycji. W Polsce też miałem wielkie strzały, choćby w „Pożegnaniu jesieni” Mariusza Trelińskiego i w „Długu” Krzysztofa Krauzego. „Dług”, obsypany w kraju i Europie licznymi nagrodami, także mnie przyniósł nagrodę, którą odebrałem na festiwalu w Gdyni.

Toteż poprzeczka była ustawiona wysoko. Filipczak i Czeczot mierzyli z „Edenem” w Oscara. Andrzej, nie tylko wspaniały animator, lecz również scenarzysta i reżyser filmu, opowiadał w nim swoimi rysunkami historię grającego na fujarce pastuszka Józka, który wędruje przez świat: przez piekło, czyściec, raj, podwodne królestwo Neptuna, aby wreszcie na pokładzie Arki Noego wylądować w Nowym Jorku. Czarno-biały prostacek w kolorowym filmie idzie, leci, płynie, jedzie, przemierzając przestrzeń i czas amerykańskiej kultury. Spotyka Herkulesa, Prometeusza, Janosika, Salvadora Dali, Chopina w muzycznym pojedynku z Paganinim, Charliego Parkera, Elvisa Presleya, Beatlesów w żółtej łodzi podwodnej, Napoleona, Kolumba, Robinsona z Piętaszkiem oraz wiele, wiele innych legendarnych postaci, na koniec zaś masę dziwnych zwierząt i potworów, aniołów, diabłów, czarownice, a nawet samego Pana Boga.

Pisałem do gotowych już projektów albo na przekazywane telefonicznie lub osobiście sugestie Czeczota. Często trzymałem się własnych pomysłów, które Andrzej zazwyczaj akceptował. Najwspanialszym chyba moim kawałkiem „Edenu” był pojedynek Chopina z Paganinim. Udało mi się tutaj ożenić Etiudę Rewolucyjną Chopina z kaprysem Paganiniego. W studiu zrobiłem to sam, lecz później wykonywałem tę kompilację publicznie wraz ze światowej klasy pianistą Januszem Olejniczakiem.

To było coś!

Warto żyć dla takich momentów.

Ludzie nie czekali na koniec koncertu, żeby zmusić nas do bisowania. Wstali, bili jak szaleni brawo i domagali się powtórki pojedynku natychmiast, nim jeszcze wybrzmiała ostatnia nuta. A po koncercie i tak długo nie chcieli nas puścić.

Ukończyłem „Eden” dopiero w roku 2002, bowiem prowadziłem przecież równoległe ożywioną działalność muzyczną: próby, płyty, koncerty, wyjazdy do Stanów, gdzie wciąż leżała na dnie i nadal leży moja kotwica.

Artystycznie „Eden” okazał się wielkim sukcesem. Czeczot dostał nagrodę i Urbaniak dostał nagrodę. Znowu odebrałem ją na festiwalu w Gdyni.

W 2002 roku byliśmy z „Edenem” w Nowym Jorku i w Cannes. Miał szansę na Oscara i na światową oglądalność. Pod warunkiem jednak, że wedle moich sugestii zrobiono by z niego serial, że zostałby podzielony na krótkie albo nawet króciutkie odcinekczki.

Nikt, ani jurorzy, ani widzowie nie wytrzymywali półtoragodzinnego filmu – dokładnie 96 minut – w którym nie pada ani jedno słowo, w którym są tylko animowane rysunki i muzyka.

„Eden” był utworem bardziej milczącym niż jakikolwiek obraz z epoki filmu niemego, w którym pojawiały się przecież od czasu do czasu dymki i napisy. Odnosząc więc sukces artystyczny, w sferze finansowej poniósł klęskę.

Nie chcę zagłębiać się w ten bolesny dla producentów temat. W każdym razie budżet został dwudziestokrotnie, a może nawet stokrotnie przekroczony, bo animowane filmy wbrew pozorom nie są wcale tanie i wymagają armii zawodowców, aby rysunek wprowadzić w ruch, aby Chopin zabębnił na klawiaturze, a Paganini zapalcował na strunach. Były w związku z tym procesy sądowe, w których występowałem jako świadek. Do akcji wkroczyli komornicy. „Eden” może jeszcze odrobić swoje straty. Przytrafiła mi się jednak strata, której

odrobić nie sposób.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY:

Weronika

Którejś nocy w Nowym Jorku Basia przytuliła się do mnie w jakiś czuły, szczególny sposób. Rano wiedziałem, że stało się coś ważnego. Ona również wiedziała, bo kobiety wychwytingają to nieomylnym babskim instynktem. No i była przecież lekarką.

Tydzień później, po wizycie u ginekologa, powiadomiła mnie z radosnym wzruszeniem:

– Macky, jestem w ciąży. Będziesz ojcem. Będziemy mieli dziecko.

Popłakałem się ze szczęścia. W głowie natychmiast zakiełkowały jakieś muzyczne frazy. Każdy przełom w moim życiu obfitował w udane, oryginalne kompozycje. Może to kogoś oburzyć, że cud poczęcia ludzkiej istoty łączę z muzyką, ale dzieje się to niezależnie ode mnie.

W Krakowie, dokąd niebawem poleciliśmy, matka i siostra Basi przyjęły jej brzemienny stan z radością. Rodzina się powiększy! Dla krakusów i górali ważna to sprawa.

Wszyscy dmuchaliśmy na zimne. Żona była pod stałą opieką lekarską. Ktoś poradził, abym pojechał z nią do Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi. Pojechałem. Była wówczas w czwartym miesiącu, w doskonałej formie. Po USG dowiedzieliśmy się – są tacy, którzy nie chcą wiedzieć – że w drodze jest córka. Po naradzie uzgodniliśmy imię. Weronika Urbaniak. Dobrze brzmiało. Kolejna dziewczynka w moim kochanym babińcu.

– Wiesz, Macky, nie chcę, żeby ona urodziła się Polką – powiedziała w szpitalnym łóżku Barbara. – Wolę, żeby przyszła na świat jako Amerykanka.

Wróciliśmy zatem do Stanów, w harmonii i zgodzie, choć w Łodzi miałem długi incydent alkoholowy z moim pisarzem, do którego przeniosłem się z Grand Hotelu i w żaden sposób nie mogłem wyjść.

Rozpiliśmy się na cały regulator i Baśka to zapamiętała. I wybaczyła. Każdy oczekujący dziecka ojciec daje z uszczęśliwienia w trąbę, a już szczególnie w towarzystwie przyjaciela trębacza.

Emocje znowu przerosły moje żelazne przysięgi i postanowienia. Zwłaszcza że pisarz miał na tę okoliczność zabawną anegdotę. Walił z rozmachem kielicha, zakąszał piwem, bo alkohol smakował mu tylko na pustą tkankę, i mruczał jak kocur: – Wszyscy mi mówią, żebym nie pił. Siostra, żona, syn. A ja mam silną wolę, przemożem się i piję.

Wróciliśmy do Stanów, żeby Weronika urodziła się Amerykanką w najwspanialszym mieście świata.

Kocham Nowy Jork. Każdym nerwem. Zachwycam się wciąż na nowo jego atmosferą i ponurą tajemnicą, jego zapachami, które zmieniają się o różnych porach roku i dnia, w śniegu, w słońcu, w deszczu; inne rano, kiedy są nasycone wonią świeżego pieczywa i kawy, inne w południe, kiedy bary i restauracje roztaczają urok egzotycznych potraw, jeszcze inne wieczorem, kiedy bucha z nich cuchem piwa i rozmaitych drinków o większym charakterze i mocy. Z Central Parku wieją w kwietniu i maju takie słodkie, jaśminowe aromaty, jakby każde drzewo, każdy trawnik i krzak spryskany został perfumami.

Melancholijne i nostalgiczne są nowojorskie jesienie, zaprawiane nutkami smutku. Łódzki wierszyk podnosi łeb:

Nie było nas, był jazz
Nie będzie nas, będzie jazz...

Nie wszyscy podzielają to zdanie. W czołowym polskim tygodniku, „Polityce”, zidociały autorytet muzyczny napisał, że wiek dwudziesty pierwszy będzie nieodwołalnym i ostatecznym końcem jazzu.

Kretynizm tej ponurej przepowiedni jest porażający. Gdyby skończył się jazz, jedyna oryginalna, rdzennie amerykańska sztuka, jedyny fantastyczny, prawdziwy wkład Stanów Zjednoczonych w światowe dziedzictwo kultury, runęłoby jednocześnie w gruzach amerykańskie imperium.

Jazz to niewyobrażalna potęga!

Nie czołgi, nie bomby, nie rakiety, tylko jazz właśnie rozwałił z roku na rok szanse komunizmu w Polsce i innych krajach Europy Wschodniej. No, miał oczywiście znakomitych sojuszników: amerykański film, amerykańską literaturę, amerykańskie jedno- i dwuśladowe pojazdy, jak legendarny Norton i Harley-Davidson czy zasłużony w wojnach James i Jeep, a dalej – amerykańskie papierosy, amerykańską gumę do żucia, coca-cole, dżins, trawę, hipisów, bitników, wszelakiej maści rockandrollowców, którzy są przecież w prostej linii potomkami jazzu. Amerykańska moda na życie rozlała się po wszystkich kontynentach i zawładnęła miliardami młodych umysłów, podcinając Czerwonym Khmerom skrzydła. Reszty dokonali Reagan, Wałęsa i nasz człowiek w Watykanie.

Więc nie gadać mi, że jazz się skończył! Jazz, największe artystyczne odkrycie dwudziestego wieku, jest wieczny. Dokąd trwała będzie ludzkość, zawsze znajdzie się jakiś improwizujący trębacz grający w filharmonii albo na rogu ulicy.

Piękne dni wówczas przeżywałem z Barbarą, która wciąż była w wyśmienitej formie i nic nie zapowiadało tragedii. Chodziliśmy na drobne spacerunki, do restauracji, do kina i na koncerty. Weronika rosła w brzuszku i kopała nóżkami, a ja przykładałem ucho i słuchałem tej maleńkiej perkusistki. Niemal całkiem zerwałem z gorzałą. Komponowałem, koncertowałem, nagrywałem i produkowałem płyty, starając się jednak więcej czasu poświęcać Barbarze.

Kobieta w ciąży bardzo potrzebuje wsparcia ze strony męża. Oczekuje od niego troski i czułości, a także zrozumienia wobec zmieniających się często nastrojów i kaprysów. Wiem i wiedziałem o tym. Urszula urodziła, o czym już wspominałem, Kasięnkę i Mikę, dwie moje pierwsze córki, w skomplikowanych, dramatycznych okolicznościach.

Nurtowało mnie pytanie, jak sobie poradzi Barbara. Nie przyznawałem się do tego, ale byłem niespokojny. Mówię o tym niechętnie i chciałbym jak najszybciej wyrzucić to z siebie. Czasownik

„wyrzucić” przeklinam do dzisiaj i pewnie będę przeklinał do końca. Budzi we mnie gniew, nienawiść, żal, oburzenie.

Otóż w szóstym miesiącu Barbara trafiła na oddział porodowy w Roosevelt Hospital i poroniła. Była tam wredna, paskudna lekarka w okularach. Mówi do mnie:

– Co? Co się pan tak patrzy? – zerknąłem przy tym na trzymającą dziecko pielęgniarkę. I dodała opryskliwie: – Trup. – A potem jeszcze: – Robimy pogrzeb czy wyrzucamy do śmieci?

Skierowała to ostatnie pytanie do Barbary.

– Jeśli pogrzeb, to w jakim obrządku? – drażyła z chamską natarczywością.

– Żadnego pogrzebu nie będzie – odpowiedziała zimno Barbara. – Nie było również żadnego dziecka.

I dodała jeszcze ten straszliwy czasownik. W Roosevelt Hospital towarzyszyły mi wtedy córki i Urszula. Byłem zrozpaczony, zdruzgotany, pękło mi serce, a blizna nigdy nie zniknie. Wciąż Kocham to dziecko. Wciąż czuję się ojcem Weroniki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY:

Nieznany sufit

Od tego momentu coś między Barbarą a mną zaczęło się psuć. Kiedy stanąłem w Łodzi, w hotelu na Łagiewnickiej, odwiedzała mnie czasem, a ja dzwoniłem do niej codziennie, mimo to uczuciowy dystans między nami wciąż się powiększał.

Jest na świecie kilka ulic, które kocham, i należy do nich Piotrkowska w Łodzi. Tu, na tej wąskiej i długiej ulicy, mieściła się i nadal się mieści większość eleganckich sklepów, restauracji, barów, pubów, kawiarni, banków i urzędów. Tu w klubie studenckim Pod Siódemkami grało się jazz i na niewielkiej estradzie, przy szczelnie wypełnionej sali, stawały nie tylko polskie zespoły, lecz również zagraniczne.

W latach młodości Piotrkowska była moją Piątą Aleją, pełną powabów i pokus, przed którymi trudno było się oprzeć. Nie chodzi o alkohol. W wieku piętnastu lat nikt nie jest jeszcze prawdziwym alkoholikiem i łatwo może sobie z tym nałogiem poradzić, jeśli tylko matka czy ojciec nie dają mu złego przykładu, a ja byłem z porządnej rodziny. Chodzi przede wszystkim o dziewczęta.

Łodzianki są diabelnie piękne i jak wysypią się na deptak wiosną, można zwariować. Mają piękne pupy, piękne cyce, piękne nogi i twarze, i buzują w nich hormony. Działają na chłopaków i mężczyzn bardziej niż jakikolwiek striptiz czy pornol. No i są chętne, przystępne, lubią tę robotę, za którą nie musisz płacić. Kolacja z flaszką jest mile widziana, a jak założysz na rączkę pierścioneł, wpadają w ekstazę do chwili, kiedy po ostatnim uścisku zdejmiesz go z paluszka, mówiąc, że to przecież był żart.

Nigdy tak nie postępowałem. Byłem zawsze wobec moich kobiet szarmancki i hojny. Traktowałem je jako istoty wyższego rzędu, jeśli chodzi o objętość serca, i trochę niższego w kategoriach mózgu, choć w poezji i śpiewaniu biją często facetów na głowę. Mnie w każdym razie pomagały utrzymać rwący strumień pomysłów i planów w rygorach wałów ochronnych, dzięki czemu unikałem powodzi.

W końcu więc przenieśliśmy się w 2001 roku na drugie piętro kamienicy przy Piotrkowskiej i Narutowicza, choć w tym hotelu na Łagiewnickiej nie było źle. Miałem tam trzypokojowy apartament i dobrze zorganizowane studio, w którym odwiedzali mnie codziennie współtwórcy „Edenu”, rysownicy, malowacze, animatorzy, Andrzej Czeczot, Tomasz Filipczak i Tadeusz „Taszyn” Szymczak, inżynier mojego studia. Tak czy owak bez przerwy jeździłem na Piotrkowską, gdzie załatwiałem interesy i prowadziłem życie towarzyskie, najczęściej w Irish Pubie, ekskluzywnym i najmodniejszym chyba do dziś łódzkim lokalu.

To mieszkanie przy Piotrkowskiej i Narutowicza, sto pięćdziesiąt metrów, miało jeden feler. Tuż przede mną, na pierwszym piętrze, szalała dyskoteka, a wiadomo, co za tym stoi. Klatka schodowa była zarzygana, zasikana, śmierdziała wódką i narkotykami. Nieraz polegiwał w szczytach jakiś obywatel zaprawiony w trupa albo jakaś panienska nierokująca większych nadziei na przeżycie.

Sporo forsy władowałem w ten apartament z myślą, że zatrzymam go na kilkanaście lat. Była wspaniała kuchnia i łazienka, i wspaniałe studio, w jakie wcześniej czy później zamienia się każde moje mieszkanie. Wkrótce okazało się to jednak inwestycją chybioną, do czego wolałbym nie wracać.

Rok wcześniej startowałem w plebiscycie Radia Łódź na Łodzianina Roku 1999 i przegrałem z Markiem Edelmanem, kardiologiem, legendarnym przywódcą powstania w warszawskim getcie. Wręczenie głównej nagrody i dyplomów dla finalistów plebiscytu odbyło się w pałacu Poznańskich, z wielką pompą i rozmachem. Poznałem tam wówczas Dorotę Palmowską z Radia Łódź, absolwentkę teatrologii, organizatorkę plebiscytu, z którą kontaktowałem się przedtem telefonicznie.

Dobrze się bawiłem u Poznańskich, jak wszyscy zresztą. Kiedy uroczystość wybrzmiała i na stołach pozostały już tylko puste butelki, przenieśliśmy się całą podchmieloną zgrają do Dublin Pubu, lokalu u zbiegu ulic Andrzeja Struga i Kościuszki.

Tam też ostro dawałem w rurę, do siódmej rano, i prawdę mówiąc, nie wiedziałem już dokładnie, gdzie jestem: w Warszawie, w Krakowie, w Łodzi czy w Nowym Jorku.

Powtarzała się historia z Wrocławia. Tyle tylko że nie zalałem żadnego hotelu i nie zgubiłem instrumentów. W każdym razie, choć do domu miałem trzysta metrów, znowu znalazłem się w taksówce, z Dorotą Palmowską, która czuła się w obowiązku odtransportować zwłoki do łóżka.

Pilotowała. Ja drzemałem na tylnym siedzeniu i wymrukiwałem od czasu do czasu jakieś adresy. Taksjarsz stawał przed jakimiś domami, wciąż jednak nie były to moje domy – raz rudery, raz eklektyczne łódzkie kamienice.

– Nie, nie, źle pan trafił – strofowałem taksjarsza, który zdradzał już pewne oznaki buntu. – Chyba będziemy musieli poszukać w Warszawie.

Palmowska jęknęła. Ale gdzie, do cholery? Gdzie? Potrzęsała mną. Klarowała coś, błagała, groziła, że mnie wywali do rowu, w którym też się można „smaczno” przespać. Jednak heroiczne wysiłki Palmowskiej nie przyniosły pożądaných efektów. Dalej moja pamięć nie sięga. Wiem tylko, że nazajutrz, późnym popołudniem, ocknąłem się w jakimś nieznanym pomieszczeniu i wpatrywałem się z osłupieniem w nieznaną białą sufit. Nie byłem pewien, czy trafiłem znowu do izby wytrzeźwień, więc obmacywałem pościel w poszukiwaniu długopisu, aby rozdać autografy. Ktoś powiedział, że jestem w Polsce bardziej znany niż jakikolwiek aktor filmowy czy polityk, co nie zdarzyło się dotąd, poza Urszulą, żadnemu muzykowi jazzowemu. Bez przerwy bazgrołę swoje nazwisko na różnych opakowaniach, skrawkach papieru, paczkach papierosów, transparentach, flagach, zdjęciach, które niekoniecznie przedstawiają moją szlachetną twarz. Bazgrołę w sklepach, marketach, u piekarzy i rzeźników; gdzie się tylko pokażę. Niektórym dziewczętom na wyraźne życzenie składałem autografy na pupach, ramionach i pępkach, które uwielbiają odsłaniać latem i wiosną.

Tym razem jednak, w owym nieznanym pokoju, nikt nie prosił mnie o wpis do albumu, fotografii czy na płycie. Usłyszałem miły

kobięcy głos:

– Jak się pan czuje?

– Ach, to ty – powiedziałem przepitym tonem włóczęgi, do którego dobierał się już smutek tropików, lecz ujrzał nagle oazę. – Byłaś bodajże organizatorem plebiscytu? Wygrałem?

– Przegrałeś!

– Tak, tak. Oczywiście. Marek Edelman mnie wypunktował, ale to przecież bohater wojenny. On grał swoje etiudy rewolucyjne na karabinach, ja tylko na saksofonach i na skrzypcach.

– Słuchaj! – uderzyłem we właściwą nutę. – Kocham cię, chcesz mieć trupa w domu?

– Nie – zaprzeczyła wesoło, z drobną nutką niepokoju i troski. – Trup w domu nie był w moich planach na dzisiejszy dzień, a ty nie byłeś w moich planach na dzisiejszą noc. W żaden sposób nie mogłam wyciągnąć od ciebie adresu, więc wylądowałeś w końcu w moim mieszkaniu przy ulicy Chryzantem.

– W Łodzi?

– W Łodzi, Michale, w Łodzi. Na Bałutach.

– Muszę się niezwłocznie dźwignąć dwiema albo jeszcze lepiej trzema butelkami piwa – oświadczyłem z całą żelazną siłą perswazji, którą stosuję zawsze wobec kobiet. – Jeśli chcesz oczywiście, żebym wstał i zabrał cię do porządnej knajpy na porządny obiad.

Wzruszyła mnie, bo odparła:

– Nie musimy chodzić do żadnej parszywej knajpy. Obiad już przygotowałam.

– A piwo?

– Nie ma piwa. Jest kompot z truskawek.

Moje wzruszenie przeistoczyło się w rozczarowanie i gniew.

– Jak nie ma, to się po nie kopnij – warknąłem. I dodałem przytomnie: – Kochana.

– Nie jestem dziewczyną na posyłki – odwarknęła, również z rozczarowaniem i gniewem. Od początku naszej znajomości pokazywała charakter. A może tylko charakterek.

Z miejsca ją ukarałem. Zapytałem o dokładny adres bloku przy ulicy Chryzantem, po czym chwyciłem komórkę, aby zamówić w agencji taksówkarskiej pięć żywców, pięć heinekenów i butelkę czerwonego walkera. No i coca-colę, od której jestem uzależniony.

Kara została przyjęta pokornie, a ściślej biorąc, z kiepsko maskowanym zachwytem. No i dalej już poszło.

Dorota Palmowska – Dosia, jak ją wkrótce zacząłem nazywać – przycumowała do mojego brzegu, stając się z wolna koleżanką, pracownicą studia, promotorką płyt, towarzyszką licznych polskich i zagranicznych podróży, opiekunką w randze anioła stróża, szefową domu i czymś więcej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY:

Matador, który nie poradził sobie z bykiem

W 1998 roku miałem obok wielu udanych występów artystyczną wyspę. Z powodu serca, które nigdy nie było w porządku i którym nigdy się nie przejmowałem, chyba że wyraźnie traciło rytm i bolało. A tak właśnie było tydzień przed występem w Płocku, gdzie miałem wystąpić z moim zespołem i wielką orkiestrą symfoniczną.

Trafiłem do szpitala. Zrobili mi EKG i lekarz oświadczył z flegmą:

– Zawał. Muszę pana zatrzymać.

Ja mu na to:

– Żaden zawał, panie doktorze. To tylko grypa. Jutro gram w Rzeszowie, pojutrze w Mediolanie, a potem mam inne ważne koncerty. Muszę niestety opuścić szpital.

Dostałem tabletki, które pozwalały wejść na estradę i jako tako egzystować. Lekarzowi przyrzekłem, że jak skończę trasę, momentalnie wrócę do szpitala i poddam się stosownej kuracji.

W Płocku, w Teatrze Dramatycznym, usiłowałem się wymigać od licznych i męczących prób, które poprzedzają zawsze tego typu imprezy. Nie przystał na to dyrygent Jacek Boniecki. W dniu koncertu, który miał być wielkim i niezapomnianym wydarzeniem, „próbowałem” więc po nieprzespanej nocy już od ósmej rano. Około południa byłem nie do użytku. Starym zwyczajem sięgnąłem zatem po koło ratunkowe – wypłem szklanekę whisky. Zmęczenie, grypa, ostre leki i alkohol spowodowały mętlik w moim wyczerpanym organizmie.

Kiedy zaczął się koncert, przy ogłuszających brawach wyszedłem na scenę i widziałem podwójnie. Do dziś pamiętam twarz siedzącej w pierwszym rzędzie dziewczyny: pięknej, wdzięcznej, nieomal rozmodlonej. Ją też widziałem podwójnie. Wciąż rozmodloną i czekającą w napięciu, kiedy wreszcie zagram coś genialnego. A tu nic!

Dyrygent trzy razy machał w moją stronę batutą, ja tymczasem, ze skrzypcami pod brodą i z opuszczonym smykiem, stałem jak wryty. Sparaliżowało mnie w sensie dosłownym. Nie mogłem się w ogóle poruszyć. Chciałem chyba nawet szepnąć do dyrygenta, a może nawet szepnąłem: – Wszystko będzie dobrze, szefie! Niech pan na chwilę wstrzyma ten rozpędzony już muzyczny parowóz, abym mógł skoczyć i kropnąć sobie jednego w celu odzyskania sił.

Zamiast tego klapnąłem na wzmacniacz, rozsiadłem się na nim, dość nawet wygodnie, i śledziłem bez szczególnego zainteresowania rozwój wypadków.

A działo się, jak mawia pan Owskiak. Oj, działo się, działo! Twarz rozmodlonej dziewczyny przybrała nagle wyraz osłupienia i zgrozy. Widownia najpierw posykiwała złowieszczo, po czym zaczęła gwizdać, wrzeszczeć i ciskać we mnie, czym się tylko dało: kulkami papieru, zapalkami, zmiętymi ze wściekłości bukietami kwiatów, no i przede wszystkim obelgami.

Czułem się jak hiszpański matador, który mimo najszczerzych wysiłków woli nie poradził sobie z bykiem.

Na scenie też było wesoło. Dyrygent kipiał z oburzenia, wytresowani w ordunku symfonicy zachowali kamienny spokój, ale mój zespół, uuu! Tu już wiało zbrodnią!

Trzech towarzyszyło mi w tej tragedii: Krzysztof Zawadzki na bębnach, Tomasz Grabowy na basie, Janusz Skowron na fortepianie. Po Karolaku niewidomy Skowron był najlepszym polskim pianistą, chociaż trzeba go wprowadzać na scenę i sprowadzać ze sceny.

Ślepotą jest straszliwą przypadłością, ale tylko dla tych, którzy w takich czy innych okolicznościach utracili wzrok, zabierając ze sobą w ciemność kolorowe krajobrazy świata. Dla tych natomiast, a należy do nich fantastyczny Skowron, którzy urodzili się bez daru widzenia, nie stanowi to chyba aż tak wielkiego problemu. Nie widzą piękna, lecz nie muszą również patrzeć na całe to ziemskie kurewstwo: na nędzę, głód, na slumsy i lupanary, na spustoszenia wojenne, na pyski morderców

i tłuste mordy skorumpowanych polityków. Ile to razy zasłaniamy oczy przed okropnościami życia? Ile to razy wzdychamy: Boże, że też muszę to oglądać?

Sądzę, że niewidomy artysta, poeta czy muzyk, może być szczęśliwszy albo przynajmniej może bywać szczęśliwy. Nikt mi nie powie, że nie doświadczali stanów triumfu i euforii Ray Charles albo Stevie Wonder, wobec uwielbienia i miłości, z jaką obydwoj spotykali się na każdym kroku.

To samo można powiedzieć o Januszu Skowronie. Ani śladu zgorzknienia. Wspaniałe poczucie humoru. Kiedy portier apelował do nas z wyrzutem:

– Panowie, nie parkujcie, trzeba przestawić samochód.

Skowron pierwszy zrywał się od stolika i krzyczał:

– Już lecę!

Popijał również radośnie, z uśmiechem i apetytem, w przeciwieństwie do innego ociemniałego znakomitego pianisty Mieczysława Kosza, który tankował na smutno i popełnił samobójstwo.

Tego feralnego wieczoru w plockim Teatrze Dramatycznym nie tylko ja byłem naprany. Skowron, którego wprowadził na scenę Zawadka, też miał w czubie. Nie do tego jednak stopnia, żeby zawalić. Czekał niecierpliwie, abym zasunął wreszcie na swoich pięciostrunnych skrzypczkach, a kiedy się nie doczekał, zabłąźnił paskudnie, bo język miał ostry jak kosa, i ku przerażeniu Zawadzkiego wstał i ruszył zygzakiem przez estradę.

– Janusz, stop! Czerwone światło! Przystanek! – nawoływał błagalnie Zawadka. – Zatrzymaj się, na miłość boską!

Lecz Skowron w sobie tylko wiadomym kierunku parł jak taran, roztrącając oniemiałych symfoników i przewracając wraz z instrumentem struchlałego wiolonczelistę. Sam też się, rzecz jasna, paskudnie wykopyrtnął.

Widowisko było, krótko mówiąc, pierwsza klasa. Już dawno, od czasów, kiedy piosenkarze zdejmowali gacie i wypinali na rozkapryszonych słuchaczy dupsko, nikt takiej bomby na muzycznym forum nie przywalił.

Gdyby znalazł się w pobliżu z kamerą Woody Allen, byłby z pewnością zachwycony barwną sekwencją do swojego filmu. Polacy jednak są narodem ponurym i domagali się zwrotu pieniędzy za występ.

Nazajutrz prasa zmieszała mnie z błotem: „Zdezorientowana orkiestra, zdenerwowany dyrygent, powszechne oburzenie i gwizdy”.

Bóg mi świadkiem, że choć nie zamierzałem tego prostować, ów „zdenerwowany dyrygent” ponosi za tę haniebną klapę większą odpowiedzialność niż ja. Wiedział, że jestem chory, a zmuszał mnie do długich, nadprogramowych prób. Mało tego, gdy chciałem się przespać, walił i kopał w zamknięte drzwi, abym pięciokrotnie wystąpił wraz z nim i orkiestrą na tak zwanych audycjach dla dzieci. Robił wszystko, żeby przypochlebić się lokalnym władzom. Koncert był najważniejszy, a on orał mną jak satrapa. Jak zidiociały trener, który przed decydującym meczem, zamiast oszczędzać zawodnika, ordynuje mu pięć morderczych treningów. Bardzo często grywam z wielkimi orkiestrami i zawsze przykładam się do prób, gdyż są to dla mnie sprawy najważniejsze. Jacek Boniecki przecenił jednak moje siły i próbował zbić kapitał medialny kosztem mojego zdrowia. Niech go!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY:

Moja piąta struna

Skrzypce są i zawsze były moją żoną, a saksofon moją kochanką. O saksofonach napisałem już parę zdań, więc pora, abym zajął się teraz skrzypcami, czarodziejskim doprawdy instrumentem, dla którego zrobiłem sporo nie tylko jako muzyk, lecz również jako lutnik czy też raczej wizjoner.

Kilku lutników, aczkolwiek byli niby tylko rzemieślnikami, zdobyło nieśmiertelną sławę, jeszcze większą niż genialni artyści grający na skonstruowanych przez ich natchnione ręce skrzypcach, altówkach i wiolonczelach.

Wystarczy wspomnieć tutaj choćby Amatiego, Guarneriego del Gesù czy Stradivariusa, o którym kręcą dzisiaj filmy i którego legenda dorównuje Paganiniemu. Dwaj ostatni produkowali tak niesamowite, bajecznie brzmiące instrumenty, że posadzani byli o kontakty z diabłem i kilkakrotnie stawali przed inkwizycją.

Może i ja stanąłbym w siedemnastym wieku przed zgrają zakapturzonych klechów, gdyby zobaczyli, co zrobiłem ze swoimi dziewiętnastowiecznymi skrzypcami. Wyszły one spod palców francuskiego mistrza A la Ville de Turtot. Nie były może aż tak dobre jak solidne guarneriusy czy stradivariusy, z pewnością nie kosztowały miliona dolarów, ale ton miały zwiewny, filigranowy.

Przechowywano je w muzeum i wypożyczano wirtuozom startującym w konkursach Wieniawskiego. Muzeum, ubogie jak wszystkie instytucje związane w Polsce Ludowej ze sztuką, chciało je sprzedać, lecz wirtuozi nie mieli pieniędzy, więc zostały własnością studenta Michała Urbaniaka. Bo moja matka, przy sugestywnym wsparciu środków płatniczych w każdej bez wyjątku walucie, potrafiła załatwić wszystko. Jeśli zaś chodzi o moją karierę, oddałaby za nią bez wahania życie i weszłaby chyba w znowę z rabusiami.

W latach czterdziestych koncertował w kraju słynny kwartet smyczkowy: Irena Dubiska – pierwsze skrzypce, Wanda Wiłkomirska –

drugie, Mieczysław Szaleski – altówka i Kazimierz Wiłkomirski – wiolonczela. To właśnie dzięki profesorowi Szaleskiemu dzieło francuskiego lutnika z małej południowej miejsciny weszło w moje posiadanie.

Dziwna sprawa, bo gubię absolutnie wszystko, a te skrzypce, choć pogruchotane, są w moim mieszkaniu do dzisiaj. Odznaczały się one doskonałym brzmieniem zarówno w górnych, jak iw dolnych rejestrach, ale dołu ciągle było mi mało. Góra jest wesoła, rozświergotana, świdrująca ucho, dół bywa ponury i tajemniczy, co odpowiada często moim nastrojom. Dół jest otchłanią mojej duszy.

Muzycy klasyczni raczej tego nie odczuwają, mnie jednak jako tenorzyście wciąż brak było dołu. Chciałem, żeby skrzypce osiągnęły głębokie brzmienie altówki i saksofonu. Poszedłem w tej sprawie do znakomitego warszawskiego lutnika i powiedziałem:

– Chcę, żeby dołożył mi pan dodatkową, piątą strunę.

Gość wytrzeszczył gały:

– Po co?

– Żeby grać niżej. Żeby skrzypce były jednocześnie altówką.

Obejrzał wnikliwie arcydzieło francuskiego lutnika i zdecydowanie pokręcił głową.

– Ja się tego nie podejmę – oświadczył.

– Zapłacę. Porządnie zapłacę.

– W życiu! Za żadne pieniądze! Lubię oczywiście sowite honoraria i trudne techniczne wyzwania, nie do tego stopnia jednakże, abym miał spartolić taki muzealny zabytek, tak finezyjną lutniczą robotę.

Udałem się zatem do stolarza, zwykłego rzemiechy, bowiem dźwięki wymyślonego przeze mnie instrumentu wciąż brzęczały mi w uszach. No i ów zwykły rzemiecha, pozbawiony skrupułów, gdyż nie

wiedział nic o A la Ville de Turtot i o historycznej przeszłości skatalogowanych skrzypiec, wykonał jako pierwszy na świecie nowatorską robotę.

Zainstalował piątą kołek. Naciął podstawek i rozciągnął wzdłuż gryfu piątą strunę. Skrzypce efemeryda wyglądały pięknie i profesjonalnie.

Wróciłem do domu i zacząłem grać. Prawej rękę, tej ze smyczkiem, dodatkowa struna nie sprawiała najmniejszych kłopotów. Wkrótce stwierdziłem z satysfakcją, że lewa, palcząca ręka też z dziwołagiem daje sobie doskonale radę. Byłem po prostu wizjonerem. Jak coś wymyśliłem, musiało się spełnić. Zupełnie jakbym z tym pięciostunowcem przyszedł na świat. Nie musiałem ćwiczyć, nie musiałem katować lewej ręki. Wszystko od razu wychodziło, gdyż tkwiło to od jakiegoś czasu w moich uszach, głowie, sercu i duszy.

Byłem wówczas na tyle skromny, że nawet się nikomu nie pochwalilem. Nie opatentowałem wynalazku. Nie zbiłem na nim fortuny. Co zyskałem? No właśnie! Skrzypce mają zasięg czterech oktaw. Piąta struna dołożyła im pół oktawy. To raz, a dwa – uzyskałem dzięki niej owo upragnione, niskie brzmienie saksofonu i altówki.

Już w latach dwutysięcznych, w Krakowie, po długich oczekiwaniach, po niekończących się utyskiwaniach: – Nie mamy nic dla pana, panie Michale. Przykro nam, ale nic odpowiedniego nie mamy... – wręczono mi ni stąd, ni zowąd prześliczny, zgrabny, pięciostunowy egzemplarz za słowami:

– Oto coś, czego pan poszukiwał.

Była to robota artysty lutnika Jana Pawlikowskiego. Skrzypce numer 960, o pudle rezonansowym wyższym niż u zwykłych skrzypiec, prawie takim jak w altówce. Gryf z powodu owej piątej struny był szerszy, zachowując przy tym klasyczną odległość od podstawka do progu. Wziąłem je bez namysłu i zapłaciłem bez targu. Są do dzisiaj.

Wcześniej, w siedemdziesiątym trzecim roku, przywiózł mi elektryczne skrzypce John Barry, też pięciostunne, gdyż niektórzy

lutnicy kupili już mój wynalazek. Najlepsze egzemplarze otrzymywałem od Neda Steinbergera. Wymyśliłem także talking violin, gadające skrzypce, a mój projekt zrealizowali Robert Moog i Mike Mathews.

To było coś! Talking violin, dzieło diabła nieprzypominające ani trochę zwykłych instrumentów, raczył grać tylko wtedy, gdy jednocześnie śpiewałeś. Więc śpiewałem i grałem, nieraz bardzo skomplikowane frazy. A jak przestawałem śpiewać, to cholerne pudło milczało jak grób.

Całe życie grałem na wynalazkach. Korciło mnie nawet, by skonstruować nowy saksofon będący równocześnie altem, tenorem i barytonem. A może na dodatek sopranem i basem, są bowiem przecież saksofony basowe. Problem ten rozwiązałem, zamawiając u genialnego majstra w Nowym Jorku unikalny, ciężki i duży lyricon.

Fortepian ma osiemdziesiąt osiem klawiszy, siedem oktaw. Mój eksperymentalny lyricon też będzie miał siedem oktaw. Będę mógł zagrać na nim wszystko, co sobie tylko wymarzę.

Mało tego! Doszedłem do wniosku, że skoro wyszły mi skrzypce pięciostrunne, to da się chyba zamontować szóstą strunę, dzięki czemu znowu pogłębiłbym dół i zyskał kolejne pół oktawy. Pracuje już nad tym zaprzyjaźniony za mną nowojorski lutnik Rich Barbera. Zacznę na nich grać od razu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY:

Brodski

Moim skrzypcowym idolem był, jest i pozostanie legendarny Stuff Smith. Wielki wirtuoz jazzu, wielki zgrzywus i innowator, który poświęcił swój talent instrumentowi niemającemu w Stanach wzięcia. Nie chcę powiedzieć, że w pewnym stopniu nawiązałem do jego dziedzictwa, ale tak było. Kiedy wziął mnie na płytę Miles Davis, żaden z moich czarnych przyjaciół nie wyraził zdziwienia. – Michael is playing New York – powiedział po prostu Marcus Miller do Lenny'ego White'a, co usłyszałem przypadkiem w reżyserce.

Nie były to pojedynki, choć ambicje i duch współzawodnictwa tak czy siak rozpinął się i brzęczał między nami jak napięta struna, kiedy ściagałem się między innymi z takimi facetami jak zazdrośnik Jean-Luc Ponty, naśladowający mnie pięciostunowiec, jak Anglik Nigel Kennedy, który studiując w Stanach, podglądał gdzie się dało moje solówki, a teraz zakochał się w Polsce, mieszka w Krakowie i w wywiadach prasowych stwierdza bez żenady, że największym wynalazkiem ludzkości jest alkohol. Jak Stéphane Grappelli, z którym nagrałem w Paryżu płytę, wczesnym rankiem wyszarpując go na siłę z łóżka i pokonując jego protesty perswazją trzech tysięcy dolarów, które wyłożyłem z własnej kieszeni.

Wszystkich skrzypków nie wymienię, żeby im się nie poprzewracało w głowach, lecz mam powody, aby wspomnieć jeszcze Vadima Brodskiego, z którym w lipcu dziewięćdziesiątego dziewiątego roku grałem Beatlesów.

Było to w Słupsku. Towarzyszyła nam Państwowa Orkiestra Kameralna pod dykcją Bohdana Jarmołowicza. Wielkie halo! Zjechali się na ten koncert melomani z całego kraju, a także z Czech i innych przygranicznych państw.

Vadima poznałem dużo wcześniej, w 1978 roku, kiedy grał z wielką orkiestrą symfoniczną w Carnegie Hall. Miał wspaniałe występy i doskonałe recenzje, z „New York Timesem” włącznie. Był i ciągle jest wybitnym solistą i sympatycznym facetem, przystojnym, o urodzie

włoskiego playboya.

Mieszka na stałe w Rzymie, lecz jest rdzennym Ukraińcem, mówiącym zresztą dobrze po polsku. Studiował w Konserwatorium Muzycznym w Kijowie w klasie Olgi Parchomienko i u Dawida Ojstracha w Moskwie. Był laureatem wielu prestiżowych konkursów skrzypcowych. W osiemdziesiątym pierwszym roku przeprowadził się do Polski, którą traktował jak swoją drugą ojczyznę. Pierwsze tournée artystyczne po USA odbył w 1982 roku. Recital w Nowym Jorku przyniósł mu popularność nie tylko wśród wybrednych krytyków, lecz przede wszystkim wśród wybrednej amerykańskiej publiczności, wśród której znalazło się wielu wybitnych skrzypków z Manhattan School of Music, w tym profesorowie tej uczelni: Raphael Bronstein, Stanley Bednar i Blake Friedman. Ten ostatni powiedział po koncercie Vadima:

– Jest bardzo trudno grać na skrzypcach lepiej, niż on to robi.

Zgadzam się! Cyngiel kaliber czterdzieści dziewięć. Majster występujący z najlepszymi orkiestrami świata. Zastanawiam się, co by ze mną było, gdybym poszedł w kierunku klasyki, bo też przecież miałem studiować u Ojstracha, o czym marzyło moje ukochane matczyńsko.

Maki mówi:

– Dobrze zrobiłeś, że wybrałeś jazz.

A ja mu na to:

– No nie wiem.

– Wyśmienitych skrzypków klasycznych można liczyć na pięćki.

– Jasne – przytakiwałem – na pięćki. Ale wciąż pozostaje tron dla najlepszego. Na górze jest najwięcej miejsca.

– Żałujesz?

– Nie. Każdy rewolwer gra swoją melodię.

I tak było na koncercie w Słupsku. Brodski – ukrywający gdzieś w głębi serca, jak każdy symfonik, kompleks jazzu – grał Beatlesów, a ja, nawiązując do słów Marcusa Millera, grałem Nowy Jork, chociaż była w tym oczywiście szczypta chłopaków z Liverpoolu.

Nie przegrałem z Brodskim, podobnie jak nie przegrałem z Kennedym ani żadnym innym skrzypkiem takiej czy owakiej orientacji. Hołduję zasadzie: nie graj muzyki, pozwól muzyce grać. Już ona, jeśli masz talent, zrobi za ciebie, co trzeba. No i pamiętaj: najwięcej wolnego miejsca jest na górze.

Parę lat później Vadim złożył mi wizytę w warszawskim mieszkaniu na Żelaznej. Przyszedł z dziewczyną o narowach gwiazdy filmowej, Polką ze Szwajcarii. Ucieszyłem się na jego widok. Nie nadawaliśmy na tych samych falach, lecz siedzieliśmy na tym samym, wysokim szczeblu drabiny artystycznej; tacy faceci ciągną do siebie, szanują się i lubią.

Szkoda, że nie można tego powiedzieć o naszych paniach. Dosia i narowista dama ze Szwajcarii nie zapalały do siebie sympatią. Od pierwszej chwili patrzyły na siebie zjadliwie, a diabeł podlewał zarzewie niechęci, bo piliśmy whisky.

Szlag z tym kurewskim alkoholem! Nie piłem przez siedemnaście lat i teraz, kiedy kończę tę książkę, też jestem w fazie całkowitej abstynencji: żadne piwo, żadne wino, żadna wódka. Boję się nawet porządnie uperfumować.

Wtedy jednak, w warszawskim mieszkaniu, smoliliśmy whisky łapczywie i radośnie, jak zawsze robi się to po przerwie, kiedy organizm wprowadza się dopiero w trans, zaś myśl jest jeszcze niezmacona i jasna. Nie piła tylko Dośka, bo następnego dnia jechaliśmy do Łodzi i ona miała być kierowcą.

No i raptem, znowu nawiązując do idiomatyki Milesa, wpadło gównem w wentylator. Dama Brodskiego, która już wcześniej starła się kilkakrotnie z Dosią, nadąsała się i pyknęła kąśliwie:

– Nie ma lodu.

Pogrążona w rozmowie z Vadimem Dosia wycelowała palcem w zamrażarkę.

– Jest. Weź sobie.

– Jako pani domu – zachłysnęła się z oburzeniem mieszkająca w Szwajcarii Poleczka – powinnaś natychmiast wstać i podać. Nie muszę cię chyba uczyć dobrych manier.

Dośka eksplodowała. Ma niewyparzony język i wybuchowy temperament. Nie powtórzę dokładnie słów, jakich użyła, wysiudała w każdym razie obywatelkę z apartamentu, a Bogu ducha winien Brodski – cóż mógł zrobić? Również opuścił mieszkanie, a następnego dnia napisał SMS-a do Dosi i przeprosił za swoją towarzyszkę.

Nie lubię takich sytuacji, bardzo natomiast lubię w dalszym ciągu Brodskiego i życzę mu dalszych światowych sukcesów.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY:

Rozbrykana stopa nuncjusza

11 września 2001 roku dzioby dwóch sterroryzowanych odrzutowców wbiły się jeden po drugim w ściany World Trade Center, dwóch bliźniaczych, najwyższych w Nowym Jorku drapaczy chmur, grzebiąc pod gruzami blisko trzy tysiące ofiar, z których tylko 1614 zostało zidentyfikowanych. Kończyłem wtedy muzykę do „Edenu” w Łodzi. Urszula i dziewczęta były w „mieście”, więc kiedy usłyszałem, że są całe i zdrowe, wypuściłem z płuc potężny zapas powietrza.

Rok później, w rocznicę tej makabrycznej tragedii, dokładnie co do dnia i godziny, odbył się w warszawskim Muzeum Narodowym uroczysty koncert, na który prezydent Kwaśniewski zaprosił kilkunastu bohaterskich strażaków i policjantów polskiego pochodzenia z Nowego Jorku.

Ja także zostałem zaproszony. Nie po to, żeby wspominać i płakać. Po to, żeby grać. Muzyk na scenie ma dmuchać w rurę lub ciągnąć smykami po strunach, w płakaniu powinna wyręczyć go widownia. Towarzyszył mi zespół: Jan Smoczyński – keyboardzista, Krzysztof Pacan – basista, Sebastian Frankiewicz – perkusista, oraz symfoniczny kotlarz, którego zaproponował nam Marcin Pospieszalski. Zacząłem cieniować na skrzypcach „Manhattan Man”, wcześniej skomponowany przeze mnie kawałek uznany przez nowojorczyków za kwintesencję nastrojów i nostalgii Wielkiego Jabłka. Od dawna był już na płytach i zewsząd zbierałem gratulacje. W Stanach i w Europie. Twierdzono, że nikt nigdy nie odtworzył tak manhattańskich klimatów: trosk, smutku i owianej mgłą rozpacz, cichej i dostojnej jak indiańska śmierć.

No więc snułem tę opowieść w Muzeum Narodowym w Warszawie, organki, skrzypeczki, fura melancholii. A potem była chwila ciszy i wszedł ten kotlarz niczym piąty jeździec Apokalipsy:

– Bum! Bu, bu, bum! Bu, bu, bum!

Walił pierzastymi pałami po membranach, jakby wieścił nieodwołalny koniec świata. I nagle tym twardym Amerykanom, tym

bohaterskim nowojorskim policjantom i strażakom puściły się z oczu sznury łez.

Po latach, kiedy grałem w Nowym Jorku jakiś koncert, podszedł do mnie gość i mówi:

– Panie Urbaniak, szanowanie. Byłem wówczas w Warszawie, jak pan grał „Manhattana”, i od tej pory bywam na wszystkich pańskich koncertach.

W 2002 roku, 11 listopada, w Święto Niepodległości, Aleksander Kwaśniewski ponownie zaprosił mnie na koncert, tym razem do Pałacu Prezydenckiego.

Grałem niegdyś w Białym Domu dla Johna Kennedy’ego, więc byłem z galą obyty. Ale jak stanąłem na podium u Kwacha i zobaczyłem cały ten zeszywniały z dostojeństwa korpus dyplomatyczny o twarzach, jakby się zaczęło stężenie pośmiertne, wszystkich tych Arabusów, Chińcoli, Japońców, Murzynów, każdy w smokingu, każdy z muchą, a ich wyfiokowane, nadmuchane lale w sukniach od najwybitniejszych projektantów mody, obwieszane złotem i perłami, że miałeś ochotę złapać za grdykę i podreperować trochę budżet rodzinny – poczułem się nieswojo.

Sam ubrany byłem po swojemu. Elegancko, ale o żadnej muszce nie mogło być mowy, bo mam rozdętą od saksofonu szyję. Ot, biało-czarne, niesięgające do kostek gacie, luźna czarna obszerna marynarka, gdyż skrzypek musi mieć luźno pod pachami, i biało-czarny jedwabny szal, mój znak rozpoznawczy.

Żeby rozkręcić sztywniaków, zacząłem od mojej „Mazurki” z serii „Sketches Of Poland”. Był to oczywiście mazurek jazzowy, nawalony swingiem, szybki i zadzierzysty. Ale sztywniaki dalej tkwiły w stężeniu pośmiertnym, nie tylko korpus dyplomatyczny, ale i przedstawiciele polskiego rządu. Z większością ministrów i premierem.

Ówczesny szef, Leszek Miller, patrzył na mnie z taką miną, jakby zaczęły walić pioruny i jechało z wodą.

Niebawem jednak, z najmniej spodziewanej strony, otrzymałem nieoczekiwane wsparcie. W pierwszym rzędzie, pośród najwyższych rangą dostojników, siedział w sutannie nuncjusz papieski Józef Kowalczyk. Momentalnie zauważyłem, że prawa stopa hierarchy w czarnym półbucie przytupuje mi z wigorem do rytmu.

Często się wzruszam, więc i wtedy byłem poruszony, bo wyczyszczony do połysku but nuncjusza dał mi kopa i zacząłem kosić jak nigdy.

Dla muzyka nie ma nic gorszego niż martwa widownia. To tak, jakby kinooperator puścił film dla pustej sali, a stojący za nim reżyser oglądał swoją klęskę. Więc od razu pokochałem Józefa Kowalczyka i gotów byłem ucałować tę jego rozbrykaną nogę.

Na ważnych uroczystościach – państwowych, monarszych czy gangsterskich – rutyna jest taka, że ludzkość zaczyna się śmiać dopiero wtedy, gdy daje ku temu sygnał ten najważniejszy. I padł taki sygnał. Uniósł się z krzesła prezydent Kwaśniewski i klaszcząc z rozmachem dłońią o dłoń, zakrzyknął:

– Brawo Urbaniak! Brawo Michał!

– Brawo! – wrzasnęła sala.

I grzmotnęły oklaski. Obudzili się dyplomaci i ministrowie. Obudziły się ich obwieszone brylantami flamy. Nawet pan premier przyłączył się do owacji na stojąco.

Grałem z tym samym składem co dwa miesiące wcześniej w Muzeum Narodowym. Musiałem jednak porzucić chłopaków, gdyż jak szliśmy do drugiej sali o stołach uginających się od alkoholu i żarcia, ucałił mnie za rękę prezydent Kwaśniewski i powiedział z uśmiechem:

– Panie Michale, chodź, to cię zapoznam z rządem.

Prowadzony protekcjonalnie pod ramię zbliżam się z Kwachem do baru, jest Waldek Dąbrowski, ówczesny minister kultury, jest przyjaciel Oleksy i kilku innych dygnitarzy, których znałem już

wcześniej, ale żeby nie odbierać Kwaśniewskiemu satysfakcji, pałę głupa, że to niby widzę ich po raz pierwszy, i z każdym wypijam pięćdziesiątkę.

– Najlepszego!

– Najlepszego.

– Dalszych sukcesów, panie Urbaniak!

– Nawzajem.

Ktoś tam mruczy pod nosem:

– Oby nie traciły tempa dziatki kardynała Glempa.

Rozglądam się za nuncjuszem papieskim, ale nigdzie go nie widzę.

Widzę natomiast, w jaki sposób pan prezydent, biorący pozornie udział w każdym toaście, unika alkoholu, który lubi oczywiście jak każdy mężczyzna, ale jest gospodarzem i nie chce przebić Jelcyna, który po wyładowaniu w Irlandii, gdzie miał się spotkać z tamtejszą wierchuszką, zdołał tylko wydusić przed kamerą do mikrofonu:

– Pierespał.

Kwaśniewski raz tylko miał wpadkę w Katyniu. Z Ruskimi. Objął za szyję wicepremiera moskala i bełkotał coś o przyjaźni. Dziennikarze nie puścili mu tego płazem.

Teraz Kwach nie wypił ani łyka. Unosił kieliszek do ust i kiedy inni przechylali głowę, odstawiał go dyskretnie na bok. Wychodził pewnie z tego samego założenia co bohater powieści Johna Steinbecka „Zagubiony autobus”. Przystojny Meksykanin, prowokowany przez młodą, piękną Amerykankę, w odpowiedzi na jej jawne zaproszenie do pieprzenia wyrażone słowami:

– Jestem przecież kobietą. Nie mógłby mnie pan troszeczkę

przymusić?

Odparł:

– Proszę pani, ja tak bardzo to lubię, że zawsze mogę poczekać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI:

Upadek

Na przełomie lutego i marca 2003 roku odeszła ode mnie z mieszkania przy Piotrkowskiej Dorota „Dosia” Palmowska, bo szlag ją trafiał, że popijam, i to nie zawsze we właściwym towarzystwie. Byłem i jestem, i wciąż chyba będę uczuciowo i zawodowo uzależniony od Dosi. Spełnia w moim pokrzywionym życiu funkcję gospodyni, kochanki, garderobianej, impresaria, negocjatora, organizatora koncertów, agenta prasowego, egzekutora długów i mógłbym jeszcze – na moje szczęście, a jej przekleństwo – ciągnąć tę listę.

Dosia jest potężnym hamulcem w moich upodobaniach do piwa i whisky.

Ktoś powiedział, że z gorzałą straszliwe są poranki, a bez gorzały – wieczory. Poczuję się samotny i pusty. Dzwoniłem – Dosia nie odpowiadała. Maki, mieszkający wówczas w ogromnym, pałacowym apartamencie przy Piotrkowskiej 147, też nie odpowiadał, pewnie był gdzieś za granicą, bo szwendał się po całym świecie.

Wyszedłem więc z domu i zamiast wziąć winę, zacząłem człapać po schodach i raptem przypomniała sobie o mnie padaczka. Pośliznąłem się na którymś stopniu i wywaliłem na prawy bark, tracąc z potwornego bólu przytomność.

Kilka minut później pochylała się już nade mną Dosia, tak przerażona, że starczało to za wszelką miłość. Wylem, a ona wydzwoniła pogotowie, a potem w mieszkaniu pojawiła się lekarka. Nie biorę żadnych przeciwpadaczkowych proszków, bo ta przypadłość nawiedza mnie bardzo rzadko – co dziesięć, piętnaście lat. Po raz drugi Dosia wyciągnęła mnie z otchłani rozpacz i kalectwa.

Rok wcześniej 14 lutego, w walentynki, „Gazeta Wyborcza” wydała moją płytę „Sax And Love” w nakładzie miliona stu trzydziestu siedmiu tysięcy egzemplarzy. Był to nie tylko rekord Polski wszech czasów, lecz prawdopodobnie rekord świata, gdyż Amerykanie i Brytyjczycy, wydając nawet największych gwiazdorów, zaczynają

ostrożnie, bez przerwy obserwując rynek, i dopiero kiedy mają niezachwianą pewność, że hit idzie jak woda, decydują się na dalsze emisje.

Autorem tego rekordu był Paweł Jędras, wspólny zagorzały przyjaciel Urbaniaka i Makowieckiego. Nim został wieloletnim redaktorem naczelnym łódzkiej „Gazety Wyborczej”, pracował w Radiu Łódź jako utalentowany, wielokrotnie nagradzany reporter. Pisał świetne wiersze, grał na gitarze i pianinie. Miał fenomenalne powodzenie u kobiet, które z biegiem czasu rosło. Drugą pozaartystyczną pasją Jędrasa były, oprócz tych bidulek, podróże.

Teraz jest współwłaścicielem sławnej w całej Europie restauracji Anatewka, tej w Manufakturze. Narzeka, kiedy zwalają mu się na kark najwybitniejsi polscy politycy, rosyjscy ministrowie i notable z Zachodu. Nie ma oczywiście nic przeciwko nim, każdy jest welcome, ale prawdziwym utrapieniem są rojący się wszędzie ochroniarze.

Paweł jeździł po wszystkich miastach, w których mieściły się oddziały „Gazety Wyborczej”, bez przerwy kontaktował się z centralą, dopilnował, aby „Sax And Love” ukazał się w tym gigantycznym nakładzie.

Kiedy wzięłem tę dobrą, saksofonową płytę do ręki, przerosła mnie radość i po wielu miesiącach abstynencji ruszyłem w tany. Najpierw solo, w okolicznych knajpach, przyrzekając sobie, że:

– Dwa piwa i dosyć, Misiek! Dosyć!

Potem w głośnym, sprzyjającym jazzowi lokalu Łódź Kaliska, gdzie już niestety nie byłem sam – otaczała mnie zgraja wszelkiej maści i obojga płci fanów, z żułami włącznie.

Otóż oblegany przez hałastrę, która zawsze ciągnie do sukcesu, wypłem ten przełomowy, ostatni kieliszek i odjechałem. Na szczęście znalazł się w pobliżu Jędras, potężny, wysoki blondyn o poskręcanych w złote pierścionki włosach, i z miejsca zaalarmował Dosię. Zawlekli mnie obydwójce do łóżka. Nie doszło do żadnego ataku. Zakończyło się na paskudnym kacu, z którego Dosia jako tako mnie wyciągnęła. Zawsze

mówiłem, że trzeba wiedzieć, kiedy wypić, żeby wróciła do ciebie kobieta.

No więc Dośka, jak w dwa tysiące trzecim trafiła mnie prawdziwa padaczka, uderzyła z tą bezczelną, chamską lekarką pogotowia w dyskurs. Jak Boga kocham, kupę szczęścia miała ta prekursorka pavulonu. Gdyby w miejsce Dosi pojawił się Maki, wyjąca pod oknem karetka zawiozłaby do szpitala WAM-u dwoje pacjentów.

Wciąż wylem z bólu, od czasu do czasu zapadałem w krótki, makabryczny półsen i znowu wylem, fikałem nogami na szpitalnym łożu, co drażniło pielęgniarki. Jedna z nich, wysoka, przystojna blondynka, moja wielbicielka skądinąd, poprosiła mnie o autograf dla swojej siostrzenicy. To ja do niej:

– Niech pani coś zrobi, żeby przestał tak cierpieć.

A ona:

– Dostaje pan najsilniejsze środki przeciwbólowe.

– Jedyne środki, który mógłby mi pomóc, to pół litra. Niech się pani kopnie do sklepu, a od razu będzie płyta z autografem.

– Nie godzi się nawet o tym myśleć, panie Michale. Straciłabym pracę, a ordynator własnoręcznie by mnie udusił.

Opiekowali się mną: neurolog doktor Wiesław Chudzik i kardiolog Leszek Markuszewski. Ani oni, wspaniali przyjaciele, ani inni doktorzy przez tydzień nie mogli ustalić, co mi właściwie jest. Wreszcie wezwali ortopedę Jarosława Fabisia, który obejrzawszy zdjęcia, orzekł, że wypadł mi bark i że natychmiast musi mnie zabrać do szpitala na Drewnowskiej.

Trafiłem więc na Drewnowską i w pełnej narkozie, na chama, nieoceniony pan Jarosław wpakował mi bark na właściwe miejsce, po czym wedle jego instrukcji technik medyczny założył mi gips od szyi po biodra i na całą prawą rękę. Pocięchą była dla mnie okoliczność, że był to gips niebieski, kolor, który lubię i który uwielbiał również Miles

Davis.

Pamiętam pierwsze pytanie, jakie po wybudzeniu z narkozy zadałem Jarosławowi Fabisiowi:

– Panie doktorze, czy ja będę mógł grać jeszcze w tenisa?

– Panie Michale, my się tutaj wszyscy modlimy, żeby mógł pan jeszcze grać na skrzypcach.

Poruszyło mnie to „wszyscy”. Przypomniał mi się film o Ronaldzie Reaganie, który trafił do szpitala po zamachu. Jeden ze strzałów był nieomal śmiertelny, kula utkwiała tuż obok serca i usunięcie jej wymagało wielogodzinnej operacji. Chirurdzy byli przerażeni, stremowani i zestresowani. Któryś powiedział: – Ja nawet na niego nie głosowałem.

Ale kiedy zachowujący niezmaconą pogodę ducha Reagan zapytał: – Mam nadzieję, że jest wśród was jakiś republikanin? – odpowiedzieli chórem: – Panie prezydencie, dziś wszyscy jesteśmy republikanami.

W Ameryce jazzmani szanują mnie i jestem z nimi serdecznie zżyty, w Polsce, poza wyjątkami, wielu muzyków życzy mi wszystkiego najgorszego, kocha mnie za to publiczność. Tak czy owak przez te trzy i pół miesiąca, kiedy nie grałem i byłem w gipsie, moje zatłoczone zazwyczaj mieszkanie przy Piotrkowskiej gwałtownie i doszczętnie opustoszało.

Zawsze i z każdym tak jest. Choćby był największym gwiazdorem. Przyjaciele ciągną do sławy, zabawy i pieniędzy, a jak człowiek jest w gipsie i nie wiadomo, czy jeszcze kiedykolwiek weźmie instrument do rąk, mają go w nosie.

Parę godzin po zabiegu Dusia odtransportowała mnie do domu. Boże, jaka ulga! I jednocześnie wiszące nade mną jak topór pytanie: co zrobię, jeśli nie będę mógł grać już na saksofonie i na skrzypcach? Zostanę organizatorem? Albo producentem? Chyba zapiszę się na śmierć lub palnę sobie w łeb.

Dosia wiedziała o tych katuszach i utrzymując stały kontakt z doktorem Fabisiem, który nazywał ją wyłącznie Lady Right Hand, powiedziała mu o nich. Pojechaliśmy do niego, chyba jakiś miesiąc po zabiegu, i ten znakomity ortopeda, dzieląc obawy, które nie pozwalały mi spać, wyciął w gipsie na moim prawym przedramieniu szynę od nadgarstka po łokieć. Dzięki temu, kiedy usuwaliśmy tę szynę, mogłem rozpocząć z Doską zajęcia rehabilitacyjne. Zginałem palce i chwytaliśmy się za dłonie, ciągnąc to ja, to ona w swoją stronę: raz – dwa, raz – dwa. Potem na boki, potem z wykręcaniem kiści, a na koniec zakładała szynę na swoje miejsce i zabezpieczała ją w łokciu i przegubie przylepcem.

Od tej pory moje samopoczucie zaczęło zwyżkować, zacząłem wierzyć, że wrócę jeszcze na scenę jako artysta. Tymczasem wszystkie występy zostały na te trzy i pół miesiąca odwołane, wszystkie kontrakty zerwane. Ale była umowa, której ze względów sentymentalnych koniecznie chciałem dotrzymać – z Tychami, z Orkiestrą Kameralną Marka Mosia.

Było to już późną wiosną albo wczesnym latem, pod koniec mojej rekonwalescencji. Mogłem biegle przebierać palcami, lecz prawa ręka była wciąż za słaba, aby utrzymać saksofon i wywijać smyczkiem po skrzypcach, a wśród osiemnastu skrzypków miałem być tym najważniejszym, dziewiętnastym. Więc wyszedłem na scenę z lyriconem, który przyśnił mi się którejś nocy jako lolik.

Wspaniała dmuchawa! O zakresie siedmiu oktaw. Poszerzyłem go tak, że w jednych rejestrach brzmiał jak skrzypce, w innych jak saksofon, a w jeszcze innych jak syntezator. Palnąłem mowę do publiczności:

– Przepraszam, że wskutek niewyleczonego do końca urazu nie uraczę państwa grą na skrzypcach. Ale świętą powinnością muzyka, bez względu na urazy, jest wykonać swoją pracę najlepiej, jak potrafi, co poczynię na tym oto magicznym instrumencie.

Większość słuchaczy nie widziała jeszcze nigdy lolika, więc ich reakcja była dość wstrzemięźliwa. Ale kiedy zaczęliśmy sadzić, kolejno: „Nirvanę”, „Silence”, „Boleroneza” i „Polaka”, rozpełtał się istny szał.

Dostałem owację na stojąco.

Pomyślałem wówczas: No, Michaś, jesteś dobry. Nie będziesz producentem ani organizatorem koncertów dla frajerstwa. I nie palniesz sobie w łeb. Precz z gorzałą; skreślamy tę kurwę!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI:

Na promie do Ystad

We wrześniu, kiedy odzyskałem już formę i wirtuozerię zawodowego skrzypka, pojechałem na dwa koncerty do Göteborga i Sztokholmu z Wojtkiem Karolakiem, Krzysztofem Dziedzicem i Dosią Palmowską. Prowadzony przez zatrudnionego kierowcę bus Mercedes Sprinter bez trudu pomieścił ulubione przez Wojtka organy Hammonda i cały zestaw perkusyjny Krzysia Dziedzica, doskonałego i wesołego drummera.

Wojtek, sprawdzony i zawsze lojalny przyjaciel, odegrał w moim życiu rolę wyjątkową. Raz, że podzielał moje czarne preferencje jazzowe, dwa, że inspirował mnie swoim graniem, czego poza Komedą nie mogę powiedzieć o żadnym innym polskim artyście.

Kochałem go i kocham do dzisiaj. Był w stu procentach dżentelmenem – wysokim, diabelnie przystojnym i wytwornie ubranym. W latach osiemdziesiątych na Jazz Jamboree wystąpiłem w szykownej, drogiej jak cholera marynarce, w której się zakochał, i zadrezczał mnie przy każdej okazji, abym mu ją podarował.

– Jeśli ona tak podoba się kapryśnemu Karolakowi, to jeszcze bardziej podoba się mnie – powiedziałem Dosi. – Nie oddam jej, mowy nie ma!

Lecz po latach przejrzelśmy pod tym kątem garderobę i znaleźliśmy dla Wojtka coś wyjątkowego: jacket, który poprawił u swojego krawca i w którym występuje do dzisiaj, czarno-czerwony, o skontrowanych klapach.

W Gdyni zacumowaliśmy na pokładzie promu do Ystad, biorąc oczywiście kabiny: pojedynczą dla Dosi, podwójne dla szofera i Krzysia oraz dla mnie i Karolaka. Wojtek był przygotowany! Wyjął z torby podróżnej nieskazitelnie biały obrus, nakrył stoliczek, rozłożył na nim jajka, pomidory, ogóreczki, zgrabne i ponętne kanapeczki i ciasteczka oraz chusteczki do ust.

Był rzecz jasna na promie bar dla biedoty z decku i lokal dla zamożniejszych podróżnych z kabin, lecz Wojtek wolał własne specjały. Bez alkoholu i żadnych innych używek – oprócz papierosów, bo Karolak kopci jak komin. Zupełnie jak Armstrong, który do końca życia nie wyjmował „kumety” z ust, a jeśli nawet, to tylko po to, żeby sztachnąć się marihuaną.

Rejs był przyjemny. Przerzucaliśmy się bez przerwy z Wojtkiem wspomnieniami i dowcipami, a potem w Ystad ku zaskoczeniu Dosi i Krzysia nagle zaczęliśmy mówić wyłącznie po szwedzku.

Tamtejsi celnicy są uczuleni przede wszystkim na szmugiel alkoholu i narkotyki, ale wystarczyło rzucić na nas okiem, aby wiedzieć, że jesteśmy czyści. Odprawili nas zatem błyskawicznie i z estymą.

Udawałem, że sprawilem im, a oni mnie ciężki zawód. Nawet pies od narkotyków, sierżant Teresa, był smutny. Więc ja do nich:

– Nie szukacie nawet, chłopaki, dodatkowej flachy?

A oni, konkretnie jowialny grubas:

– Gdybyście mieli coś ponad normę, już byśmy to wykryli i rozpili na miejscu, aby puścić was w dalszą trasę bez obciążeń. Celnicy też lubią sobie pogazować, weźcie to następnym razem pod uwagę.

W Szwecji, nawet w dużych miastach, są tylko dwa, trzy sklepy z potwornie drogim alkoholem, tak zwane System Bolaget. W knajpach jest jeszcze drożej. Szwedzi znaleźli na to sposób. Idąc do lokalu na piwo, wychodzą co rusz do ustępu i walą dzioba z piersiówki. A ci najbardziej rozkochani w gorzale wsiadają na polskie promy i w Gdyni, Gdańsku czy Świnoujściu nie schodzą w ogóle na ląd, tylko robią obrót do ojczyzny i grzeją dalej.

My w każdym razie stawiliśmy się w Göteborgskim klubie jazzowym Nefertiti wyschnięci jak saharyjskie studnie. Chcieliśmy dać po prostu Szwedom przykład i pokazać, że krążące na całym świecie wśród muzyków powiedzenie: „Bez gazu nie ma jazzu”, nas nie dotyczy.

Ludzie nie lubią małych zespołów, a trio to już gruba przesada. Żadnych saksofonów, żadnych puzonów i trąbek. A przecież sala jednego z dwóch najslawniejszych szwedzkich klubów wypełniona była do ostatniego miejsca. Przyszło wielu Polonusów: Leszek Dudziak, Danusia Andersson, Staszek i Grażyna Góralowie, których syn Wojtek został jednym z najwybitniejszych szwedzkich saksofonistów. Być może byli również Barbara i Wacław Rezlerowie, którzy doczekali się dla odmiany syna Mikołaja, doskonałego perkusisty.

Uwielbiałem grać z Karolakiem i uwielbiam do dzisiaj. Nawiasem mówiąc, Wojtek kosił kiedyś jak szalony na tenorze, choć wstydził się nosić ten wspaniały instrument po ulicach, kiedy miał go w futerale. Podobny, idiotyczny kompleks żywił co do swojej trąbki Andrzej Makowiecki.

Każdy rodzaj muzyki ma swoich fanów. Są tacy, którzy uwielbiają kameralne grania, nie tylko wśród słuchaczy, lecz także wśród wykonawców. Paganini, co odtworzono w jakimś filmie, wychodził zazwyczaj na scenę zupełnie sam. W trakcie jednego z takich popisów, kiedy część widowni omdlewała z zachwyty, ale były również głosy...

– Czart!

– Lucyfer!

– Zwykły człowiek tak nie zagra!

– Inkwizytor powinien go skrócić o głowę!

...wdarł się na scenę Fryderyk Chopin i ze łzami w oczach pocałował wirtuoza w rękę, mówiąc:

– Merci, mistrzu! Dzięki tobie zrozumiałem, że na fortepianie też mogę grać bez towarzystwa.

Sadziliśmy z takim swingiem i gazem, że – jak zwykle zresztą – dostaliśmy owację na stojąco. Tak samo było w drugim najslawniejszym klubie jazzowym Nybrokajen w Sztokholmie. Znowu przyszła grupa Polonusów. – Cześć, Wojtek! Brawo, Michał! – wrzeszczeli po każdym

kawałku.

Jakiś nawalony Szwed, któremu popieprzyła się historia, ryczał z zachwytem: – Bławo, Gomulki, bławo! Wiesław! Wiesław!

Wzięliśmy kasę, wpakowaliśmy się na prom i ruszyliśmy w drogę powrotną do Gdyni. Towarzyszyła nam Danusia Andersson, młodsza siostra Urszuli i Leszka Dudziaków. Wzięła kabinę z Doską i tu, jak by powiedział Miles Davis, znowu wpadło gówno w wentylator.

Szlag z tymi babami, choć bez bab jeszcze gorzej. Przeglądając zaśmieconą jak to zawsze u kobiet torebkę, frau Andersson odkryła z osłupieniem, że zamiast swojego zabrała przez pomyłkę paszport córki.

Siedząc z Dosią na tylnym fotelu busa, łudziła się, że polska straż graniczna nie wychwyci tych głupich dwudziestu lat dzielących córkę od matki. Nasunęła włosy na oczy i udawała, że drzemie.

Nasi strażnicy to jednak wielkie cwaniaki. Gość przekartkował z flegmą kartki paszportu, przyjrzał się zdjęciu i oświadczył grzecznie:

– Coś mi się zdaje, że ten paszport nie należy do pani.

– Ależ tak – upierała się Danusia. – Jest mój. Może i trochę się zestarzałam. Przecież rozumie pan, same zmartwienia i troski.

– Proszę odsłonić włosy – zażądał mniej już grzecznie oficer. I orzekł, kiedy to zrobiła:

– Dokument nie należy do pani.

Wówczas wyznała mu prawdę: że wzięła przez niedopatrzenie paszport córki, że dzwoniła już do niej z mostka kapitańskiego z poleceniem, aby dziewczyna wysłała jej paszport samolotem do Gdańska.

– Daję pani czas do dziewiętnastej – powiedział strażnik w mundurze. – Tymczasem zostaje pani na promie. Jeśli do wyznaczonej godziny nie okaże pani paszportu, prom odcumuje i wróci pani

do Szwecji.

Jak się później dowiedzieliśmy, Ola – córka Danusi – miała masę kłopotów, aby skłonić kapitana i stewardesy samolotu do przesłania tego paszportu. W końcu jednak poradziła sobie jakoś, nadając specjalną paczkę. My z Dosią tymczasem w ciemno, ryzykując, że nic z tego nie będzie, wzięliśmy taksówkę i popędziliśmy na złamanie karku do Gdańska.

Jak w filmie, gdzie reżyser naciąga scenę do ostatniej sekundy, tak i my tuż przed dziewiętnastą, dosłownie kilka minut przed odbiciem promu, krzyknęliśmy do wopisty triumfalnie:

– Jest ten paszport! Jest!

Danka, stojąc po drugiej stronie bramki, nadęła się z dumy, jakby osobiście rozwiązała ten problem, i sympatyczny wopista przepuścił ją, robiąc do mnie oko.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY:

Woody Allen z Ciechocinka

Karolaka puściłem z kierowcą busem do Warszawy, gdzie miał do załatwienia coś ważnego, a my pojechaliśmy taksówką do rezydencji Pawła Jędrzejewskiego i jego żony Małgosi w Ciechocinku.

Byliśmy u niego przez kilka tygodni dwa miesiące wcześniej, pod koniec rehabilitacji. Maki, który gościł tam z kolei parę lat później, patrzył z niedowierzaniem na ogromne, rozlewające się po horyzont włości, którymi zawładnął ten wspaniały, skromny człowiek. Stół pingpongowy, kort tenisowy to jeszcze nic nadzwyczajnego. Ale boiska do koszykówki, siatkówki i piłki nożnej to lekka przesada.

– Jak on się tego wszystkiego dorobił? – kręcił głową Maki, pociągając ze szklanki, w której akurat nie było mleka, i ćmiąc ze smakiem swoje długie czerwone marlboro.

– Był klezmerem w chicagowskiej knajpie – powiedziałem. – Szefem kapeli. Wszyscy pili, włącznie z właścicielem interesu, on nie. Podzielał pogląd znanego amerykańskiego ekonomisty: nieważne jest, ile zarabiasz, ważne, ile wydajesz. Oszczędzał. Lekką ręką, z wielkopańskim gestem pożyczał pieniądze właścicielowi, a kiedy facet popadł w otchłań długów, wykupił go i sam prowadził restaurację, w dalszym ciągu oszczędzając i nie przestając grać na klawirze, saksofonie i trąbce.

Miał niesamowity timing, który w interesach jest równie ważny co w muzyce. Kiedy lokal był już wart ciężkie miliony, opędzłował go i osiadł w Ciechocinku na z góry upatrzonych terenach. Cisza, czyste jak kryształ powietrze. Niedaleko drogi, którą tylko od czasu do czasu przetoczył się jakiś samochód. Przyjął mnie z Dosią jak rodzinę. Paweł w dalszym ciągu nie tyka alkoholu i jest pracowity jak mrówka. W dzień pielęgnuje ogród, usuwa chwasty, sadi kwiaty, przycina krzaki, a wieczorami jak prosty klezmer jedzie do knajpy i zasuwa na klawirze. Zupełnie jak genialny Woody Allen, który nie odebrał osobiście Oscara, bo tego wieczoru, kiedy odbywała się w Hollywood ta oglądana przez miliardy widzów uroczystość, Woody musiał zagrać ze swoją kapelą w należąca do niego nowojorskim klubie jazzowym.

Byłem w tym klubie. Nad sceną wisiało i nadal wisi ostrzeżenie:

NIE ROZMAWIAĆ Z KLARNECISTĄ!

Ten natchniony, wybitny reżyser życzy sobie, aby po śmierci wryto na jego nagrobku:

WOODY ALLEN

MUZYK JAZZOWY

KTÓRY W WOLNYCH CHWILACH

ZAJMOWAŁ SIĘ RÓWNIEŻ

KRĘCENIEM FILMÓW

Nie wiem, co za sto lat każe sobie umieścić na swoim pomniku Paweł Jędrzejewski. W każdym razie spędziliśmy u niego parę uroczych dni, po czym wróciliśmy do naszego łódzkiego, rozgrabionego przez komorników mieszkania przy Piotrkowskiej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY:

Sympatyczny epizodzik

Sukces płyty „Decadence” sprawił, że zapragnąłem nagle znowu zagrać trasę z czarnymi muzykami. Powtarzam się, ale prawdziwy jazz to jest tylko czarny jazz, jedyna autentyczna, na wskroś amerykańska gałąź sztuki, w której zakochali się również rozpaczliwie biali gringo: muzycy, krytycy, słuchacze, i próbowali ją sobie bez większych sukcesów przywłaszczyć.

Niektóre sprawy załatwiam błyskawicznie. Zadzwoiłem do mojego agenta w Nowym Jorku i poleciłem mu, aby natychmiast sprowadził mi do Polski perkusistę Lenny’ego White’a, basistę Kenny’ego Davisa i keyboardzistę George’a Cooligana.

Ta spokojna, jak to zwykle z Murzynami, tura zaczęła się 28 lutego w Warszawie, w klubie Skarpa. Potem graliśmy kolejno: w Gdyni, w Łodzi, dwa razy w Berlinie, a na koniec w Szczecinie i Poznaniu.

Kiedy na jednym z koncertów George Cooligan trochę się rozhulał, powiedziałem do niego przyjaźnie:

– George, I love you, but... Don’t play the music, let the music play.

Oni również czepiali się mnie od czasu do czasu, szczególnie w chwilach, kiedy improwizowałem swoje kawałki na ludową, polską nutę.

– Michael – stękali ze zgrozą i oburzeniem. – Co się z tobą dzieje? Zawsze byłeś dla nas kwintesencją manhattańskiego jazzu, a tu nagle zasuwasz jakieś obce frazy. Uważaj, bo odbierzemy ci czarne obywatelstwo.

A ja do nich:

– Bóg stworzył muzykę, a ludzie podzielili ją na kategorie. Pochlebiam sobie, że jestem niezły we wszelkich odsłonach.

– Wielkie orkiestry symfoniczne, kapele góralskie, operetki, tłumoki, wsioki! Oj, Michael, Michael, skończysz na krześle elektrycznym, ale nim to się stanie, twoi amerykańscy przyjaciele urwą ci jaja.

Lenny White nigdy nie był w Polsce zbyt lubiany; czepiali się go i czepiają ciągle recenzenci muzyczni, w tym również frajerzy z „Jazz Forum”. To pismo zionie zresztą i do mnie zwierzęcą nienawiścią, opartą w głównej mierze na zazdrości.

W „Jazz Forum” rządzi od lat indiańskie plemię pomniejszych główek stawiające, jeśli trzeba, na miernoty, byle z tego wyciągnąć jakąś korzyść. Redaktor naczelny jest głównym, przywłaszczającym sobie najwięcej miejsca autorem, rzucającym się z zakrzywionymi szponami na wszystko, co wielkie i modne, i na sławną padlinę, która odeszła już z tego świata.

Lenny White, kompozytor, producent, facet ambitny i wyniosły, jest akurat pałkerem na moją miarę. Zresztą sięga po niego najchętniej również genialny Marcus Miller.

Czarny jak heban Lenny lubi ubierać się jak piąty lord: czarny garnitur, czarna kamizelka, czarne buty i krawat, a biała z konieczności jest tylko koszula, dla kontrastu.

Nieraz, podobnie jak jego amerykańscy kumple, zmuszam Lenny’ego, aby tak bardzo się nie stroił i włożył na siebie coś luźnego. Robi to, lecz bardzo niechętnie.

W Łodzi, zakwaterowany tak jak reszta ekipy w Grand Hotelu, uskarżał się organizatorce trasy „Decadence” na łóżko.

– Okropne, wyboiste, same góry i dziury; całą noc nie spałem.

– Ależ Lenny, to jest historyczny, sławny, najstarszy łódzki hotel. Nocowały tu setki najwybitniejszych osobistości z całego świata – mówiła Dosia.

– A co mnie to obchodzi – kapryśił dalej wybredny perkusista.

– Dajcie mi coś mniej historycznego, z materacem, który się nie zapada.

Miał rację. Grand Hotel spuścił z tonu i stracił klasę.

Tak czy owak, choć nie było to najważniejsze wydarzenie w moim życiu, trasę „Decadence” uważam za sympatyczny epizodzik.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY:

Amerykański odrzut

Miles Davis miał wiele przygód samochodowych i samolotowych, lecz pod tym względem na pewno mu nie ustępuję.

Otóż kilka miesięcy po „Decadence”, kiedy nastąpiło wyraźne ocieplenie stosunków polsko-ukraińskich, Instytut Adama Mickiewicza na prośbę rządu postanowił pchnąć do Kijowa dwudziestu pięciu artystów, aby dowalili do tego rosnącego muru miłości kulturalną cegłą.

Zatem wczesnym rankiem wyroila się na Okęciu Orkiestra Kameralna AUKSO pod dyrekcją Marka Mosia oraz soliści – Janusz Olejniczak, Leszek Możdżer i ja.

Jak już staliśmy wszyscy w kolejce do odprawy, okazało się nagle, że mój polski paszport stracił ważność poprzedniego dnia.

Ekipa wpadła w panikę.

– Nie lecisz, Michał!

A ja na to:

– Spokojnie. Mam jeszcze paszport amerykański.

– Ale nie masz ukraińskiej wizy.

Chcieli odstawić na bok wszystkie moje liczne klamoty, gdyż podróżuję zawsze objuczony jak wielbłąd, lecz powstrzymałem ich. Kazałem odprawiać mój bagaż.

– Przecież i tak nie pojedziesz!

– Ja nie pojedę?

Potrafię być tyranem i katem. Więc Możdżer wziął moją garderobę, Janusz Olejniczak skrzypce, a Dośka zajęła się resztą.

Wypadłem na podwórzec Okęcia. Działalem jak amerykański zawodowiec. Zamiast wziąć pierwszą z brzegu taksówkę, zlustrowałem pilnie twarze gablociarzy, szukając tej najbardziej bezczelnej i przekupnej. Wsiadłem i mówię do gościa:

– Płacę każdą sumę, czerwone światło, trawnik, szlaban, kurwa, nieważne, jedziemy na plac Unii Lubelskiej. Płacę mandaty, remonty, stłuczki, lekkie i trwałe kalectwo, kurwa, daj pan w rurę!

Facet się ucieszył, bo mnie poznał. Wariat widocznie czekał na wariata. I przejechał cały traffic na plac Unii Lubelskiej szybciej, niżby to zrobił jakikolwiek prezydent z eskortą.

Byłem nabuzowany, bo wróciłem parę dni wcześniej z Nowego Jorku i czułem w sobie amerykański odrzut. Ominąłem czekający na wizy tłum i wdarłem się do zszokowanego ukraińskiego konsula, tłumacząc mu, o co chodzi:

– Zaraz startuje do Kijowa mój samolot z misją braterstwa i przyjaźni. Muszę mieć waszą wizę natychmiast!

Konsul, tuż po śniadaniu i z lekka jeszcze zaspany, przyjął to ze zrozumieniem.

– Dobrze – powiedział. – Zrobimy wyjątek i dostanie pan wizę od ręki. Zdjęcie?

– Co?

– No, pańskie zdjęcie. Fotografię poproszę.

Wypadłem z konsulatu jak pocisk i wbiegłem na pierwsze piętro sąsiedniego domu. Fotograf na mój widok rozpromienił się ze szczęścia.

– Autografik, mistrzu! Autografik!

– Kurwa! – wrzeszczę, gryzmołąc na skrawku papieru imię i nazwisko – rób pan zdjęcia paszportowe albo urwę panu łeb z płucami.

Chwilę później spocony, zdyszany wręczyłem triumfalnie konsulowi moją koślawą podobiznę.

– W porządku – skinął czołem konsul. – Wiza kosztuje sto dolarów, więc pojedzie pan teraz do banku na placu Zamkowym i dokona pan wpłaty.

Spojrzałem na zegarek. Samolot był już na pasie startowym i rozpuszczał silniki. Ekipa, jak się później dowiedziałem, autentycznie wzruszona i zrozpaczona, postawiła już kropkę. Ja tymczasem do konsula:

– Bez urazy i z najwyższym szacunkiem, łaskawy panie. Proszę przyjąć trzysta dolarów i niech tej wpłaty dokona któryś z pańskich woźnych lub kierowca.

I znowu, choć normalnie snuję się wolno z kroku na krok, dopadłem taksówki jak rakieta i walę ten sam szaleńczy tekst:

– Czerwone światła, trawniki, szlabany, remonty, stłuczki, kurwa, wracamy na Okęcie! Jebać wszystko!

– Panie Urbaniak – śmieje się na to warszawski pistolet. – Jak zobaczy nas jakiś początkujący policjant, to będziem dla niego uciekającymi gangsterami z Pruszkowa.

– I co z tego?

– Może nas poczęstować kulką.

Ano faktycznie, bywały już takie wypadki.

Szlag!

Dzwonię z komórki do jednego z dygnitarzy i wykładam sprawę.

– Masz szczęście – powiada Piotrek Żak – bo jest akurat u mnie Jurek Szmajdziński.

I tak oto, z pominięciem wszelkich formalności i zapór, wjechałem ze Szmajdzińskim bojowym samochodem przez wojskową bramę na płytę lotniska, wprost pod trap odrzutowca, którego silniki ryczały już do odlotu.

Uściskałem nieodżałowanego, świętej pamięci Jerzego Szmajdzińskiego i wparadowałem na pokład powitany rześistymi oklaskami. Ucałowała mnie Dusia, Leszek Możdżer, Janusz Olejniczak, Marek Moś, jego skrzypaczki i wiolonczelistki; kapitan gratulował mi przez głośnik.

Już w niebie, po odpięciu pasów, przydreptała do mnie śliczna stewardesa.

– Red bull?

– Nie, dziękuję; nie piję tego świństwa.

– Cola?

– Może być, ale przedtem o mordercę cierpień proszę.

Widząc jej pytający wzrok, dodałem:

– Duża szklanka whisky z meniskiem wypukłym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY:

Ruletka w Doniecku

Odprawa na dworcu lotniczym w Kijowie trwała koszmarnie długo. Spędziliśmy tam niemal pół dnia. A wszystko przez skrzypce.

Najwygodniej podróżują pianiści, o pustych rękach, a najgorzej chłopaki od bębnow i klasycznych basów. Ale w Rosji, na Ukrainie i w wielu innych krajach byłego Związku Radzieckiego prawdziwe katusze przeżywają skrzypkowie. Kiedy staje taki jeden z drugim do odprawy celnej, a mieliśmy w Kijowie oprócz mnie osiemnastu, każdy podejrzewany jest momentalnie, że szmugluje stradivariusa.

Według moich szacunków ostało się sześć, może siedem egzemplarzy skrzypiec genialnego lutnika z Cremony. Don Antonio, z początku uczeń Amatiego, produkował również altówki i wiolonczele, lecz urzędasy w Kijowie, pośród których czyhało paru rzeczoznawców i tajniaków, polowali wyłącznie na skrzypce.

Te, na których grał Dawid Ojstrach, nie należały wcale do niego. Dzierżawił je tylko, w rzeczywistości zaś były własnością narodu, czyli tych skurwysynów z KPZR. Warte były milion dolarów. Dzisiaj zarówno na Ukrainie, jak i w Rosji są bogacze gotowi wybulić za autentycznego stradivariusa siedem, a nawet osiem milionów, żeby powiesić go sobie na ścianie zamiast Rubensa czy van Gogha.

Patronat nad naszą imprezą sprawował prezydent Ukrainy Leonid Kuczma, lecz i to nie pomogło. Każdy chce umoczyć dziób.

Puścili nas wreszcie, sprawdziwszy skrupulatnie wszystkie instrumenty i zaświadczenia Ministerstwa Kultury na ich przewóz. No i zobaczyliśmy niepozobawiony europejskiego uroku Kijów.

Zakwaterowali nas w przyzwoitym hotelu. W ogóle było bardzo przyzwoicie. Ale dalej, dalej! W drogę. Koncert kijowski wypadł jak cholera, wszakże...

Czekała nas teraz siedemsetkilometrowa trasa do Doniecka.

Trochę my się bali i wzdragali, jednak zapewniano nas, że dostaniemy najlepszy superlux autokar, jaki kiedykolwiek kursował na Ukrainie: toaleta, światełka do czytania i w ogóle.

Wsiedliśmy więc z ufnością do tej torpedy i już pół godziny później okazało się, że zawalony głównem po brzegi kibel nie rabotał, że światełka do czytania nie rabotały, nic, kurwa, nie rabotało, a kierowcy, w przeciwieństwie do naszych nastrojów i coraz gorszej nawierzchni – wertepy, wądoły, istny tor wyścigowy z przeszkodami – byli z każdą chwilą weselsi.

Janusz Olejniczak, laureat nagrody w Konkursie Chopinowskim, światowej sławy pianista i wielki cwaniak, o czym przekonacie się jeszcze w tej opowieści, szturchnął mnie w bok:

– Michał?

– Słucham.

– Wiesz, czemu oni są tacy radośni?

– Jasne – powiedziałem, bo też jestem wielkim cwaniakiem. – Wałą gorzałę.

Janusz, z którym uwielbiam grać, bo on po prostu na fortepianie śpiewa, i kocham go za kilka innych brzydkich skłonności, sprecyzował moją diagnozę:

– Oni wałą już, Michał, trzecią butelkę czystego bolsa. Cud, jak nie obudzimy się w rowie.

Ktoś powiedział, że apel pęcherza jest bardziej imperatywny od rozkazu królewskiego. Nasze skrzypaczki i wiolonczelistki poczuły ten imperatyw kategoriyczny i poprosiły kierowców, aby zatrzymali się przed najbliższą stacją. Szoferaki zawyły z uszczęśliwienia. Raz, że w ich trudnym fachu krótka przerwa zawsze wychodzi na zdrowie, dwa, że była okazja, aby uzupełnić paliwo.

Baki były pełne, lecz – jak to celnie określił Malcolm Lowry

w powieści „Pod wulkanem” – „nie ma nic gorszego od pustej butelki, chyba że pusty kieliszek”.

W tym wypadku chodziło oczywiście o szklanę.

Polska, jeśli mowa o stacjach benzynowych, zrobiła kolosalny krok do przodu. Czysto. Zasobnie. Na niektórych można nawet wziąć prysznic, ogolić się i odświeżyć. Tu jednakże, na ukraińskiej stacji, zabrakło toalety.

– Niczewo, niczewo – uspokajał wzburzone artystki szef interesu i wycelował paluchem w mur na pustym polu. – Tam jest toaleta.

Gromadka skrzypaczek i wiolonczelistek kopnęła się w stronę muru, zadzierając po drodze kiecki. I raptem widzę, że one wracają, zatykając nosy, wymachując rękami i wrzeszcząc niemiłosiernie.

Poszliśmy zobaczyć z chłopakami, co je tak wzburzyło. Otóż za murem zionęła w ziemi ogromna czarna dziura wypełniona odchodami, nad którymi kołowały roje much, i zasypana wapnem.

Chłop mógł sobie jeszcze w tej sytuacji poradzić, jeśli chodziło tylko o siusiu, ale płeć piękna musi przecież ukucnąć, a po ukucnięciu groził upadek w to grzęzawisko. I haniebna śmierć, bo nie było nawet drabiny.

Panie, także Dosia, oddały więc to, co przynależne naturze, na widoku, a my pocieszaliśmy je ze wszystkich sił, twierdząc, że w każdej pozycji wyglądały uroczo.

Nie mam nic przeciwko Ukraińcom. Niegdyś tworzyliśmy przecież wspólne imperium, a że czasem, będąc rodziną, wyrzynaliśmy się okrutnie? Przecież w granicach Polski dalej się wyrzynamy na meczach piłkarskich, Łódź z Warszawą, Warszawa z Krakowem, i tak dalej.

Podróż z Kijowa do Doniecka trwała ponad czternaście godzin. Byliśmy wykończeni. Tymczasem humory kierowców i Wołodii, szpicla z byłego KGB, który trzymał nas na oku, w dalszym ciągu zwyżkowały.

Na punktach kontroli milicyjnej nikt nas nie zatrzymywał. Gliniarze z potwornego lenistwa siedzieli i pili w krzakach, zaś jeden z szoferaków miał obowiązek podejść do nich i pokornie wręczyć im łapówkę.

Myślę, że Donieck, choć formalnie należy do Ukrainy, to już wyłącznie Rosja. Rosyjski język, rosyjska kuchnia, rosyjskie obyczaje i sympatie. Prezydent Kuczma, oskarżany później o udział w zamordowaniu dwóch opozycyjnych dziennikarzy, też był rusofilem.

No, ale jak przyjaźń, to przyjaźń. Zasunęliśmy porywający koncert, którego nie będę opisywał, graliśmy bowiem stare, wspomniane już w tej książce kawałki. Olejniczak i Moździerz, też wdzierający się już na drabinę jazzowej pianistyki świata, byli znakomici. Znakomita była orkiestra Marka Mosia. Długie burzliwe owacje na stojąco. Bis!

Bis! Bis! I od nowa Polska Ludowa. A potem nagle pustka i cisza. Szare domy, szare ulice, szara rzeczywistość.

Co tu robić po koncercie z resztą wieczoru? Ubraliśmy się „wieczorowo”, Olejniczak i Moździerz w smokingi, ja jak zwykle w czarne buty i ulubione przykrótkie spodnie, Dosia i damy w eleganckie suknie z dekoltem, i wmaszerowaliśmy do jedyne w Doniecku kasyna nieopodal hotelu.

Godzinę później powiało morderem.

Janusz Olejniczak, od lat bywalec wszystkich kasyn Europy, Ameryki i Azji, jest niekwestionowanym mistrzem w rulecie i blackjacku. Ja też jestem niezły, choć hazard, podobnie jak narkotyki, nigdy mnie nie wciągnął. Kiedy wygrałem w tym cholernym donieckim kasynie kilka tysięcy, Dośka, widząc, jak patrzą na mnie krupierzy i ochrona, oderwała mnie na siłę od stołu.

– Michaś, bierz, co masz, dobrze ci radzę, i w nogi, nim rozpęta się piekło.

Posłuchałem.

Wzrok ochroniarzy i krupierów, a także wszystkich bez wyjątku gości kasyna ześrodkowany był teraz na szczupłych, wytwornych rękach Olejniczaka. Pianista po prostu zaczęła rozbijać bank.

W pewnym momencie, przed wyjściem z kasyna, podszedł do Dośki wysoki, przystojny, czarny Rusek i wskazując na Janusza, wysyczał przez zęby:

– Etoj towariszcz z białami wołosami, to wasz?

– Da – przytaknęła Dośka. – Nasz.

– Biery go – rzeki tonem, który nie zostawiał złudzeń: albo wywlecjemy człowieka, albo wyniesiemy trupa.

Janusz, blondynek o niewinnej, wciąż chłopięcej buzi, nie jest wcale taki miękki i strachliwy.

– Opędzuję kutasa do gołych gaci! – zagroził, lecz wzięliśmy go z obu stron pod ramiona i wyprowadziliśmy na powietrze, gdzie dopadły nas dwie bufetowe.

– To jest szef kasyna – mówiły o tym czarnym draniu. – Strasznie niebezpieczny człowiek. Lepiej nigdy tu nie wracajcie, bo tego blondyna ukatrupią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY:

Fokstroty z kucharkami

Rano, przed znanym nam już luksusowym autokarem, wiolonczelistki i skrzypaczki zaczęły obcałowywać Dosię, bo usłyszały, że z Doniecka do Odessy nie jedzie się już siedmiuset kilometrów, lecz tylko pięćset.

Odessa! Legendarne miasto portowe, o którym godzinami opowiadał mi Andrzej, zakochany w pisarzu Izaaku Bablu. – Perła! – zachłystywał się Maki. – Babel, rozstrzelany później na dziedzińcu KGB, czy może raczej NKWD, na rozkaz ojczulka Stalina, wybitnego językoznawcy, był wirtuozem słowa. Żydzi w dotychczasowej historii i literaturze kojarzyli nam się zawsze z ogromnym bogactwem i skąpstwem bądź ze skrajną nędzą cuchnących czosnkiem krawców, szewców i mleczarzy. Babel w opowiadaniach stworzył portret całkiem innego Żyda, walecznego, charakternego, pokrewnego picarowi z madryckiego Zaułka Nożowników.

Stworzył takie niezapomniane postacie żydowskich bandytów, jak Benia Krzyk, Lowka Byk i Froim Gracz. Wiedząc, że będę w Odessie, Andrzej z uporem podsuwał mi książkę Babla, a ja ją z uporem odsuwałem. Nie mam czasu bawić się literaturą, lecz jedno Bablowskie zdanie z uporem powtarzane przez Makiego zapamiętałem do dzisiaj:

„Benia Krzyk niewiele mówi, ale on mówi smacznie. Jak Benia coś powie, to człowiek chce, żeby on jeszcze coś powiedział”.

Jakieś dalekie bablowskie echo wciąż tłucze się w murach Odessy. Graliśmy w Filharmonii Narodowej, w sędziwym gmachu będącym niegdyś siedzibą giełdy towarowej. Ściany wyłożone były czarnym, afrykańskim hebanem. Przez wysokie witrażowe okna sączyło się światło wieczornych lampionów. Z sufitu na długich złotych łańcuchach zwisały ogromne, tryskające oślepiającym blaskiem żyrandole. Potem wszystko zgasło i oświetlona była tylko estrada. Odwaliliśmy kolejny szalony koncert przyjęty przez odesiaków, wyczuwających w nas bratnie łobuzerskie dusze, z niesłychanym zachwytem.

Hotel mieliśmy, łagodnie mówiąc, skromny. Adam Mickiewicz trochę na nas oszczędzał. No, ale poeci nigdy nie byli przy forsie. Nie grali w ruletę.

Wróciliśmy do Kijowa. To, co zapamiętałem wraz z Dosią z ukraińskiej stolicy, to położoną blisko hotelu dyskotekę. Na podjeździe do niej stał wieniec fantastycznych samochodów: bentleye, ferrari, jaguary, mercedesy, rolls-royce; właściciele się bawią, wozy czekają. Za kierownicą każdego z tych superdrogich pojazdów siedział kierowca. Na Ukrainie, w Rosji oraz paru innych państwach byłego imperium nie brak krezusów i milionerów, dla których posiadanie szoferów to nieomal karta wizytowa, świadectwo, że mogą pić i nie muszą sobie brudzić rąk jakkolwiek pracą fizyczną. Nienormalne w tym wszystkim było jedynie to, że silniki każdego z tych bolidów mruczały, ryczały albo wręcz grzały na pełnych obrotach jak motory na torze żużlowym przed startem.

Niebawem zagadka została rozwiązana. W owej dyskotece hasali gangsterzy i biznesmeni z różnych zwaśnionych organizacji. Gdyby wybuchła strzelanina, bandzior mógłby wbiec przez otwarte drzwi wprost do swojego auta i odjechać w tej samej chwili.

No i na zakończenie tej ukraińskiej wyprawy, wzięwszy pod uwagę serdeczność prostych ludzi i gorącą publiczność, w sumie bardzo sympatycznej, muszę wspomnieć jeszcze pewną niespodziewaną balangę.

Późnym wieczorem, czy może raczej wczesną nocą, odwiedziliśmy gromadnie restaurację hotelu Kijów i zaczęliśmy pociągać znakomitego, wytrawnego jak śmierć, krymskiego szampana pod czarny astrachański kawior i truskawki.

Nagle stało się coś niebywałego. W nieco już opustoszałej, wytwornej sali pojawiły się ni stąd, ni zowąd dwie kucharki w białych, przybrudzonych fartuchach. Puściły muzyczkę i zaczęły śpiewać i tańczyć karaoke. Nie tylko ukraińskie piosenki, lecz również przeboje z Zachodu.

Po nich wystąpiło kilka skrzypaczek i wiolonczelistek. Ja wykonałem utwór Whitney Houston z filmu „The Bodyguard”. Powściągliwy i poważny zazwyczaj Leszek Możdżer rzucił się

na parkiecie w tany z jedną z tych urodziwych kucharek, co w każdej innej europejskiej restauracji byłoby nie do pomyślenia.

Opustoszała sala wypełniła się raptem po brzegi. Krymski szampan, który sączył się dotąd wąską strużką, walił teraz rwącym potokiem. Jak u patronującego nam Adama Mickiewicza:

Jedzą, piją, lulki palą tańce, hulanki, swawola mała karczmy nie rozwalą hi-hi, cha-cha, hejże hola!

Bohaterem tej zwariowanej, opętanej nocy był niewątpliwie Janusz Olejniczak. Uwielbiam tego faceta o rozlicznych nieujawnionych talentach trzymany w tajemnicy niczym as w rękawie szulera.

Dał znać, że teraz jego kolej. Muzyka umilkła, Moździerz siadł przy fortepianie, uderzył akord i Janusz zaczął śpiewać buntownicze kawałki Wysockiego. Idealną ruszczyzną, perfekcyjnie modulując głos, z lekką chrypą i takim ładunkiem emocji, że ludzie pospadali z krzesel.

Popłakała się jakaś Ukrainka. Zwalisty, dwumetrowy Rosjanin dźwignął z krzesła swoje ogromne cielsko i uniósł w górę mocarne, zaciśnięte w piąchy łapska. Przez kwadrans panowała w lokalu uroczysta, podniosła, naładowana wzruszeniem cisza.

Janusz przerażony, że zwarzył radosny nastrój, wykonał jeden ze swoich komicznych gestów i balanga rozszalała się od nowa. Tym razem nawet ja wywijałem fokstroty z kucharkami i paniami z ukraińskiego high life'u. Harowaliśmy tak do szóstej rano, po czym zwaliliśmy się spać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY:

Zakazane Miasto

Od dłuższego czasu planowałem imprezę, w trakcie której oprócz koncertów byłyby warsztaty jazzowe dla młodych instrumentalistów i wokalistów.

Potrzebny był w tym ambitnym przedsięwzięciu patron i sponsor. Ponieważ chciałem przeprowadzić je w Łodzi, każdego roku latem o tej samej porze, poszedłem w tej sprawie wraz z pewnym organizatorem do prezydenta Jerzego Kropiwnickiego.

Ten wysoki, przystojny, godnie wyglądający mężczyzna, po którym tak wiele się spodziewałem, przyjął nas z nonszalancją mistrza świata. Nie wspomniał o herbacie i kawie. Nie pamiętam nawet, czy pozwolił nam usiąść. Zapytał obcesowo:

– Czego chcecie?

Odpowiedziałem grzecznie, bo poza domem zawsze jestem grzeczny, zarówno wobec polityków, jak i najzwyczajniejszych ludzi:

– Błogosławieństwa, panie prezydencie.

– Macie moje błogosławieństwo – powiedział, dając znać, że audiencja skończona, i ciskając z łaski na uciechę ochłap w kwocie tysiąca złotych, który gdzieś tam mieliśmy odebrać.

Czułem się jak skopany pies. Wyszedłem bez słowa. Grałem w życiu dla czterech prezydentów: Johna Kennedy’ego, Lecha Wałęsy, Billa Clintona i Aleksandra Kwaśniewskiego. Piłem szampana w Białym Domu. Na początku lat dziewięćdziesiątych, w przerwie warszawskiego koncertu, przyszedł do mnie za kuliszy urzędujący premier Tadeusz Mazowiecki, z którym mam wspólne zdjęcie. Wszyscy owi wielcy ludzie traktowali mnie z estymą i szacunkiem mimo wlokącej się za mną nie do końca słusznej famy, że nie odrywam butelki od ust.

Kropiwnicki tymczasem, który nie zrobił dla mojej ukochanej

Łodzi nic, który wyjeżdżał sto kilkadziesiąt razy za granicę, aby w dalszym ciągu nic nie robić, który kompletnie zlekceważył szansę walki o Euro 2012 dla drugiej największej aglomeracji w kraju, potraktował Urbaniaka jak zebraczyne, do czego jeszcze wróć.

Z setek, wielu setek koncertów, które dotąd zagrałem i których siłą rzeczy nie mogę odtworzyć w pamięci, wracam jedynie do tych, które skatalogowała na szczęście niezawodna Dosia – Dorota Palmowska.

W 2005 roku poleciliśmy przez Helsinki do Pekinu. W maju. Wciąż z tym samym mickiewiczowskim zespołem, do którego dołączył jeszcze Tomek Stańko, groźny już wtedy na świecie trumpeter.

Chińczycy, coraz bogatsi i potężniejsi, mają gest. Zakwaterowali nas w hotelu China People's Palace, w którym ceny były o jedno zero wyższe niż za rogiem. Zażeraliśmy się chińszczyzną, używając wyłącznie pałeczek, bo widelcem nie smakuje. Piliśmy znakomite chińskie winiaki i wężówkę; na dnie butelki spoczywał gad. Tu przypomina mi się dowcip, jak to w barze zasiedli obok siebie Francuz, Amerykanin i Szkot, i wszystkim trzem powpadały do szklanek muchy.

Francuz, zabojad, łyknął swoje wraz z urzniętą w trupa muchą i nawet nie mrugnął okiem. Amerykanin, chlajus, lecz esteta, wyciągnął muchę łyżką i dopiero wtedy dokonał konsumpcji. Natomiast Szkot chwycił muchę za gardło i wrzasnął: – Wypuść to, kurwo, bo zabiję!

Coś tam zwiedzaliśmy. Nigdy nie byłem fanem tego sportu i zarówno w muzeach, jak i na murze chińskim oraz placu Niebiańskiego Spokoju myślałem wyłącznie o muzyce. Jak powiedział zmarły niedawno wybitny, porywający, jazzujący trochę według mnie kompozytor Henryk Mikołaj Górecki: „Poetą się bywa, muzykiem się jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę”.

Chiny szykowały się wtedy do olimpiady z takim rozmachem, że był to po prostu zawrót głowy. Wszystkie duże ulice Pekinu w połowie przypominały jeden wielki plac budowlany, w drugiej zaś – gotowe już na przyjęcie gości najbogatsze i najwspanialsze dzielnice świata.

Wystarczyło jednak zboczyć od nich kilkanaście metrów w lewo

czy w prawo i znowu widziałeś komunistyczne ubóstwo i szarzyznę.

Wracając do naszego milionerskiego, rozdętego od pychy hotelu, spotkaliśmy w westybulu chargé d'affaires ambasady polskiej, który poinformował nas, że z Japonii przyleciał Janusz Olejniczak.

– Jest zdenerwowany. Powiedział, że musi się z państwem natychmiast zobaczyć.

Odszukaliśmy go. Był potwornie zmęczony i zniechęcony, wręcz sponiewierany, lecz powitał się z nami jak z rodziną, ze łzami w oczach:

– Wy to macie fajnie, podróżujecie całą grupą, a ja wszędzie muszę latać sam.

– Już nie jesteś sam – mówię do niego. – Już dołączyłeś do grupy.

– Są inne kłopoty.

– Jakie?

– Ano – powiada – w tym bagażu z moim garniturem koncertowym otworzyła się jakoś pasta do zębów i zapaćkała go od góry do dołu, więc nie mam w czym grać, a prosto stąd lecę do Turcji.

Pokazał nam ten piękny jedwabny czarny garnitur, szyty na miarę i faktycznie upierdolony w całości. Co tu robić? Zaczęliśmy wraz z Dosią czyścić go suchymi szczoteczkami do zębów. Jakbym ja był chory i miał zafajdane buty, Janusz też by je czyścił.

Do poprawki próbowaliśmy wezwać kogoś z recepcji, ale oni tam w ogóle nie znają angielskiego. Nigdzie! Ani w najlepszych hotelach, ani w najlepszych restauracjach, gdzie w żaden sposób nie zamówisz obiadu i stukasz palcem w kartę na chybił trafił, zazwyczaj w jakieś gównno z małpy lub psa.

Bywało, że serce wystukiwało mi z radości fokstrota, kiedy Chińczyk bądź Chinka witali mnie płynnie:

– Good morning, sir. How are you?

Te dwa grzecznościowe zdania opanowali do perfekcji, lecz na tym koniec. Dalej była już tylko językowa chińszczyzna.

Pierwszy koncert zagraliśmy 11 maja w Forbidden City Concert Hall. Chryste Panie! W legendarnym Zakazanym Mieście.

Wcześniej widziałem ten niesamowity, trudno dostępny bastion Pekinu w monumentalnym, pasjonującym filmie Bertolucciego „Ostatni cesarz”. Przed występem pekińskie, specjalnie do tego celu szkolone hostessy obwiozły nas po tej najsędziwszej z sędziwych twierdzy małymi, śmiesznymi wózkami – nie na benzynę i nie na elektryczność, tylko na pedały siedzącego z tyłu rikszarza.

Forbidden City Concert Hall jest imponujący. I zarazem przytłaczający. Nie ze względu na wnętrze, lecz na audytorium. Pięć pierwszych rzędów zajmowała generalicja w mundurach – poważna, dostojna, o kamiennych twarzach bez uśmiechu. Dalsze miejsca okupowała normalna publiczność – miłośnicy jazzu i wszystkich innych gatunków muzycznych.

Karna to była w trakcie naszego występu widownia. Jeśli ktoś bez zezwolenia zaklasnął lub krzyknął, momentalnie był wyciszany. Aplauz można było okazać tylko wówczas, kiedy dała po temu znać generalicja.

Zupełnie inaczej wyglądał nasz drugi koncert, też w ramach Polish Culture Days, zorganizowany w studenckim kampusie. Tu, choć w tłumie czyhało z pewnością wiele czujnych uszu i oczu, nie było już atmosfery skrepowania i strachu ze względu na nieobecność mundurów. Wiedziałem, że jestem w Chinach dość popularny, nie sądziłem jednak, że aż tak bardzo. Co rusz ktoś krzyczał:

– Mi-cha! Mi-cha!

Odwracałem się, aby przynajmniej uśmiechem i skinieniem głowy podziękować entuzjaście, ale nikt jakoś nie reagował, a z innej strony znowu dobiegał mnie zachwycony wrzask:

– Mi-chał!

Wkrótce ku mojej rozpaczycy (he, he!) miało się okazać, że Mi-chał, czy też może Ni-hau, znaczy po chińsku „dzień dobry”.

W tym kampusie, w Peking University Centennial Commemorative Hall, grałem głównie swoje utwory: „New York Baca”, „Mazurka”, „Krakus”, „Manhattan Man”, przyjęty równie entuzjastycznie jak w wielu innych krajach świata, „UrbTime”, „Nirvanę” oraz „All Blues” Milesa Davisa, „Cats” Krzysztofa Komedy i „Song Of Poland” Henryka Wieniawskiego.

Towarzyszyli mi Krzys Pačan na basie, Sebastian Frankiewicz na bębnach i Marcin Masecki na fortepianie.

Tego ostatniego chciałem z początku zamordować. Niewątpliwie ciekawa z niego postać. Sześć miesięcy w roku spędza w Buenos Aires, drugie sześć w Warszawie i innych stolicach Europy. Skromny, wyciszony, ale gdzieś w środku ścichapek.

Oświadczył mi, skurwysyn, tuż przed wyjściem na scenę, że zapomniał czy też zgubił gdzieś plik nut, który mu wcześniej wysłałem, aby się przygotował do występu. Były to w końcu trudne kawałki, więc mówię, ledwo panując nad sobą, żeby nie posłać go do wszystkich diabłów:

– I jak ty, draniu, będziesz grał?

– Dam radę – odpowiedział grzecznie, z ledwie wyczuwalną dozą bezczelności.

– Już to widzę – syknąłem. – Może lepiej spakuj manatki i wypierdalaj.

Aon swoje:

– Dam radę, Michał. Luz blues, mamba samba.

I dodał, czym mnie rozbroił, po hiszpańsku: – No te preocupes,

hombre.

Potem, jak uderzył pierwszy akord, ujął mnie jeszcze bardziej. I tak już było do końca. Idealnie dostrajał się do każdego utworu – harmonicznie, rytmicznie i pod względem klimatu, który zawsze miał dla mnie kapitalne znaczenie. Muzyka bez określonego klimatu, choćby najwspanialsza technicznie, jest tylko głupim przebieraniem palcami.

Poza tym, czego dowiedziałem się od Dosi i co przyjąłem spokojnie, Marcin Masecki jest gościem z charyzmą. Tylko na mnie skupia się zazwyczaj uwaga widowni, tym razem jednak dzieliłem ją z Marcinem. Gdy grał, wpatrywano się w jego gesty i miny, i słuchano faceta zachłannie.

W Forbidden City Concert Hall, na tym koncercie z generacją, młode Chinki, pewnie dygnitarskie córki, chichotały cieniutkimi głoskami na widok moich portek w różne czarno-białe esy-floresy. Tu, u studentów, mój dość oryginalny strój przyjęty został z niebywałym entuzjazmem. Podobnie jak cały występ. Bez końca bisowaliśmy. Bez końca ściskaliśmy setki rąk i rozdawaliśmy autografy. Potem były bankiety, gady na talerzach i akwaria z jakimiś okropnościami, które mogłeś sobie wybrać wedle smaku i zapieć wężówką.

W samolocie z Helsinek do Pekinu powiedziałem Dośce, nienależącej raczej do kobiet wysokich:

– No, ty to się obkupisz.

Widząc jej pytające spojrzenie, dorzuciłem:

– Chiny to kraj małych ludzi.

Obkupiła się jak cholera! Nie myślała tylko o sobie, lecz i o mnie oraz licznej rodzinie i przyjaciółkach. Buty, sukienki, bluzki, spodnie, koszule i koszulki, wytworne szale z jedwabiu, w których chodzę i występuję do dzisiaj. Przy tym Dośka objawiła talent znakomitej handlarki. Istna targowica! Każdą cenę potrafiła zbić o trzydzieści, często i czterdzieści procent. Na starość, jak już nie będę mógł grać, otworzę z nią butik z pamiątkami po jazzowych bandytach.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY:

Swing z posłami

Wspominałem już, że w moich szczenięcych latach w Polsce jazz był tępiony, a w ZSRR uchodził za muzykę nędzy duchowej. Te rytmy, te stroje, te tańce, te wygibasy! Nabijał się z nich w jednej z kronik filmowych wybitny aktor Andrzej Łapicki. I oto w lipcu 2005 roku trafiłem do Sankt Petersburga i odważyłem koncert w jedynej chyba na świecie Filharmonii Jazzowej. Po rosyjsku to brzmi:

Gosudarstwiennaja Filharmonia Jazzowej Muzyki

A po angielsku:

JAZZ PHILHARMONIC HALL

Niektóre rosyjskie gazety przypomniały w entuzjastycznych recenzjach, jakie otrzymałem po petersburskich koncertach preradzających się kilkakrotnie w spontaniczne, szalone jamy z Rosjanami, że wcześniej, w Polsce, spotkał jazzmana Michała Urbaniaka niebываły zaszczyt występu w polskim Sejmie. To prawda.

Nie dziwi nikogo, kiedy do Białego Domu zaprasza się jazzmana, co często czynili niemal wszyscy dwudziestowieczni prezydenci USA. Przecież jazz, powtarzam do znudzenia, to jedyny amerykański produkt kultury, który nie ma korzeni w Europie ani na żadnym innym kontynencie. Żeby jednak w chopinowskiej Polsce zapraszać do czcigodnego gmachu przy ulicy Wiejskiej swingującego muzykanta!... I to w jakich okolicznościach! Przepisuję drukowany program:

Z okazji 170. rocznicy urodzin oraz 125. rocznicy śmierci Henryka Wieniawskiego w imieniu Sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu Przewodniczący Jerzy Wenderlich ma zaszczyt zaprosić na uroczysty koncert pod patronatem Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej Włodzimierza Cimoszewicza w dniu 10 marca 2005 r. o godz. 19.00 w Sali Kolumnowej Sejmu RP Wykonawcy:

KONSTANTY ANDRZEJ KULKA

przy akompaniamencie Andrzeja Tatarskiego

i MICHAŁ URBANIAK

z zespołem

Fragmety biografii Henryka Wieniawskiego czytają m.in.:

Izabela Jaruga-Nowacka

Marek Borowski

Ludwik Dorn

Krzysztof Janik

Waldemar Pawlak

Jan Rokita

*Otwarcia jubileuszowego koncertu dokona Marszałek Sejmu RP
Włodzimierz Cimoszewicz*

I dokładnie tak było.

Z Andrzejem Kulką łączy nas parę spraw. Po pierwsze, obydwaj nie należymy do osobników przesadnie szczupłych. Po drugie, jako dzieciaki mieliśmy wspólnego profesora, który najpierw uczył mnie w Łodzi, a potem jego na Wybrzeżu, gdzie musiał uciec niesłusznie posądzony o molestowanie dziewczyny, której matka zmiłną postawiła sobie za punkt honoru, że to jej córka będzie faworytną skrzypaczką profesora, nie ja. Mimo rozstania profesor pisywał czasami do mnie, a ja do niego. W jednym z listów wspomniał: mam tu, Michaś, utalentowanego wihajstra, Kostka Kulkę, z którego chyba wyrośnie niebezpieczny wirtuoz.

No i wyrósł! Nieskażony jazzem klasyk. W Sejmie zasował

kompozycje Wieniawskiego tak, że naprawdę można było się zachwycić. Zapowiadało go kilku posłów, a potem kilku posłów zapowiadało mnie. Tu muszę przyznać, że ja nie tyle grałem Wieniawskiego, ile własne, zainspirowane jego twórczością kawałki: „Mazurkę” i „Walcoberka”. Grałem, do ciężkiej cholery, jazz!

I nagle wypełniona do ostatniego miejsca Sala Kolumnowa zaczęła razem ze mną swingować. Posłowie, ich rodziny, goście kiwali się z boku na bok, klaskali do taktu, przytupywali, ktoś nie mógł wytrzymać i wrzasnął, a inny znowu kichnął nieobyczajnie, wywołując falę śmiechu.

Po koncercie zbieraliśmy wraz z Kulką gratulacje: on za wierność każdej nucie Wieniawskiego, ja za jazzowe odstępstwo. Słyszałem:

– Nigdy bym, panie Michale, nie pomyślał, że można w ten sposób interpretować mistrza.

– Bardzo oryginalne podejście do sprawy, no, no!

Słuchałem z prawdziwą przyjemnością.

Ale najbardziej pochlebiła mi opinia młodej, przystojnej posłanki.

– Michaś – powiedziała zalotnie, wpatrzona w mój suty jedwabny szal. – Nie sędzę, aby Wieniawski przewrócił się w grobie. On zaczął w grobie tańczyć.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY:

Hej tam pod lasem

Zacząłem zaniedbywać saksofon i czuję się z tego powodu podle. Codziennie patrzę na tę cudowną srebrną faję leżącą na parapecie i wygłaszam do niej grafomańskie monologi.

– I'm sorry, amigo, very sorry! Zdradziłem cię, ale nie mam już siły dmuchać. Wciąż jesteś moją wielką, dozgonną miłością, lecz chwyciła mnie impotencja i nie mogę sprostać twoim wymaganiom. Wybacz! Może w innym wcieleniu. A może odzyskam zdrowie i stać mnie będzie na przyzwoite zadęcie. Tak czy owak wciąż cię pragnę i być może nadejdzie dzień, kiedy znowu na tobie zaśpiewam.

Organizatorzy, oj, boli serce! Boli! Nie zapraszają mnie już na pojedynki wielkich saksofonistów i wielkich trębaczy. Wciąż za to otrzymuję zaproszenia na światowej rangi imprezy skrzypcowe. Jedną z nich był w sierpniu 2006 roku Menuhin Gstaad Festival w Szwajcarii.

Przyjechało sześciu skrzypków: dwóch Cyganów, dwóch jakichś innych cwaniaków, Hindus o cierpiętniczej twarzy fakira, który powstał przed chwilą z najeżonej gwoździami deski, i ja, Michał Urbaniak, reprezentujący Stany Zjednoczone, bo wszyscy pamiętają, że byłem jedynym skrzypkiem u Milesa Davisa.

Dziwny to był festiwal. Graliśmy każdy z osobna i wszyscy razem przeróżne rodzaje muzyki. Orkiestra, znakomita skądinąd, nie zawsze mogła za nami nadażyć, my zaś, całą szóstką, ładowaliśmy tak, jakbyśmy przyszli na świat w tej samej kołysce. Romowie powtarzali bezbłędnie moje najbardziej skomplikowane frazy, ja zaś chwytalem momentalnie każdy makabryczny pasaż Hindusa, który momentami grał poza europejską skalą, wedle jakichś egzotycznych, alterowanych gam.

Nie pamiętam już, czy był to konkurs z nagrodami, ale moim zdaniem zwyciężył gruby Cygan, na którym zalegało nie tylko zbyt dużo tłuszczu, lecz również drogich perfum i złota. Uściskałem go. Powiedziałem:

– Byłeś wspaniały!

Skłonił się z godnością i odparł:

– Wielki to dla mnie zaszczyt usłyszeć takie słowa z ust Michała Urbaniaka!

– Nie wygłupiaj się! Masz nieprawdopodobną technikę i ogromne serce. Jak się ciebie słucha, chce się płakać. Gdzie się nauczyłeś tak grać?

– W taborze.

„Jadą wozy z Cyganami” to świetna piosenka, lecz mnie zadźwięczały w uszach zupełnie inne, zapamiętane z dzieciństwa zwroty, wyrykiwane grzmiącym barytonem przez uchlanego, zawsze szczęśliwego furmana rozwożącego w podłódzkiej dzielnicy węgiel:

Hej tam pod lasem
Coś błyszczy z daala
Banda Cyganów
Ogień rozpala!
Ums tadi-radi,
Bums tadi-radi,
Ums tadi-radi,
U cha-cha!
Ums tadi-radi,
Bums tadi-radi,
Ums tadi-radi,
Bum!

Przez grzeczność nie zapytałem go, czy zna nuty. Zbyszek Namysłowski grał kiedyś z fenomenalnym gitarzystą, który ich nie znał. Podobno jeden z trzech genialnych tenorów też ich nie zna, a i Maria Callas miała z nimi kłopoty. Tam, gdzie wchodzi w rachubę otrzymany od Boga supertalent, nuty są niepotrzebne.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI:

Na cześć Obamy

Sporo czasu minęło, a ja ciągle ocieram łzy. Ilekroć widzę w telewizji film ze zdrowymi jeszcze nowojorskimi bliźniakami, świat wywraca mi się do góry nogami. Jestem niby warszawianinem i łodzianinem. Ale jestem również z krwi i kości nowojorczykiem, który spędził i dalej spędza na Manhattanie trzy czwarte życia.

Bliźniaki, każdy sto dziesięć pięter, jeden wyższy od drugiego o kilka centymetrów, a może nawet o kilka centymetrów i jeszcze parę milimetrów, wbiły się w moją świadomość, moją pamięć i moje serce niczym obraz, który wisi trzy metry od łóżka na ścianie i który, chcesz czy nie chcesz, musisz codziennie oglądać.

I nagle nie ma bliźniaków! Nie ma! Zginął centralny fresk Boga w Kaplicy Sykstyńskiej. Zapadła się w piach piramida Cheopsa. Runęła wieża mariacka. Śmiertelnie okaleczone miasto straciło główny punkt orientacyjny, dzięki któremu zawsze gdzieś mogłeś trafić, podobnie jak w Warszawie za sprawą nielubianego Pałacu Kultury pijak czy wieśniak znajdzie Dworzec Centralny.

Podwójnie cierpię w każdą rocznicę nowojorskiej masakry. W PIĄTĄ, 11 września 2006 roku, grałem ze swoim czarnym zespołem Urbanator w warszawskim parku Sowińskiego. Prezydentem stolicy był wówczas Lech Kaczyński, od którego nie otrzymaliśmy jednakże finansowego wsparcia. Bardzo pomogła nam natomiast ambasada amerykańska, zarówno w sferze moralnej, jak i materialnej, oraz Ośrodek Kultury im. Stefana Żeromskiego.

Moje występy – nieważne, z małymi kapelami czy też wielkimi orkiestrami symfonicznymi, z którymi uwielbiam koncertować – zawsze miały jakieś akcenty wesołe, nawet humorystyczne: pojedyncze grepsy, gesty, słowne i muzyczne żarty. Tym razem żałobny wiec, na który ku naszemu zaskoczeniu przyszło sześć tysięcy ludzi, toczył się w podniosłej atmosferze cmentarnej nieomal powagi.

Kilkakrotnie zaśpiewała z nami Ladora Knight, szefowa

nowojorskiego chóru gospel. Afroamerykanka. Kobieta nieprawdopodobnej tuszy, przy tym jednak niezwyklej urody. Śpiewała tak pięknie, tak wstrząsająco, że płakało nie tylko wiele osób z widowni, lecz również niektórzy muzycy z towarzyszącej nam jak zwykle orkiestry AUKSO.

Ladora w czasie zamachu była w Nowym Jorku i straciła pod gruzami WTC kogoś bliskiego. Opowiedziała o tym warszawiakom z ogromnym napięciem i wzruszeniem, jakby wciąż miała przed oczami ten apokaliptyczny obraz i jakby zdarzył się on nie przed pięcioma laty, lecz wczoraj.

Po koncercie odwiedził nas za kulisami amfiteatru urzędujący premier Kazimierz Marcinkiewicz ze świtą. Przyszli z gratulacjami ambasador Stanów Zjednoczonych Victor Ashe i nasz kochany przyjaciel Janusz Olejniczak.

Nigdy nie przypuszczałem, że nim w tej książce stanie ostatnia kropka, ofiary i rodziny ofiar nowojorskiej masakry otrzymają choćby częściowe zadośćuczynienie. Ale stało się tak!

1 maja 2011 roku, w dniu beatyfikacji Jana Pawła II, na czołówki gazet, serwisów radiowych i wiadomości telewizyjnych wdarła się sensacyjna, niewiarygodna wprost relacja o brawurowym ataku amerykańskich arcykomandosów na pakistańską twierdzę Osamy ben Ladena. Nieuchwytny przez niemal dziesięć lat naczelnny boss islamskiego terroryzmu zginął.

Zachodni świat odetchnął. Żadna śmierć nie powinna wywoływać euforii, trudno jednak dziwić się nowojorczykom i milionom mieszkańców innych doświadczonych przez bojówki ben Ladena metropolii, takich jak Madryt czy Londyn, że przyjęli tę wiadomość z nieukrywana, demonstracyjną radością.

Jest to z pewnością wielki sukces pierwszego czarnoskórego prezydenta USA Baracka Obamy. Będzie to w mojej karierze piąty prezydent, przed którym zagram. Nie mam żadnych wątpliwości. Skomponowałem już na cześć Obamy wspaniały kawałek. Teraz czekam tylko na odpowiednią okazję, aby skompletować zespół i wykonać go w Białym Domu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI:

Jeszcze raz się udało

W październiku 2006 roku znakomity polski reżyser Krzysztof Krauze, twórca głośnego filmu „Dług”, zaprosił mnie do programu telewizyjnego poświęconego jego życiu i twórczości. Nawiasem mówiąc, za muzykę do „Długu” w 1999 roku otrzymałem w Gdyni Złote Lwy, więc może i to było powodem zaproszenia. Zrodziła się między nami w każdym razie swoista więź artystyczna, która trwa do dzisiaj, i gorąco wierzę, że jeszcze kiedyś coś z tego wyniknie.

Kiedy zgasły rozpalone do białości światła jupiterów i wyszliśmy na wąski telewizyjny korytarz, Krzysztof zapytał, kiedy spotkamy się znowu na jakiejś miłej kolacyjce.

Spojrzałem na Doškę z myślą, że można by to zrobić od razu, lecz ona mówi:

– Gdzieś za trzy tygodnie, jak tylko wrócimy z Trondheim.

Dalej zaskakujący dialog toczył się następująco:

– Lecicie do Trondheim?

– Tak.

– My też tam lecimy.

– Kiedy?

– W najbliższy czwartek.

– To tak samo jak my.

– Przez Amsterdam?

– Jasne. Przez Amsterdam.

– Spotkamy się więc na pokładzie samolotu.

No i spotkaliśmy się. I to wcześniej, bo już na lotnisku. Ja, Dosia, Krzysztof, jego żona Joasia Kos-Krauze oraz Krzysztof Ptak, świetny operator, autor zdjęć do filmu „Mój Nikifor”, z którym cała trójka leciała do Trondheim na uroczysty pokaz.

Na Okęciu trudno mi było minąć bramkę, gdyż bez przerwy brzęczała. Wszyscy dawno już przeszli, a ja wciąż wracałem, ściągając z szyi jedną komórkę, drugą, trzecią, iPoda, dyktafon, laptop, klucze, srebrne ćwierćdolarówki, zabłąkane gdzieś metalowe pióra i długopisy, a kopyta jak nie było, tak nie było. Więc przepuścili mnie wreszcie bez wkładania palca w odbył.

Po krótkim postoju w Amsterdamie wylądowaliśmy szczęśliwie w norweskim Trondheim. Mówiąc słowami Makiego, jeszcze raz się udało.

Zakwaterowali nas wszystkich w luksusowym hotelu Britannia. Dostałem z Dosią iście królewski apartament na drugim piętrze. Salon, sypialnia z łóżem tak wielkim, że mogłyby się kochać wielbłądy, oraz ogromna, przepyszna łazienka z wanną – do której wlałem i jak nacisnąłem guzik, przestałem nagle widzieć, bo spowiły mnie kłęby piany.

Gdy wydobyłem się wreszcie z tej kipieli ku zachwytowi zaśmiewającej się Dośki, do apartamentu wkroczył kelner z zamówioną wcześniej kolacją – wołowiną z zapiekanymi kartofelkami i sałatką z krewetek. Był to niemłody już pan, dystyngowany, wytwornie ubrany, z włosami, jakby ktoś sygnął na nie opiłkami srebra, i z twarzą, jakiej nie powstydziliby się monarcha czy prezydent. Zdziwiła mnie uporczywość jego spojrzenia. Wpatrywał się w moje oczy nie tyle beczelnie, ile z niejakim wyrzutem. Odezwał się wreszcie:

– Nie poznajesz mnie, mistrzu?

Odparłem dyplomatycznie:

– Coś sympatycznego kołata się w zakamarkach mojej pamięci.

– Tutaj, w tym samym hotelu, służyłem ci przed trzydziestoma pięcioma laty, jak grałeś w Britannii.

Wtedy otworzyła mi się kłapa i ni to stwierdziłem, ni to zapytałem:

– Justen?

– No, Justen, Justen.

– Och, stary. Świetnie wyglądasz.

– Ty też.

I uściskałem dawnego towarzysza broni, choć klezmerskie porzekadło prawi: jak świat światem, kelner nie był muzykowi bratem.

Od tej pory Justen, nie zaniedbując swoich kelnerskich obowiązków, był przez tydzień naszym oddanym przyjacielem. Wkrótce zresztą miał zostać honorowym gościem na moim koncercie w ramach Trondheim Jazz Festival, co napawało go niebywałą dumą.

Nim jednak doszło do koncertu, zaproszony oficjalnie przez organizatorów Ernsta-Wiggo Sandbakka i Rune Holmego prowadziłem codziennie z młodzieżą norweską warsztaty jazzowe, tak zwane workshopy.

Trzy dni trwały te moje profesorskie zajęcia. Norwegowie, podobnie jak Szwedzi, są cholernie utalentowani jazzowo, w przeciwieństwie do takich na przykład Niemców, kochających skądinąd swingujące kapele, czy Hiszpanów, którym wystarcza rajc flamenco, fandango czy sevillany.

Uczyłem zatem owych młodych Norwegów – pianistów, basistów, skrzypków, perkusistów, saksofonistów, z których jeden zakrawał na duży talent, i gitarzystów – prawdziwego, czarnego grania.

Rano w restauracji, gdzie występowałem przed wieloma laty,

celebrowaliśmy śniadania z małżeństwem Krauze i Ptaszkim. W porach obiadowych i wieczorami, w tym samym składzie, spotykaliśmy się w moim apartamencie, aby pochłaniać kopy norweskiego kawioru – czerwonego, czarnego i białego.

Joasia Krauze, która moim zdaniem jest absolutnie najlepszą kucharką na świecie, stwierdziła autorytatywnie, że kawior norweski niczym nie ustępuje swojemu astrachańskiemu imiennikowi. I dla odmiany podawała na stół łososia.

Każda z tych muzyczno-filmowych imprez aż buzowała od humoru. Ptaszek opowiedział, jak to zakochał się śmiertelnie w pewnej nad wyraz urodziwej blondynce i poszedł z nią na pierwszą i zarazem ostatnią randkę. Dziewczyna przywdziała elegancki biały golf, no i wypiuwszy jakiegoś egzotycznego drinka, bodajże mieszaninę pieprzówki z miętówką, zasiadła u boku Ptaszka na premierze głośnego filmu. Kiedy akcja owego arcydzieła osiągnęła punkt szczytowy, blondynkę zemdlilo i wyrzygała się pogodnie na ten szpanerski jedwabny golf. I potem Ptaszysko w żaden sposób nie mógł już jej pocałować.

Ja z kolei opowiedziałem, jak to trzydzieści pięć lat temu, w tym oto czcigodnym hotelu Britannia, miałem przygodę z grającym ze mną Wojtkiem Karolakiem. Otóż pewnej jałowej nocy postanowiliśmy urozmaicić ją trochę.

Są dwie wersje tej awantury. Wojtek twierdzi, że ja zapragnąłem raptem seksu, natomiast wedle mojej opinii Karolak poszukiwał gorączkowo inspiracji do swojej suitry jazzowej „Rusz się, brachu”.

Tak czy owak wypełziliśmy na czworakach w czeluść korytarza i w poszukiwaniu płci pięknej zaczęliśmy otwierać drzwi do okolicznych numerów.

Norwegia była wówczas i chyba jest dalej krajem bezpiecznym. Rabunki prawie się nie zdarzają, więc nikt nie zamyka się na noc, ani w domach prywatnych, ani w hotelach, a już na pewno nie w Britannii. Wczołgivaliśmy się zatem aż po krańce łóżek, podwijaliśmy kołdry i przyglądaliśmy się stopom.

– Kurwa! – szeptaliśmy do siebie, gdyż były to za każdym razem męskie giry, albo owłosione po kostki, albo parujące podejrzanym aromatem niewiele mającym wspólnego z piątką Chanela.

Dopiero przy dziesiątym podejściu trafiliśmy do raję. Spod kołderki wystawały kusząco zgrabne, szczupłe nóżęta o pomalowanych na czerwono paznokietkach. Wojtek zaczął całować zachłannie lewą stópkę, ja prawą. Wówczas stało się coś potwornego. Z posłania dźwignęła się do pozycji siedzącej leciwa dama, której upiorna, pozbawiona makijażu twarz oscylowała w granicach siedemdziesiątki, a pomarszczone jak wysuszona śliwka wargi jęknęły rozkosznie:

– Och, jak dobrze, chłopaki! Jeszcze, jeszcze!

21 października, w wypełnionej po brzegi sali, zagrałem z moimi studentami dwuczęściowy koncert. Najpierw z kwintetem: Espen Berg, Rune Nergard, Henning Carlsen, Jorgen Mathisen i Martin Hogberg. Liderowałem im z ogromną satysfakcją na skrzypcach. Cała ta piątka otrzymała burzliwe brawa i z tego, co wiem, wszyscy są dzisiaj świetnymi, znanymi muzykami.

W drugiej odsłonie poprowadziłem kwartet smyczkowy: Erling Skauffel, Adrian Tingulstad, Jonatan Sjolin i Sofie Svensson. Z nimi też grało mi się bardzo dobrze i bardzo dobrze reagowała publiczność, wśród której przykuwała uwagę czcigodna sylwetka pani konsul i rozanielona, wniebowzięta twarz Justena, honorowego gościa Trondheim Jazz Festival.

Po koncercie podszedł do mnie młody, cholernie uzdolniony skrzypek, który zagrał w tej imprezie z inną grupą. Był wyraźnie wzruszony. Powiedział:

– Mistrzu, panie Michale Urbaniak! Od lat jestem pana zagorzałym wielbicielem i nigdy nawet nie marzyłem, że będę miał zaszczyt uścisnąć panu rękę.

Był shakehand. Ja też się szczerze wzruszyłem. Ale prawdziwe wzruszenie dwóch skrzypków miałem dopiero przed sobą.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY:

Krasnoludki w mleko szczają

Pewnego dnia, dekadę temu, wylądował w Polsce absolutnie fantastyczny gość Nigel Kennedy, angielski skrzypek, uczeń Yehudi Menuhina, absolwent nowojorskiej Juilliard School.

Już w Stanach, choć nie znałem go jeszcze, dużo o nim słyszałem, a on jeszcze więcej słyszał o mnie, bowiem podczas studiów regularnie odwiedzał jazzowe kluby w dole Manhattanu, ze szczególnym uwzględnieniem Blue Note i Village Vanguard.

Był na wielu moich koncertach, ale nie podchodził, jak to dobrze wychowany Anglik, młodszy w dodatku ode mnie o trzynaście lat. Ale nasze szlaki muzyczne miały ze sobą wiele wspólnego. Drogę do kariery otworzyły Kennedy'emu wspólne występy ze Stéphane'em Grappellim, z którym ja również grałem: dwukrotnie w Paryżu i raz w Nowym Jorku. Poza tym obydwaj byliśmy otwarci na muzykę wszelkiego rodzaju. Ja, gdyby zaszła konieczność, mógłbym poćwiczyć i zagrać każdy utwór klasyczny z kapryсами Paganiniego włącznie, Kennedy wykonuje utwory Bacha i Vivaldiego, standardy jazzowe oraz rockowe szlagiery Jimiego Hendrixa.

Ja ubieram się podobno czasami jak wariat, Nigel, do czego jeszcze wróć, wylansował sylwetkę zdziwaczałego punka wirtuoza.

Jeśli chodzi o markę klasycznych koncertowych skrzypiec, Kennedy bije mnie na głowę. Pozostał mi na pamiątkę w domu żaloszny szkielet instrumentu, który należał kiedyś do Ministerstwa Kultury, lecz bezwzględna i nieustępliwa w moich sprawach matka drogą łapówek i perswazji wykupiła go od komunistycznego resortu. Było to dzieło francuskiego, dziewiętnastowiecznego lutnika A la Ville de Turtot.

Tymczasem Nigel gra na osiemnastowiecznych skrzypcach Guarneriego i na stradivariusie zapisanym mu w testamencie przez milionerkę i zaprzysięgłą wielbicielkę muzyki Dorothy Jeffries z adnotacją, że po zakończeniu kariery przekaze go innemu młodemu i utalentowanemu skrzypkowi.

Kennedy na wzór Milesa Davisa gra często plecami do publiczności wraz z odkapslowaną butelką mocnego piwa. Obecnie jest tak zwanym gościnnym dyrektorem Filharmonii Krakowskiej i kierownikiem artystycznym Polskiej Orkiestry Kameralnej. Można by więc błędnie pomyśleć, że przyjechał do Polski za pracą. Nic takiego! Miał dziewczyny na całym świecie, mógł ożenić się w Wielkiej Brytanii, w Paryżu i Nowym Jorku, a on zakochał się w pięknej, młodej krakowiance Agnieszce, współorganizatorce jego tras i koncertów, i pobrał się z nią w jakimś góralskim kościółku. Przyjechał zatem do Polski nie za pracą, tylko „za miłością”, i zamieszkał na stałe w Krakowie przy ulicy Floriańskiej, choć wolny czas spędza również z Agnieszką w swojej brytyjskiej posiadłości w Malvern, hrabstwo Worcestershire.

Kibicuje Cracovii, bowiem jak każdy Angol kocha piłkę nożną, i bacznie śledzi wyniki ukochanego klubu Aston Villa.

Ja, Michał Urbaniak, nie jestem na punkcie piłki nożnej aż tak zwariowany, choć także kocham sport, szczególnie tenis, lecz również baseball i brutalny zdaniem Polaków futbol amerykański, a pojedynki Barcelony z Realem Madryt to nie jest sport. To jest perła sztuki.

Poza tym przy ogromnych podobieństwach różni mnie jeszcze od Nigela to, że grałem i zawsze chętnie zagram w Izraelu, natomiast on konsekwentnie bojkotuje ten kraj. Ostro wypowiedział się na ten temat:

„Dopóki praktykowana przez to państwo polityka apartheidu nie zostanie zniesiona – nie zamierzam dać tam ani jednego koncertu. Przecież Palestyńczycy traktowani są we własnym kraju tak samo jak czarnoskórzy obywatele RPA przed 1994 rokiem. Izrael słynie z tego, że nie wolno tam wykonywać Wagnera ze względu na jego rzekome związki z niemieckim nazizmem. A wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby ktoś spróbował w tamtejszej filharmonii zagrać muzykę palestyńską. To najbardziej nacjonalistyczne państwo współczesnego świata”.

Kilka lat temu byłem na występie Nigela w Warszawie z Wielką Orkiestrą Filharmonii Narodowej. Ależ to był cyrk! Muzycy

wypieszczeni, czarno-biała tonacja, widownia wypieszczona, czerń, biel, garnitury, smokingi, najlepsze suknie, najwspanialsze fryzury. Nawet ja, choć ubrany po swojemu, „na Urbaniaka”, założyłem elegancką apaszkę i najlepsze trampki, a paznokcie ogryzałem ukradkiem. No i bęc! Buch! Jakby powiedział Mroźek: my tu, towarzysze, gadu, gadu, a tu nam krasnoludki w mleko szczają.

Szok!

Obok wyfraczonego dyrygenta wychodzi zamasyście na scenę ten krnąbrny geniusz. Niewysoki, szczupły, trochę jakby żyłasty. No i w czym on, sukinkot, wychodzi na tę scenę? Zielona brokatowa marynarka, przykrótkie, jak i u mnie, portki, bikiniarskie skarpety, buty na koturnie...

– Spoks! – szepnęłyby pewnie uroczy Amerykanin z Radia PiN Michael Moritz. – Nie wziął piwa.

Skronie wygolone miał jednak do połysku, a na głowie irokeza.

Młodsza część widowni przyjęła to ze zrozumieniem, ze śladowym poczuciem humoru, ale wapniaki zeszywniały pośmiertnie ze zgrozy i oburzenia. Słyszałem szepty i uwagi:

– Skandal!

– To już doprawdy przesada!

– Brak szacunku – mruzczała jakaś zaprzysięgła konserwatystka o indyckiej szyi i rozedrganym podgardlu. – Kompletny brak szacunku!

– To ja, panie tego, ubieram się galowo i przyjeżdżam z Sochaczewa, żeby nieco podciągnąć kulturę i uzupełnić, panie tego, braki, a tu gramoli się na podium jakoweś straszidło – utyskiwał odsztyftowany grubas o facjacie zamożnego restauratora.

A potem „wielki pan dyrygent” machnął pałą i cyrk dalej rozwijał skrzydła. Nigel zaczął kosić koncert skrzypcowy Edwarda Elgara, na guarnerim chyba, który jego zdaniem jest jeszcze odrobinę lepszy

od stradivariego.

Wyprzedzając fakty: najwybitniejsi krytycy ze wszystkich krajów uznali później, że było to mistrzowskie, zdecydowanie najwspanialsze wykonanie Elgara, jakie kiedykolwiek słyszał świat. Ale jak cyrk, to cyrk.

Przy skomplikowanych, trudniejszych pasażach Nigel przytupywał nogą. Z rozmachem. Z płaskiej stopy i z obcasa. I tego już Krzysztof Penderecki nie mógł strawić. Wstał, odęty swoim dostojeństwem i godnością, i opuścił salę.

Nawiasem mówiąc, trafiłem na ten koncert zaproszony osobiście przez Elę Penderecką, żonę kompozytora, która oprócz wielu imprez, na jakie wyciągała pieniądze z Ministerstwa Kultury, chciała jeszcze chwycić trochę grosza na równoczesny występ trzech skrzypków: Kennedy'ego, Brodskiego i Urbaniaka.

Koncert zakończył się wielkim i zasłużonym triumfem Nigela. Prawdziwy szal zachwytu i uwielbienia.

– Bis!

– Bis!

– Bis!

Ze trzynaście razy chyba wychodził.

Nieprzychylna mu konserwatystka i sochaczewski restaurator też przyłączyli się do aplauzu.

Co do mnie, nie odwiedziłem Nigela za kulisami, aby mu pogratulować. Nigdy nie pcham się tam, gdzie mnie nie proszą. Wszystko więc było przed nami.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY:

Nigel Kennedy przede mną przykłęka

W przeddzień występu zespołu Urbanator, w skład którego wchodziłi moi czarni nowojorscy bracia, rozbijające jazzowych barier, w tej samej łódzkiej hali Wytwórnia grał właśnie Nigel Kennedy.

Czułem i wciąż czuję sentyment do tego szalonego, absolutnie fenomenalnego wirtuoza skrzypiec, więc poszedłem z Dosią, aby go posłuchać, tym razem w jazzowej odsłonie. Towarzyszyli mu polscy muzycy, z których – bardzo przepraszam! – zapamiętałem tylko tenorzystę Tomka Grzegorskiego oraz Krzysia Dziedzica, ulubionego polskiego perkusistę Nigela.

Siedzę zatem z Dosią i z moimi czarnymi chłopakami w jednym rzędzie. Są: Troy Miller – drummer, Otto Williams – basista, Xantoné Blacq – wokalista i keyboardzista, oraz David Ital – gitarzysta.

Nigel obciąża na strunach, a kiedy puszcza saksofon na solówkę, ktoś tam coś szepcze mu do ucha. Widzę utkwione w siebie spojrzenie geniusza. Robi smyczkiem gest, zapytując bezgłośnie:

– Masz skrzypce?

Kiwam głową:

– Mam.

Przywołuje mnie ręką:

– To chodź. Chodź tu do nas.

Dwa miesiące wcześniej, w Królikarni, zostałem ciężko pobity, ale przy pomocy Nigela wgramoliłem się jakoś na scenę. I zaczęliśmy grać vampa. Vamp to taki niezobowiązujący rodzaj jazzowego grania, bez ustalonej linii melodycznej i funkcji harmonicznyc. Pianista na przykład uderza akord, a ty improwizujesz w ramach tych nut, albo odwrotnie: ty lecisz przodem, a pianista i cała sekcja rytmiczna podążają za tobą,

goniąc cię niejako.

Oj, gonili nas! Gonili! Nie ma co się oszukiwać: Nigel jest o wiele sprawniejszy ode mnie technicznie. Przy czym drań czuje swing, potrafi swingować, co muzykom wykonującym klasykę i rocka zdarza się nader rzadko. Ba, nawet sławni jazzmani, na przykład ze stajni ECM, pozbawieni są czasem tego daru.

Grało nam się razem znakomicie. Nie był to pojedynek dwóch skrzypków, jak to bywało i bywa wśród trębaczy, lecz raczej dialog, rozmowa dwóch facetów grających na tym samym instrumencie. Ja powtarzałem frazy Nigela, Nigel moje. Chwilami przekomarzaaliśmy się trochę, chwilami stroiliśmy żarty.

Rajc był jak cholera. Podkrecona publika wpadła w trans, śmigając za nami po wirażach: piski, wrzaski, jęki i omdlenia, jak u Beatlesów. Błyskały flesze, furkotały kamery, komórkowcy oblegli estradę i roztrącając się łokciami, robili zdjęcia. Jakiś żulowaty meloman, przewidziawszy, że zaistnieje konieczność, odpalił na wiwat petardę.

Nagle stało się coś, co do dzisiaj wprawia mnie w zakłopotanie. Nigel przykleknął przede mną. Siłą rzeczy porównuję to z arogancją polskich muzyków, z których co najmniej połowa życzy mi, abym popadł w artystyczną impotencję.

– Szczuć na frajerów – mówi Maki. A przecież dla wszystkich jestem grzeczny. Jeśli ktoś okazuje mi szacunek, ja odwzajemniam go podwójnie. Nie było, abym odmówił komuś pomocy czy rady. I w przeciwieństwie do innych, dużo gorszych graczy, nie zadzieram nosa.

Moi czarni rozkuwacze jazzowych kajdanów, co stwierdzam z ogromną satysfakcją, stanęli na wysokości zadania. Skrzypce nigdy nie były w Stanach popularne: znany był niewątpliwie Stuff Smith, a oprócz niego dwóch jeszcze fiddlerów: Stéphane Grappelli oraz ja, w pewnej mierze dzięki Milesowi. Lecz arcywybredne czarne Urbanatory momentalnie zaakceptowały Kennedy'ego. Troy, Otto, Xantoné i David wzięli go w kółko i zaczęli klepać po plecach.

– OK man!

– Dobrze walisz.

– You are white but... black.

– Jak ta whisky, te dwa pieski – zaśmiewał się zadowolony skrzypek. – Black and White. I wypytywał chłopaków, gdzie grają, co grają, dlaczego grają. Był jednak zbyt delikatny, aby zapytać, za ile grają.

Sam jest przecież ciężkim milionerem. W Łodzi nie kupisz dzisiaj wytrawnego, choćby tylko krymskiego szampana. Są tylko słodkie i półsłodkie bełty. Nigel natomiast wytoczył skrzynkę – powtarzam: skrzynkę! – najlepszego szampana francuskiego Moët & Chandon. I zaczęliśmy się zachlewać. Czarni bracia z umiarem, ja z Nigelem na całego.

I znowu dały znać o sobie łączące nas podobieństwa. Nigel zgubił gdzieś skrzypce, które ja też wielokrotnie gubiłem wraz z ukochanymi saksofonami, komputerami, kartami kredytowymi i tysiącami dolarów.

Te skrzypce Kennedy’ego, znakomitej angielskiej roboty, miały pięć strun, wedle mojego projektu, który wymyśliłem w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Rozszerzały one skalę instrumentu o kwintę w dół, zatem brzmiały chwilami jak altówka. Klasyczny oraz każdy inny czterostrunowy skrzypek nie potrafi na nich zagrać. Nigel potrafi i jest to kolejna nasza wspólna umiejętność. Zresztą w światowym języku muzycznym nie funkcjonują już one jako skrzypce, lecz jako violectra.

Pamiętam, że szukając ich, jakiś bęcwał zagadnął mnie bezczelnie:

– Całe szczęście, że nie był to ani guarneri, ani stradivarius. Ciekawe, gdzie on te cacuszka przechowuje.

Wściekłem się wówczas. Ryknąłem:

– Nie wiem i nic nie chcę wiedzieć! Nie chcę nawet o tym słyszeć! Od... wal się pan!

Nigel nie opłakiwał specjalnie violectry, bo miał jeszcze w zapasie sześć innych, identycznych egzemplarzy. Ja, żeby znowu wybiec trochę w przyszłość, też mam sześć i teraz, w maju 2011 roku, oczekuję na siódmy, skonstruowany przez Sławka Gańca, lutnika ze Szczecinka. Oglądałem już to piękne dzieło sztuki w internecie.

Nigel Kennedy, z którym później spotykałem się jeszcze parokrotnie, znalazł bodajże swoją zgubę i nazajutrz rozplynał się w powietrzu. Był i jakby go nie było. A mnie bolało biodro i wieczorem czekał mnie występ z Urbanatorem.

Ta pieprzona Królikarnia!

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY:

Przyczajone Krzywe Oko

Nie mogłem odmówić i poszedłem tam zagrać z Tatianą Okupnik na imprezie „Playboya”. Z Królikarni przy ulicy Puławskiej jest przepiękny widok na Warszawę i na Wisłę. Więc jak już trochę pograłem i trochę popiłem, pomaszerowałem na bok, aby spokojnie zadzwonić do mojej pierworodnej córki w Nowym Jorku Kasieńki.

Piszę to ku przestrodze wszystkich znanych ludzi: muzyków, aktorów i występujących w telewizji dziennikarzy. Na każdej publicznej imprezie, w każdym kraju, jest Krzywe Oko.

Krzywe Oko może należeć do pospolitego złodziejaska albo wytresowanego rabusia. Może należeć do zazdrosnego męża, do zawistnego konkurenta w sztuce, do oponenta politycznego, do psychopatycznego bandziora albo mordercy.

Krzywe Oko jest cierpliwe, ma czas. Nigdzie mu się nie spieszy. Sączy piwo, ale zachowuje trzeźwość, wiedząc, że na ostrą banię przyjdzie kolej po wykonaniu roboty.

Przyczajone w tłumie Krzywe Oko wypatruje ofiary. No i wypatrzyło akurat mnie.

Na tym ustroniu z malowniczym spojrzeniem na Warszawę, nim jeszcze zdołałem połączyć się z Kasią, otrzymałem pierwszy cios.

Mógłbym zastosować chwyt odwetowy, ale nie mam w tym fachu żadnego doświadczenia. Nigdy w życiu nie biłem się z żadnym mężczyzną, nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Otrzymałem zatem całą serię innych, morderczych ciosów: w korpus, w klatkę piersiową i w twarz. A potem była już tylko ciemność. Nie pamiętam, kiedy napastnik zerwał mi z szyi pęczek telefonów komórkowych.

Ocknąłem się następnego dnia w szpitalu, który zatelefonował na Żelazną, i kiedy otworzyłem ostrożnie lewe oko, zobaczyłem nad sobą Dosię. Przerażoną Dosię. Zszokowaną Dosię. O co tu chodzi, do kurwy

mamy – pomyślałem. Połamane żebra były już obandażowane, dolna i górna powieka prawego oka były już zszyte. Ból promieniował z każdego centymetra mojej zmaltretowanej powłoki.

Po instrukcjach lekarzy zostałem odwieziony do domu. Nie widziałem jeszcze swojej gęby. Ale Dosi zrobiła mi zdjęcie i klnę się na honor, że Al Pacino poturbowany przez skorumpowanego policjanta w „Ojcu chrzestnym” wyglądał przy mnie jak chłopaczyna po ulicznej bójce.

Było, minęło. Niepokoił mnie wszakże nieustający ból prawego biodra. Nie mogłem grać na stojąco, nie mogłem spacerować, źle sypiałem. Coś mnie rwało, coś kłuło i piekło, coś rozszarpywało na kawałki. Niewykluczone, że miał na to wpływ mój upadek przy pobiciu w Królikarni. Zapatrzyłem się również w mojego ukochanego Armstronga, który z właściwą sobie pogodą ducha oświadczył dziennikarzom: – Jak nie mogę być bogaty, to będę przynajmniej gruby.

Tak czy owak, kiedy 19 września, tuż po występie Kennedy’ego, wspinałem się na estradę w Wytwórni, Czarny Lud znowu musiał mi pomóc. A miesiąc później, gdy z czarnym Urbanatorem ładowałem brawurowo w Budapeszcie, była już tragedia. Wylądowałem z Miką na Okęciu i zatroskana stewardesa holowała mnie w wózku do wyjścia.

Mówię Dosi:

– Trzeba coś z tym zrobić.

– Ale co?

– Poradzimy się lekarzy.

A lekarze, najwybitniejsi chirurdzy ortopedzi, z geniuszem rehabilitacji Jackiem Sobolem na czele, powtarzali jeden po drugim jak echo:

– Operacja.

– Operacja.

– Natychmiastowa operacja. I oto rozpoczyna się legenda mojej zapomnianej kompozycji.



1986. Szpital w Nowym Jorku. Nowe życie po operacji nosa, dzięki czemu poprawił mi się słuch.



Tenis był zawsze moim narkotykiem, ukochaną dyscypliną sportu. Wiele towarzyskich meczów rozegrałem z Wojtkiem Fibakiem. Najpierw, u początków swojej kariery, on często zatrzymywał się u mnie w Nowym Jorku, a potem ja bywałem w jego pałacu w Connecticut, gdzie co roku rozgrywany był turniej przyjaciół. Roilo się tam od wielkich nazwisk.

Mimo to zawsze trafiałem przynajmniej do ćwierćfinału, a raz nawet byłem w finale.



Ja, chudy, jakby mnie zdjęli z krzyża, i fantastyczny pianista Adzik Senddecki, z którym często grywałem w Niemczech, Szwecji i Szwajcarii.



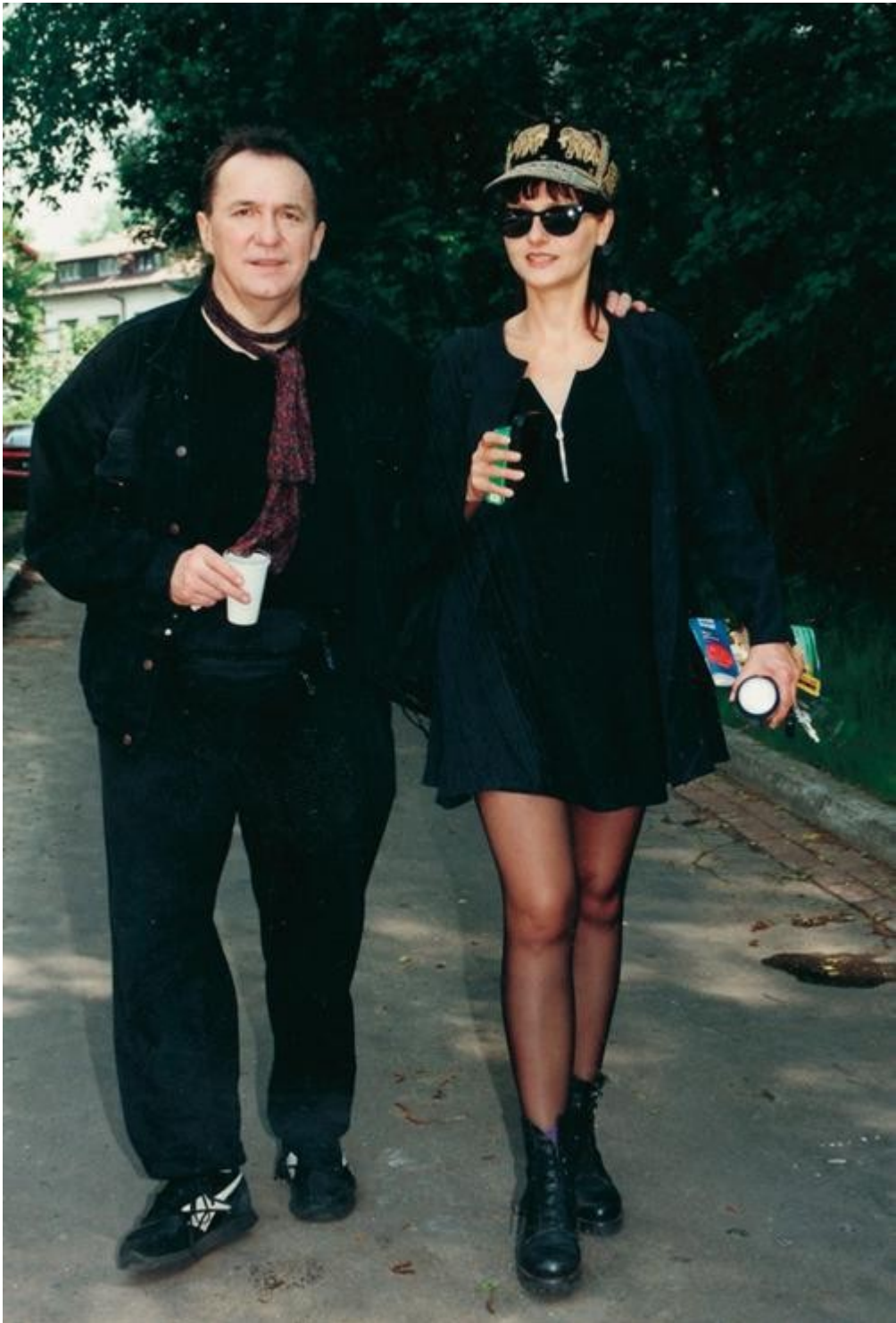
Ze Zbyskiem Rybczyńskim, pierwszym polskim zdobywcą Oscara, na planie filmu „Manhattan”.



1994. Paryż. Już po wspólnych nagraniach genialny Stéphane Grappelli zazyczył sobie na pamiątkę zdjęcia, na którym objął mnie i swojego zaufanego menedżera.



To nie jest żadna pijacka melina. To jest moje studio w Nowym Jorku przy 58 Zachodniej ulicy. A ten przystojny gość to George Benson. W dniach, kiedy wszyscy czekali na nowy album Steviego Wondera, George wydał swoją płytę „Masquerade” i rzucił cały muzyczny świat na kolana.



Z Basią Trelą w Krakowie.



1994. Warszawa. Koncert „Solidarności”. Pierwszy niekomunistyczny premier Tadeusz Mazowiecki odwiedził mnie za kulisami. Wymieniliśmy autografy i uprzejmości.



2002. Gdynia. Prokom Open. Dusia, ja i Guillermo Vilas, Argentyńczyk. W latach siedemdziesiątych najlepsza rakietka świata. 68 tytułów mistrzowskich. W 1977 w Nowym Jorku pokonał w finale Jimmy'ego Connorsa.



W Sejmie nie tyle grałem Wieniawskiego, ile własne, zainspirowane jego twórczością kawałki: „Mazurkę” i „Walcoberka”. Grałem, do ciężkiej cholery, jazz!



*Moje pierwsze w Polsce Urbanator Days w Łodzi, czerwiec 2005.
Na trąbce zagrał fenomenalnie Maurice Brown.*



*2007. Warszawa. Królikarnia. Tak
wyglądałem pobity przez Krzywe Oko w trakcie imprezy „Playboya”.*



Maki i ja. Ten fotos zrobiła Monika Skrzypczak w sierpniu 2011 r. podczas łódzkich zdjęć do filmu „Mój rower” w reż. Piotra Trzaskalskiego, produkcja Federico Film.



Kasia i Mika w warszawskich Łazienkach. Nawet jeśli ja nie byłem mistrzem świata, córek doczekałem się genialnych.

PAPAYA

W lutym dwa tysiące ósmego roku, z trwogą, z nadwagą, o kulach, które dźwigały mój nieszczęsny brzuch i wspomagały moje zrujnowane biodra, trafiłem na stół operacyjny w Otwocku. Wedle polskich przyjaciół byłem człowiekiem skończonym – zarówno jako szczodry kompan do chłania, jak i artysta do grania, chociaż grałem z sukcesem do końca.

Sam zresztą myślałem o sobie podobnie. Nigdy już nie zaśpiewam na saksofonie. Ba! Nigdy już chyba nie zapłaczę na skrzypcach. Choć w mrocznych otchłaniach duszy, w odmętach podświadomości, wciąż tłukło się powiedzenie pisarza: jedyna rzecz, którą może zrobić powalony fighter, to podnieść się i walczyć dalej.

I walczyłem.

Z bólem. Ze strachem. Z całym tym pierdolonym zwątpieniem wybitnych twórców, którzy nie dźwignęli się w porę i od których roją się cmentarzyska. Chirurg z Niemiec odwalił mi prawe biodro tak mniej więcej, jak rzeźnik odwala łopatkę, i wyposażył mnie metodą kapoplastyczną w protezę zużytego stawu. Kiedy wybudzono mnie z narkozy, ze wzruszeniem zauważyłem nad sobą uśmiechniętą buzię Dosieńki, która towarzyszy mi od ośmiu lat. Zauważyłem, że trzyma w rękach książkę, więc powiedziałem:

– I co z ciebie wyrośnie.

Szpital opuściłem w końcu lutego. Zaraz potem, w marcu, zadzwoniła do mnie ze Szwajcarii Urszula Dudziak i mówi:

– Trzymaj się, Misiek! Mamy hit!

Wszedłem do internetu i szarpający ból w biodrze z lekka popuścił. Wahadło nieszczęść odwróciło się w drugą stronę, a po drugiej stronie jest szczęście. Nie był to z pewnością największy z moich sukcesów artystycznych, ale było to z pewnością koło ratunkowe, które rzucił na wzburzoną kipieli życia łaskawy los.

Moja scatowana przez Urszulę Dudziak kompozycja szła jak burza. Z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent. PAPAYA DANCE! Podczas musztry filipińskich żołnierzy dowódca wyrykuje nagle to hasło jak rozkaz, zaś chłopaki odkładają karabiny i zaczynają tańcować.

Ani ospa, ani cholera, ani choroba wściekłych krów i ptasiej grypy nie rozprzestrzeniała się w takim tempie. Filipiny, Singapur, Malezja, państwa i państewka środkowej i południowej Ameryki. Jak taran mój napisany od niechcienia, choć z sercem, kawałek walnął w szańce Europy, wdzierając się najpierw do chłodnego Sztokholmu i wybrednego Paryża.

W naszym warszawskim apartamencie na Żelaznej rozdzwoniły się telefony. Wściekle piekło telefonów i wszelkich innych środków komunikacji! Milionowe propozycje reklam, koncertów, sprzedaży praw autorskich, telewizyjnych i prasowych wywiadów, wznowień płytowych, sesji fotograficznych, jakbym był, kurwa, jakąś nadmuchaną modelką. Przypomnieli sobie o mnie również dawni przyjaciele, wedle wyświechtanej reguły: sukces ma wielu ojców, porażka jest kompletną sierotą.

– Siemasz, Misiek!

– Dawnośmy się nie widzieli.

– Kiedy można do ciebie zadzwonić?

Maki, który ma u mnie osobny pokój z łazienką, prysznicem, telewizorem i komputerem, nieużywanym z uporem przez drania, i który jest jedynym człowiekiem, któremu wolno zapalić w kuchni dwa-trzy papierosy dziennie, a to ze względu na fenomenalny stan zdrowia zapewniony mu przez najwybitniejszych kardiochirurgów i kardiologów z Łodzi, Krakowa, Buska i Lublina, ściągnął mnie o siódmej rano z łóżka i powiada:

– Ty, Michał, jak to się wszystko zaczęło? No, wiesz. Z tą „Papayą”.

Byłem wściekły, że mnie obudził, ale mówię:

– W siedemdziesiątym piątym roku na urodzinach Bernarda Kawki, wokalisty z Novi Singers, impreza w jego manhattańskim mieszkaniu przerodziła się powoli w pijacki bełkot, co mnie, zagorzałego wówczas abstynenta, nudziło, więc uciekłem do sąsiedniego pokoju. Stało tam moje ulubione małe pianino Wurlitzer, legendarne, znane jeszcze przed hammondem, majstersztyk w swojej kategorii i coś jakby stradivarius wśród skrzypiec. Stukałem sobie paluszkami w klawisze i z wolna rodził się pomysł czegoś fajnego, niby jazzowego, a przecież oryginalnego, czegoś spoza aktualnych tendencji i rutyny. Z początku były cztery takty, potem szesnaście, wreszcie dołożyłem coś w rodzaju kontrapunktu, drugiego głosu, który wspomaga pierwszy, ale gdyby go zagrać oddzielnie, też brzmiałoby dobrze.

Następnego dnia rano ruszyliśmy na koncert do Filadelfii. Prowadziłem i mówię do Uli:

– Mam tu takie coś, co z pewnością będzie pasowało do twojej pierwszej solowej płyty. Tu jest melodia, tu są breaki – puściłem jej nagraną na kasetę „Papayę”.

Ula nie czyta nut, ale ma dobry słuch, pamięć muzyczną i wysmakowany gust: albo jej się kawałek podoba, albo się krzywi. Tu z miejsca chwyciła temat. W końcu przecież z piosenkarki uczyniłem sławną śpiewaczkę jazzową, niemuszającą nikogo ani kopiować, ani naśladować. Ponadto była zawsze piątym lub szóstym instrumentem w moich zespołach, obok pianistów, perkusistów, saksofonistów i trębaczy. Od razu więc w samochodzie zaczęła te breaki wypełniać. Z każdym dniem robiła to lepiej, jak w żadnym innym utworze. Postanowiłem ją dodatkowo zdopingować. Mówię do niej:

– Ula, jest dobrze. Chyba nawet bardzo dobrze. Ćwicz dalej, a zrobię cię współkompozytorem.

– Poważnie, Misiek?

– Poważnie.

No i na płycie „Papaya” ma dwóch autorów. Michał Urbaniak

i Urszula Dudziak.

Wróciłem do łóżka, ósmej jeszcze nie było, lecz Polacy to chamy i telefony dzwoniły dalej:

– A nie mówiłem, Michał?! Nie mówiłem? Coś skoczno, ognistego by się przydało. Coś, co można by zatańczyć.

– Serwus, stary draniu! Nie odzywałem się ostatnio, kłopoty domowe, ale jutro wpadnę do ciebie na ploty.

– Urbaniak, łobuzie! Dla mnie zawsze jesteś numer jeden. Takiego mistrza jak ty to w tym kraju jeszcze nigdy nie było, nie ma...

– I nie potrzeba – skończyłem sędziwy żart klezmerów, odkładając słuchawkę.

„Papaya” zaś rwała dalej, zdobywając nowe obszary. Po Ameryce Środkowej ruszyła na północ, do Meksyku, USA, Kanady, na pustkowia Alaski i Grenlandii. Wdarła się oczywiście do Europy i po wspomnianej już Skandynawii i Francji rozpoczęła triumfalną inwazję na hiszpańskie wyspy, Iberię i północną Afrykę.

Niebawem roztańczyli się i rozśpiewali zachwyceni Polacy.

Padły szanse Australii, Nowej Zelandii oraz wielu egzotycznych archipelagów i to, co nie udało się Aleksandrowi Macedońskiemu na jego ukochanym koniu Bucefale, stało się udziałem muzyka jazzowego i jazzowej wokalistki. Zdobyli świat. Bez broni i koni. Bez nienawiści i zabijania. Bez podziałów religijnych i rasowych, bo przecież tańczą i śpiewają wszelkie nacje.

Niegdyś ktoś, nie wiadomo dokładnie kto, zanucił lub zagrał kilka nut w nieco innym, egzotycznym rytmie. Ktoś inny to podłapał, jeszcze ktoś trzeci wzbogacił i wykluła się z tego samba.

Na tej samej zasadzie powstawały wszelkie tańce i style w dziejach muzyki. Niektóre z nich, jak walc, tango, rumba, rock and roll, są nieśmiertelne. Niektóre pojawiły się triumfalnie na parę lat

i zgasły, żeby wymienić choćby twista, kankana, kariokę, charlestona, fokstrota i długi szereg tańców salonowych. Lecz „zgasły” nie oznacza wcale, że zniknęły na zawsze. Odtwarzane są i będą przy wielu okazjach w literaturze, w filmach minionej epoki, w repertuarze zadętych na przeszłość solistów i choreografów.

„Papaya Dance” nie będzie wieczna, ale z pewnością znajdzie sobie miejsce w książkach, almanachach i od czasu do czasu ktoś się o nią upomni, ktoś ją odgrzeje. Mamy zatem z Ulą satysfakcję, że stworzyliśmy nowy taniec.

W jednym z wywiadów Urszula wspomina:

– Po przyjeździe do Filadelfii poszliśmy do studia. Towarzyszyli nam wybitni muzycy od Milesa Davisa, gitarzysta Reggie Lucas i pianista Harold Ivory Williams...

To prawda.

Poza Lucasem i Williamsem na płycie „Urszula” wystąpiło jeszcze paru innych jazzowych gigantów: drugi Williams, Buddy, na bębnach, Yogi Horton, również na bębnach, Matume na kongach i bongosach oraz ja, szef zespołu, na lyriconie i na skrzypcach.

Chryste, jak oni grali! Z jakim sercem! Z jaką precyzją! Lepiej niż dzisiejsze komputery. „Papayę” potraktowali jako muzyczny żart, nie wiedząc, że po trzydziestu trzech latach bomba z opóźnionym zapłonem wybuchnie, stając się światowym przebojem. Bo „żart” był genialny.

Wówczas, w siedemdziesiątym szóstym roku, Urszula odniosła w Stanach niekwestionowany sukces. W dwa tysiące ósmym było jeszcze lepiej. Grono czołowych polityków, w tym minister sportu, zaproponowało mi, aby zrobić z „Papai” drugi, nieoficjalny hymn narodowy i zaprezentować ją na olimpiadzie i na mistrzostwach Europy w piłce nożnej.

W przeciwieństwie do Urszuli nie jestem ani polskim, ani amerykańskim szowinistą. Choć mam obywatelstwo obydwu tych krajów, czuję się obywatelem świata. Więc idea drugiego hymnu

narodowego nie przypadła mi do gustu. Mazurek Dąbrowskiego wystarczy. Tym bardziej że „Papaya” powstała przecież w Stanach, przy udziale nowojorskich muzyków.

Spadając na kodę tej historii i nie składając żadnych podziękowań ludziom, którzy mi pomagali, bo pomagał mi tylko odwieczny przyjaciel, muszę powiedzieć kilka gorzkich słów pod adresem pewnego dziennikarza, który w wywiadzie o „Papai” zadał nam rzekomo pytanie:

„Nie wstyd wam trochę tego sukcesu? Muzyka, którą uprawiacie na co dzień, jest bardziej wymagająca, wyrafinowana?”

Chryste Panie! Ależ oczywiście, że płoniemy ze wstydu. Urszula wpadła w głęboką depresję, ja wychodzę z domu w przebraniu i masce. Obydwoje rozglądamy się za sznurkiem. Całe szczęście, że musimy wstydzić się w jednym tylko kraju, gdyż fenomenalną „Papayę” śpiewa, tańczy i podziwia cały świat i jakoś, kurwa, nie wstydzą się tańczyć ambasadorowie i premierzy, a po cichu, jak nikt nie widzi, korony i berła.

Wstydzimy się zresztą nie tylko za siebie, lecz także za innych muzyków, za Davisa, za Parkera, za Armstronga. Satchmo, gdyby wstał z grobu, natychmiast by do niego wrócił, popełniając harakiri ze wstydu, że odgrzały mu się „Oczy czarne” albo jakiś stary jazzowy kawałek.

„Papaya Dance” też jest utworem jazzowym, prostym, zadziornym, bezkompromisowym, zaśpiewanym przez Urszulę w nowatorskim stylu, wypracowanym w mojej kapeli i dopiero później naśladowanym przez wiele sławnych wokalistek. Radzę o tym dziennikarzowi pamiętać. Jeśli ktoś ma się wstydzić, to właśnie on, że dla taniego dziennikarskiego poklasku znieważył światowy sukces „Papai”.

Art is doing something out of nothing and selling it. Śpij spokojnie.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY:

Miles to Miles

Kiedy „Papaya” zaczęła podbijać Rosję i wszystkie dawne republiki byłego imperium, a w Meksyku wylądowała na pierwszym miejscu listy przebojów, snułem już w głowie inne pomysły, z których jeden od kilkunastu lat tkwił mi w sercu jak cierni. Jak wielki, bolesny wyrzut sumienia.

Pamiętam, że wigilię wielkanocną spędziliśmy w apartamencie Michaela Moritza, który był wtedy mężem Pauliny Młynarskiej. Andrzej pisał wtedy książkę i choć też był serdecznie zapraszany, nie chciał z nami iść, twierdząc, że jest to święto rodzinne i obca twarz może je zakłócić. W końcu jednak zawlekliśmy go do Michaela.

Oprócz Pauliny, jej córki i Moritza, mnie, Dosi i Andrzeja do stołu zasiadła także Agata Młynarska z synem i Wojtek Młynarski, z którym grałem w siedemdziesiątym pierwszym roku na gitarze w Kolonii z zespołem Adama Makowicza. Wojtek wynegocjował wtedy dla nas doskonały kontrakt, co w efekcie pomogło mi zdobyć niemiecki rynek, na którym byłem wówczas zupełnie nieznany.

Maki, występujący w tej książce pod różnymi innymi kryptonimami: Neskim, pisarz, autor, biograf i coś jeszcze, był i jest wielbicielem Młynarskiego, uważając, że to wielki polski śpiewający poeta, wyrażający w swojej skondensowanej twórczości znacznie więcej niż przemądrzali, nudni prozaicy, na widok których człowiek zaczyna tęsknić za terroryzmem. Ponadto Wojtek kochał jazz i zawsze otaczał się swingującymi muzykami.

W drugi dzień świąt Moritz i siostry Młynarskie z dziećmi, już bez Wojciecha, złożyli nam na Żelaznej rewizytę. Agata dała Andrzejowi książkę, w której jest jej wywiad z ojcem i jego wszystkie niemal utwory. Wychodząc, podpisała ją, stara przechera, tak czule, że Maki prawie się zakochał, ale dowiedział się, że ona ma dopiero trzydzieści sześć lat, i mu przeszło.

Zaraz potem wyjechałem z Dosią do Stanów na rozmowy

z producentami w sprawie nowego, śmiałego projektu związanego z geniuszem jazzu. Wracalem do formy. Gralem coraz lepiej, i to nie tylko na skrzypcach, lecz rowniez na saksofonach i lyriconie.

Po powrocie do Polski znowu byl koncert za koncertem. Wciaz jednak czulem ten klujacy cierń w sercu. Ten ciezki glaz wyrzutu sumienia.

Nie splacilem jakiegoś dlugu. Czegoś komuś nie oddalem.

Miles!

Zblizala sie piecdziesiata rocznica „Kind Of Blue”, najwybitniejszej i najlepiej do dzis sprzedawanej plyty jazzowej w historii amerykanskiej muzyki. A przeciez ten czarny, szczuply, niewysoki gigant jazzu, skadinad nielubiaczy skrzypiec, wziął mnie na „Tutu”, wymasował mi po sesji kark, aż sie pobeczalem, zgodzil sie pozowac ze mną do zdjecia.

Nagralem z nim trzy kawalki, ukazal sie tylko jeden. Dwa czekaja na swoja godzine, niczym pewne utwory Hemingwaya, ktore pisarz w ostatnim slowie pozwolil wydrukowac dopiero dwadziescia lat po swojej smierci. Ja sie na tym kompletnie nie znam, zna sie Maki. Czytal jedna z tych „wstrzymanych” powiesci. Chodzilo o relacje miedzy piekna zona pisarza a piekna przyjaciolka zony.

Hemingway wyznajacy zasadę, ze dobra fikcja powinna byc prawdziwsza od prawdy, w zakresie uczuc lgal jak pies. Oto jest z zona, chwytal go niemoc tworcza. Ani zdania nie moze z siebie wydusic. W chwili jednak, kiedy rozpoczyna romans z przyjaciolka zony, czyli taniec penisa z wagina zwany popularnie miłością, wszystko idzie mu jak z plotka.

Ja tez bywalem rozdarty miedzy dwie kobiety. Wlasnie w trakcie nagrań dla Milesa. Na samo wspomnienie znowu zaczynam beczec. Boze, jaki ja wtedy bylem szczesliwy! I jaki mlody!

I dotad nie oddalem holdu mojemu najwiekszemu mistrzowi! Himalaje niewdzieczności i skurwysynstwa.

I tak powstał dwupłytowy album „Miles Of Blue”.

Na żadnym z moich studyjnych nagrań nie zgromadziłem tylu wybitnych muzyków i na żadnym już chyba nie zgromadzę. Wszystkich nie wymienię, za co przepraszam, lecz nie jest to powszechny spis ludzkości. Grają ze mną, między innymi, w każdym razie: Herbie Hancock, Marcus Miller, Bernard Wright, Lenny White, Kenny Kirkland, Omar Hakim, Tom Browne, w sumie dwudziestu ośmiu artystów. Jest oczywiście Urszula Dudziak i Mika Urbaniak, moja młodsza córka, wyrastająca na wielkiej klasy wokalistkę, więc jeśli nawet ja się nie udałem, moje dzieciaki są z pewnością genialne.

Płyta wyprodukowana została przez UBX i dystrybuowana jest przez Sony Music, najpotężniejszą fabrykę muzyczną, która wchłonęła nawet mocarną Columbię. Dostała ode mnie dzierżawę na trzy lata, a potem znowu będzie musiała zapłacić, bo „Miles Of Blue” wali jak burza. Dwa razy już zdobył PLATYNEĘ, sprzedają go nieoficjalnie w Wielkiej Brytanii i w Stanach, a oficjalna dystrybucja jest na etapie negocjacji.

Plotka niesie, że od pewnego czasu nie zapraszają mnie na Jazz Jamboree ze względu na moje awantury w Poznaniu, Płocku, Krakowie i paru innych miastach. Nic podobnego! To ja rezygnowałem z udziału w tej imprezie, gdyż organizatorzy nie mieli dość pieniędzy, abym mógł sprowadzić ze Stanów moich czarnych graczy. I jeszcze jedno, żeby wyjaśnić sprawę do końca: siedemnaście lat nie piłem, a od siedemnastu popijam. W pewnym momencie zacząłem stosować tę metodę naprzemiennie, aby sprawdzić, co lepsze.

No i otrzymałem wreszcie środki zapewniające chłopakom z Nowego Jorku przelot, hotel i godziwe honorarium. Powitałem z otwartymi ramionami perkusistę Troya Millera, keyboardzistę i wokalistę Dona Blackmana, gitarzystę Davida Gilmore’a, basistę Otto Williamsa i trębacza Toma Browne’a.

Tom to niezwykle facet, szalenie zdyscyplinowany, traktujący swój instrument jak relikwię. Jest baptystą i oświadczył mi pewnego dnia w Nowym Jorku, że nie może dłużej grać, gdyż jest to sprzeczne z jego

religią. Religia natomiast nie zabroniła mu latać, co obok jazzu zawsze było jego pasją. I to jak latać! Nie amatorsko, jakimś sportowym samolocikiem, lecz ogromnymi, naładowanymi, ciężkimi od bagażu i pasażerów boeingami na długich, krajowych i międzykontynentalnych szlakach. Nie jako radiotelegrafista, nawigator czy drugi pilot, lecz jako kapitan, bóg, który niepodzielnie rządzi i decyduje na pokładzie i trzeba bez szemrania spełniać każdy jego rozkaz.

Maki go poznał, jak mieszkał u mnie na Manhattanie. Toczył z nim długie muzyczne dyskusje i kiedy powiedziałem mu przed trzema laty, że Tom definitywnie zrezygnował z trąbki, był autentycznie zmartwiony.

– No tak – mruknął, interpretując wszystko po swojemu. – Lotnik. W dodatku kapitan. Parszywa namiętność. Piekielnie przy tym romantyczna. Przecież kobiety zawsze szalały za lotnikami, a jak trafiły na kapitana w czapce i uniformie, gotowe były całować go po stopach. Wiesz, z takich rzeczy się nie rezygnuje. Stała pensja, dom, rodzina. Już go więcej nie zobaczysz!

A jednak! Artysta to artysta. Tom Browne poszedł do swojego duchowego pasterza w Karolinie Północnej i powiedział:

– Wielebny ojcze, zwolniłem się na jakiś czas z obowiązków kapitana. Wiem, że latając, bliżej obcuje z Panem, ale Bóg kocha również muzykę, a ja muszę sobie trochę poswingować. Nie szlajam się po spelunach i lupanarach. Nagrywam płyty w szacownych studiach, występuję na poważnych koncertach i festiwalach. Sądzę, że będzie mi to wybaczone.

I tak oto zobaczyłem znowu kochanego Toma. Czarną, przedłużoną do niesamowitych rozmiarów limuzyną, hummerem, 25 października 2009 roku w niedzielę, zajechałem z Tomem i resztą mojej amerykańskiej kapeli przed wejście do Sali Kongresowej PKiN przy placu Defilad.

Urbaniak znowu na Jazz Jamboree! Urbaniak i jego zespół. I nikt więcej.

Sala wypełniona po brzegi, choć bilety nie były tanie: od 65 do 130 złotych. Nie powinienem w ogóle o tym wspominać, bo to krępujące. No, ale Miles to Miles. Jemu przecież poświęcony był koncert. Graliśmy głównie jego utwory i tylko kilka moich kawałków.

Publiczność przyjęła nas entuzjastycznie. Maryla Rodowicz wstała i zaczęła wymachiwać marynarką.

Ładowaliśmy bez przerwy dwie godziny. Telewizja na gorąco kręciła teledysk. Szał, euforia, wielokrotne bisy. Kolosalny sukces.

Reakcja widowni a opinie krytyków to dwie różne sprawy. Ci drudzy, a w każdym razie niektórzy z nich, próbowali nam przykładać.

Maki, który w albumie „Miles Of Blue” ma swój sześciostronicowy, przetłumaczony na angielski tekst zatytułowany „The Flaming Rooftops Of Manhattan”, poświęcony Davisowi i moim młodzieńczym fascynacjom utworami tego bezwzględnie największego nowatora jazzu, mówi o recenzentach bez ogródek:

– W każdej dziedzinie sztuki, w literaturze, w malarstwie, w teatrze i filmie, w muzyce i architekturze, krytyk w dziewięciu wypadkach na dziesięć jest wrogiem artysty. Ten zgorzkniały, zatabaczony facet sam zazwyczaj próbował najpierw być twórcą w opisywanej przez siebie specjalności: nabazgrolić coś, napędzłować, zagrać, zaśpiewać, skomponować, a skoro mu nie wyszło, chwytą skurwysyn za pióro i zaczyna mścić się na tych, którym wyszło, w myśl reguły: skoro jestem kiepskim winem, będę przynajmniej znakomitym octem.

Krytyk nigdy nie pisze z myślą o artyście. Pisze wyłącznie z myślą o sobie, popisując się swoją erudycją, swoją zjadliwością, swoim wypracowanym w pocie czoła dowcipem. Nie chodzi mu tylko o pieniądze; ma nadzieję, że powtarzając prawdy obiegowane, wyrobi sobie nazwisko. Jak sześciu znieawidzonych kumotrów nabajdurzy o czymś dobrze, on będzie siódmy, jak sześciu nabajdurzy o czymś źle, on jako siódmy zaatakuje ofiarę z jeszcze większą zaciekłością.

Nie do końca zgadzam się z Andrzejem. Trafiałem na dobrych,

mądrych, uczciwych krytyków, których sugestie często brałem pod uwagę i które często mi pomagały. Nigdy nie było to jednak w Polsce.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY:

Przyjdź, zagrasz z Urbaniakiem

Vena była moim pomysłem, ale z czasem Urbanator odsunął się od niej z powodów, których nie chcę przytaczać, żeby nie zanudzać czytelnika.

Tak czy owak swego czasu znienawidzony przez mieszkańców prezydent Łodzi Kropiwnicki (przykro mi, że zapomniałem, jak ma na imię; Andrzej też nie pamięta) rzucił nam na Venę ochłap w postaci tysiąca czy dwóch tysięcy złotych i dał znać, bo ma kiepskie maniery, że audyencja skończona.

Tymczasem w Warszawie w 2010 roku obradująca przy Ministerstwie Kultury komisja przeznaczyła na stołeczne już Urbanator Days przyzwoite pieniądze z uzasadnieniem, że Urbaniak wypełnia lukę w nauczaniu muzycznym.

Jak na początku wspomniałem, urodziłem się pod zupełnie innym nazwiskiem ojca zawadiaki-hulaki, którego bardzo z wzajemnością kochałem, ale po namowach matki – dziecko łatwo przekabacić – przybrałem godność ojczyzna, Urbaniaka, który był o mnie piekielnie zazdrosny i chodziło o to, żeby go spacyfikować. Potem, już jako dorosły mężczyzna, zadreślałem się tą zdradą i chciałem nawet przywrócić sprawie pierwotny sens, byłoby to jednak artystycznym samobójstwem.

Zatem Urbanator wziął się od Urbaniaka, to pierwsza kwestia.

Druga: jakkolwiek jestem na bakier z literaturą, w połowie lat osiemdziesiątych zacząłem wsłuchiwać się bacznie w młodych amerykańskich śpiewaków piszących i recytujących w radiu wiersze do muzyki Coltrane'a czy Milesa. Strasznie podobała mi się ta idea, z której narodził się rap. Byłem pierwszym jazzmanem, który uznał rap, prawdziwy rap, za muzykę jazzową, ponieważ ta muzyka swingowała,

swinguje i będzie swingować. Natychmiast zrobiłem nagranie. Przypadkowo był w Nowym Jorku Herbie Hancock. Zadzwoiłem do niego i mówię:

– Słuchaj, ja tu mam... Jestem w studiu, nagrywam, czy długo jesteś?

– Nie, nie jestem długo. Ale godzinę znaję, wpadnę, znamy się dwadzieścia lat, a właściwie nie nagraliśmy nic razem.

Wpadł Herbie, pierdolnął trzy solówki, trzy numery. Lenny White pilnował rytmu, Yoki Smith inżynierował i to był załóżek Urbanatora.

Skończyłem pół płyty. Szczęśliwy pobiegłem do bardzo zaprzyjaźnionego prezydenta Columbii George'a Butlera. Na płycie tej gram i na saksofonie, i na skrzypcach. Także na lyryconie, który nieopatrznie zostawiłem w taksówce, zresztą tak jak moje najlepsze elektryczne skrzypce, czyli najlepszą violectrę Steinbergera zrobioną specjalnie dla mnie.

George Butler wysłuchał tego i mówi:

– Fantastyczny skład zespołu, fantastyczna muzyka, strasznie fajny groove i tempo, ale przecież to jest rap.

Ja na to:

– Rap też jest.

Wziął telefon i do młodzieniaszków zadzwonił, puścił im to. Ci słuchają i mówią to samo w drugim kierunku:

– Ty, ale to supergroove, tyle że to jazz. Dlaczego sam tego nie wydasz?

I tak chodziłem od Annasza do Kajfasza, kurwa, i normalnie nikt tego nie chciał.

– Michał, przecież to nie jest twoja muzyka.

– Jak to nie? Ja to kocham, tak jak czarnych, to jest moje.

– Przecież ty jesteś Polish fiddler.

I wtedy pewnej nocy zrozumiałem, że oni nie chcą mnie wpuścić do czarnej muzyki, chociaż robiłem większość płyt czarnych. Drażniły ich skrzypce.

W siedemdziesiątym ósmym roku nagrałem „Urbanizera”. No i mówię: – Urbanator, do dzieła.

Chciałem nawet zmienić nazwisko, które jako domenę internetową sprzedałem później cwaniakowi w Stanach za dziesięć tysięcy dolarów. Nie Urbanatora, na szczęście, idiota, lecz Urbanizera.

Trochę bruźdę. Uparłem się wobec pisarza, że będzie cytował mnie dokładnie, więc on się zżyma, ale musi. Urbanator to muzyka rytmiczna, stuprocentowo jazzowa, wpuszczająca jednocześnie młodych hiphopowców, którzy naprawdę swingują. Jest to młody jazz. W Polsce jednego mamy tylko rapowca, O. S. T. R.-ego, który swinguje o wiele bardziej niż większość naszych muzyków jazzowych.

W Stanach wyszedł „Urbanator I”, „Urbanator II” i „Urbanator III”. Z zespołem, który to nagrał, jeździłem po całej Ameryce i po Europie przez cztery lata.

A teraz co do warsztatów muzycznych prowadzonych obok koncertów Urbanatora. W Polsce mamy całą masę hiphopowców z niesamowitym czujem, którzy jednak o muzyce nic nie wiedzą. Postanowiłem coś dla nich zrobić. Nie wszystkich przecież stać, żeby iść na wydziały jazzowe, których namnożyło się bez liku i które wypuszczają doskonałe produkty, pozbawione jednak oryginalności bądź indywidualności.

There were always those who created and those who imitated.

Nie muszą nawet znać nut, nie muszą mieć piętnastu lat, mogą mieć również pięćdziesiąt. Anybody’s welcome!

Zaczynam workshopy od nauki klaskania pod rytm, z akcentem na drugą nutę w czterotekście. Potem każę im zamknąć oczy i nie myśleć, tylko słuchać, co grają inni. Z początku, w jakimś prostym bluesie, jest wielki bałagan, lecz po godzinie zaczyna coś z tego wychodzić. Do basisty podchodzi mój czarny basista i pokazuje chwyt. Do perkusisty czarny perkusista, powiedzmy Frank Parker lub Lenny White, i ustawia dzieciakowi rękę, aby walił jednocześnie pałką w membranę i rant, co przynosi niesamowity, uwielbiany przez Davisa efekt. To samo z gitarzystami, pianistami i wokalistami – wszyscy, a stawiają się tłumy, mogą obcować z mistrzami, którzy grali z Milesem Davisem, Rayem Charlesem, Steviem Wonderem i wieloma innymi gwiazdoram.

Podeszła do mnie czternastoletnia saksofonistka i powiada:

– Nigdy nawet nie marzyłam, że poznam pana i że udzieli mi pan tych bezcennych rad. To niesamowite, ale wy jesteście zupełnie normalni.

Ktoś wymyślił hasło: CHCESZ? PRZYJDŹ! ZAGRASZ Z URBANIAKIEM! TO JEST PRZECIEŻ ZWYKŁY CZŁOWIEK.

Stąd ta ogromna frekwencja. Szkolenia, czy raczej antyszkolenia, trwały po trzy-cztery godziny dziennie. Niczego nie żądamy, niczego nie narzucamy, wszystko dajemy. Zapraszamy naszych uczniów na profesjonalne próby. Najlepsi grają z nami pod koniec koncertu na wspólnym jam session.

Janko Muzykant. Nagrodziliśmy basistę i gitarzystę z Radomska na warsztatach w Gomunicach. Na ustroniach też trafiają się wielkie talenty i kluby jazzowe. Wyszkoliliśmy piosenkarkę i daliśmy jej sto tysięcy złotych na nagranie pierwszej płyty, gdyż uznaliśmy że jest już „gotowa”.

Nie mam żadnych profesorskich ambicji, lecz to samo antynauczanie zaproponowałem amerykańskim szkołom jazzowym, między innymi w Nowym Jorku i Bostonie. Spławili mnie. Wolą nauczać po swojemu. Ich doskonali technicznie absolwenci grają te same zagrywki, te same grepsy, te same frazy. Mogliby stanąć razem i ładować

unisono. Ale nic świeżego, nic nowatorskiego do jazzu nie wniosą. Kogo wyrzucają z tych szkół, z tych wydziałów i uniwersytetów, jest nasz.

Na Chmielnej podeszła do mnie starsza kobieta, ściślej mówiąc babcia sprzedająca kwiaty, i powiedziała ze wzruszeniem:

– Nie lubię jazzu, ale to, co pan robi, jest porywające. Kocham pana – i wręczyła mi bukiet róż.

Z podobnymi gestami spotykałem się wielokrotnie w Nowym Jorku. W Greenwich Village przy Czwartej ulicy zastąpiła mi drogę sześćdziesięcioletnia dama i pocałowała mnie w policzek, mówiąc:

– Wiem, że nie jest pan rodowitym manhattaninem, ale pan gra tę wyspę.

Kocham Urbanatora i nigdy nie przestanę kochać. Przeżyłem dzięki niemu najszcześniejsze chwile i choć nie został moim amerykańskim nazwiskiem, traktuję go jak brata bliźniaka.

NIEOCZEKIWANA ZMIANA MIEJSC

Armstrong był znakomitym aktorem, urodzonym showmanem, ale Hollywood nie wpuszczało go nigdy w tym charakterze na scenę ze względów rasowych. Jeszcze czego! Z trąbką i ze śpiewem – proszę bardzo. Występował u boku wielkich białych gwiazd, takich choćby jak Frank Sinatra czy Barbra Streisand. Ale żeby obsadzić Murzyna w jakiejś tragicznej czy komicznej roli, to już byłaby w Armstrongowych czasach gruba przesada i niebezpieczny precedens.

Mówię o tym z niejakim zażenowaniem, gdyż późnym latem lub wczesną jesienią, kiedy Dosia robiła zakupy, ktoś pstryknął mi w łódzkiej Manufakturze zdjęcie.

Wcale o tym nie wiedziałem, a jeśli nawet wiedziałem, nie przeszkadzało mi to specjalnie, bo jestem do takich ukradkowych pstryknięć przyzwyczajony. Paparazzo też człowiek, musi czasem zarobić, a nie było akurat w pobliżu królewskich wnuków.

Niebawem wszakże wyszło na jaw, że nie był to żaden polujący na sensację paparazzo, lecz cyngiel z ekipy filmowej, który pokazał moje zdjęcie szefowi. Szef, utalentowany reżyser Piotr Trzaskalski, autor wielokrotnie nagradzanego obrazu „Edi” popatrzył uważnie i powiedział: – Tak. To jest akurat ktoś, kogo potrzebuję. Tyle że to Michał Urbaniak.

– I co z tego, że Urbaniak, szefie. Przecież on pisał dużo muzyki filmowej, a w „Pożegnaniu jesieni” pokazał się ze skrzypcami na ekranie, nie czuje więc wstępu do kamery.

W końcu września na Żelaznej zadzwonił telefon. Odebrała Dosia, bo mnie nie było. Kobieta po drugiej stronie przedstawiła się jako Nadia, bez nazwiska chyba, producentka pracująca dla reżysera filmowego, który zapytuje uprzejmie, czy pan Michał Urbaniak zechciałby zagrać w jego filmie główną rolę. Dosia na to, że nie może oczywiście za mnie decydować, ale... Michał lubi nowe, trudne wyzwania i skoro to nie jest marginalny epizod pokazujący mnie jako zawszonego małpizona w dżungli, to pewnie się zgodzę. I umówiła mnie z szefem w kawiarni na Żurawiej.

Piotrek, z którym szybko przeszedłem na „ty”, okazał się młodym, dobrze ułożonym, superprzystojnym facetem. Dał mi scenariusz, wyłożył mi ideę filmu i zaprosił na próbne zdjęcia, które od razu uprzytomniły mi, że zawód aktora to nie żadna, jak to się zdaje ludziom, radosna zabawa, lecz kawał ciężkiej roboty.

Muszę odzyskać kondycję! Produkcja ruszy 15 sierpnia 2011 roku i czeka mnie dwadzieścia osiem dni zdjęciowych.

Maki, któremu o tym powiedziałem, wpadł w euforię. Jest chyba jedynym gościem, który szczerze cieszy się każdym moim sukcesem i każdy traktuje jako własny sukces. W rozmowie telefonicznej, bo mieszka w Łodzi, usłyszałem:

– Michał, to wspaniała wiadomość! To, co nie udało się Armstrongowi, może udać się tobie. No i spójrz prawdzie w oczy. Ile ty jeszcze pociągniesz na skrzypcach? Choćbyś ćwiczył rok, kaprysów Paganiniego już nie zagrasz; w saksa już nie zadmuchasz, bo trzaśniesz

kopytami, a Mendelssohn czeka nie tylko z tym weselnym marszem. Więc jak masz zostać producentem płyt jakichś frajerów, przyłóż się trochę i zostań aktorem. Napiszę dla ciebie jakiś hollywoodzki scenariusz i też zarobię.

Nie brałem tych słów poważnie. Ja miałbym rzucić muzykę? Lecz Andrzej to mądre panisko. Wykrakał. 9 kwietnia 2011 roku, w przeddzień wyjazdu do Nowego Jorku, przepracowany, zmaltretowany, ślęczący dzień i noc w internecie i komputerach, straciłem nagle słuch i wyłądowałem w szpitalu.

Nic gorszego nie może się przytrafić muzykowi. Doświadczył tego Haendel, ale po operacji „wyszedł”. Doświadczył Bach – i nie wyszedł. Głuchy jak pień Beethoven do końca komponował swoje arcygenialne symfonie, lecz on słyszał duszą, głową i sercem. Jazzmanowi to nie wystarczy. Jazzman musi słyszeć uszami akord, który uderza pianista, żeby go ograć, i musi słyszeć perkusistę, żeby wpaść w rytm.

Plakałem na tym szpitalnym łóżku jak bóbr. Bóg, i słusznie, odebrał mi to, bez czego życie traciło wszelki sens. Nic, tylko palnąć sobie w kapustę! Do filmu głuchola też nie wezmą.

Dosia zorganizowała najlepszych specjalistów. Zostałem nafaszerowany sterydami i ku nieopisanej radości po czterech dniach usłyszałem pierwsze bergmanowskie szepty i krzyki.

Pojechałem do Pawła w Ciechocinku na wypoczynek, po czym wróciłem do Warszawy, aby Andrzej mógł dokończyć książkę i aby przeciwżyć filmowe dialogi z Nadią, córką polskiego piłkarza i Ukrainki, oraz podjąć reżysera Piotra Trzaskalskiego w sprawie oprawy muzycznej.

Ojciec Piotra był klarncistą, więc chyba z tego powodu wybór padł na Benny’ego Goodmana i przepiękne ballady Ackera Bilka, którego słyszałem na żywo w Łodzi w pięćdziesiątym szóstym roku, w nieistniejącej już hali sportowej na Widzewie.

I to już wszystko. Nieoczekiwana zmiana miejsc. Może naprawdę zostanę aktorem i zgalwanizują trupa. Może Andrzej wróci kiedyś

do mnie w swojej własnej, równie tragicznej biografii?

This is one of those things you'll never know... – jak mówią Amerykanie.

Nowy Jork, Łódź, Częstochowa, Olsztyn, Warszawa 15 maja 2011 roku, godzina 13.05. Pochmurno i deszczowo.

Książka ta nigdy by nie powstała bez pomocy Doroty „Dosi” Palmowskiej, która archiwizowała materiały, przepisywała tekst i była pierwszą korektorką,

oraz

Pawła Jędrasa, który zmusił autora, aby dokończył tę faktograficzną powieść i poszukał rzetelnego wydawcy.

PISARZ DZIĘKUJE: Dr n. med. Elżbiecie Makowieckiej

Prof. zw. dr. hab. med. Jerzemu Sadowskiemu

Prof. zw. dr. hab. med. Andrzejowi Kutarskiemu

Dr. n. med. Andrzejowi Oszczygłowi oraz

Dr. hab. med. Krzysztofowi Wraniczowi

ARTYSTA DZIĘKUJE: tym wszystkim, którzy go lubią, i tym, co go nie lubią, gdyż i oni byli paliwem napędowym w jego twórczości

SUPLEMENT Muzycy, których odkryłem lub którzy grali ze mną, zanim stali się słynni:

Marcus Miller, Victor Bailey, Bernard Wright, Kenny Kirkland, Omar Hakim, Anthony Jackson, Rodney Holmes

Michał Urbaniak – dyskografia
AUTORSKA
LP *M. Urbaniak Orchestra Atlas* 1966 LP *M. Urbaniak Group Live Muza* PJ nr 24 1971, CD *Muza 2004* LP *We'll Remember Komeda* MPS 1972, CD *Polonia Rec.* 1998 LP *M. Urbaniak Constellation: In Concert Muza* PJ nr 36 1973, CD *Power Bros.* 1994 LP *M. Urbaniak Super Constellation* Columbia 1973, CD *Koch Int.* 1999 LP *M. Urbaniak: Paratyphus B Spiegelei* 1973 LP *M. Urbaniak: Inactin Spiegelei* 1973 LP *M. Urbaniak: The Beginning Catalyst* 1973 LP *M. Urbaniak: Fusion* Columbia 1974, CD *Sony* 1998 LP *M. Urbaniak: Atma* Columbia 1974 LP *M. Urbaniak: Funk Factory* Atlantic 1974 LP *M. Urbaniak: Fusion III* Columbia 1975 LP *M. Urbaniak: Body English* Arista 1976 LP *M. Urbaniak feat. U. Dudziak: Heritage* Pausa 1977 LP *M. Urbaniak: Smiles Ahead* MPS 1977 LP *M. Urbaniak Group: Urbaniak Inner City* 1977 LP *M. Urbaniak: Ecstasy* Marlin 1979 LP *M. Urbaniak: Urban Express* East-West 1979, CD *Atlantic* 1990 LP *NY 5: Music for Violin and Jazz Quartet* Jam 1980 LP *M. Urbaniak: Daybreak* UBX-Pausa 1980 LP *M. Urbaniak: Serenade for the City* Motown 1981 LP *Jam at Sandy's* Jam 1981 LP *M. Urbaniak: My One and Only Love* SteepleChase Rec. 1981, CD 1996 LP *Urbaniak-Coryell Band: Facts of Life* Love Rec. 1982 LP *Urbaniak Sonet* 1984 LP *M. Urbaniak: Burning Circus* Sonet 1984 LP *M. Urbaniak with H. Parlan: Take Good Care of My Heart* SteepleChase Rec. 1984, CD 1996 LP *M. Urbaniak Recital with A. Sendeki* Dire 1984, CD *Koch Int.* 1998 LP *M. Urbaniak Quartet: Friday Night at the Village Vanguard* Storyville 1985, CD *Storyville* 1994, CD *Koch Int.* 1998 LP *M. Urbaniak: Folk Songs, Children Melodies and Other Tunes* Island Rec. 1987 LP *M. Urbaniak: Cinemode* Rykodisc 1988, CD *Muza* 1990, CD *Koch Int.* 1999 LP *M. Urbaniak: Songs for Poland* UBX-Sonet 1989, CD *Muza* 1991, CD *Koch Int.* 1998 CD *M. Urbaniak Quartet at the Village Vanguard* UBX 1989 CD *M. Urbaniak: Songbird* SteepleChase Rec. 1990 CD *M. Urbaniak: Code Blue* UBX 1990 CD *M. Urbaniak Live in New York* L&B Bellaphon 1991 CD *M. Urbaniak: Manhattan* Man Milan 1992 CD *M. Urbaniak Polish Jazz vol. 9* Muza 1993 CD *M. Urbaniak Quartet: Some Other Blues* SteepleChase Rec. 1994 CD *Urbanator* Hip Bop Rec. 1994, SPV Poland 1994, *Koch Int.* 1997 CD *Urbanator II* Hip Bop Rec. 1996 CD *M. Urbaniak: Live in Holy City* UBX/SP Rec. 1997 CD *Urbaniak Sonet* 1998 CD *M. Urbaniak: Jazz Legends* UBX 1998, *Koch Int.* 1998 CD *M. Urbaniak: Ask Me Now* SteepleChase 2000 CD *M. Urbaniak: Urbsymphony* UBX/Koch Int. 2000 CD *M. Urbaniak: Serenada* UBX 2000 CD *Urbanizer: Just*

a Funky Feeling UBX 2001CD *M. Urbaniak: Eden – muzyka z filmu A. Czeczota* Sony Music Ent. Polska 2003CD *M. Urbaniak: Decadence* UBX/Fonografika 2004 CDM. *Urbaniak: I Jazz Love You* UBX/Fonografika 2004CD *Urbanator III* Big Blue Rec. 2005 CD *M. Urbaniak: Jazz Legends 1* UBX 2007 CD *M. Urbaniak: Jazz Legends 2* UBX 2007CD *M. Urbaniak: Jazz Legends 3* UBX 2007CD *M. Urbaniak: Fusion III* UBX 2009CD *M. Urbaniak: Body English* UBX 2009CD *M. Urbaniak: Miles of Blue* UBX/Sony Music 2009Z **K. KOMEDA**LP *Jazz Greetings from the East* Fontana 1964 LP *Muzyka K. Komedy, vol. 1* Poljazz 1976 LP *Muzyka K. Komedy, vol. 2* Poljazz 1976 LP *Muzyka K. Komedy, vol. 3* Poljazz 1976CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 1–2: Live in Copenhagen* Polonia Rec. 1993CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 3–4: Live at Jazz Jamboree* Polonia Rec. 1993CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 5: Astigmatic Live* Polonia Rec. 1995CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 6: Ballet Etudes* Polonia Rec. 1995CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 8: Theater Music* Polonia Rec. 1996CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 13: Matnia* Polonia Rec. 1998CD *The Complete Recordings of K. Komeda, vol. 17–18: Jazz Jamboree 1962 & 1964* Polonia Rec. 1998CD *K. Komeda: Ballet Etudes, Breakfast at Tiffany's, vol. 1* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Memory of Bach, vol. 2* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Moja ballada, vol. 4* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Crazy Girl, vol. 6* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Sophia's Tune, vol. 7* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Roman Two, vol. 8* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: What's Up Mr Basie, vol. 9* Power Bros. 1998CD *K. Komeda: Astigmatic in Concert, vol. 10* Power Bros. 1998Z **U. DUDZIAK**LP *U. Dudziak: Urszula* Arista 1976 LP *U. Dudziak: Midnight Rain* Arista 1977LP *U. Dudziak: Future Talk* Inner City 1979LP *U. Dudziak: Sorrow Is Not Forever... But Love Is* Keytone 1983**RÓŻNELP** *New Violin Summit* MPS 1971LP *W. Karolak: Movin' South* Poljazz 1974LP *L. Coryell-M. Urbaniak Duo, special guest U. Dudziak: Bolero* Kaytone 1982LP *L. Coryell & M. Urbaniak: A Quiet Day in Spring* SteepleChase Rec. 1983LP *M. Urbaniak-V. Sendeci* FLC 1984CD *M. Davis: Tutu* Warner Bros. 1986CD *M. Davis: Music from Siesta* Warner Bros. 1987CD *M. Urbaniak & B. Cobham: Live in London* In Acoustic Rec. 1988CD *Milky Way Optimism* 1992
 Opr. R. Wolański

© copyright by Fundacja Urbaniak.com © copyright by AGORA SA
2011REDAKCJA: Mariusz BurchartKOREKTA: Jacek
ŚwiąderFOTOEDYCJA: Katarzyna BiernackaSKANOWANIE
I PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ: Dariusz ZapałaPROJEKT GRAFICZNY
OKŁADKI: Aleksandra JasińskaNA OKŁADCE WYKORZYSTANO
FOTOGRAFIE: Adam Kozak, Agencja GazetaOPRACOWANIE
GRAFICZNE: Artur HancPRODUCENCI WYDAWNICZY: Robert
Kijak, Małgorzata SkowrońskaKOORDYNACJA PROJEKTU:
Magdalena KosińskaZDJĘCIA: Archiwum Michała Urbaniaka; Dana
Gordon; Hanna Prus; Jan Tachezy; Jerzy Płoński/Forum; Marek
Karewicz; Monika Skrzypczak/FabrykaObrazu.com; Paweł Kula/PAP;
Radosław Józwiak/Forum; Ronald Eckstein; Ryszard Horowitz;
Zbigniew Matuszewski/CAF/PAPWydanie I elektroniczneISBN 978-83-
268-0897-5WYDAWCAAgora SAul. Czerska 8/1000-732
WarszawaKonwersja i edycja publikacji